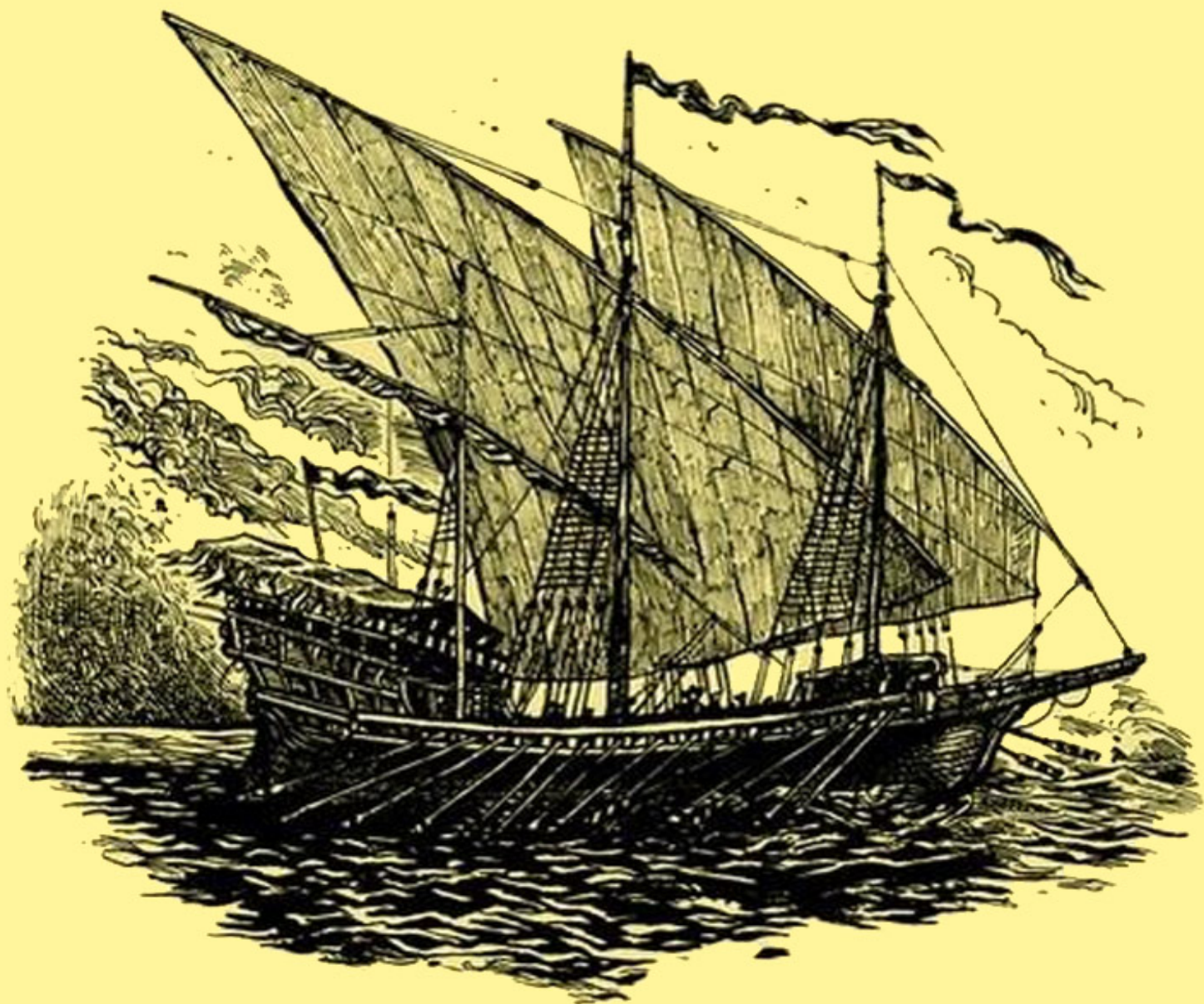


Aφ

Przygody kapitana Alatryste

Arturo  
PÉREZ-REVERTE



Korsarze Lewantu

ARTURO PÉREZ–REVERTE

KORSARZE LEWANTU

(LAS AVENTURAS DEL CAPITÁN ALATRISTE, #6:)

(CORSARIOS DE LEVANTE)

Przełożyli: Filip Łobodziński (rozdz. I–IV)  
& Wojciech Charchalis



Wydawnictwo: Muza 2009

„Przygody kapitana Alatryste" to opowieść o Hiszpanii pierwszej połowy XVII wieku. Na tronie zasiada młody, niemający na nic wpływu, Filip IV, wnuk potężnego Filipa II. Dwór habsburski powoli staje się labiryntem intryg, podchodów, wzajemnych świństw. Z jednej strony sprawujący rządy kanclerz, z drugiej sekretarz królewski, uprawiający własną podstępą politykę ramię w ramię ze złowieszczym inkwizytorem. Na skrzyżowaniu tych dwóch ośrodków władzy znajduje się Diego Alatryste y Tenorio, czterdziestoparoletni szermierz, wytrawny żołnierz. W czasie gdy nie jest na wojnie, dorabia, pojedynkując się w cudzych sprawach. Małomówny, raczej sceptyk, zna życie od najgorszej strony i może dlatego zachowuje wciąż elementarne zasady moralne.

Akcja szóstego tomu przygód kapitana Alatryste rozgrywa się w Hiszpanii, w latach dwudziestych XVII wieku.

„Dowiecie się o potyczkach i korsarzach, o szczęśliwych dniach młodości, o abordażach, zabójstwach i rozbojach. I dowiecie się również, jak w tamtych dniach – jakże odległych dziś, gdy pozostały mi raptem zadawnione blizny i siwy włos – imię mej ojczyzny budziło na morzach Lewantu respekt, bojaźń i nienawiść. Dowiecie się, że Lucyfer nie ma koloru, nacji ni chorągwi. Dowiecie się na koniec, że w owych czasach dla uczczenia piekła na morzu i na ziemi wystarczył jeno Hiszpan i ostrze rapiera".

## Spis treści:

- I. WYBRZEŻE BERBERII. 5
- II. ŚCIĄGNIJ STO LANC DO ORANU. 32
- III. KAWALKADA DO UAD BERRUCH. 65
- IV. ALMOGATAZ. 91
- V. ANGIELSKI BRYG. 117
- VI. WYSPA RYCERZY. 145
- VII. ZOBACZYĆ NEAPOL I UMRZEĆ. 164
- VIII. OBERŻA W CHORRILLO. 191
- IX. JANCZARZY KATOLICKIEGO KRÓLA 218
- X. WROTA ESCANDERLU. 250
- XI. OSTATNIA GALERA. 275
- EPILOG. 302

Dla Juana Eslavy Galana i Fito Cozara, za Neapol, którego nie poznaliśmy, i za statki, których nie zdobyliśmy

*Odpływać i nadciągać galerami, w wód kipieli lub w bitewną iść pożogę, śmierć  
brać i nieść sposobów tysiącami złą juchę albo czuć śmiertelną trwogę, obalić  
sztandar, wznieść go nad głowami, paść w boju, w pień wyciąwszy wprzód  
załogę<sup>1</sup>.*

*Cristóbal de Virues<sup>2</sup>*



## I. WYBRZEŻE BERBERII.



ościg za wrażą rufą trwać może długo, a na rany Chrystusa klę się, że ten był długi ponad miarę: niepodobna dobry humor zachować, gdy cały wieczór, noc księżycową i poranek ścigasz zwierzynę skroś wzburzone morze wstrząsające gwałtownie raz po raz kruchym poszyciem naszej galery. Obydwa żagle sterczały naprężone niby andziary, wiosła mieliśmy złożone, a galernicy, co się wszak na rzemiośle morskim i wojennym wyznawali, kulili się przed wiatrem i rozbryzgami wody, dzięki czemu „Mulata”, nasza galera o dwudziestu czterech ławach, po mierzącym niemal trzydzieści mil pościgu już miała tamtych w zasięgu strzału. Była to galeota berberyjska, która mogła być nasza jeszcze przed Aniołem Pańskim, jeślibyśmy nie złamali wpróżdzi masztu, na który starsi marynarze już zafrasowani spojierali.

– Pokąsajcież im dupę – rozkazał mość Manuel Urdemalas.

Kapitan naszej galery stał na rufie – ledwo co się był I stamtąd ruszył przez ostatnie dwadzieścia godzin – i stamtąd też patrzył na fontannę wody, jaką wedle burty galeoty pierwszy wystrzał naszej armaty wzniecił. Widząc zasięg wystrzału, bombardierzy i ci z załogi, co na deskach przy bocznym

dziale stali, jęli wiwatować. Niezwykły musiałby obrót spraw pokrzyżować nam plany, skoro zwierzyna była już tak blisko i od zawietrznej.

– Żagiel zrzuca! – krzyknął ktoś.

Jedyny żagiel galeoty, obszerny trójkąt płócienny, załopotał na wietrze, ściągany pośpiesznie dzięki opuszczeniu rei. Chybcząc się na ostrej fali, łódź berberyjska zwróciła się ku nam pierwaj lewą częścią rufy, następnie zaś bakburta. Pierwszy raz mogliśmy przypatrzeć się jej ze szczegółami: była to półgalera o trzynastu ławach, smukła i długa, licząca wedle naszych przypuszczeń jakąś setkę na pokładzie. Należała do owych zwinnych i chybkich korabiów, do których jak ulał pasowały przesławne, mądre strofy Cervantejskie:

*Złodziej, co się zakraść chce, czy w ucieczce, czy w wycieczce zdąży szlakiem jakim zechce, a ominie sidła złe.*

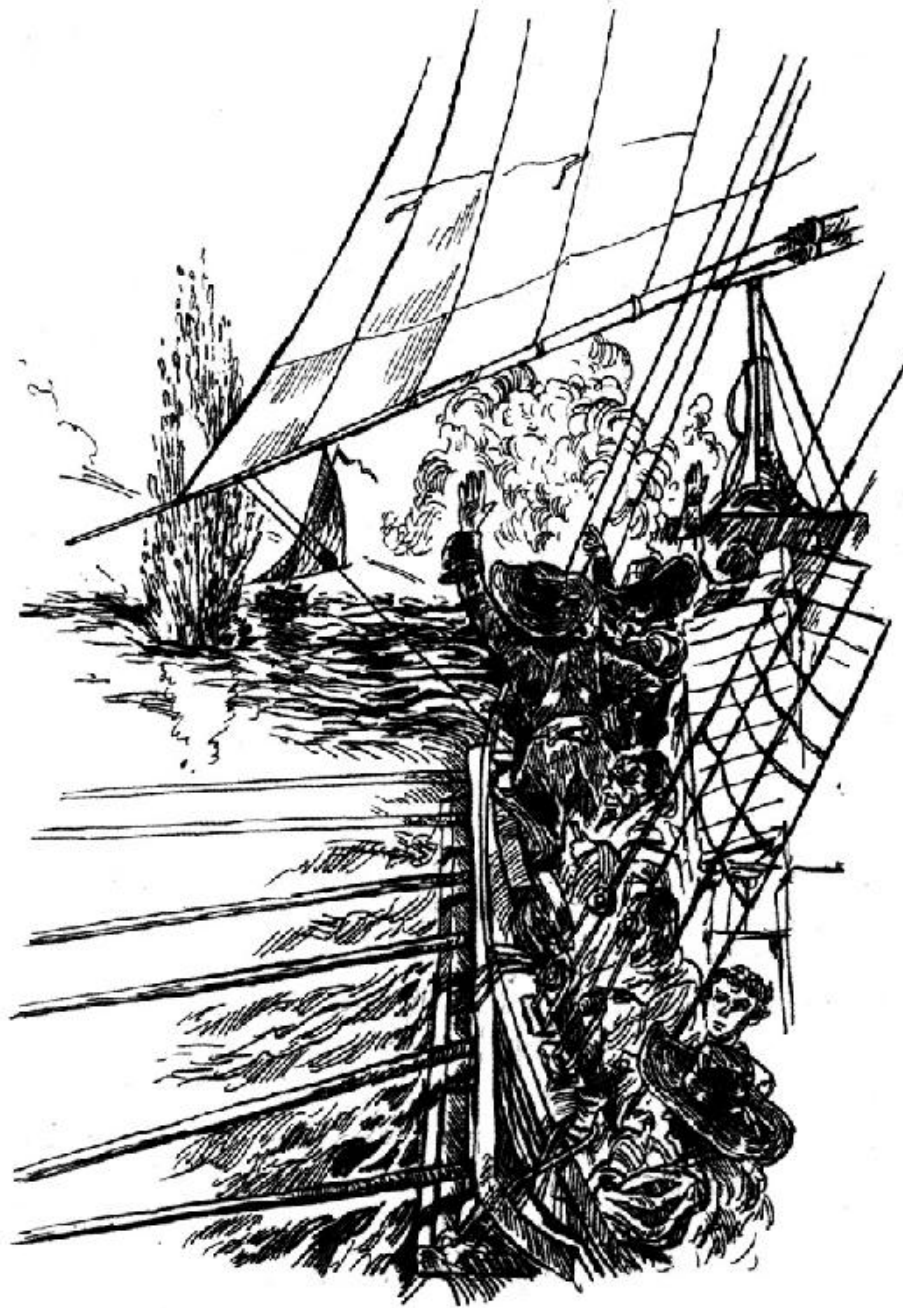
Do tamtej pory galeota jawiła się nam jeno jako biała płachta, niechybnie przez korsarzy prowadzona, którzy klucząc sromięźliwie, kwapili się ku konwojowi kupieckiemu, jaki „Mulata” pospołu z trzema jeszcze okrętami hiszpańskimi osłaniała na szlaku z Cartageny do Oranu. Gdyśmy postawili wszystkie żagle i puściliśmy się w ślad za nią, stała się płachtą uciekającą, potem i ciemną kropką rufy. W miarę zaś, jak dzięki pomyslnemu leveche, wiejącemu z południowego wschodu, pościg nasz coraz skuteczniejszym się stawał, odległość między nami malała, a biała płachta rosła w naszych oczach.

– Wreście poddają się, psubraty – rzucił któryś z żołnierzy.

Kapitan Alariste stał wedle mnie i pilne baczenie na korsarzy dawał. Reję już opuściwszy i płótno zwinąwszy, zapuszczali wnet wiosła w wodę.

– Nie – mruknął. – Bić się będą.





Dlatego tak manewrowali wiosłami mimo przeciwnego wiatru.

Obróciłem się ku niemu. Mrużył oczy pod szerokim rondem starego kapelusza, jeszcze jaśniejsze i zieleńsze skutkiem blasku słońca, co się w falach i żaglach odbijało. Zarost miał kilkudniowy, a skórę wyniszczoną znojem i umorusaną tłuszczem, jak zresztą wszyscy na pokładzie, zmitręzeni żeglugą i czuwaniem. Byстрыm spojrzeniem starego wiarusa

śledził wszystko, co się na galeocie działo: część załogi śpieszyła wzdłuż kadłuba ku dziobowi, podczas gdy wiosła zgodnym ruchem obracały korab w naszą stronę.

– Chcą spróbować szczęścia – dodał ze spokojem. Palcem wskazywał wiatrowskaz, powiewający na topie naszego głównego masztu. Kierunek zmienił się w trakcie pościgu, o ile bowiem przedtem wiał mistral z północnego wschodu, o tyle teraz zasię ustalili się na wschodni lewanter z odchyłem ku bardziej północnemu gregalowi. Naówczas i ja rzecz pojąłem. Korsarz wiedział snadź, że próżna dalsza ucieczka, a że poddać się nie kwapił, wiosłami sposobił się dziobem do wiatru ustanowić. Galeoty i galery miały raptem jedną wielką armatę na dziobie, a na burtach procarzy o niewielkim zasięgu. Tamci gorzej byli wyekwipowani niżli my i mniej liczni, wszelako gotowali się zagrać ostatnią kartą – jeden fortunny strzał mógł nas masztu pozbawić lub ludzi na pokładzie pokiereszować. Dlatego tak manewrowali wiosłami mimo przeciwnego wiatru.

– Wszystkie żagle rzuć!... Do wiosł! Obie naprzód! Mniemając z tych komend, suchych jak wystrzały, nasz kapitan także pojął. Obydwie reje opadły szybko, żagle zwinięto, a na pokład wyskoczył bosman z pejczem w dłoni i jął, skurczysyn, nawoływać: „Raz! Raz!”. Galernicy, obnażeni do pasa, zajęli swoje miejsca po czterech na ławę z każdej burty, czterdzieści osiem wiosł zanurzyło się w fale, a bicz zaczął wyszywać nieszczęśnikom na plecach krwiste kaftany.

– Panowie żołnierze!... Na pozycje!

Taraban zawarczał na alarm bojowy, a wojsko – wśród zwyczajnych u piechoty hiszpańskiej bluźnierstw, „pies ich trącał” i „w dupę mać”, między którymi znalazło się miejsce i na mamrotane modlitwy, i na całowanie medalików i szkaplerzy, i na wielokrotne znaki krzyża – obłożyło burty siennikami i derkami, by się od wrażeń pocisków osłonić, i jęło

zaopatrywać się w stosowny ekwipunek, ładowało arkebuzy, muszkiety i proce, na koniec zajęło miejsca na dziobie i na biegnących wzdłuż burt galery półpokładach ponad wiosłami. Te zaś już pracowały rytmicznie, a bosman i jego zastępca dmuchali w gwizdki do taktu, chłuszcząc przy tym uciemioną galerniczą brać do woli. Od dziobnicy po rufę lonty już zaczynały dymić. Jeszcze nie wyrósł na tyle, by móc samopas z arkebuza względnie z ciężkiego muszkietu na pokładzie strzelać – hiszpańskim obyczajem należało strzelać, mierząc pierwiej do celu, spoglądając okiem przez muszkę, a przy falowaniu morza musiałeś krzepko broń dzierżyć, odrzut snadź mógł ci w przeciwnym razie bark wybić albo i wszystkie zęby. Chwyciłem tedy mą dzidę i szeroki, krótki rapier – dłuższym nie byłoby składnie na statku wymachiwać – zawiązałem mocno chustkę na skroniach i ruszyłem za kapitanem Alatryste niby za świętym Jerzym. Jako zaprawionemu w bojach i spolegliwemu żołnierzowi memu panu (nie był już nim, ale w krew mi weszło tak go zwać) przypadło stanowisko przy dźwigu szalupy – takie samo, patrzcie państwo, zajmował pocziwy mość Miguel de Cervantes na okręcie „Marquesa” w czasie bitwy a pod Lepanto. Gdyśmy już pozycje swe zajęli, kapitan zerknął na mnie niedbale, nawet ślad uśmiechu zagościł w jego oczach, a palce przygładziły wąs.

– Twoja piąta bitwa morska – ozwał się.

Za czym podmuchał w żarzący się knot swego arkebuza. Głos jego zabrzmiał niby obojętnie, alem wiedział, że jak i w poprzednich czterech razach, i teraz niepokoił się o mnie. Chociaż niewiele wcześniej skończyłem już siedemnaście wiosen – a może właśnie z tego powodu. Podczas abordażu nawet Bóg nie rozpoznaje swoich.

– Nie skacz na Berbera, dopóki ja sam nie skoczę... Rozumiesz?

Otwarłem usta, chcąc się sprzeciwić. W tym momencie od strony dziobu dobiegł huk i pierwsza wraza kula armatnia jeła wzdłuż statku słać drzazgi

wielkie jak sztylety.

\* \* \*

Długą drogę przeszliśmy z kapitanem Alatryste, nim trafiliśmy na ową galerę, która tamtego dnia w południe pod koniec maja tysiąc sześćset dwudziestego siódmego roku (daty czerpię ze starych papierów, pożółkłych dokumentów odbytej służby) wdała się w bitwę z galeotą korsarską kilka mil na południe od wyspy Alboran, naprzeciw brzegów Berberii. Po sromotnej przygodzie z kawalerem w żółtym kaftanie, kiedy to nasz młody monarcha katolicki psim swędem wywinął się z sieci zastawionej przez inkwizytora brata Emilia Bocanegrę, kapitan Alatryste, który wcześniej już niemal stał przed katem, bo odmówił był Filipowi Czwartemu prawa do pewnej kochanki, także uciekł spod topora. Życie i honor ocalił dzięki rapierowi – naprzód swojemu, a do pewnego stopnia również mojemu i aktora Rafaela Cozara – otóż bowiem uratował królewską gardziel podczas pewnego niefortunnego polowania pod Escorialem. Królowie są atoli niewdzięczni i niepamiętliwi – sprawa cała nie przysporzyła nam nijakiego zysku. Nie dość na tym: w grę weszła też i taka okoliczność, że skutkiem amorów naszego monarchy z aktoreczką Marią de Castro kapitan skrzyżował groźby i żelaza z hrabią Guadalmediną, królewskim zausznikiem, zrazu raniąc go popisowym sztychem, a później powalając kilkoma ciosami, przez co dawna przychylność hrabiego do mego pana, datująca się jeszcze od kampanii flamandzkiej i włoskiej, zmieniła się w głęboką urazę. Można tedy rzec, że po awanturze w Escorialu byliśmy z naszym losem kwita. Tyleż zjedliśmy, cośmy wysłużyli, bez jednego marawedi naddatku w kieszeni, lubo z ulgą, że nasze kości nie zgniły w jakiej turmie ani że żaden z nas nie odziedziczył sześciu stóp ziemi nad

wystygłą głową w anonimowym dole. Pachołki rotmistrza straży Martina Saldañi – liżącego się z ciężkiej rany, zadanej mu przez mego pana – w spokoju nas ostawili, przeto kapitan Alatryste uwolnił się nareszcie od ciągłego oddechu mundurowych hycli za plecami. Inny los przypadł pozostałym uczestnikom tamtej historii, przeciwko którym obrócił się królewski gniew: brat Emilio Bocanegra trafił do przytułku dla opętanych (jego kondycja męża świętego musiała zostać wnikliwie zbadana), zaś reszta mniej utytułowanych spiskowców została cichcem uduszona w więzieniu. O Gualteriu Malateście, włoskim najemniku i osobistym wrogu kapitana i moim, niczegośmy pewnego nie wiedzieli. Powiadano o przerażających torturach, jakie przeszedł, nim trafił przed oblicze kata w jakiejś ciemnicy, nikt atoli wiary tym opowieściom nie dawał. Co zaś do królewskiego sekretarza Luisa de Alquézar, któremu nie udowodniono udziału w sprzysiężeniu, głowę ocaliła mu jego pozycja w Stolicy i wpływy w Radzie Aragonii, wszelako stanowisko postradał – zgodnie z kategorycznym rozkazem królewskim musiał udać się za morze do posiadłości w Nowej Hiszpanii. A jak waszmościowie dobrze wiecie, los tej zdradliwej postaci nie był mi zgoła obojętny. Wraz z nim przecie wsiadła na pokład największa miłość mego żywota, siostrzenica jego Angelica de Alquézar.

O tym wszystkim niechybnie opowiem w dalszej części. Chwilowo niechaj wystarczy to, co wyżej, dodam jeno tyle, że po naszej ostatniej przygodzie kapitan Alatryste uznał za konieczne zadbać o mą przyszłość, a zarazem trzymać mnie z dala, o ile to możliwe, od kaprysów Fortuny. Sposobność nadarzyła się za sprawą mości Francisca de Quevedo – od czasu, gdy podpadł inkwizycji, poeta bez krępacji pełnił rolę mego protektora – respekt dlań wszak rozrósł się niczym piana na stołecznym Dworze. On owóz uznał za stosowne, ażebym, z pomocą łaski, jaką

okazywała mu najjaśniejsza pani, przychylności ze strony hrabiego–diuka de Olivares i łąta pospolitego szczęścia, mógł z ukończeniem lat osiemnastu wstąpić na służbę do korpusu kurierów królewskich, co byłoby udatnym zaczątkiem dworskiej kariery. Jedynym poważnym kłopotem było to, że dla zdobycia w przyszłości szlifów oficerskich musiałbym już to pochodzić ze znamienitej rodziny, już to sam znamienitych czynów dokonać. W tym mogła mi dobitnie pomóc służba wojskowa. Atoli, lubo moje doświadczenia militarne sprowadzały się do czegoś znacznie poważniejszego niżli karczmiarne przechwałki – bądź co bądź dwa ciężkie lata odsłużyłem we Flandrii – wiek mój wykluczał wciąż otwarcie karty żołnierskiej, mogłem snadź zamustrować się jeno jako giermek, a nie żołdak pełną gębą. Musiałem mieć za sobą jakiś czas w regularnej służbie w armii. Radę na to znalazł nasz druh, kapitan Alonso de Contreras, który po pożegnaniu się z gościnnym domostwem Lopego de Vega wracał do Neapolu. Stary wiarus zaproponował, byśmy mu towarzyszyli, zaznaczając, że regiment piechoty hiszpańskiej, w którym siła ich wspólnych dawnych przyjaciół służyło, byłby dla mnie doskonałą sposobnością do owych znamienitych czynów. Na domiar, krom uciech, jakich gród pod Wezuwuszem Hiszpanom nie skąpił, dobrze było zgromadzić nieco grosza dzięki dochodom, jakimi cieszyły się nasze galery, wedle wysp greckich i afrykańskiego wybrzeża pływające. Odpowiedzcież tedy na zew waszej profesji – radził Contreras – oddajcie Marsowi to, coście niedawno oddawali Wenerze, i rzućcie się w wir wydarzeń tyleż niezwykłych, co trwożę budzących. I tak dalej. A mnie w to graj. Amen.

Oczywista, kapitan Alatryste nie był od tego, by na jakiś czas z Madrytu zniknąć – nie miał szeląga przy duszy, z Marią de Castro był skończył, a Caridad Cyganicha nader często jąła powtarzać słowo „ślub” – tedy pomedytowawszy, jak to miał w zwyczaju, i osuszywszy kilka tęgich

dzbanów, przystał na propozycję. Latem roku dwudziestego szóstego zaokrętowaliśmy się w Barcelonie, pierwszy rejs odbyliśmy do Genui, a potem spadliśmy na południe do starożytnego grodu Partenope<sup>3</sup>, gdzie Diego Alatryste y Tenorio oraz Íñigo Balboa Aguirre zaciągnęli się jako żołnierze w regimencie neapolitańskim. Resztę roku aż do dnia świętego Demetriusza<sup>4</sup>, kiedy to galery zawijały ostatecznie do portów, trudniliśmy się kaperstwem na wodach Berberii, Adriatyku i Morei<sup>5</sup>. Po zapadnięciu na leże zimowe przeputaliśmy sporą część naszych łupów na rozliczne pokusy neapolitańskie, odwiedziliśmy Rzym, ażebym mógł podziwiać najniezwyklejsze miasto świata i przepotężny stolec chrześcijaństwa, za czym ponownie weszliśmy w pierwszych dniach maja, jak to zwyczajnie się dzieje, na pokład dopiero co odskrobanych i gotowych do nowej kampanii galer. Pierwszy rejs – eskortowanie transportu pieniędzy z Włoch do Hiszpanii – zawiódł nas do Balearów i do Walencji, a podczas następnego, czyli tego ostatniego, mieliśmy za zadanie ochraniać statki kupieckie, co zaopatrzenie wiozły z Cartageny do Oranu, po czym mieliśmy do Neapolu powrócić. Dalsze wypadki – korsarska galeota, pościg, co nas od konwoju oddzielił i w pobliże afrykańskiego brzegu zaprowadził – teraz po trochu opowiedział. Dodam jeno, że nie byłem już gołowąsem, ale zaprawionym w bojach siedmnastoletnim Íñigiem Balboą, który wespół z kapitanem Alatryste i innymi żołnierzami i oficerami z pokładu „Mulaty” właśnie sposobił się do bitwy z korsarzem tureckim – taką nazwą, „turecki”, chrzciliśmy każdego, co nam w parady na morzu wchodził, czy był z imperium otomańskiego, czy Maurem, czy moryskiem, czy innym psubratem. Jak się za to dowodnie przekonacie waszmościowie w niniejszej opowieści, był to czas, gdy kapitan Alatryste i ja na powrót walczyliśmy ramię w ramię, wszelako już nie jako pan i jego giermek, jeno jako równi sobie towarzysze. Dowiedcie się, nie zamiaruję skąpić wam

szczegółów, o potyczkach i korsarzach, o szczęśliwych dniach młodości, o abordażach, zabójstwach i rozbojach. I dowiedziecie się również, jak to w tamtych dniach – jakże odległych dziś, gdy pozostały mi raptem zadawnione blizny i siwy włos – imię mej ojczyzny budziło na morzach Lewantu respekt, bojaźń i nienawiść. Dowiedziecie się, że Lucyfer nie ma koloru, nacji ni chorągwi. Dowiedziecie się na koniec, że w owych czasach dla uczynienia piekła na morzu i na ziemi wystarczył jeno Hiszpan i ostrze rapiera.

\*

– Poniechajcie zabijania! – zaordynował kapitan „Mulaty”. – Za tych ludzi nam zapłacą!

Mość Manuel Urdemalas czułe miał baczenie na sakiewkę i szastać nią bez potrzeby nijak się nie kwapił. Bez chęci, aleśmy go wreszcie posłuchali. Mnie na ten przykład kapitan Alatryste za ramię chwycić musiał, kiedym się gotowałem gardziel poderznąć jednemu z Turczynów, którzy, wypadłszy za burtę podczas walki, teraz na pokład się wdrapywali. Ogień jeszcze w nas buzował i nawet dotychczasowa rzeź nie zdołała go ugasić. Kiedyśmy się do wroga zbliżali, Turkom – później zmiarkowaliśmy, że mieli u siebie przedniego artylerzystę, portugalskiego sprzedawczyka – czasu wystarczyło, żeby wymierzyć w nas dwukrotnie z pokładowego działa, zabijając dwóch naszych. Dlatego też spadliśmy na nich hurmem, gotowi nikomu nie darować, krzycząc w głos: „Szybciej! Nacierać, nacierać!” i jeżąc przed sobą włócznie i piki abordażowe, dymiąc lontami arkebuzów, gdy w tym samym czasie skazańcy, przy akompaniamencie trzaskania bosmańskich pejców, gwizdka i dzwonienia łańcuchów, życie całe wkładali w trzonki wiosł. Tak to nasza galera skosem dochodziła do



galeoty, prosto w dziobową część jej kadłuba mierząc. Sternik, co fach swój dobrze znał, doprowadził nas dokładnie tam, dokąd należało, przeto jeszcze zanim nasz dziób strzaskał wraże wiosła i dobił do galeoty od prawej burty, nasze trzy działa, nabite gwoździemi i mediolańskim żelastwem, ślicznie wymiotły im pół pokładu. Za czym, gdy już zabrzmiał pierwszy różaniec palby z proc i arkebuzów, pierwsza grupa ludzi przystąpiła do abordażu – z głośnym: „Święty Jakubie! Naprzód! Naprzód!” przestąpili przez nasz dziób i rychło, bez trudu większego, siekąc bez opamiętania, opanowali cały przód statku aż po maszt. Każdy bisurman, co się do wody nie rzucił, ginął z miejsca na śliskich od krwi deskach, chyba że zdołał ku rufie się pokwapić i czmychnąć. Tam też, przyznać się godzi, zaciekły opór stawiali, okazując i odwagę, i zręczność, i tak było, dopóki druga grupa naszych nie zdobyła ostatecznie nadbudówki, gdzie trzymali się jeszcze ostatni.

W tej drugiej grupie znaleźliśmy się i my z kapitanem Alatryste – on z rapierem i małą tarczą, wystrzelał już był wszak hojnie wszystkich „apostołów” z arkebuza, ja zaś w napierśniku i z włócznią, którą po drodze, w ogniu walki, wymieniłem na dobrze ostrą partyzanę, którą dopiero co z rąk dogorywającego psubrata wyszarpnąłem. I tak to, jeden drugiego chroniąc, cięliśmy, parliśmy naprzód i znów cięliśmy, bacząc na wszystkie strony, krok po kroku, z ławy na ławę, a nikogo za sobą żywego nie ostawiając (ot, na wszelkie zrządzenie losu), nawet takich, co już na pokładzie leżący zmiłowania błagali. Aż na koniec dotarliśmy razem do rufy i takeśmy ich osaczyli, że wreszcie turecki pilot, ranion szpetnie, i garstka tych, co jeszcze się byli do wody nie rzucili, broń złożyli i o łaskę jęli upraszać. Po prawdzie chwila minęła, nim się jej doczekali – w owym czasie rzecz cała prędzej rzeź przypominała niżli cokolwiek innego. Dopiero nasz dowódca dwakroć krzyknąć musiał rozkaz, com go wyżej przytoczył, żeby nareszcie rozwścieczeni bisurmańskim oporem ludzie

poniechali sieczki – a trzeba waszmościom wiedzieć, że pospołu z tymi, co śmierć od wystrzału artyleryjskiego ponieśli, walka kosztowała nas dziewięciu zabitych i dwunastu rannych, galerników nie licząc. I nawet spośród tych, co w morzu się unosili, wielu jak kaczkę było ubitych z arkebuzów, bo nasi mimo uszu puszczały ich supliki, takich zasię, którzy na pokład wejść się ponownie kwapili, siekliśmy ostrą bronią lub też ciosami wiosła.

– Ostaw to już – ozwał się do mnie Diego Alatryste.

Spojrzałem nań, tchu jeszcze złapać nie mogąc po wyteżonym boju. Wytarł właśnie rapier podniesioną z pokładu szmatą – rozgmatwanym turbanem jakiegoś Maura – i wsuwał go w pendent, popatrując na nieszczęśników, którzy już to w wodzie tonęli, już to pływali, nie śmiejąc do statku się zbliżyć. Morze było spokojne, przeto wielu chwacko jeszcze na powierzchni się utrzymywało, jeno ranni z wolna topili się w krwią zbrukanej wodzie wśród jęków i okrzyków rozpaczliwych, gulgocząc w przedśmiertnych trwożliwych podrygach.

– To nie twoja krew, prawda?

Zerknąłem na swe ramiona, pomacałem napierśnik i uda. Ani draśnięcia, jak z ukontentowaniem stwierdziłem.

– Wszystko na swoim miejscu – zaśmiałem się utrudzony. – Jak i wasza wielmożność.

Rozejrzeliśmy się po krajobrazie bitewnym. Oto obydwa statki wciąż szczipione, oto wśród ławek porozpruwane ciała, jeńcy i rzeźący ranni, przemoknięci uciekinierzy, co na pokład się drapali pod nadzorem wycelowanych włócznie i arkebuzów, wreszcie nasi, co plądrowali na całego wraży okręt. Krew otomańska schła w lewantyńskiej bryzie na naszych rękach i twarzach.

– Kroimy sztukę – szepnął Alatryste.

Tak mówiliśmy na łupienie statku, ale ledwie co było do łupienia. Załoga galeoty, rekrutująca się spośród zbirów ze sławetnego portu Sala<sup>6</sup>, jeszcze nie zdążyła się była obłowić, gdyśmy ją wedle naszego konwoju dostrzegli. Przeto lubośmy każdą deskę pokładu oderwali i wszystkie grodzie powalili, nawinęły się jeno żywność i broń, żadnych za to skarbów, po które warto by się schylić. Nie wyskrobałoby się i złamanego szeląga na opłacenie kwinty królewskiej<sup>7</sup>. Przyszło mi się tedy kontentować kaftanem z pysznego sukna – a i tak omal do bójki nie doszło, bom się musiał oń wykłócić z jednym żołdakiem, co śmiał twierdzić, że pierwszy go obaczył – zasię kapitanowi Alatińste przypadł duży damasceński sztylet o dobrym, misternie zdobionym brzeszczocie, znaleziony przy pasie jednego rannego. Z takim oto łupem wrócił na „Mulatę”, ja tymczasem dalej myszkowałem po galeocie, na jeńców co i raz popatrując. Gdy już bosman pościągał, jako było we zwyczaju, żagle wrażego okrętu, jedyną wartość na ich pokładzie przedstawiali żywi bisurmani. Szczęśliwie przy wiosłach nie było żadnych chrześcijan, sami korsarze już to wiosłowali, już to do walki stawali wedle potrzeby. Gdy zatem nasz kapitan Urdemalas, co łeb miał nie od parady, nakazał był poniechać rzezi, tych ocalałych, rannych i pływających wedle burt, naliczyliśmy ze sześćdziesięciu. Szparko licząc, dawało to osiemdziesiąt do stu eskudów za każdego, zależnie gdzie by ich sprzedać. Po odliczeniu kwinty dla króla, zarobku kapitana galery i jego kompanów i po podzieleniu reszty między pięćdziesięciu marynarzy i siedemdziesięciu żołnierzy na pokładzie (wiosłująca brać galernicza nie wchodziła do rachunku) – była to suma nie do pogardzenia, lubo fortuny też nie dawała. Dlatego właśnie wrzaskami musiał nam przypomnieć, że im więcej Turków żywcem weźmiemy, tym więcej do mieszka zgarniemy. Z każdym, któregośmy ubili w wodzie albo gdy się na burtę wspinał, na dno szło ponad tysiąc reali.

\* \* \*

– Trzeba ich dowódcę powiesić – ozwał się kapitan Urdemalas.

Wyrzekł to po cichu, jeno dla uszu chorążego Muelasa, bosmana, sierżanta Albadalejo, pilota i dwóch zaufanych oficerów, zwanych kapralami, do których zaliczał się i Diego Alatryste. Zebrali się na naradę na rufie „Mulaty”, wedle latarni, spoglądając na galeotę, nadal przy dziobie naszym uwięzioną, na jej potrzaskane wiosła i na wyrwę, kędy woda do środka się wdzierała. Wszyscy zgodzili się, że holować jej nie ma po co, rychło musiała zatonać. Nic jej uratować już nie mogło.

– To hiszpański sprzedawczyk – Urdemalas skrobał się po brodzie. – Niejaki Boix, z Majorki. Teraz psubrat każe zwać się Jusuf Bosza.

– Rany otrzymał – zauważył bosman.

– To i na sznur go, zanim sam ducha wyzionie.

Kapitan galery na słońce popatrywał, nisko już wiszące nad horyzontem. Nie więcej jak godzina światła ostała – obliczał Alatryste. W tym czasie jeńcy winni już wszyscy w kajdanach znajdować się na pokładzie „Mulaty”, a ta płynąć do jakiegoś przyjaznego portu, gdzie mogliby ich sprzedać. Na razie przepytywano ich, by zmiarkować, jakiej nacji są i jakiej mowy, i by oddzielić od siebie zaprzańców, morysków, Turków i Maurów. Każdy korsarski okręt jawił się istną wieżą Babel, gdzie łącznie o niespodziankę. Nie mogło w dziw wprawić, jeśli gdzie znalazł się sprzedawczyk z chrześcijańskiego rodu – jak w tym właśnie przypadku. Choćby i Anglik lub Niderlandczyk. Przeto i nikt nie sprzeciwił się, by owego dowódcę obwiesić.

– Zgotujcie powróż co żywo.

Alatriste aż nadto dobrze wiedział, że taki był obyczaj. Zaprzaniec, co okrętem dowodził, opór stawiał i śmierć ludziom zadał, musiał zemrzeć na konopną niemoc. A osobliwie, gdy z ziem hiszpańskich pochodził.

– Nie samego jeno dowódcę mamy – oznajmił chorąży Muelas. – Krom niego są moryskowie: pilot i co najmniej czterech jeszcze. Było ich i więcej, niemal wszyscy Hornachero<sup>8</sup>, ale śmierć ponieśli... Albo właśnie umierają.

– A reszta jeńców?

– Morscy Maurowie i ludzie z Sala. Jest też dwóch płowych, mają im napletki obejrzeć, by zmiarkować, czy to rzezańcy, czy chrześcijanie.

– To i wiadoma rzecz: jeżeli rzezańcy, do wiosł ich, a potem inkwizycji przekazać. Jeżeli zasię nie, to na rei powiesić... Ilu naszych usiekli?

– Dziewięciu, nie licząc tych, co jutra nie doczekają. Ani galerników.

Urdemalas w złości trzepnął niecierpliwie pięścią w dłoń.

– Przebóg!

Był zaprawionym w bojach i nieokrzesanym marynarzem, o skórze popękanej i brodzie posiwiąlej w ciągu trzydziestu lat żeglowania po Śródziemnomorzu. Aż nadto wiedział, jak postępować z owymi ludźmi, co to w Berberii spać się kładą, a na wybrzeżu hiszpańskim ze wschodem słońca się zjawiają, biorą łupy i spokojnie do swych domów wracają.

– Powróż dla całej szóstki i niech się kaduk udławi. Żołnierz jakiś przyniósł chorążemu Muelasowi wieści, ten zasię zaraz się do Urdemalasa zwrócił: – Tych dwóch jasnych to rzezańcy, jak mi donoszą, panie kapitanie... Jeden to francuski sprzedawczyk, a drugi z Livorno.

– Dajcie ich do wiosł.

Co tłumaczy waszmościom zaciekłość, z jaką walczyli ci z galeoty – załoga wiedziała snadź, co im groziło. Wszyscy prawie moryskowie woleli polec w walce, niżli się poddać. Jak zauważył niedbałym tonem chorąży

Muelas, tym się wyróżniali – lubo psy morskie, wiadomo było, jaka ziemia ich zrodziła. Powszechną rzeczą było, iż hiszpańscy żołnierze nie szczydzili życia rodaków, co dowodzili korsarskimi okrętami, ani morysków, którzy wchodzili w skład załóg, chyba że poddali się bez walki – w takim przypadku przekazywano ich w ręce inkwizycji. Moryskowie, czyli ochrzczeni Maurowie, wciąż podejrzani w kwestii wiary, zostali byli wygnani z Hiszpanii osiemnaście lat wcześniej, po rozlicznych buntach, oskarżeniach, fałszywych konwersjach, zdradach i ruchawkach. Gnębiono ich, mordowano na traktach, pozbawiano tego, co z sobą uwozili, gwałcono ich żony i córki – aż na koniec los rzucił ich na brzeg północnoafrykański, gdzie nie lepsze powitanie ich spotkało ze strony braci Maurów. Osiedlili się w korsarskich portach północnego brzegu Afryki – w Tunisie, Algierze i nade wszystko w Sala, co najbliżej Andaluzji leżał – i w owej epoce byli naszymi najgroźniejszymi i najbardziej znienawidzonymi wrogami, albowiem z największym okrucieństwem do swych hiszpańskich jeńców się odnosili, pochwyconych zarówno na morzu, jak i podczas wypraw na ziemię Półwyspu. A te niszczyli bez zmiłowania, miejsce znając wybornie, a i zajadłość czując, zwyczajną u tych, co stare rachunki chcą regulować – jak to opisywał wielki Lope w Dobrej straży:

*Mauretańska ćma piracka mknie z Algieru przez odmęty, kryje blisko swe okręty, rano spada tu znienacka<sup>9</sup>.*

– Jeno bez parady ich wieszajcie – zalecił Urdemalas. – Gwoli zapobieżenia ruchawce wśród jeńców. Pierwej wszystkich uwięzać, kajdany ponakładać.

– Wszak pieniądze w ten sposób tracimy, waszmość kapitanie – zaoponował bosman, bojąc się, że na rei zawiśnie tym samym tysiące

zmarnotrawionych reali. Bosman jeszcze większą kutwą był niżli kapitan galery, gębę miał nieprzytulną, a duszę jeszcze mroczniejszą. Pobierał, pospołu z pokładowym strażnikiem królewskim, dodatkowe dochody dzięki przekupom, jakie zgarniał od galerników.

– Sram na waszmościne pieniądze – Urdemalas spiorunował bosmana wzrokiem. – Na cały ich zawszony mieszek.

Tamten, z dawna zwyczajny kapitańskiego sposobu bycia, wzruszył jeno ramionami i oddalił się po pokładzie, każąc po drodze swemu pomocnikowi i strażnikowi przygotować odpowiednio dużo powroza. Ci dwaj akurat rozkuwali galerników zabitych podczas bitwy – czterech jeńców mauretańskich, jednego Niderlandczyka i trzech Hiszpanów, co na wiosłowanie zostali skazani – ażeby ich następnie do wody wyrzucić, a na miejsce ich wziętych do niewoli korsarzy posadzić. Z pół tuzina rannych galerników, co nader mizernie się prezentowali, lamentowało, leżąc wciąż w kajdanach pod zakrwawionymi ławami, i czekało, aż balwierz ich opatrzy – człek ten na pokładzie pełnił także rolę cyrulika i medyka. Nawet najsroższą ranę leczył octem i solą, które w powszechnym na galerze były użytku.

Oczy Diega Alatryste spotkały się z oczami kapitana Urdemalasa.

– Dwaj moryskowie to jeszcze młodziki – rzekł.

Tak było. Zoczyłem ich byłem, gdy dowódca ich padał ranion – dwoje pacholąt, co w kucki między ławami na rufie chronili się przed świstającym żelazem. Onże sam odsunął ich na bok, by rzezi uniknęli.

Urdemalas skrzywił się z niechęcią.

– Młodzi? Jak bardzo?

– Wystarczająco.

– Z Hiszpanii pochodzą?

– Nie mam pojęcia.

– Rzezańcy?

– Chyba tak.

Marynarz zmełł w ustach siarczyste „do kroćset” i „Chryste żeż mać”, patrząc na rozmówcę z zadumą. Za czym odchylił się ku sierżantowi Albadalejo.

– Weź baczenie na to, waszmość panie sierżancie. Owłosienie niechaj im sprawdzą... Jak ma który porośnięte koło Gibraltarku, to i do dyndania nadstawi karku, jak Bóg na niebie. A jak nie, to do wiosła.

Rad nierad, Albadalejo takż się pokładem oddalił, ku galeocie kroki kierując. Nie gustował osobliwie w ściąganiu portek młodzikom, żeby sprawdzić, czy jako wisiory się zdadzą, czy do machania wiosłem. Ale takie były koszty tej profesji. Kapitan zasię dalej przypatrywał się Diegowi Alatryste. Zwracał ku niemu zaciekawione oblicze, jakby zachodził w głowę, czy za obiekcjami mego pana wobec dwóch młodzieńców kryło się coś więcej poza zdrowym rozsądkiem. Chłopcy czy też nie, urodzeni w Hiszpanii czy poza nią (bądź co bądź ostatni moryskowie, pochodzący z doliny Ricote w prowincji Murcja, opuścili kraj czternaście lat wcześniej), dla Urdemalasa, jak i dla większości Hiszpanów, współczucie w grę nie wchodziło. Ledwie przed dwoma miesiącami korsarze wylądowali na wybrzeżu koło Almerii i pojмали siedemdziesięcioro czworo jeńców, mężczyzn i niewiasty z dziećmi, wszystko z jednej wsi, ale zanim to uczynili, jeszcze osaczyli sołtysa, ukrzyżowali go, podobnie robiąc z jedenastoma mieszkańcami, których mieli zapisanych na liście. Jedna niewiasta, co się ukryć zdołała, zeznała później, że wielu z napastników było moryskami, co dawniej w tejże wiosce byli mieszkali.

W tej niespokojnej strefie śródziemnomorskiej, istnej mieszaninie ras, języków i zapiekłych uraz, wszyscy mieli jakieś rachunki do wyrównania. A moryskowie, obeznani z zatoczkami, wodopojami i traktami okolic, do



których powracali, by się zemścić, korzystali wszak z tego, co Miguel de Cervantes – który korsarzy poznał był na wylot jako żołnierz i jeniec – tak trafnie opisał kilka ledwie lat wcześniej w *Awanturze algierskiej*:

*Jakom rzekł, tam wzrosłem, znam ową ziemię, wiem, kędy wniść do niej, kędy uciekać i jakim przemysłem pobić to plemię*<sup>10</sup>.

– Wasza miłość był tam podówczas, prawda? – zagadnął Urdemalas. – W dziewiątym roku pod Walencją?<sup>11</sup>

Skinął głową Alatryste. Niewiele sekretów dawało się utrzymać na ciasnej przestrzeni pokładu. Miał z Urdemalasek wielu wspólnych przyjaciół, a jako człek biegły w żołnierce na statku pełnił funkcję dowódcy jednego z oddziałów. Marynarz i weteran darzyli się respektem, ale każdy własną ścieżką chadzał.

– Powiadają – ciągnął kapitan galery – żeś waszmość pomagał stłumić ową ruchawkę... Tych, co łby podnieśli.

– Pomagałem – odrzekł Alatryste.

Tak można by rzecz ująć – pomyślał. Owe nagonki za uciekającymi ku szczytom gór, wśród skał, w prażącym słońcu. Oddziały zamaskowanych buntowników, walka wręcz, represalia, zabójstwa. Okrucieństwo obydwu stron i nieszczęśni prości chrześcijanie i moryskowie, jako zwykle, więci w dwa ognie i zmuszeni płacić frycowe. Gwałty i morderstwa, co bezkarnie uchodziły, bo na poczet działań wojennych szły. A na koniec widok owych wyzutych ze wszystkiego uciekinierów, co sznurami się wlekli po traktach, wprzód przymuszeni ostawić domostwa swe i sprzedać za bezcen wszystko, czego nie podołali zabrać ze sobą. Gnębieni, łupieni przez włościństwo albo i przez to samo wojsko (niejeden żołnierz zdezerterował,

by się móc na nich obłowić), które ich wiodło na statki i ku obcym ziemiom – co tak udatnie opisał był Gaspar Aguilar<sup>12</sup> pamiętnymi wierszami:

*Nakazem władcy byli pozbawieni tego, co własna ich rodziła ziemia, zmuszeni zaś do jałmużny proszenia<sup>13</sup>.*

– Na honor mój – kapitan Urdemalas uśmiechał się krzywo – nie widać po waszmości dumy z powodu przysługi, jakąś wyświadczył Bogu i królowi.

Alatriste spojrział uważnie na swego rozmówcę, za czym uniósł palce dwa swej lewicy ku wąsom i jał gładzić je nieśpiesznie.

– Mówisz waszmość o rzeczy dzisiejszej, szanowny panie kapitanie galery, czyli o owej z roku dziewiątego?

Wypowiadał słowa wyraźnie a zimno, prawie szeptem. Urdemalas wymienił nerwowe spojrzenia z chorążym Muelasem, pilotem i drugim dowódcą.

– Nie mam nic do rzeczy dzisiejszej – odparł tonem obojętnym, wzrokiem jakoby licząc blizny na kapitańskim obliczu. – W dziesiątkę takich jak wasza miłość braliśmy Algier w jedną noc. Jenó...

Puściwszy pochwałę mimo uszu, Alatriste dalej gładził palcami wąsa.

– Jenó co?

– No – Urdemalas wzruszył ramionami. – Znamy się tu wszyscy. Powiadają, że nie ukontentowała waszmości walencka wycieczka... I żeś się przeniósł z rapierem szczęścia gdzie indziej szukać.

– A masz waszmość własne mniemanie w tej materii, panie kapitanie?

Oczy kapitana galery podążyły w ślad za lewicą Alatristego, która poniechawszy wąsa, zwiśla u boku, o dwa cale ledwo od gardy toledańskiego rapiera – wielce poszczerbionego i poznaczonego – co u pasa

mu zwisał. Marynarz, jak wiadomo powszechnie, był człekiem śmiałym. Atoli każdy własną reputację nosi, a ta u mego pana nie należała do najgorszych – i poprzedzała go, gdy okrętował się na pokładzie „Mulaty”. Na słowo, jak to się mówi. Teraz wszelako, gdy już wszem było wiadome, jak potrafi ręką wywijać, nawet ostatni ciura musiał być przekonany. A Urdemalas lepiej niżli ktokolwiek.

– Nijakiego mniemania, przebóg – odrzekł. – Każdy swoje słońce ogląda... Co zasię powiadają, to i powiadają.

Wyrzekł powyższe twardo i bez ogródek, Alatriste przeto jął rzecz po drobnemu rozważać. I wyszło mu, że ni tonowi, ni słowom samym niczego zarzucić nie może. Kapitan galery był człekiem bystrym. I ostrożnym.

– Skoro zasię tak powiadają – zakonkludował – to i dobrze powiadają.

Choraży Muelas zmiarkował, że nie od rzeczy byłoby lekkości nieco w konwersację wprowadzić.

– Pochodzę z Mejer – wtrącił. – Pamiętam ciągi, jakieśmy zbierali od Turczynów, których tamtejsi moryskowie powiadamiali, kiedy nas dopaść zniecka... Synowie sąsiadów już to kóz poszli doglądać, już to z ojcem na ryby się wybrali, a budzili się raptem na targowisku w Berberii. I dzisiaj może już przerobiony łązi po świecie, jako sprzedawczyk. Bóg jeden wie... Mogli go tam od sodomskiej strony zachodzić. Że o niewiastach nie wspomnę.

Pilot i drugi dowódca skinęli posępnie głowami. Wszyscy aż nadto wiedzieli na temat osad wzniesionych na wyżynach, z dala od morza, w obawie przed berberyjskimi piratami, co fale mierzwią i wybrzeża pustoszą, o trwodze, jaką w mieszkańcach budziło zuchwalstwo najeźdźców, o wstrętnej naturze ich współwyznawców, co w okolicy pomieszkiwali, o krwawych buntach morysków, którzy opór chrztowi i władzy królewskiej stawiali, o sekretnych porozumieniach z Berberami, o tajnych petycjach do

Francji słanych, do luteranów i do Wielkiego Paszy, żeby ci pomocy udzielili, gdy do powszechnego powstania dojdzie. Zrazu nie umiano ich przegnać po wygranej wojnie o Granadę i Alpuharę, potem Trzeci Filip nieudolnie usiłował ich przechrzcić, aż na koniec trzysta tysięcy morysków – liczba ogromna, jak na dziewięć milionów dusz, co królestwo zamieszkiwały – przeniosło się na bezbronne wybrzeża lewantyńskie<sup>14</sup> i andaluzyjskie. Tam najczęściej fałszywie wyznawali chrześcijańską wiarę, twardzi, nieposłuszni a pyszni – bądź co bądź, byli wszak i Hiszpanami – i śnili o utraconej wolności i niezależności, odrazę czując przed wtopieniem się w naszą katolicką nację, co w toku ostatniego stulecia hardo wykuta, nader ciężką wojnę prowadziła społem na wszystkich frontach: przeciwko tchórzliwym zawistnikom z Francji i Anglii, przeciw protestanckim schizmatykom i ogromnej podówczas potędze tureckiego sułtana. Dlatego to, zanim ich na amen przegnano, ostatni muzułmanie na Półwyspie jawili się niby groźny sztylet, wymierzony w słabiznę tej Hiszpanii, co połową świata rządząc, z drugą połową zapamiętała wojowała.

– Nijak żyć się nie dało – ciągnął Muelas. – Od Walencji po Gibraltar, wszyscy starzy chrześcijanie żyliśmy między morysków na wzgórzach a piratów na morzu wciśnięci. Sygnały nocą dawane, udogodnienia, by łącniej do brzegu dobijać i wsie łupić, owe przechrzty, co to od boczku dalej mierzączki dostawały...

Diego Alatryste głową pokręcił. Nie wszędzie tak było, co sam dobrze miarkował.

– Żyli tam też ludzie szlachetni – ozwał się – chrześcijanie nowi, ale szczerzy, wierni poddani króla. Poznałem takich w wojsku we Flandrii... I był to lud pożyteczny a pracowity. Nie uświadczyłeś wśród nich szlachciury–łotrzyka, braciszka–darmozjada ni żebraka... Tu, w rzeczy samej, od Hiszpanów się różnili.

Popatrzyli nań w przeciągłym milczeniu. Za czym chorąży skubnął zębami paznokiec i splunął kawałkiem za burzę.

– Tych było niewielu. Trzeba było skończyć z tym utrapieniem i hańbą. I Bogu dziękować, udało się.

Po prawdzie – rzekł w duchu Alatryste – nic a nic się jeszcze nie udało. Owa przytłumiona wojna domowa między Hiszpanami nadal się toczyła, jeno sposobami innymi i w innych miejscach. Niewielka liczba morysków zdołała była później powrócić potajemnie, dzięki pomocy sąsiadów swoich, jak to miało miejsce na równinie Calatrava. Co się zaś tyczy pozostałych – owóz mudecharowie<sup>15</sup> z Granady i Andaluzji tudzież tagarinowie<sup>16</sup> z Aragonii, Katalonii i Walencji ponieśli swój gniew i tęsknotę za utraconą ojczyzną w korsarskie twierdze Berberii, a że nadzwyczaj znali się na sprawach wszelakich i sprawni byli w profesjach przydatnych w korsarstwie – nader wzmocnili siłę turecką i północnoafrykańską. Nierzadko toteż widywano ich jako arkebuzerów (pokonana galeota miała na swym pokładzie tuzin takich), krom zaś swej wiedzy o pustoszonych wybrzeżach i miejscowościach umieli jeszcze budować statki, broń palną wytwarzać i nie mieli sobie równych w kupczeniu pochwyconymi jeńcami – że nie wspomnę o tym, jak wybornie nadawali się do załóg galeot i fust, nawet jako kapitanowie i piloci. Zbrojni w nienawiść i brawurę, w doświadczenie strzeleckie i wolę walki bez błagania o litość, nie ustępowali najwyśmienitszym żołnierzom bisurmańskim, a przewyższali rzemiosłem te załogi, co jeno z Maurów się składały. Dlatego to uważano ich za najgroźniejszych korsarzy, najokrutniejszych handlarzy niewolnikami i największych wrogów, jakich Hiszpania miała na wodach Śródziemnomorza.

– Jak było, tak było, trzeba przyznać, że w wątpiach mocni są – nadmieniał pilot. – Skurwysyny walczyły jak, nie przymierzając, tygrysy.

Alatriste spozierał na fale wokół galery i galeoty, pełne śladów niedawnej bitwy. Prawie wszystkie trupy były już potonęły. Kilku jeno, co snadź powietrza pełne mieli łachy albo płuca, unosiło się na spokojnych wodach – na podobieństwo wielu widm, co w jego własnych wspomnieniach się kłębiły. Nieliczni jeno, jego samego nie wliczając, w swoim czasie oponowali przeciw wygnaniu morysków. Czasy nie były łatwe. Ani Hiszpanii, ani Europie, ni światu całemu nie w głowie były czułości i słodkie słówka. Przygnębiały go jeno sposoby – sztywne urzędy i bezwzględni wojskowi dokładali swego do i tak niesławnej kondycji ludzkiej, która rzeczy całej wątpliwą była ozdobą; *wskazanym byłoby nie dopuścić, ażeby tyle pieniądza z sobą uwozili, iż wielu ze znacznym ukontentowaniem wyjeżdża* – pisał do króla mość Pedro de Toledo<sup>17</sup>, dowodzący hiszpańskimi galerami. Przeto w roku tysiąc sześćset dziesiątym, w wieku lat dwudziestu ośmiu, żołnierz Diego Alatriste, weteran starego regimentu z Cartageny – z Flandrii sprowadzonego, by bunt walenckich morysków uśmierzyć – prośbę złożył był o zwolnienie ze służby w macierzystym oddziale, zamustrował się do regimentu neapolitańskiego i jął walczyć przeciw Turkowi na wschodzie Morza Śródziemnego. Skoro już miał dręczyć i wyrzynać niewiernych – przemyślał – niechajże przynajmniej mają możliwość się bronić. I – o zawile ścieżki żywota! – dwadzieścia lat później zajmował się nadal tym samym.

– Ja tłułem ich jak bestie w roku dziesiątym i jedenastym, od Denii<sup>18</sup> po plażę Oranu – oznajmił kapitan Urdemalas. – Psubratów jednych.

Ostatnie słowa wypowiedział z dużym naciskiem. Zaraz zasię baczenie dał wielkie na Diega Alatriste, rzekłbyś – jakby miał mu skroś wątpia przejrzeć.

– Psubratów... – powtórzył Alatriste zadumany.

Wspomniał powiązane kajdanami rzędy buntowników, prowadzonych do kopalń żywego srebra w Almand, skąd nikt żywy nie wracał. I starego moryska z walenckiej wioski, jedyne, który wygnania uniknął z racji wieku i cielesnych niedomagań, a który skonał ukamienowany przez pacholeta miejscowe, przy czym ni sąsiad żaden, ni nawet proboszcz nic nie uczynił, by zapobiec egzekucji.

– Psy różnych mają braci – zakonkludował.

Uśmiechał się z goryczą i nieobecną miną, oczy jasne w obliczu kapitana galery utkwivszy. I w mig zmiarkował, że temu ostatniemu ani spojrzenie, ani uśmiech jego do gustu nie przypadły. Ale i to poznał – a potrafił jednym oka rzutem człowieka ocenić – że Urdemalas za nic w świecie zdania swego na głos nie wypowie. Formalnie rzecz ujmując, nikt nikomu respektu tutaj nie poskąpił. A co do reszty – pewne rzeczy mogły wydarzyć się i poza galerą, gdzie dyscyplina wojskowa wykluczała wszelkie wycieczki osobiste i tajemne. Życie pełne jest portów o mrocznych, cichych uliczkach, nocy bezksiężycowych ponad utajonymi miejscami, gdzie taki czy inny kapitan galery, nie mając nijakiej ochrony krom własnej broni, mógł raptem, nie zdążywszy się przeżegnać, kilka cali żelaza poczuć pomiędzy plecami a piersią. Tedy spojrzenie swe i uśmiech Diego Alatryste doprawił jeszcze szczyptą zuchwałości, a dłoń od niechcenia przesunął bliżej ku gardzie rapiera toledańskiego, co widząc, kapitan Urdemalas odwrócił wzrok i zapatrzył się w morze.





## II. ŚCIAĞNIJ STO LANC DO ORANU.



dy okręt korsarski już fale chłoneły, popatrzyłem za rufę. Tuż nad wodą, której mrok miał je lada chwila ogarnąć, zwisały z masztu, odcinając się od nieba w ostatniej poświacie zmierzchu, martwe sylwetki kapitana, pilota i trzech morysków, w tym jednego z młodzieńców, który na swoje nieszczęście miał wstydlive miejsca całkiem obrośnięte, co zmiarkował był sam sierżant Albadalejo. Drugi chłopak, mniej opierzony, a bardziej fortunny, zasiadł do wiosł pospołu z pozostałymi jeńcami, którzy właśnie już to klepali sardynki po grzbietach, już to siedzieli w ładowni, łańcuchami skrupulatnie skuci. Względem zasię moryska pilota, jako się okazało – z Walencji, to z powrozem na szyi przysiągł on najczystsą hiszpańszczyzną, że lubo pacholęciem został był wygnany z królestwa, przecie przechrcił się ze szczerego serca i zawsze chrześcijański żywot wiódł, wstrętne mu wszak było Prorockie kacerstwo, jak nie przymierzając owemu chrześcijaninowi z Oranu, co powiadał:

*Chrystam się we wyparł, nie wierzę w Allacha.*

*Choć gadam jak Maur i takóž się stroję, lecz czekam królestwa nie z tego świata.*<sup>19</sup>



...A że jawił się rzezańcem, powiadał, własną ręką był to uczynił, by nie rzucać się w oczy, snadź w Algierze pomieszkiwał i w Sala. Na co ozwał się kapitan Urdemalasa, że wielce go to raduje i że skoro chrześcijaninem ów się czuje, jak chrześcijanin ni chybi umrze. Z braku na galerze kapelana, musi się obejść tedy jeno jednym Credo i jednym Pater noster, i co tam sam od siebie dołoży, ażeby na tamtym świecie z uregulowanymi obrachunkami się zameldować. Rzecz to sposobna, skoro chce więcej czasu zyskać, nim za szyję grzecznie zawisnie. Nie docenił tej łaski ów pilot, zaraz też bluźnił Bogu i Najświętszej Paniencie, już nie po kastylijsku, a w berberyjskiej lingua franca, nafaszerowanej walenckim szwargotem, co to niby po naszymu brzmi, a z arabska pokiereszowany. I gęba mu się nie zamykała, aż gdy nareszcie oddechu nabrał, zaraz flegmą splunął prościutko na but kapitana Urdemalasa, za czym tenże nakazał ceremonię całą przyśpieszyć, nijakiego Credo ni „Chryste w dupę” – oznajmił – i pilot powędrował pionowo na maszt z łapami z tyłu związanymi, nogami jeno wierzgając, a z Bogiem się nie pojednawszy. Natomiast pozostałych rannych korsarzy, morysków i innych, tych po prostu powiązano i do morza bez osobliwych ceregieli wrzucono. Jeden z tych, co się na nogach trzymali, jako że w szyję cięty, do obwieszenia się nie nadawał. Rana była głęboka i długa na pół dłoni, i lubo tętnice były całe i juchą nie chlustały, nieborak różnie się prezentował z każdej strony: już to blady jak papier, już to świeżutki jak pączek. Pokładowy strażnik królewski zawyrokował, że jeżeli się go powiesi, szyja mu się rozerwie w owym miejscu, co szpetny widok będzie przedstawiać. Rzuciwszy okiem na psubrata, kapitan przychylił się do tej oceny, tedy tamten w morzu związany bezceremonialnie skończył jak i pozostali.



Natomiast pozostałych rannych korsarzy, morysków i innych, tych po prostu powiązano i do morza bez osobliwych ceregieli wrzucono.

Wiał przyjemny gregal z północnego wschodu, księżyc jeszcze nie wychynął i niebo usiane było gwiazdami, kiedym po omacku niemal wyszedł na poszukiwanie kapitana Alatryste. Na zatłoczonym pokładzie – nie mogę rzec, że cuchnącym, wszak sam byłem z tego plemienia i na prawo i lewo odory wszelakie rozsiewałem – żołnierze i dowodzący odpoczywali po bitwie, posilając się plastrami wędzonej ryby i odrobiną

wina. Galernicy zasię, iż wiosła powiązano, żeglugę dalszą powierzywszy pomyslnemu wiatrowi, raczyli się sucharami z octem i oliwą, o czym zaświadczał rumor wśród ławek, czyniony przez szeptane pogwarki, pioseneczki nucone dla zabicia czasu i raz po raz wypowiedane skargi z powodu odniesionych ran i siniaków. Rozbrzmiewał gdzieś z cicha kuplet, któremu rytmiczne szczęknięcie łańcuchów i uderzenia dłoni po skórzanej ławie towarzyszyły:

*Na chrześcijańskiej galerze zawsze jest za mało nóg, za to dłoni mają w bród, niechaj sprawdzi, kto nie wierzy.*<sup>20</sup>

Rzec można, noc jakich wiele. „Mulata” płynęła powoli skroś mrok, kierując się na południe, morze było spokojne, a jej żagle wydęte i łopoczące łyskały niby dwie jasne plamy nad pokładem, zasłaniając i odsłaniając gwiazdy na niebie. Na kapitana Alatriste natrafiłem na dziobie, wedle lewej bakisty. Stał oparty nieruchomo o zwinięty filaret<sup>21</sup> i patrzył w morze i niebo, które po zachodniej stronie jeszcze nosiły rdzawe ślady niedawnego zachodu. Zamieniliśmy słów kilka na temat minionego dnia, po czym zagadnąłem go, czy prawdą jest, jak się na pokładzie gada, żeśmy kierunek na Melillę, a nie na Oran obrali.

– Nasz kapitan nie chce, żebyśmy płynęli obciążeni tyloma jeńcami – odrzekł. – Przeto woli wprzód tu zakotwiczyć, bo bliżej i ludzi prędzej sprzedać zdoła. A my ruszymy dalej już lżejsi o ten ładunek.

– Za to z ciężarem w trzosach – uzupełniłem z uśmiechem. Jak każdy, obrachowałem plon owego dnia i wyszło mi co najmniej dwieście eskudów.

Mój dawny pan drgnął. Powiało nocnym chłodem i ze słabych odbłasków rosy zmiarkowałem, że zacisnął mocniej napierśnik.

– Nie karmże się złudzeniami – rzekł w końcu – jako że w Melilli gorzej płacą za jeńców... Ale że jesteśmy tu sami, blisko brzegu i czterdzieści mil morskich od Oranu, Urdemalas woli uniknąć zdradliwych spotkań.

Uradowało mnie to, wszak Melilli jeszcze nie znałem, atoli kapitan Alatryste nie omieszkał zaraz mojego zapału ostudzić, mówiąc, że to raptem nieduża forteca na skalistym cyplu: ot, kilka murowanych domów u stóp olbrzymiego szczytu Guruguh, nieustannie strzeżonych przed otaczającymi je, jak i wszystkie hiszpańskie enklawy na afrykańskim brzegu, wrazymi Alarabami. Skrzętnym czytelnikom śpieszę wyjaśnić, że Alarabowie to nazwa, jaką nadawaliśmy wiejskim Maurom, najczęściej nieprzyjaźnie usposobionym i nieśpolegliwym, dla odróżnienia od tych, co miasta zamieszkiwali, a których z kolei zwaliśmy po prostu Maurami. Wszyscy ci zaś, ogólnie noszący miano Berberów, różnili się jeszcze od Turków z samej Turcji, którzy takż całym hałasem po tych wodach się włóczyli, w tę i nazad kursując na szlaku konstantynopolitańskim. A tam zasię mieszkał sam Wielki Pasza, któremu w rozmaitym stopniu, jak tam czasy i własna lojalność nakazywały, wszyscy oni hołd lenny składali. Dlatego to każdego, co przy naszych brzegach się kręcił, dla ułatwienia zwaliśmy Turkiem, czy był nim z urodzenia, czy zgoła nie. Mówiło się, że tego roku spadnie na nas Turek albo nie. Że fusta turecka płynie albo takż galeota, nieważne, czy z Sala pochodziła, z Tunisu czy z Anatolii. Nie omieszkać dodać do tego, że statki wszelkiego autoramentu namiętnie handlowały z ludnymi miastami korsarskimi, gdzie krom miejscowych Maurów właściwych dla każdego z nich przebywała takż niezliczona ilość jeńców chrześcijan – Cervantes, Jerónimo de Pasamonte<sup>22</sup> i inni we własnych osobach losu takowego doświadczyli, skąd i ja czerpię wiadomości – a takż moryskowie, Żydzi, sprzedawczyki, marynarze i kupcy z wszystkich portów i nacji się wywodzący. Zważcie przeto waszmościowie, jak

skomplikowanym uniwersum było owo zamknięte morze, co granice Hiszpanii na południu i wschodzie stanowiło, ów bezmiar wód wspólnych i niczych, obszar niepewny, zmienny a niebezpieczny, na którym mieszały się wszelkie rasy, na którym jednaliśmy się i walczyli ze sobą zależnie od tego, co szemrane kości pokazały, na skórę tarabanu wojskowego rzucone. Po sprawiedliwości dorzucić się godzi, że lubo Francja i Anglia, Niderlandy i Wenecja z Turkiem się układały, a nawet w sojusze z nim wchodziły przeciwko innym narodom chrześcijańskim – osobliwie przeciw Hiszpanii, gdy tylko sposobność się nadarzała, czyli niemal zawsze – my zawsze, mimo błędy i przeciwności, nieugięcie broniliśmy prawdziwej wiary, ni jedną sylabą jej nie złorzecząc. A że byliśmy zuchwali i potężni, nie szczędziliśmy żelaza, pieniądza ni krwi własnej, by trawić je w walce, która przez półtora stulecia trzymała w szachu sekty Lutra i Kalwina, jako i mahometan zapędzała z powrotem na ich brzegi.

*Jeno w gabinetach, gdzie Belg się burzy podstępny, potem tchnie Maura pierś wraza, gdzie tamten pięść, ten kindzał zaś obnaża, wzruszyć próbując mury nieprzystępne, w tych jeno zdolne są odewrzeć wrota klucze naszych mórz, śmigła nasza flota.*<sup>23</sup>

Tak to na swój sposób, wysoce wysublimowanym wierszem, sławił nasz czyn wojenny – niechże odpuści mi tu mość Francisco de Quevedo, że przywołuję jego wroga śmiertelnego z Kordoby – poeta Luis de Góngora w roku tysiąc sześćset dziesiątym w peanie kultystycznym na cześć zdobywców Larache<sup>24</sup>, po którym to triumfie cztery lata później zdobyliśmy także całą Mamorę<sup>25</sup>. Twierdze berberyjskie, któreśmy jak wszystkie inne wyrwali z rąk mauretańskich z dużym wysiłkiem, trzymaliśmy, ze stratami się nie licząc, aż na koniec jęliśmy je tracić

skutkiem własnej gnuśności, sromoty i złego omenu, co też niezwykłym podówczas nie było. Co poucza, że na lepsze by nam wyszło, gdybyśmy się imali tych samych zatrudnień, co inni, większe baczenie na pomyślność materialną mający niżli na reputację, gdybyśmy tedy na nowe horyzonty przez nas samych odkryte i poszerzone się otwarli, miast wikłać się w sprawki posępnych sukienek duchownych królewskich spowiedników, w przewagi krwi, w pogardę dla pracy, w wymachiwanie krzyżem i rapierem – gdy tymczasem psowały się nasza mądrość, ojczyzna i dusza. Wszelako nikt nie dozwolił nam wyboru dokonać. To jeno dobre, że ku osłupieniu Historii garstka Hiszpanów wysoką należność od innych pobrała, siekąc ich, dopóki kto z naszych na nogach się trzymał. Powiecie na to waszmościowie, że gorzka to pociecha, i pewnikiem będziecie mieć słuszność. My atoli mogliśmy jeno robotę swoją wykonywać, nie rozumiejąc się za bardzo na rządach, filozofiach ni teologiach. Do kroćset. Byliśmy żołnierzami.

\* \* \*

Na naszych oczach zgasł ostatni czerwony pobłysk na czarnym widnokręgu. Już inaczej nie dało się nieba od morza odróżnić, jak po tym, gdzie kończy się usiany gwiazdami firmament, pod którym sunęła wschodnim wiatrem pchana nasza galera, skroś ciemną, bezksiężycową noc, bez jednej latarni, wiedziona jeno zmysłem naszego pilota, co baczenie miał na tę gwiazdę, która północ wskazuje, chwilami zasię otwierał skrzynkę, by tam w nikłym świetle na igłę busoli spojrzeć. Z tyłu, wedle głównego masztu, rozległ się czyjś głos, kapitana Urdemalasa pytający, czy każe zapalić latarnię na rufie., na co ten odrzekł, że ktokolwiek światło

zażegnaniu, choćby i najmniejsze, temu on osobiście własnymi pięściami mózgowie na pokład wytrząśnie.

– Co się zaś tyczy żołnierzy majątnych – rzekł po chwili kapitan Alatryste, jak gdyby przeżuwał w myślach słowa moje – nigdy nie znał takiego, co by nim pozostawał przez czas dłuższy. Wszystko w końcu przeputają, grając, pijąc i chędożąc... Co sam wiesz wybornie.

Chwila wahania w głosie była znacząca. Na tyle krótka, by nie zabrzmieć jak wyrzut, na tyle zasię długa, by nim być w rzeczy samej. A i ja miarkowałem wyśmienicie, do czego pije. Od pięciu lat wspólnieśmy życie pędzili, siedem miesięcy już trwał rozdział, co się w Neapolu począł, by ciągnąć się na galerze i dalej – tedy druh ojca mego miał sposobność dostrzec pewne zmiany, jakie były we mnie zaszły. Wprzódy fizyczne – byłem już tak jak on wysoki, zgrabnej, lubo szczupłej kompleksji, nogi miałem grzeczne, ramiona silne i lico nieszpetne – ale tako i inne, istotniejsze a głębsze. Wiedziałem, że kapitan od czasu, jakem był dziecięciem, pragnął dla mnie losu z bronią niezwiązanego, dlatego też do dobrych lektur mnie zaganiał, do tłumaczenia z łaciny i greki, w czym łącno sekundowali mu serdeczni przyjaciele, mość Francisco de Quevedo i klecha Pérez. Pióro, powiadał, dalej sięga niżli rapier, a pomyślniejszą przyszłość od zabijaki do wynajęcia ma zawsze człek w księgach i prawie uczony, w dodatku pewnie w stolicy umocowany. Atoli naturalnej mej skłonności nie dało się okiełznać i lubo dzięki jego zabiegom do ksiąg nabrałem upodobania – aże i po tylu latach, co się stuleciami zdają, widzicie mię, jak skrobię te nasze dzieje – przecież po padłym na wojnie flamandzkiej ojcu rasę dziedziczyłem, a od kiedym trzynaście wiosen był ukończył, wzrastałem u boku kapitana Alatryste, dzieląc z nim trudy i przypadki niebezpiecznego żywota, a to nie mogło na los mój nie wpłynąć.

Chciałem żołnierzem zostać, na koniec stałem się nim i tej to profesji oddawałem się z namiętnością żwawego junaka.

– Chędożyć na pokładzie nie ma kogo, wino do picia podają podłe i w skąpych racjach – odrzekłem, nieco przytykiem rozeźlony. – Poniechajże waszmość tedy dręczenia... Co zaś do gry, com zarobił, karku nadstawiając, nie postawię na byle wesz.

Z tą wszą nie było to zgoła lada powiedzonko. Kapitan Urdemalas, znużony kłótniami, jakie wszczynali ludzie na pokładzie nad roztaską albo koszałką-opałką (jak nazywano powszechnie karty i kości do gry), pod karą zakucia w okowy onych hazardów zakazał. Ale mądrzejszy koń od tego, co go dosiada, przeto i żołnierze wraz z marynarzami nową rzecz wynaleźli: na szerokiej desce kredą koła rysowali, pośrodku kładli wesz, których obfitość żywcem nas zżerała (mówiliśmy na to „cizbę nosić”) i obstawiali, w którą stronę się bydlę skieruje.

– A gdy do Neapolu wrócimy – zakonkludowałem – Bóg zdarzy.

Spozierałem nań z ukosa, czekając, aż słowo stosowne rzuci, wszelako milczała ta ciemna postać wedle boku mego, jak i ja kołysana wraz z całym okrętem. Już od jakiegoś czasu było między nami tak, że lubo kapitan Alatryste roztaczał nade mną opiekę i nadzór, nie mógł mnie już odciąć od mniej pochlebnych stron życia żołnierskiego – nie licząc ryzyka zwyczajnego w tej profesji, boć przecie i w ciągu tych lat, co upłynęły od chwili, kiedy matka ma uboga ku niemu mnie była posłała, nieraz szafowałem swobodą i życiem swym, dzieląc z nim rozmaite awantury. Obecnie byłem już mężem żrałym i udałym – albo o mało co. I wstrzemięźliwe porady kapitańskie, jeśli już ich udzielał – jak wiecie, waszmościowie, prędszy był do fechtunku niżli pogawędki – rzadko odbijały się echem w mych młodzieńczych uszach, wszystko snadź zdawało mi się stosowne i podane na tacy. Tedy i on, jako człek w bojach



zaprawiony, dyskretny, bystry i srodze mię miłujący, miał kazania mi prawić, starał się być w pobliżu na wypadek, gdybym był w potrzebie. Władzę swą nade mną zasię okazywał – a jak Bóg na niebie, umiał to czynić, gdy chwila nadeszła – jeno w terminach najsroźszych.

Względem dziewczeczek, napitków i gier – przyznaję, że miał powody, żeby srożyć się na mnie. Żołd mój w wysokości czterech eskudów miesięcznie wraz z pieniędzmi uzyskanymi z poprzednich łupów – dwa tureckie karamuzale przechwycone wedle półwyspu Maina<sup>26</sup>, przyjemny wypad u wybrzeży Tunisu, statek wzięty u przylądka Passaro i galera przy ławicy Santa Maura – przeputałem do ostatniego karlina, po żołdacku, jak wszyscy moi towarzysze. I takż jak za młodu sam kapitan, co przyznawał gburowato. Ja atoli, złotodziobem nowością zauroczonym będąc, rzuciłem się w owe interesa nader łapczywie. Dla młodego junaka z Hiszpanii Neapol – gdzie cały świat się ze sobą mieszał – niczym raj się jawił: oto zacne oberże, jeszcze zacniejsze tawerny, wytworne damy i co tam jeszcze, wszystko to razem łącno mogło wojakowi sakiewkę do cna uszczuplić. Na domiar jeszcze, co mi jeno skrzydeł dodało, chciał trafić, że w Neapolu znalazł się Jaime Correas, mój dawny kompan z giermkowskich czasów we Flandrii, co w Italii służył był już na tyle długo, by żadna pokusa miejscowa obcą mu nie była. O nim dalej słów więcej opowiem, tu wyłożę jeno, że lubo kapitan Alatryste srogo brew marszczył, eskortowałem Jaimego w jego zimowych wędrówkach, kiedy to galery roztaklowane i rozbrojone czekały wiosny, i pospołuśmy zdobywali szulernie i tawerny, a i od jednego czy drugiego lupanaru nie stroniąc, ja wszelako raczej chybcikiem i przelotnie. Nie jest prawdą, jakoby pan mój dawny należał do tych dusz, co bez spowiedzi umierają, by zaraz potem gapić się prosto w Chrystusową brodę jakby nigdy nic, wręcz przeciwnie. Ale trzeba wam wiedzieć, że hazard, owa rzeźnia mieszków i żołnierzy, zgoła go nie nęcił. Co się zaś tyczy owej

drugiej sprawy, jeśli nawet odwiedził jakąś kapłankę sztuk występnych – lubo nigdy gamratek nie szukał, snadź potrafił sobie lepsze pastwiska wynaleźć – nie czynił tego często i zawsze w zaufane progi. Natomiast względem nektaru Bachusa, tu i owszem, kapitan gościem bywał częstym i iście piekielne pragnienie demonstrował. I lubo muchy mu się raz po raz we łbie roiły, osobliwie gdy złość albo melancholia górę w nim wzięły – podówczas nader był groźny, bo wino nie tępiło mu ni serca, ni ręki – zawsze atoli czynił to na osobności, bez świadków. Myślę, że zacinał Bachusa nie dla przyjemności czy z nałogu, ale żeby ze szczętem wygubić lub chociaż powściągnąć swe własne rozszalałe demony, o jakich jeno on i Bóg prawdę poznali.

\*

O pierwszym brzasku rzuciliśmy kotwicę pod murami Melilli, twierdzy hiszpańskiej, którą zdobyliśmy na Maurach sto trzydzieści lat wcześniej. Gwoli zasię uniknięcia mauretańskich spojrzeń uczyniliśmy to nie w samej lagunie, ale nieco dalej, w wąskiej Zatoczce Żółwiej, cumując do lądu, chroniąc się od wiatru i widoku pod wysokimi murami i wieżycami cytadeli. Imponujący wygląd miasteczka złudą jeno był, jak łącno zmiarkować mogłem, kiedym w czasie, jak kapitan galery targował cenę za jeńców, na przechadzkę po ciasnych uliczkach ruszył, zgoła drzew pozbawionych, widząc raptem obraz kompletnego zaniedbania. Osiem wieków zaciętej walki o ziemię z islamem dogorywało właśnie na owym nędznym pograniczu. Z całego złota i srebra z Indii nie docierał tu złamany marawedi. Wszystko trafiało w łapy bankierów genueńskich, o ile pierwej nie przechwycili skarbu Niderlandczycy lub Angliczanie – ześlij im, Boże, złośliwą francę – którzy po nawietrznej buszowali. Flandria i Indie były

ukochanymi córeczkami w królewskich oczach, a nasza dawna zdobycz afrykańska, niegdyś tak ważna dla Monarchów Katolickich<sup>27</sup> i wielkiego cesarza Karola, znalazła się w pogardzie u Filipa Czwartego i jego faworyta, hrabiego–diuka Olivares, przez co już krążyły ręcznie odpisywane, anonimowe wierszyki prześmiewcze, jako na przykład poniższy:

*Melilla przepadnie – cóż to za strata?*

*Cóż, że takież Ceutę los spotka smutny, że Koran bisurman wniesie okrutny do Oranu, co się z Chrystusem bratał?*

*Na co lament, gdy na Kadyksu plaży podstępni wylądują muzułmanie z kindżałami i w jedwabnych kaftanach, i że zmartwychwstanie Musa odważny?*

*Gdy Witizy ni Rodryga nie stanie, cóż, że miast nich mieć będziemy Juliana?*<sup>28</sup>

Rzecz w tym, że – do rymu lub też nie – nasze twierdze północnoafrykańskie cudem jeno trwały, bardziej dzięki własnej reputacji niżli czemukolwiek innemu, albowiem lubo miały za zadanie nie dopuścić kaperstwa do kilku ważnych portów i baz, korsarze wszak spokojnie gnieździli się w Algierze, Tunisie, Sala, Trypolisie czy w Bizercie. Zamknięci w ciasnych siedzibach, których kazamaty i bastiony z braku finansów niszczały, żołnierze nasi – w tym niejeden stary inwalida, co go nijak zwolnić się nie kwapiono – żyli pospołu z rodzinami, klepiąc biedę i głodem przymierając, bez jednej piędzi ziemi żyznej, a wystarczało im (i to nie zawsze) jeno na to, by walczyć, bić się i opór stawiać, choć zewsząd pełno było nieprzyjaciół, a jakiegokolwiek posiłki z Półwyspu odległe były co najmniej o dzień żeglugi. Na domiar złego i na owe posiłki nie można było

liczyć, bo na przeszkodzie mogły stanąć zarówno stan morza, jak i gotowości w samej Hiszpanii. Tedy Melilla i pozostałe nasze posiadłości w północnej Afryce – jako to Tanger i Ceuta, które należały do Portugalii, zatem i do nas – przeżyć mogły jeno dzięki odwadze swoich garnizonów i umiejętnej dyplomacji z okolicznymi Maurami, którzy dostarczali, chętnie bądź pod przymusem, koniecznych prowiantów. Wiele z tego, jakom już napomknął, poznałem, przechadzając się po miasteczku i wśród jego cystern, od których życie tu wszak zawisło. Rzuciłem okiem na szpital, na kościół, na tunel świętej Anny i na skrzyżowanie wewnątrz murów, gdzie Maurowie z pobliskich gospodarstw przybywali mięsem handlować, rybami i zieleniną. Miejsce owo wielce gwarne było za dnia, atoli wszystkie Arabusy opuszczały miasto przed zawarciem bram na noc, jeno kilku zaufanych mogło ostać po zmroku i spać pod czujnym okiem straży królewskiej w zawartych dobrze domkach dzielnicy mauretańskiej. Tegom już nie ujrzał, iż tej samej nocy, w obawie, że zamieszkujący wybrzeże wraży Arabowie się zwiedzą, „Mulata” podniosła cichaczem kotwicę i siłą wiosł jeno odbiła. Za czym, korzystając z pomyślnego terrala<sup>29</sup>, ruszyliśmy na wschód, skutkiem czego kiedy słońce wstało, my byliśmy już na wysokości wysp Chafarinas, niemal w pół drogi do Oranu. Tam też, nazajutrz przed nocą, wzięliśmy kurs na port i zarzuciliśmy kotwicę, nijakimi nowinami czy niefortunnymi przeszkodami nie niepokojeni.

\* \* \*

Oran to zupełnie inna historia, lubo także od rajskiej odległa. Miasto dzieliło z pozostałymi twierdzami hiszpańskimi w Afryce podły los, marne zaopatrzenie i nie lepszą łączność ze światem, siłę obronną postradawszy w dużej mierze skutkiem decyzji podejmowanych naprędce i niedbale.

Wszelako w tym przypadku nie mamy do czynienia z wyschłą, ufortyfikowaną skałą jak w Melilli, jeno z prawdziwym miastem, gdzie rzeka płynie, wody jest w bród, ogrody w pobliżu obfite, nie mówiąc o garnizonie, który lubo szczupły – w owej epoce stacjonowało tam jakie tysiąc trzystu żołnierza z rodzinami krom jeszcze pięciuset urzędników wszelakiej maści – przecie sił miał dosyć, żeby obronę przedsięwziąć, a gdy potrzeba nastąpiła, to i zaatakować bez pardonu. Musicie wiedzieć waszmościowie tedy, że o ile hiszpańskie przyczółki były prawie pozostawione samym sobie, o tyle Oran do najgorszych nie należał, lubo wiele można by tu naprawić. Na poparcie słów moich niechaj posłuży konwój z zaopatrzeniem, zakotwiczony wedle przyłodka Falcon, w zatoczce port miejskiej stanowiącej, leżącej między wyborną fortecą Mers el-Kebir a cyplem Mona, u stóp zamku świętego Grzegorza. Tam też i nasza galera spuściła do wody swe żelastwo obok statków, których eskortę byliśmy porzucili, by za psubratem korsarzem się uganiać. Zakotwiczyliśmy blisko lądu, tuż wedle wieży, i na felukach dotarliśmy do brzegu afrykańskiego, skąd pieszo ruszyliśmy w stronę miasta, co się pół mili dalej wzdłuż plaży wznosiło, na wybrzeżu wysokim i podciętym, co złe warunki do przybijania czyniło (dlatego i Mers el-Kebir za przystań służył), rozłożone po obu stronach rzeki. I piękny widok sobą przedstawiało, a to za sprawą ogrodów, zagajników, młynów wzdłuż tej ostatniej – a przepływała ona między miastem samym a fortecą Rosalcázar<sup>30</sup>.

Dotarliśmy, jakom rzekł, kontenci, że na powrót po stałym lądzie stąpamy, a mieszki mamy pełne. A lubo Oran nawet nie spał koło Neapolu, było czym się radować. Nie brakło tawern przez byłych żołnierzy prowadzonych, dzięki rozejmowi z Maurami rynek pełen był towarów, a zboże, tkaniny i proch, cośmy z Półwyspu przywieźli, ucieszyły tu

wszystkich. Jakby tego było mało, w mieście działały także jeden czy dwa przyjemne zamtuzy, co do których wszak nawet biskupi i teologowie naszego Kościoła Najświętszego po długich deliberacjach uznali, zawsze skłonni ustąpić wobec nieuniknionego, że w garnizonie takim jak ten kilka zwawych dziewczek sprzedajnych nie dosyć, że ulży ciągotom wojaczym, to jeszcze uchroni cześć panien i mężatek, zapobiegnie gwałtom i ograniczy wypadki w kraj arabski w poszukiwaniu niewiast. O tym sobie rozprawialiśmy z żołnierską i marynarską bracią zaraz po zejściu na brzeg: o tym, że pierwszym przekazem celnym przy wejściu do Oranu, swoistym portowym podatkiem królewskim, winna być wizyta w tutejszym burdelu. Ledwieśmy atoli przekroczyli bramę Canastel – bliższą z dwóch, jakie do Oranu prowadzą – kapitan Alatryste i ja mieliśmy spotkanie tyleż niespodziane, co wspaniałe i niewiarygodne, które dowodzi, jakie siurpryzy mogą nam wyjść naprzeciw, gdy wędrujemy kolejnymi zakolami życia.

– Niechże na haku szczezną, jeśli nie śnię – ozwał się znajomy głos.

Przed nami owo, niski, chudy i twardy jak zawsze, z rękami pod boki i rapierem u pasa, na chwilę ostawiwszy pogawędkę z kilkoma żołnierzami, wyrósł dowódca straży przy tejże bramie w osobie samego Sebastiána Coponsa.

\* \* \*

– I tak to się sprawy mają – zakończył, osuszając szklanicę. Piliśmy we trzech, siedząc za stołem w ciasnej i brudnej tawernie, pod pocerowaną płachtą, co od słońca chroniła. Wierny sobie Copons niewiele słów zużył dla opisanego ostatnich dwóch lat, tyle bowiem upłynęło było od czasu, gdyśmy się pożegnali w andaluzyjskim szynku po niesławnej rzezi na pokładzie „Niklaasbergen” i przygodzie ze złotem królewskim, kiedy to z

pomocą kilku towarzyszy urządziliśmy niezłe polowanie na Flamandów i najemnych łotrów na ławicy Sanlúcar. Od tamtej pory, jak nam powiedział Aragończyk, jego plany, żeby służbę w armii porzucić i osiąść w rodzinnym zakątku, czyli w okolicach Hueski, na kawałku własnej ziemi, w domu z żoną, rozpierchły się wyrokiem nieprzychylniej fortuny. Jedna fatalna potyczka w Sewilli, potem śmierć zadana w Saragossie – tej ostatniej towarzyszył istny korowód strażników, jurystów, sędziów, skrybów i innych pasożytów, co wśród paragrafów żyją niczym pluskwy w szwach ubrania – spustoszyły mu sakiewkę i skierowały na powrót, ubogiego i głodnego, w objęcia wojska gwoli zarobienia na życie. Próby przedostania się do Indii spaliły na panewce – już nie trzeba tam było żołnierzy, jeno urzędników, księży i rzemieślników – a gdy gotował się zamustrować na kolejną kampanię we Flandrii albo Włoszech, jakaś dawna zwada karczemna, gdzie dwóch pacholków był mocno pokieraszował, a jednego strażnika przez gębę ciął ślicznie, znowu przed oblicze sprawiedliwości go zawiodła. Tym razem nie stało mu już środków, by zasłonić oczy półślepej bogini, przeto sędzia, także pochodzący z Hueski i przez to uważanie na krajana mający, zaoferował mu do wyboru: albo cztery lata w ciemnicy, albo rok jeden na służbie w Oranie za pięćdziesiąt reali miesięcznie. I oto siedział tu dalej, grubo po terminie, który minął mu pięć miesięcy wcześniej.

– A dlaczego waszmość nie odjedziesz? – zagadnąłem z całą naiwnością.

Zamienił spojrzenie Copons z kapitanem Alatryste, jakby mówił: „pocziwy chłopak, ale ciągle nieopierzony”, za czym polał więcej wina do naszych szklanic – podłej bzdęgi, kwaśnej i wytrawnej, Bóg wie skąd przywiezionej, ale przecież uchodziło za wino, byliśmy w Afryce, a skwar doskwierał jak tysiąc diabłów. A przede wszystkim piliśmy we trójkę, tyle

już razem przeszedłszy – młyn Ruijter, Brede, Terheijden, Sewillę, Sanlúcar...

– Ponieważ oficer sztabowy nie chce mnie zwolnić.

– A to czemu?'

– Pan markiz de Velada<sup>31</sup>, gubernator twierdzy, odmawia z kolei jemu. Tak przynajmniej mi oznajmił.

Zaraz też między jednym haustem a drugim nakreślił mi rzetelny wizerunek Oranu: oto ludzie nędznie zaopatrywani i jeszcze gorzej opłacani, gnijący wśród murów, bez nadziei nijakiej na awanse, jedyną chwałę mogą upatrywać w powolnym dogorywaniu w tym miejscu, w samotności albo z rodzinami (jeśli kto takową posiadał), aż ich kto za niezdolnych do dalszej służby uzna. I na nic zdawały się petycje, memoriały czy inny diabeł. Dopiero weteran z czterdziestoma laty służby na karku mógł się o powrót na Półwysep targować, albowiem wakanse próżno czekały na zajęcie za przyczyną, iż wojak do Berberii skierowany jeszcze przed zaokrętowaniem dezertował. Jedna po mieście przechadzka wystarczała, żeby ujrzeć wielu ludzi źle odzianych i bez zapomogi. Po każdej sposobności, by lada grosz dorobić, następowały tygodnie całe głodu i niedostatku, jako że zapłata nie dochodziła ani w całości, ani połowicznie, ani nawet w trzeciej części, chociaż orański żołd należał do najniższych w całym hiszpańskim wojsku – jak bowiem zdecydował był w Stolicy jakiś sekretarz królewskich finansów (a król nasz i pan snadź przychyłał się do tej opinii), skoro miasto ma blisko do wody, ogrodów i Maurów, utrzymanie oddziałów tanio wyjść winno. Zapomogę tedy uzyskiwali żołnierze jeno w nadzwyczajnych okolicznościach, a sam Copons, lubo siedmnaście miesięcy przesłużył w twierdzy, ani jednego marawedi nie zobaczył z owych ponad stu eskudów, które mu jako wybornemu arkebuzerowi i



muszkietierowi przysługiwały. Toteż jedyną formą jako takiego wyjścia na swoje były urządzone co czas jakiś grabieżcze kawalkady.

– Kawalkady? – spytałem.

Capons okiem mrugnął i zatopił we mnie wzrok. Tym razem to kapitan Alatryste odpowiedział na moje zdziwienie.

– Zajazdy, jak za czasów naszych dziadów. Tak się tu na nie mówi po dawnemu... Mowa o wyprawach poza miasto, by napadać na osady wojowniczych Maurów.

– Oran wszak – uzupełnił Copons – to stara rajfurka, co z tego właśnie żyje.

Patrzyłem nań skonfundowany.

– Nie pojmuję

– Rychło pojmiesz, na psa urok. Rychło.

I więcej wina polał. Widziałem, że jak zawsze jest chudy, opanowany i silny, atoli starszy i bardziej znużony na obliczu. I, rzecz osobliwa, bardziej gadatliwy. Zdało mi się, że jego mrukliwy charakter – jak kapitan Alatryste, do żelaza prędszy był niżli do gadki – ukisił w nim podczas orańskiej służby zbyt wiele rzeczy, które teraz, pod wpływem ciepła naszej przyjaźni i niespodzianego spotkania, jęły zeń wypływać, szczere pofolgowanie mu dając. A ja, w słuch zamieniony, patrzyłem nań, do głębi poruszony. Rozpiął sobie na piersi giemzowy kaftan z racji skwaru – nie miał na sobie pod spodem nijakiej koszuli, snadź i na bieliznę mu nie dostawało – a stara blizna spod młyna Ruijter lśniła na dwa cale gruba ponad jego lewym uchem, na skroni, gdzie zdążyło mu też przybyć nieco krótko strzyżonej siwizny. Znać było także pojedyncze srebrne nitki na niechlujnie ogolonym podbródku.

– Objaśnijże, kim są wojowniczy Maurowie – podsunął mu kapitan.

Co ten zaraz uczynił. Okoliczni Arabowie dzielili się na trzy rodzaje, co już wykladam: na Maurów spokojnych, Maurów wojowniczych i Almogatazów. Maurowie spokojni to byli ci, którzy zawarli z Hiszpanami rozejm, kupczyli prowiantem i wszystkim, co tylko mieli. Płacili daninę – zwaną przez nich „udojem” – co przyjaciół z nich czyniło tak długo, aż niechali płacenia. Podówczas Maurami wojowniczymi się stawali.

– Brzmi to groźnie – zauważyłem.

– W rzeczy samej. To oni, jeśli nas zgładzą, ucinają nam głowy i członki nieprzystojne... Albo my im ucinamy.

– A jak odróżnić jednych Maurów od drugich?

Kapitan pokręcił głową.

– Nie zawsze się dadzą odróżnić.

– Czasami na naszą zgubę – dodał Copons. – A czasami na ich.

Zasepiłem się nad zawiłą zagadką, jaka ze słów tych wynikała, za czym zapytałem jeszcze o Almogatazów. Ci – odparł mi kapitan – to Maurowie, którzy wiary nie zmieniwszy, walczą po naszej stronie pospołu z żołnierzami hiszpańskimi.

– Ufać im można?

Copons skrzywił się.

– Niektórym.

– Nie wierzę, bym kiedykolwiek Maurowi mógł zaufać.

Spojrzeli na mnie szelmowsko. Musiałem im się wielce nieopierzonym jawić.

– I tu byś się zadziwił. Są Maurowie i Maurowie.

Zamówiliśmy jeszcze wina, które wnet przyniosła nam karczmarzka o szkaradnych bosych stopach i licu jeszcze szpetniejszym, czarna niby jaka ryba. Spozierałem w zadumie na trunek, który Copons wlewał mi do szklanicy.

– A jak poznać, czy któremuś ufać można?

– Tego człek z wiekiem się uczy, młodziaku – Aragończyk dotknął palcem nosa. – Trzeba wyniuchać... I zważ sobie: wielum widział chrześcijan sokiem z winogron przytłoczonych, a Maura nigdy. Nie grają też, lubo talia tyleż kart liczy, ile lat miał Mahomet.

– Ale słowa nie dotrzymują – zaoponowałem.

– Zależy który i wobec kogo. Kiedy w drzazgi rozleciało się wojsko hrabiego Alcaudete<sup>32</sup>, jego Almogatazowie stali przy nim wiernie i bili się do upadłego... Toteż powiadam, są Maurowie i Maurowie.

Przy kolejnym dzbanie wina – bardziej ochrzczonego niżli ten jej mać szpeciąg, co je podał – Copons jął nam dalej prawić o orańskich obyczajach. Kłopot z wakansami był ciężki, jak oznajmił, jako że żaden oddział do afrykańskich fortów przybywać nie chciał, chyba że siłą sprowadzony, snadź wojak, co raz tu się znalazł, ryzykował, że nigdy miejsca owego nie opuści. Dlatego też fortece nigdy nie były kompletnie obsadzone – owego roku nie dostawało czterystu żołnierza, by garnizon uzupełnić – a jeśli kto przyplęwał, to same półwyspiarskie szumowiny, podłego charakteru i do służby niechętnie, ludzie krnąbrni, galernicy albo rekruci za dobrą monetę zwerbowani, jak kontyngent poprzedniego roku przybyły: czterdziestu dwóch żołnierzy, co się byli do Włoch mustrowali (tak przynajmniej gadali), a gdy już wsiedli na okręt w Cartagenie, trafili do Oranu prawem kaduka, a że się trzech zbuntowało, to ich powieszono, resztę zaś wcielono do miejscowego wojska, gdzie utknęli już na dobre bez cienia nadziei. W końcu nieprzypadkowo, gdy kto chce trudność jakiego zabiegu podkreślić, to miast mówić „spróbuj pikę we Flandrii postawić”, gadają także „ściągnij sto lanc do Oranu”.

– I tak tu się pożywa. Bez nadziei, bez przyodziewku i bez strawy – Copons ściszył głos nieco. – Nie dziwota przeto, że kto może, a jeszcze jak

giętki na charakterze albo do ostateczności doprowadzony jest, na stronę Maurów przechodzi. Pamiętasz, Diego, Biskajczyka Ynduraina?... Tego, który społem z Utrera, Barreną i innymi starego przysiółka pod Fleurus bronił, co jeno on i trębacz ocaleli?

Kapitan nie zapomniał. – Co z Yndurainem? – spytał zaraz. Copons w głąb swego kielicha zajrzał, odwrócił oblicze gwoli splunięcia pod stół, za czym na powrót wzrok w winie zatopił.

– Pięć lat tu zmitrężył, z czego za trzy ostatnie ani miedziaka nie dostał. Będzie ze dwa miesiące, jak się z jednym sierżantem powadził, cios mu zadał i czmychnął nocą, przez mur skacząc, współ z jeszcze jednym, co na warcie stał... Gadają, że po trudach wielu do Mostaganem dotarli, gdzie wiary się zaparli. Ale kto tam wie, jak było.

Obaj druhowie spojrzeli na siebie, jakby słów więcej nie trzeba było, ale zaraz ujrzałem, jak dawny pan mój macza wąsy w winie i ramionami wzrusza. Jak gdyby nie chciał dłużej dbać o siebie, o swego dawnego towarzysza, o całą resztę, o wszystkich i o nieszczęsną Hiszpanię. W owej chwili wspomniałem, com był usłyszał w którymś podwórku teatralnym, kilka lat wcześniej w Madrycie, i jakem podówczas czuł się do cna oburzony:

*Jestem wojakiem,  
który w jeńce oddać chce się, bowiem dłużej już nie zniesie bić się bez  
płacy nijakiej.*<sup>33</sup>

– Dasz wiarę? – ozwał się raptem kapitan do Coponsa. – Yndurain zmawiający salat z gębą ku Mekce zwróconą?

Przewrotny uśmieszek zabłąkał mu się na usta. Copons odpowiedział takimże uśmiechem, lubo krótszym. Nie było w nich wesołości, jeno

nieufność wiarusów, co nijakich złudzeń nie żywią.

– A tak jest jakoś – rzekł Aragończyk – że niech no tarabany zawarczą, rapierów nie zbraknie.

\* \* \*

Trafił w sedno, co czas prędko pokazał. Na przekór zaniedbaniu, zniszczeniom i nędzy północnoafrykańskie twierdze nigdy nie cierpiały niedostatku rąk, gdy potrzeba wojenna nastąpiła. Nikt podówczas o żołd nie pytał, o posiłki i tytuły do chwały, świeciła im jeno desperacja, duma i powszechna fama. I wola, by się w jasyr nie dać wziąć, ale na stojąco żywota dokonać – a wiem, co tu prawię, waszmościowie sami dalej rzecz zmiarkujecie. Bo przecież w godzinie śmierci dla pewnego typu ludzi drogo sprzedawana skóra stanowiła jakąś pociechę. Śród Hiszpanów tak się działo w długiej historii i miało się dziać jeszcze przez lata, aż do chwili, kiedy znakomita większość owych zapomnianych przez Boga i króla miejsc z wolna popadła w tureckie i mauretańskie łapska. Tak jak to się stało z Algierem w minionym stuleciu, kiedy to Haireddin Rudobrody zaatakował skalistą wysepkę Peñón<sup>34</sup> ze stu pięćdziesięcioma naszymi, co dostęp do portu zagradzali, a Hiszpania na pastwę losu ostawiła tych, co posiłków daremnie wyglądając – z racji rozlicznych a ważnych zamiarów, jakie cesarz naonczas podejmował<sup>35</sup>, wedle słów brata Prudencia de Sandoval<sup>36</sup> opór mężnie stawiali, aż nareszcie po siedemnastu dniach walk przeciw artylerii, co ich redutę w drobny mak rozniosła, Turkom udało się w niewolę jeno pięćdziesięciu rannych i zmordowanych wziąć, w ich liczbie kapitana Martina de Vargas, którego Rudobrody, rozeźlony wściekłą obroną, kijami na śmierć wybić kazał. Z kolei twierdza Larache niewiele lat po wypadkach, które tu relacjonuję, miała stanąć wobec napaści dwudziestu

tysięcy wrogów, których pokonało ledwie stu pięćdziesięciu żołnierzy hiszpańskich i pięćdziesięciu inwalidów, co jak czarty się bili – osobliwie zaciekły bój towarzyszył utracie i odzyskaniu Wieży Żydowskiej – ażeby obronić sześć tysięcy kroków muru, ni mniej, ni więcej. Takoz i Oran mężnie stawał przeciw licznym oblężeniom, między innymi temu, które natchnienie dało poczciwemu Miguelowi de Cervantes do napisania komedii *Dzielny Hiszpan*. Cervantesowi, rzecz jasna – nie darmo mawiano o nim „weteran spod Lepanto” – dwa wyborne sonety zawdzięczamy, napisane ku pamięci tysięcy Hiszpanów, co w dziejach po tylekroć ginęli opuszczeni i zapomniani przez swego króla, co było i wciąż jest arcyhiszpańskim obyczajem. Wiersze owe, w *Don Kichocie* przytoczone, wspominają obrońców fortu Goleta, co naprzeciw Tunisu leży, w pień wyciętych po tym, jak wytrzymali dwadzieścia dwa ataki tureckie i dwadzieścia pięć tysięcy wroga wybili – dzięki temu do niewoli trafili jeno nieliczni, a i to wszyscy ranni. Pierwej nim męstwo, już życie splonęło – mówi pierwszy z nich. A drugi tak się zaczyna:

*Spośród ziemi jałowej porytej przez działa, spośród gruzów fortecznej rozwalonej wieży święte dusze trzech dzielnych tysięcy żołnierzy dla lepszego przybytku opuściły ciała.*

*Na początku ta garstka próżno wyteżala siłę ramion swych mężnych w obronie wybrzeży, lecz niewielu ich było, duch trudom nie zdzierzył i saraceńska szabla życie im zabrała.<sup>37</sup>*

I jak wspomniałem, tyle ofiarności na próżno poszło. Po Lepanto, szczytowym momencie starcia dwóch wielkich potęg śródziemnomorskich, Turek jął się zajmować bliższymi terenami, w Persji i na wschodzie Europy, a nasi królowie ku Flandrii się zwrócili i ku zaatlantyckim obszarom. Filip

Czwarty także niewielką wagę tu przykładają, odwołany przez swego ministra, hrabiego–diuka de Olivares, co nieprzyjaźnie spoglądał na kwestię portów i galer – nigdy na pokład żadnej nie wstąpił, bo, jak mawiał, fetory o ból czerepu go przyprawiają – a marynarzami wprost gardził, iż podróżowanie morzem uważał za przedsięwzięcie błahe i podłe, Niderlandczykom przystojące – chyba że w grę wchodził transport złota z Indii, dla prowadzenia wojen potrzebnego. Koniec końców, król miał swe fochy, faworyt swe chimery, a Morze Śródziemne, gdy przeszły już czasy wielkich flot korsarskich i szachowych rozgrywek, przez imperia na tych wodach prowadzonych, stało się niewyraźną granicą, strzeżoną przez drobne flotylle kaperskie, do krajów przybrzeżnych należące – i lubo wydarzenia obecne wiele losów i fortun osobliwych na nice wywróciły, przecież biegu Historii już nie odmieniały. Co więcej, ponad sto lat wcześniej zakończyła się rekonkwista chrześcijańska, w której osiem wieków trującym ogniu wykuł się nasz hiszpański naród, zapomniana została polityka kontruderzeń przeciw islamowi, prowadzona niegdyś przez kardynała Cisnerosa<sup>38</sup> i dawnego diuka de Medina Sidonia<sup>39</sup>, przeto i Afryka nie przedstawiała sobą łakomego kąska dla Hiszpanii, co się z połową świata wadziła. Fortece i placówki w Berberii raczej symbolami były i wysuniętymi punktami obserwacyjnymi, a utrzymywano je gwoli należnego respektu u korsarzy, jakem już mówił, a także u Francuzów, Niderlandczyków i Anglików, którzy wedle Kadyksu czyhali na nasze galeony, nie z tej ziemi sposobów się imając, by zasadzić tam swych piratów i pięty nam podgryzać (co także na Karaibach czynili). Dlatego to nie ustępowaliśmy im pola, już i tak pełnego kaperskich republik, ustanowionych przez mrowie ich konsulów i kupców. I lubo powrócę jeszcze do tego tematu, nadmienię teraz, że po latach przez dwie dekady Tanger służył królowi angielskiemu, a to dzięki temu, że Portugalia łeb

podniosła i się od nas oderwała; oraz że w czas oblężenia Mamory w tysiąc sześćset dwudziestym ósmym, czyli następnym po tym, o którym tu piszę, kiedy to Maurowie próbowali odebrać nam owe twierdze, okopy kopał im i robotami inżynieryjnymi zawiadywał nie kto inny, jak saperzy angielscy. Skurwieli też, jak wiadomo, Bóg wysiewa, a ci jak króliki się mnożą.

\* \* \*

Wyszliśmy na przechadzkę. Copons poprowadził nas skroś uliczki wąskie i wapnem bielone, wzdłuż których tłoczyły się ciasno domy, co gdyby nie tarasy miast dachów, przypominałyby wielce zabudowania w Toledo – dobrze kamiennymi węglami zabezpieczone, z nielicznymi, nisko wybitymi oknami, do których dostępu strzegły maty i żaluzy. Z racji wilgoci, co od pobliskiego morza ciągnęła, tynki i wyprawy odpadały całymi płatami, za sprawą czego widok szpeciły gołe odpryski. Dołóżcie do tego waszmościowie roje much, pranie do wyschnięcia powywieszane, obszarpane pacholęta, co się na podwórzach bawiły, kaleki na ławeczkach i schodkach siedzące i spozierające na nas z zaciekawieniem – a otrzymacie wierny obrazek tego, jak Oran się mym oczom objawił. W każdym zakamarku wojskowego ducha czuć było, snadź tym właśnie było owo miasto: wielkim garnizonem, zamieszkanym przez żołnierzy i ich rodziny. Mogłem atoli zmiarkować, że rozciągał się on na znacznym obszarze, poprzecinany był schodkami na różne poziomy wiodącymi, tudzież że nie brakowało cywilnych pracowników, piekarni, rzeźni ani gospód. Sama kasba<sup>40</sup>, gdzie gubernator urzędował oraz dowództwo wojskowe, jeszcze z czasów mauretańskich pochodziła – a byli i tacy, co prawili, że aż z rzymskich – miała cudny dziedziniec główny, a mury majestatyczne, krzepkie i proporcje zachowujące. W mieście znajdowało się także



więzienie, szpital dla żołnierzy, dzielnica żydowska – ku memu zdumieniu nadal pomieszkiwali tu Żydzi – dalej klasztory franciszkanów, mercedarianów<sup>41</sup> i dominikanów, a we wschodniej części medyny<sup>42</sup> kilka dawnych meczetów, w kościoły przemienionych, wśród nich także meczet główny, w czasach podboju przez kardynała Cisnerosa konsekrowany na katedrę Najświętszej Marii Panny Zwycięskiej. Wszędzie zasię, na ulicach i ciasnych placykach, popod płachtami jako namioty prowizoryczne rozpiętymi i w podcieniach portali, widać było ludzi bez ruchu, niewiasty za zasłonami i żaluzjami i mężczyzn zamkniętych w sobie – wielu z nich zasię byli to weterani i starcy, łachmanami okryci, z bliznami i kikutami na wierzchu, a z kulami o ściany opartymi. Na myśl przyszedł mi ów Yndurain, którego nigdy nie był poznał, a który przez mur nocą przeskoczył po zaszlachtowaniu sierżanta, gotów wiary się zaprzeć raczej, niżli dalej tkwić tutaj – i dreszcz mnie przeszedł nieodparty.

– I jak ci się Oran widzi? – zagadnął mnie Copons.

– Senny – odrzekłem. – Ci ludzie w dal zapatrzeni...

Aragończyk przytaknął. Dłonią jął oblicze z potu wycierać.

– Jeno gdy Maurowie atak nagły przypuszczą albo kiedy kawalkadę czynimy, to ludzie życia nabierają – powiedział. – Handzar u gardzieli albo zastrzyk do sakiewki cuda dziać potrafią... – Tu ku kapitanowi nieco się zwrócił. – Rzecz osobliwa, w sam czas przybywacie. Coś już się pichci.

Kapitan zerknął nań z iszkierką zainteresowania w jasnych oczach, w których pod szerokim rondem kapelusza odbijało się oślepiające światło dnia. Dotarliśmy do sklepionej bramy Tilimsańskiej, po drugiej stronie miasta wobec nabrzeża, gdzie akurat jacyś niemrawi murarze – jakem zmiarkował, mauretańscy jeńcy i skazańcy chrześcijańscy – mur chylący się ku upadkowi próbowali naprawić i podtrzymać. Copons przywitał się z siedzącymi nieopodal w cieniu strażnikami więziennymi, za czym

wyszliśmy poza obręb miasta, na teren leżący pomiędzy Oranem a tubylczą wsią Ifre, odległą od naszych murów o dwa strzały z arkebuza i przez Maurów spokojnych zamieszkałą. Cała okolica w mizernej znajdowała się kondycji, chaszcze wszędy porastały wśród kamieni, których siła leżała tu na ziemi. Budka strażnicza ledwie stała, dachu pozbawiona, a deski mostu zwodzonego nad wąską fosą, niemal do szczętu zakrytą gruzem i brudem, tak były przegniłe, że aż pod stopami naszymi trzeszczały.

Cud – pomyślałem – że udawało się tu jeszcze natarcia odpierać.

– Kawalkada? – zapytał kapitan Alatryste.

Copons uśmiechnął się porozumiewawczo.

– Może.

– Gdzie?

– Nie gadali. Obstawiam jednakowoż, że tam – Aragończyk wskazał trakt ku Tilimsan, co na południe wiódł, wśród ogrodów okolicznych się wijąc. – Jest kilka osad, co z płaceniem udoju męcą i kręcą... Bydło i ludzie. Dobry łup.

– Wojowniczy?

– Jak wypadnie, tacy się okażą.

Pilne baczenie miałem na Coponsa i jego słowa. Nadal zagadkowo brzmiały dla mnie owe kawalkady, prosiłem tedy o więcej szczegółów.

– To jak nasze opony we Flandrii – wyjaśnił Aragończyk. – Ruszasz nocą, jedziesz wartko a z cicha, a z nastaniem świtu graj, święty Jakubie... Aha, i nigdy dalej się nie wypuszczamy, jak osiem mil od Oranu.

– Z arkebuzami?

Copons pokręcił głową.

– Niedużo. Wszystko prawie walką jeden na jednego się rozstrzyga, gwoli prochu oszczędzania... Jeżeli osada blisko leży, bierzemy ludzi i

bydło. Jeżeli daleko, jeno ludzi i klejnoty. Za czym chyżo wracamy, wszystko się wycenia, sprzedaje i rozdziela łup.

– Obfity?

– Różnie bywa. Gdy jeńców przywieziemy, możemy czterdzieści i więcej eskudów zgarnąć. Zdrowa Arabka do rodzenia zdatna, silny czarnuch albo młodzieniec dają do wspólnej sakwy każde nawet trzydzieści reali. Jeśli dzieciaki przy piersi i zdrowe, to po dziesięć... Ostatnia kawalkada wielce nam żywot umiliła. Na czysto zyskałem osiemdziesiąt eskudów, dwakroć tyle, co roczny żołd mój wynosi.

– Dlatego pewnie król nie płaci – zakonkludowałem.

– A jużci zapłaci, jego taka owaka.

Przechadzaliśmy się teraz nieopodal brzegu rzeki, gdzie na żyznej ziemi drzewa rosły, a tu i ówdzie widać było młyn albo studnię czerpakową. Dwóch Maurów, jeden starzyk i drugi młodzian jeszcze, przeszło mimo nas w postrzępionych dzelabach z koszami pełnymi zieleniny na ramionach i skierowało się ku miastu. Kontentował mi oczy wdzięczny widok, jaki stamtąd się rozpościerał: drzewami naszpikowane zielone tarasy, ciągnące się między rzeką a murami, miasto z kasbą pnące się przez połowę stoku i morze w dole, niby wachlarz błękitny w oddali rozpostarte.

– Bez takich sposobności i tego, co tutejsze ogrody zrodzą – dodał Copons – ludzie nie daliby rady się wyżywić. Co więcej, zanim przybyliście, od czterech już miesięcy żyliśmy tu z jedną fanegą<sup>43</sup> zboża miesięcznie i szesnastoma realami zapomogi dla każdego wojaka pospołu z rodziną. Widzieliście tutejszych: świecą golizną, bo szatki w strzępach im wiszą... Stara sztuczka, którą z Flandrii znamy, prawda, Diego?... Chcą waćpanowie zapłatę dostać? Opodal widzicie zamek pełen Niderlandczyków. Hajda na niego, tam żołd odbierzecie, jeśli łaska... Maurowie czy schizmatycy, królowi to za jedno wychodzi.

– Zabierają wam tu kwintę królewską? – spytałem.

– Jak Bóg na niebie, zabierają – odrzekł Copons. – Królewską należność. Poza tym gubernator wypłacał sobie swój klejnot, jak się tu mawiało, czyli wybierał dla siebie najlepszych jeńców albo i całą rodzinę naczelnika napadniętej osady. Następnie swoje odbierali oficerowie i wojsko regularne, a na sam koniec najemni żołnierze, ściśle podług żołądu. Kto akurat w twierdzy przebywał, też miał prawo do udziałów. Nie licząc jeszcze Kościoła.

– Nawet braciszkwowie moczą gęby?

– Przebóg, moczą na całego, jałmużny im nie wystarczą. Kawalkady wszystkim tu pożytek przynoszą, bo rzemieślnicy i kupcy robią interesy na Arabusach, którzy swoich przybywają wykupić pieniędzmi i towarami... Po każdej takiej wycieczce miasto całe w bazar się zamienia.

Zatrzymaliśmy się wedle szopy z desek i liści palmowych skleconej, gdzie na noc chronili się wartownicy mostu, który łączył miasto i ogrody z zamkiem Rosalcázar, po drugiej stronie rzeki Waran wzniesionym, i z zamkiem świętego Filipa, stojącym co nieco dalej w głębi. Z tych dwóch warowni – prawil Copons – pierwsza niemal w proch się rozsypywała, a druga nie mogła się doczekać końca prac fortyfikacyjnych. Snadź lubo Oran ze swych twierdz szeroko słynał, po prawdzie były one bardziej jako ułuda, miasto posiadało wszak jeno dawny szaniec, fos nawet pozbawiony, szranków, wejścia krytego, flanku czy rawelinu. Tedy jedyną prawdziwą fortyfikacją twierdzy był duch w tych, co go mimo własnej woli bronili, drzemiący. Jak powiedział nie pamiętam już który poeta albo ktoś podobny: *Obroną Hiszpanów proch ich rapierów i mury ich jaj własnych*. Jakoś tak.

– Moglibyśmy ruszyć? – spytałem.

Spojrzał na mnie Copons przez chwilę, wymienił spojrzenia z kapitanem Alatryste i na powrót jął mi się przypatrywać.

– A dokąd to się wybierasz? – zapytał z niewzruszoną miną.

Tedy przyjąłem chwacką postawę, jak na wojaka przystało, i ani okiem nie mrugnąłem.

– Jakże, dokąd?... – odrzekłem z wielkim spokojem. – Z waszą miłością na kawalkadę.

Obydwaj wiarusi znów po sobie spojrzeli, za czym Copons po szyi się poskrobał.

– A co ty sądzisz, Diego?

Mój dawny pan patrzył na mnie z zadumą. Nareszcie, oczu ode mnie nie odrywając, ramionami wzruszył.

– Każde pieniądze się przydadzą, tak myślę.

Copons przytaknął.

– Rzecz w tym – dodał – że w takich okazjach cały garnizon miałby życzenie ruszyć, z racji spodziewanych korzyści.

– Lubo czasem – dodał – dobiera się posiłki, gdy galery przypłyną. Dla was dobra chwila nastąpiła, bo siła ludzi na gorączkę zapadła przez wodę, której nie brak, ale soli jest pełna, przez co niejeden osłabł albo i w szpitalu legł... Mogę to z sierżantem Biscarruésem omówić, także z Flandrii weteranem i moim krajanem. Ale ani mru–mru. Nikomu ani słówka.

Mówiąc to, nie patrzył na kapitana, jeno na mnie. Odwzajemniłem mu się spojrzeniem zrazu przebiegłym, a zaraz potem dumnym, z wyrzutów domieszki. Copons zbyt długo mnie znał, by musieć uciekać się do takich postrzeżeń i spojrzeń. Zmiarkował moje wzburzenie i zastygł w zadumie. Za czym ku kapitanowi Alatryste się zwrócił: – Wyrósł bardzo – mruknął. – Młodzieniaszek jego mać.

I na powrót jął mi się od stóp do głów przypatrywać. Oczy spoczęły na moich kciukach, com je za pas zatknął, wedle lewaka i rapiera. Posłyszałem z bliska westchnienie kapitana.

Chyba chciał dać ironii wyraz. I trochę też znużeniu. – Nawet nie wiesz jak, Sebastián.





### III. KAWALKADA DO UAD BERRUCH.



oddali wycie psa dobiegło. Diego Alatryste, wśród krzaków obliczem ku ziemi leżący, przestał drzemać. Rozbudzony przez własną zmyślność starego wiarusa, uniósł twarz, dotąd na skrzyżowanych ramionach wspartą, i otworzył oczy. Sen krótko trwał, kilka chwil zaledwie, atoli nawyki żołnierskie nauczyły go już były dawno z najmniejszej sposobności do odpoczynku korzystać. W tej profesji nigdy nie było wiadomo, kiedy znów okazja się nadarzy, by snu, strawy i napitku zaznać. Albo też pęcherzowi pofolgowanie dać. Naokoło, na zboczach pagórka usianego nieruchomymi, milczącymi kształtami, kilku żołnierzy klęczało i ostatnią sposobność po temu właśnie chwyciło, snadź wybornie wiedzieli, jak człek cierpi, gdy mu cysterna wątpia rozsadzi. Przeto pludry rozpiąwszy, Alatryste poszedł ich śladem. Żołnierz wyszczany i głodny, panowie żołnierze, największej bitewnej chwały jest godny – takimi słowy mość Francisco de Arco, jeden z pierwszych sierżantów, jacy mu rozkazywali w czasach młodości, przemawiał we Flandrii (później poległ wedle jego boku na wydmach Nieeuwpoort, już w randze kapitana); Alatryste służył był pod jego komendą w ostatnich latach minionego stulecia, ledwie piętnaście lat skończywszy, w wojnie przeciwko Stanom<sup>44</sup> i Francji, podczas pamiętnej opony w Amiens<sup>45</sup> i zgrabnego złupienia

miasta. I to była, do kroćset (bo złe potem przyszło, gdy żabojady siedmiomiesięczne oblężenie prowadzili), bardzo zyskowna kawalkada.

Ulgę sobie sprawiając, zerknął do góry. Ostatnie spóźnione gwiazdy dostrzegł, wszelako szarość świtu już ode wschodu nadciągała, zza nagich wzgórz, które nadal w mroku utrzymywały namioty i zagrody osady – wciąż nie sposób było odróżnić nitki białej od czarnej – leżącej nad szerokim korytem, który miejscowi przewodnicy zwali Uad Berruch, o pięć mil odległej od Oranu. Wysikany wreszcie, pas poprawiwszy z bronią i kordonki napierśnika zapiąwszy, Alatryste na powrót padł na ziemię. Napierśnik ni chybi ciążył mu będzie potem, kiedy duchota zapanuje i afrykańskie słońce w zenicie stanie, atoli na razie kontent był, że go był założył, iż chłód kacerski panował, jak sto diabłów. A z pewnością jeszcze bardziej doceni pocziwą skórę bawołu, gdy się bitwa rozpocznie. Z ręki Maura, Turka czy lutra, każdy cios jest tak samo groźny. A na te ostatnie – wspomniał naprędce: brew, czoło, ręka, nogi, biodro, plecy i tak dalej, w sumie dziewięć, jeżeli postrzał od arkebuza, liczyć, a dziesięć, jeżeli także przypalone ramię – owóz na te miejsca za wiele już na ciele nie miał.

– Pies niech szejnie – zaszeptał ktoś obok.

Zwierzę znów zawyło w oddali. Za chwilę dołączyło doń inne. Niedobrze – pomyślał Alatryste – jeżeli intruzów zwietrzyły i śpiących mieszkańców osady alarmują. Jak obliczał, o tej porze grupa, co drugi brzeg strumienia obsadzała, już powinna na swych miejscach się znajdować, konie wprzódzi dalej ostawiwszy, żeby ich rzenie całej siurpryzy nie popsulo. Dwustu chłopów po tamtej stronie i tyluż po tej, w tym pięćdziesięciu Almogatazów, to wystarczająca siła, by stanąć przeciwko trzem setkom Arabusów, niewiast, dzieci i starców, którzy pospołu śpią jeszcze przed nimi, losu, jaki ich czeka, nieświadomi.



Rzecz całą wyłożono mu wieczora poprzedniego w Oranie, kiedy w gotowości wszystkich postawiono, a szczegóły poznał w trakcie długiej, sześć godzin trwającej, powolnej a uporczywej jazdy skroś mrok, drogą przez Almogatazów wskazywaną, zrazu kolumną, potem w bezładzie, szlakiem na Tilimsan. Szli pierw brzegiem rzeki, a następnie, gdy za sobą już ostawili wodę, pustelnię marabuta, studnię i równinę, okrążyli wzgórza wznoszące się na zachodzie, rozdzielili na dwie grupy i ukryli cichaczem, świtu wyglądając. Jak wieść niosła, mieszkańcy osady należeli do plemienia Beni Gurriaran, co się pasterstwem i uprawą roli trudniło, i uważano ich za Maurów spokojnych, nawet glejt mieli przez garnizon hiszpański wystawiony, iż od wrogich Kabylów będą bronieni, jeśli rokrocznie w oznaczonym terminie dostarczą takich to a takich ilości jęczmienia i innych zbóż oraz bydła. Ale poprzedniego roku zboże arabskie przybyło późno i skąpo – jeszcze ciągle trzeciej części brakowało – a i teraz w piasek głowy chowali co do daniny z bydła, która miała tej wiosny nadejść. Z tej powinności jeszcze się nie wywiązali, a plotka niosła, że Beni Gurriaran gotują się przenieść swoje namioty dalej od Uad Berruch, poza zasięg Hiszpanów.

– A my ich znienacka zbudzimy – zakończył był przemowę sierżant Biscarrués – zanim ziewnąć zdążą.

Sierżant Biscarrués, Aragończyk, wojak długą służbę za sobą mający i mąż zaufany gubernatora Oranu, miał na placówkach północno-afrykańskich duże doświadczenie: twardy był niczym skała, skórę słońce mu wygarbowało pospołu z pyłem i niedolą, jakiej doznał, walcząc zrazu we Flandrii, potem zasię w Afryce, morze mając za plecami, monarchę daleko, Boga innymi sprawami zajętego w niebiesiech, a Maurów na wyciągnięcie rapiera. Dowodził wojskiem, co innej nadziei nie miało krom łupów – byli to ludzie szemrani, gęby zakazane, ludek groźny, od ucieczek

niestroniący, do buntu tak samo gotów, jak do ostrej bijatyki między sobą – a czynił to wedle wszelkich rygorów, jakie są w tej profesji niezbędne. Skurwiel potrafił być okrutny, ale dostępu do siebie nie utrudniał, a nie bardziej był przekupny niżli większość wokół. Takimi słowy mniej więcej opisał go był Sebastián Copons, zanim się doń udali wieczorem pierwszego dnia. Znaleźli go w maciupkiej kwaterce w kasbie, gdzie siedział nad planem okolicy na stole rozpostartym, przyciśniętym na rogach dzbanem wina, lichtarzem ze świecą, sztyletem i pistoletem. Kompanii dotrzymywało mu dwóch ludzi: wysoki Maur w białym wełnianym płaszczu odziany i jakiś człek ciemny a chudy, o nosie wydatnym, brodzie wygolonej, noszący się z hiszpańska.

– Za pozwoleniem, panie sierżancie... Druh mój, Diego Alatryste, weteran z Flandrii, teraz na galerach neapolitańskich służący... Diego, to mość Lorenzo Biscarrués... Ci dwaj to Mustafa Chauni, dowódca naszych Almogatazów, i tłumacz z Oranu, niejaki Arón Cansino.

– Z Flandrii? – sierżant przypatrywał mu się z zaciekawieniem. – Amiens?... Ostenda?...

– I tam, i tam.

– Ależ padało. Tam, rzecz jasna. Na tych w dupę zaprzańców... Tu od miesięcy ani kropelki.

Pogawędzili chwilę, wspominając nazwiska kompanów wspólnych, żywych lub też nie, za czym Copons sprawę wyłożył i przyzwolenie sierżanta uzyskał, Alatryste zaś się przyglądał się Biscarruésowi i pozostałym. Almogataz zwał się Ulad Galeb, plemię jego służyło Hiszpanii już od trzech pokoleń, a on sam prezentował się typowo dla tych okolic: siwa broda, skóra słońcem spalona, łapcie, dzambia za pasem, a łeb wygolony za wyjątkiem niewielkiego kosmyka, jaki niektórzy Maurowie pozostawiali sobie na wypadek, by wróg, jeśli głowę im utnie, nie śmiał mydlić innym

oczu, że wyborne trofeum zdobył. Dowodził harką stu pięćdziesięciu wojowników liczącą, złożoną z ludzi jego plemienia lub też rodziny – bo jedno oznaczało zarazem drugie – którzy mieszkali społem z rodzinami w Ifre i okolicznych osadach. Ludzie ci w zamian za żołąd albo udział w łupach potrafili na śmierć iść pod krzyżem świętego Andrzeja z odwagą i oddaniem, której próżno nasz król katolicki wypatrywał u niejednego ze swych rodaków. Co się zaś drugiego mężczyzny tyczy, Alatryste nie zdziwił się, że funkcję tłumacza miejskiego pełnił Żyd – pomimo wcześniejszego wygnania ich z królestwa, w enklawach hiszpańskich na północy Afryki tolerowano ich obecność z uwagi na zdolności, jakie do kupiectwa, obrotu pieniędzmi i języków przejawiali. Jak się później dowiedział, wśród dwudziestki rodzin, co dzielnicę żydowską zamieszkiwały, największym mirem jako tłumacze cieszyli się właśnie Cansinowie, i to od połowy wieku ubiegłego, wykazali się bowiem, pomimo przynależności do wyznania możeszowego – Oran jedynym był miastem, gdzie wciąż stała synagoga – wielkim znawstwem i bezwzględną lojalnością wobec króla, przeto i gubernatorowie fortecy szanowali ich i wynagradzali, zezwalając, by funkcja tłumacza z ojca na syna przechodziła. Prawię tu o opanowaniu w mowie i piśmie języka arabskiego przez Maurów używanego, języka hebrajskiego i tureckiego, ale także o szpiegowaniu, albowiem wszystkie wspólnoty izraelskie na berberyjskiej ziemi w kontakcie ze sobą pozostawały. Żydów orańskich tolerowano również i z tej racji, że prętnie kupczeniem się zatrudniali, w dodatku nader zyskownym mimo wysokiej alkabali, czyli dziesięciny na handlarzy nakładanej, jaką z uwagi na religię swą ścierpieć musieli – a działało się tak dlatego, że w czasie niedostatku oni właśnie pieniądze i zboże gubernatorowi pożyczali. Do tego dodajmy jeszcze rolę, jaką pełnili w handlu jeńcami: z jednej strony przy wykupie naszych paktowali, z drugiej do nich to należała większość Turków i

Maurów w Oranie sprzedawanych. Snadź nieważne, czy Najświętsza Panienka, Mahomet czy Mojżesz drogę żywota ci oświetla, czyś Żyd, Maur czy Hiszpan, srebro jednak dźwięczy, a interes interesem zawsze pozostanie. Bo nie cesarz to i nie ksiądz, lecz mospan Pieniądz, jak powiedziałby tu mość Francisco de Quevedo. A głupi, kto gdzie indziej świeczki zapala. I tak dalej.

Pies na powrót jął w oddali szczekać, Alatryste musnął tedy pistolet wybornie naoliwiony, co za pasem miał zatknięty. Właściwie – pomyślał – nie od rzeczy byłoby, gdyby pies nie poniechał hałasu, tak żeby Maurowie z osady, niektórzy przynajmniej, przebudzili się i za andziary chwycili, gdy sierżant Biscarrués zakrzyknie „święty Jakubie!”. Snadziej i szybciej gardziele podrzynać śpiącym mężczyznom po to, żeby skraść im bydło, niewiasty i dzieci, niżli z czuwającymi to samo czynić – ale potem więcej wina trzeba, żeby krew z pamięci wypłukać.

\* \* \*

– Uwaga.

Rozkaz biegł od ust do ust, narastającym z każdą chwilą szeptem. Powtórzyłem go, gdy do mnie dotarł, i słyszałem, jak oddala się, cichnąc wśród przycupniętych cieni, aż nareszcie rozplynał się niby echo, co w nieskończonej przestrzeni ginie.

Przejechałem językiem po spękanych wargach, za czym zęby zacisnąłem, żeby mi tak z racji zimna nie szczękały, i jąłem pewniej espadryle zawiązywać. Następnie odrzuciłem szmaty, w które był zawinął rapier i grot mojej piki abordażowej gwoli zapobieżenia wszelkim hałasom, i rozejrzałem się wokół. W jasności brzasku, która zarysy ludzi widzieć już zezwalała, kapitana Alatryste nie dostrzegłem, ale wiedziałem, że musi

nieopodal gdzieś leży. Tuż obok spoczywał też Sebastián Copons – ciemny, nieruchomy kształt, od którego niósł się odór potu, natłuszczonej skóry i żelaza natartego smarem. A wokoło znać było więcej podobnych kształtów, w kupkach albo samotnych, wśród krzewów sumaka, kaktusów i kardów, które w Berberii zwa ar-rakaf.

– Dwa Credo, po czym święty Jakub.

Niektórzy jęli zmawiać Credo, już to z pobożności, już to, by czas odliczyć. Słyszałem ich wszędzie, najrozmaitsze intonacje i akcenty: biskajski, walencki, asturyjski, andaluzyjski, kastylijski... Hiszpanów, co społem jeno modlić się i zabijać potrafią. *Credo in unum Deum, patrem omnipotentem, factorem coeli et terrae...*<sup>46</sup>. Oczywiście, nie pierwszy to już raz w moim życiu. Zawsze atoli niezwykłym zdawało mi się owo pobożne mamrotanie jako preludium do krwawej łaźni, owe męskie głosy, szepczące święte słowa, do Boga prośby zanoszące, by przeżyć bitwę dozwolił, złoto i jeńców zdobyć, bezpiecznie do Oranu i do Hiszpanii powrócić z bogatym łupem i bez nieprzyjacielskiego sąsiedztwa. Wszyscy snadź miarkowali wybornie, a Copons i kapitan osobliwie uwagę zwracali na to, że największym niebezpieczeństwem na świecie jest bić się z Maurami na własnej ich ziemi i wycofywać się po walce – czy może być coś gorszego, niżli w drodze powrotnej znaleźć się we wrażym otoczeniu wśród owych wyschłych parowów i skał, bez kapki wody, za każdą kroplę bukłakiem krwi płacąc, pod palącym słońcem, albo też rany odnieść, z tyłu ostać i tak wpaść Arabusom w łapska, którzy całą wieczność spożytkują na twą śmierć powolną? Może z tego właśnie się brało owo pomrukiwanie rozrzuconych tu i ówdzie cieni: *Deum de Deo, lumen de lumine, Deum verum de Deo vero...*<sup>47</sup>. Rychło też i ja sam jęłem szeptać machinalnie, myśli tym nie zaprzatając, jak ktoś, kto przygrywa słowom uporczywej, bardzo znanej piosneczki. W końcu atoli większe baczenie na słowa własne jęłem dawać i

modlitwa ma pobożności i szczerości nabrała: Et exspecto resurrectionem mortuorum et vitam venturi saeculi, amen<sup>48</sup>. W owym czasie byłem jeszcze na tyle młodzikiem, że wierzyłem w takie rzeczy i jeszcze kilka innych.

– Święty Jakubie!... Naprzód!... Naprzód!... Hiszpania, święty Jakubie!

Tym razem ów głos rozległ się niczym donośne wycie, wsparte suchymi nutami trąbki, jednocześnie zasię nasi jęli powstawać i już wśród krzaków gnali, proporzec i sztandar królewski unosząc. Ja także powstałem i pospołu z resztą naprzód popędziłem, słysząc salwę z drugiej strony osady, gdzie w mroku – czarnej wstędze pod szaroniebieskim, ale już czerwieniejącym niebem – rozbłyskiwały jasne punkciki arkebuzów.

– Hiszpania!... Naprzód!... Naprzód!

Niełatwo było biec po piachu, wyschłe koryto strumienia pokrywającym, nogi z ołowiu mi się zdawały, gdy już na drugą stronę dotarłem, do zagrody z gałęzi i głogów kolczastych, w której było trzymano. Na leżące nieruchomo ciało czyjeś nadepnałem, przebiegłem jeszcze kilka kroków, cały podrapany przez ciernie. Na rany Chrystusa. Teraz już i po naszej stronie grały arkebuzy, a postacie moich towarzyszy, już nie czarne, a szare do tego stopnia, że człek człeka mógł rozpoznać, porozbiegały się niczym lawina wśród namiotów osady, w której raptem pojawiły się gdzieś światła tudzież przerażeni ludzie, co walkę podejmowali bądź ucieczkę. Do wrzawy przez Hiszpanów i Almogatazów czynionej, a jeszcze wzmocnionej okrzykami jeźdźców naszych, którzy z drugiego końca nacierali, doszedł jazgot dziesiątków niewiast i dzieci, które ze snu wyrwane, wybiegały w trwodze, obejmowały się albo gnały precz pomiędzy na wpół śpiącymi mężczyznami, ci zasię usiłowali ich bronić, za broń chwyтали i padali zabici. Widziałem, że Sebastián Copons z kilkoma innymi z obnażonymi sztyletami i rapierami wdarli się w ów tłum,

popędziłem tedy ku nim z piką na sztorc wyciągniętą. Zrazu utraciłem ją przy pierwszym starciu, albowiem wraziłem ją w ciało półnagiego, brodatego Arabusa, co z namiotu z andziarem wypadł. Przewrócił się prosto na moje nogi, zanim zdołał gębę otworzyć, i długo nie mogłem piki odzyskać, a akurat, jakem się z nim mocował, z tego samego namiotu wyłonił się jakiś mauretański młodziak w samej koszuli, jeszcze ode mnie młodszy, i jął dzambią wymachiwać tak zaciekle, że niechby mnie dosięgnął, już by mi wakans do nieba albo piekła wypłacił, a Oñate ostałoby się bez jednego krajana. Dałem niepewny krok do tyłu, za rapier chwytając – szeroki, krótki, na galerze przydatny i bardzo grzeczny, z pieskiem toledańskim grawerowanym – za czym już bardziej chwacko na powrót do przodu skoczyłem, pierwszym sztychem pół nosa mu ściałem, a drugim palce u dłoni. Trzeci zadałem mu, gdy już na ziemi leżał, i był to cios ostateczny, skroś gardziel. Potem czujnie łeb wraziłem do namiotu, gdzie ujrzałem grupkę niewiast i pacholąt w kącie ściśniętych i jazgoczących w swojej arabszczyźnie. Spuściłem tedy kotarę i pogałem dalej swoje czynić.



...za czym już bardziej chwacko na powrót do przodu skoczyłem, pierwszym sztychem pół nosa mu ściałem, a drugim palce u dłoni.

\* \* \*

Koniec z wolna już dzieło wieńczył. Diego Alatryste stopą pchnął Maura, którego właśnie był zgładził, rapier zeń wyciągnął i rozejrzał się wokoło. Już jeno niedobitki Arabusów opór stawiały, a większość napastników zatrudniała się raczej ogołoceniem, a łupili jak nie przymierzając Anglicy. Jeszcze po osadzie echo wystrzałów się niosło, ale już odgłosy wściekłości,



rozpaczy i śmierci miejsca użyczały jękom rannych, lamentom pojmanych i brzęczeniu rojów much, co uwijały się nieprzytomnie nad kałużami krwi. Niewiasty, dzieci, starców i mężów, co broń złożyli, żołnierze i Almogatazowie niczym bydlę zapędzali szturchnięciami, wyciągając ich z namiotów, inni w tym samym czasie gromadzili wartościowe przedmioty i przy prawdziwym bydlę się zatrudniali. Mauretanki z dziećmi, już to uczepionymi spódnic, już to na rękach jeszcze niesionymi, zawodziły żałośnie i biły się po licach, widząc trupy ojców swych, mężów, braci i synów, niektóre zaś, cierpieniem i gniewem zdjęte, z pazurami na wojaków się rzucały, ci tedy musieli posłuszeństwo pięściami zaprowadzać. Oddzieleni od reszty mężczyźni stali w pyłe otumanieni, poturbowani, poranieni i wystraszeni, pod strażą zbrojnych w rapiery, piki i arkebuzy. Ci z dorosłych i starzyków, co godnie do końca zachować się chcieli, byli bez ceremonii nijakiej popychani i po gębach prani przez zwycięskie wojsko, które w taki sposób – obyczaj panował, by nie marnować żywych, którzy w cenie byli – pomścić pragnęło los pół tuzina towarzyszy, co w ogniu walki skórę sprzedali. Widok ten krew kapitanowi Alatryste popsuł, był bowiem zdania, że mężczyznę się zabija, ale się go nie upokarza, osobliwie, gdy przyjaciele i rodzina patrzą. Aliści ów czas nie obfitował w skrupuły, lubo może nigdy nie była na nie dobra pora. Oderwał wzrok, zalterowany, i jął przypatrywać się okolicom obozu. Wedle wzgórz jeźdźcy dopadli już Maurów, którzy byli zbiegli i chronili się wśród trzciniowisk i zagajników figowych, co wzdłuż wyschłego parowu rosły. Teraz wracali, skrępowani i do ogonów końskich uwiązani.

Płonęły już tu i ówdzie splądrowane namioty, z których wyniesiono wpróżdzi i na kupę zrzucono sprzęty, garnki, srebra, kobierce i szaty, a sierżant Biscarrués, nader pilne baczenie na wszystko mający, głośno pokrzykiwał, żeby się z gromadzeniem łupów i odjazdem co rychlej

pośpieszono. Diego Alatryste widział, jak dowódca zmrużonymi oczami bada na niebie wysokość słońca, co właśnie wstało, następnie zasię rzuca niespokojne spojrzenia wokół. Żołnierz bez trudu u żołnierza przyczyny tego zachowania odgadywał. Kolumna utrudzonych Hiszpanów, wiodąca ponad sto sztuk bydła i z górą dwie setki jeńców – taki był bowiem owoc kawalkady, jak naprędce skalkulował – mogła łącznie stać się celem ataku wrażeń Maurów, jeżeli przed zachodem nie znajdzie się wewnątrz murów Oranu.

Alatryste tak miał gardziel wyschlą, jak piach i skały, po których stąpał. Chryste – pomyślał. Nawet wypluć pyłu i krwi nie ma jak, co mi język z podniebieniem skleiły. Rozejrzał się i dostrzegł spojrzenie rudobrodego Almogataza, przyjazne i groźne zarazem, co nader zgrabnie odcinał właśnie łeb zabitemu Arabusowi. Dalej nieco siedziała stara Mauretanka i podtrzymywała na podołku głowę jakiegoś ciężko rannego. Jej lico wielce było pomarszczone, czoło i dłonie miała niebieskimi tatuażami pokryte. Ona także oczy podniosła i patrzyła nieobecny wzrokiem na Alatrystego, gdy nadal z rapierem w dłoni stanął przed nią.

– *Ma. Pić, wody. Ma*<sup>49</sup>.

Niewiasta nie odpowiadała do chwili, gdy trącił jej ramię końcem rapiera. Natenczas obojętnym gestem głowy wskazała na znaczny namiot, ze skór kozich uszyty, za czym na powrót, nie dbając o to, co wokół się dzieje, jęła doglądać Maura, co na ziemi leżał i jęczał. Alatryste ruszył ku namiotowi, odsłonił kotarę i do mrocznego wnętrza wkroczył.

Ledwie to uczynił, zmiarkował, że będzie miał kłopoty.

\* \* \*

Wypatrywałem kapitana Alatryste, patrząc po plądrowanej osadzie, wśród tłumu żołnierzy i jeńców, aż go spostrzegłem z dala żywego i wielce mnie ów widok ukontentował. Chciałem go okrzykami przyzwać, ale mnie nie dosłyszał, ruszyłem tedy ku niemu, lawirując między płonącymi namiotami, stosami zagrabionych szat oraz rannymi i trupami, którzy wszędy leżeli. Widziałem, że wchodzi do wielkiego czarnego namiotu, a zaraz w jego ślady idzie ktoś jeszcze, ale kto to mógł być, tegom z tej odległości zmiarkować nie potrafił – wyglądał ów człek na jednego z naszych, Maura Almogataza. W tymże momencie jeden kapral mnie zatrzymał i doglądać grupy Arabów nakazał, zanim ich nie powiążą. Co mi jakiś czas zabrało, nim mogłem w stronę namiotu marszrutę znów podjąć. Uniosłem kotarę, wsunąłem już głowę, chcąc wniknąć do środka, i zamarłem: owóż w jednym kącie, na kupie dywaników i kobierców, leżała półnaga, młoda Mauretanka, której kapitan właśnie przyodziać się pomagał. Dziewczyna ślad po uderzeniu na licu miała, łzami zalanym, i kwiliła jak umęczone zwierzątko. U jej stóp leżało i rączkami przebierało dzieciątko kilkumiesięczne, a obok niego jeden z naszych, Hiszpan, z pasem rozpiętym, gaciami do kolan spuszczoneymi i dziurą po kuli pistoletowej w czerepie. Drugi Hiszpan, odziany, ale za to z gardzielą od ucha do ucha poderżniętą, spoczywał tuż wedle wniknięcia głową do ziemi, a świeża krew jeszcze mu bryzgała z rany. Przez mgnienie, w czasie którego zachowałem wciąż przytomność rozumu, zmiarkowałem, że musi ta sama krew zbrukała klingę dzambii, którą jakiś smagły i brodaty Almogataz do szyi mi przytknął, ledwie próg namiotu przestąpił. Skutkiem tego – a postawcież się waszmościowie, do kroćset, w moim położeniu – z gęby wyrwał mi się okrzyk zaskoczenia, co kazało kapitanowi oblicze ku mnie zwrócić.

– To prawie mój syn – rzucił szybko. – Nie puści pary.

Tchnienie Almogataza, którem na policzku czuł, na moment zamarło, kiedy jął mi się przypatrywać bacznie błyszczącymi, czarnymi oczami o rzęsach tak subtelnym, że niewieściami się zdawały. Rzęsy owe były jedyną delikatną rzeczą, jaką stwierdziłem w tej gębie ciemnej i ogorzalej, okolonej spiczastą, rudą brodą, która jeszcze podkreślała srogi wyraz twarzy, krew mi w żyłach ścinający. Trzydzieści lat już musiał przekroczyć, kompleksji był proporcjonalnej, lubo ramiona i plecy osobliwie miał potężne, czerep ogolony krom tradycyjnego kosmyka nad karkiem, turban nosił luźno wokół szyi owinięty, srebrne kolczyki w obydwu uszach, a na lewym policzku cudaczny tatuaż w kształcie krzyża. Po chwili Maur odsunął nóż od mej gardzieli i wytarł go w swój burnus w szare paski, za czym wsadził go do pochwy skórzanej u pasa.

– Co tu się stało? – spytałem kapitana.

Z wolna się prostował. Niewiasta okryła się kwefem burej barwy, wciąż trwogą i wstydem przepojona. Almogataz posłał jej kilka słów w ich języku – coś jakby *barra barra*<sup>50</sup> – na co ona podniosła z ziemi łkające dziecko, otuliła je tymże samym kwefem, przeszła cichutko koło nas, głowę pochyliwszy, i namiot opuściła.

– Stało się owóz – odparł spokojnie kapitan – że tych dwóch śmiazków i ja mieliśmy nieporozumienie co do sensu słowa „łup”.

Schylił się ku ziemi po pistolet, z którego ni chybi dopiero co strzelał, i wsunął go za pas. Następnie zerknął na Almogataza, wciąż u wnijścia stojącego, i coś na kształt lekkiego uśmiechu zagościło na jego ustach.

– Dysputa źle mi szła. Było coraz gorzej... I wtedy wszedł tu ten Maur i włączył się do rozmowy.

Zbliżył się ku nam i jął lustrować bacznie Maura od stóp do głów. Snadź kontent był z tego, co zoczył.

– Mówisz *espanioli*?

– Mówię – odrzekł tamten czystym kastylijskim.

Kapitan spuścił wzrok na broń, która Maur przed chwilą był schował.

– Dobra dzambia.

– Tak myślę.

– I jeszcze lepsza ręka.

– *Uah*<sup>51</sup>. Tak powiadają.

Przypatrywali się sobie wzajem przez chwilę w milczeniu.

– Jak cię zwa?

– Aiszah ben Gurriat.

Spodziewałem się więcej słów, wyjaśnień, wszelako doznałem rozczarowania. Na zarośniętym obliczu Almogataza błąkał się podobny uśmieszek, jak na kapitańskim.

– Chodźmy stąd – ozwał się mój były pan, ostatnie spojrzenie na nieboszczyki rzucając. – Ale pierwej podpalmy namiot... Unikniemy wyjaśnień.

\* \* \*

Ostrożność zbyteczną się okazała, nikomu snadź nie cknęło się do owych dwóch obdartusów–jak później zmiarkowaliśmy, byli chełpliwymi nicponiami podłego autoramentu i bez przyjaciół, nikogo nieobchodzącymi – przeto bez dalszych badań wciągnięto ich bez ceremonii na ogólną listę strat. Powrót zasię, lubo trudny i niebezpieczny, przecie był triumfalny. Traktem z Tilimsan do Oranu, w pionowych promieniach słońca, które jeno skrawek cienia pod stopami naszymi ostawiały, ciągnęła długa kolumna żołnierzy, jeńców, koni z łupami i zwierząt, w tej liczbie owiec, kóz i krów, jako i kilku wielbłądów – te pędzono na przedzie, a baczenie mieli na nie nasi Almogatazowie i Maurowie z Ifre. Zanimiemy z Uad Berruch

wyjechali, przeżyliśmy chwilę nieleką, albowiem wykładacz Cansinos, jeńców naszych przepytawszy, czas jakiś milczał, popatrując jeno w różne strony, za czym wyjąkał sierżantowi Biscarruésowi, że osada, na którą byliśmy napadli, nie była tą, którą napaść należało, że przewodnicy Almogatazowie pomylili się – albo rozmyślnie zbłądzili – i powiedli nas przeciwko Maurom spokojnym, co należność swą skrupulatnie płacili. A tych zgładziliśmy ni mniej, ni więcej, jeno trzydziestu sześciu. I klnę się waszmościom, że nigdy jeszcze nikogo w takim gniewie nie był widział, jak w chwili owej sierżanta – pokraśniał cały jak piwonია, żyły w szyi i na czole mało mu nie popękały i jął zaklinać się, że powywiesza przewodników, wszystkich ich dziadów i jeszcze tę sukę przez wieprza jebaną, co ich na świat wydała. Wszystko atoli trwało niedługo. Rady już nie było, przeto mość Lorenzo Biscarrués, człek praktyczny i do wojaczki nawykły, zwyczajny tego, że raz się trafi na wozie, a raz pod, z wolna się zmitygował. Maur spokojny czy wojowniczy, tak samo dobrze za niego zapłacą w Oranie – orzekł. Ci teraz są już Maurami wojowniczymi i nie ma o czym gadać.

– Śliwki–robaczywki – uciał kwestię. – Następnym razem lepiej trafimy... Gęby na kłódki, a kto ozór strzepić będzie, temu go, na miły Bóg, wyrwę.

Tedy, rannych opatrzwszy i coś do gąb wrzuciwszy – chleb w popiele podgrzany, garstkę daktyli i mleko zsiadłe, cośmy je byli w osadzie znaleźli – ruszyliśmy szparko, z arkebuzami do boju gotowymi, okiem czujnym, snadź przed zapadnięciem zmroku chcieliśmy w bezpiecznym miejscu osiąść. Wędrowaliśmy, jakom rzekł, niespokojni, z oczami wokół głów: na przedzie zwierzęta, potem główna część sił naszych, ładunek, za nim brańcy, gromada dwieście czterdzieści osiem głów licząca mężów, niewiast i dzieci, które chodzić już umiały, a wszyscy szli bacznie zewsząd

pilnowani. Drugi oddział, pikami i arkebuzami zbrojny, zamykał pochód, jazda zaś przepatrywała drogę z przodu i ochraniała nas z flank na wypadek, gdyby grupki wojowniczych Maurów utrudnić nam powrót się kwapiły albo dostępu do wody pozbawić. I w rzeczy samej, doświadczyliśmy kilku drobnych ataków i potyczek bez większej wagi. A zanim dotarliśmy do studni zwanej Morabito i otoczonej gęstwą palm i szarańczynu, Arabusy, których znaczna liczba po piętach nam deptała, snadź polowali na okazję lub maruderów dopaść chcieli, umyślili sobie, że nas od wody odetną śmiałą szarżą: oto setka jeźdźców z wielką brawurą i wśród okrzyków, jakimi zwykle obrazić nas nieprzystojnie próbują, rzuciła się na nasze tyły z wrzawą przeogromną. Atoli ledwie nasi arkebuzerzy lonty zażgli i nuże ich grzecznie deszczem kul obsypywać, ci w te pędy zawrócili, kilku swoich w polu ostawiając, i cisza zapadła. Podążaliśmy kontenci z wiktorii i łupów, śpiesząc się, by do Oranu na czas dotrzeć i móc się nimi należycie podzielić. I z przemożną siłą na me młodzieńcze wargi przyplęnęła znana piosneczka, którą pod nosem zanucił:

*Każdy w owym czasie zwykł był, dumnie wypinając pierś; Pana Boga chwałę głosić, gdy zadawał Maurom śmierć.*

Aliści dwa wydarzenia przyćmiły me zadowolenie podczas powrotu z Uad Berruch. Naprzód noworodek pewien jął umierać na rękach swej matki, czemu trudy wędrówki zgoła nie były obojętne. Co gdy zmiarkował kapelan brat Tomas Rebollo, który w czas wycieczki społem z nami jechał i służbę swą pełnił, zwrócił się do sierżanta, mówiąc, że w zaistniałym położeniu wygasła władza rodzicielska matki wobec umierającego dziecka i że owo można na przekór woli tej ostatniej ochrzcić. A ponieważ niepodobna było zwołać konsylium teologów gwoli zasięgnięcia rady, mość

Lorenzo Biscarrués, innymi zatrudnieniami zajęty, odrzekł, że niech sobie frater czyni, co stosownym mu się zdaje. Ten przeto, nie bacząc na sprzeciw i płacze matki, wyrwał jej dziecię i udzielił mu na miejscu chrztu kilkoma kroplami wody, olejami i solą. Niebawem też stworzonko umarło, a kapelan wielce się radował, że w takim dniu, gdy tylu nieprzyjaciół imienia Bożego wśród złowrogiej sekty Mahometa na zatracenie poszło, jeden aniołek posłany został w Niebiosa gwoli jeszcze lepszego świadectwa niezbadanych wyroków Opatrzności i ku tym większemu pomieszeniu w szeregach Jej wrogów i tak dalej. Z czasem dotarło do nas, że markiza de Velada<sup>52</sup>, małżonka gubernatora, niewiasta nader pobożna i litościwa, długie godziny nad różańcem spędzająca i komunię co dzień przyjmująca, wielce pochwaliła działania brata Tomasa, po matkę dziecięcia posłała, snadź pocieszyć ją chciała i przekonać świętymi słowy, że kiedyś ze swym syneczkiem się połączy, jeśli tylko na prawdziwą wiarę przejdzie. Atoli nic z tego nie wyszło. Też noc, kiedyśmy do Oranu wrócili, Mauretanka powiesiła się z rozpacz i sromoty.

Drugie wspomnienie, które jak żywe staje mi przed oczami, to chłopię mauretańskie, co sześć albo może siedem wiosen liczyło i maszerowało wraz z bydlętami jucznymi, niosącymi powiązane głowy ubitych Arabusów. W owym czasie gubernator Oranu wypłacał – albo, dla większej ścisłości, obiecywał wypłacić – nagrodę za każdego Maura zabitego podczas walk, nasz zajazd na Uad Berruch, jakem wspomniał, za walkę z powodzeniem uchodził. Tedy gwoli lepszemu rachunku wieźliśmy ze sobą trzydzieści sześć głów mauretańskich mężów, które mogły przysporzyć nam w mieście jeszcze więcej korzyści w postaci kilku marawedi. Owóż dzieciak ów maszerował wedle muła cały tuzin głów powiązanych niosącego, dyndających po obu bokach zwierzęcia. I cóż... Jeśli życie przytomnego człeka zaludniają czasem upiory, co po ciemku zbliżają się



doń i sprzed oczu nie kwapią się zniknąć, w moich oczach staje – a klnę się na Boga, że upiorów mi nie brakuje – obraz owego bosego i brudnego chłopaka, co szedł wraz z bydlętami, pociągając nosem, z zaczerwienionych oczu ciekły mu po zbrukanej twarzy strumienie łez, a on ani na krok nie odchodził, wracał wciąż, lubo nadzorcy usiłowali go przepędzić, i odganiał muchy, które wciąż siadały na uciętej głowie jego ojca.

Dom Salki był lupanarem i palarnią i tam też rozłożyliśmy kwaterę nazajutrz, zaraz po sprzedaży całego łupu. Cały Oran rozbrzmiewał radością już od uprzedniego wieczora, kiedy to tuż przed zachodem, wprzódzi bydło ostawiwszy w zagrodach Piletas, wedle źródeł rzeczki, wjechaliśmy triumfalnie do miasta od strony Tilimsan, szykiem wybornym, pędząc przed sobą jeńców, których nadzorowali żołnierze z bronią na ramionach. Wjechaliśmy owóz traktem pochodniami rozświetlonym, kierując się prosto do głównego kościoła, gdzie skrupowani brańcy przedefilowali przed Najświętszym Sakramentem, wyniesionym w przytomności duchowieństwa przez wikarego przed wrota wraz z krzyżem i wodą święconą. Zaśpiewawszy zasię *Te Deum laudamus* na chwałę naszej wiktorii, której owoce właśnie jawnymi się stawały, każdy swoimi sprawkami się zatrudnił aż do dnia następnego, kiedy nastął czas prawdziwego święta, albowiem nader korzystnie zakończyła się licytacja naszych jeńców, przynosząc w sumie na czysto grzeczną sumkę czterdziestu i dziewięciu tysięcy sześciuset dukatów. Odliczywszy to, co gubernatorskie, i królewską kwintę, która w Oranie przeznaczana była na zaopatrzenie wojska i amunicję, dalej odłożywszy części należne oficerom, Kościołowi, szpitalowi weteranów i Almogatazom, rozdzielono resztę pomiędzy naszych, w rezultacie czego kapitan i ja wzbogaciliśmy się każdy

o pięćset sześćdziesiąt reali, czyli o zgoła przyjemny ciężar siedemdziesięciu monet w wybornym złocie, jakie wypełniły nam teraz kieszenie. Sebastiánowi Coponsowi, iż starszy stopniem był i zasługami znaczniejszy, przypadło jeszcze więcej. Przeto ledwie odebraliśmy wynagrodzenie w domu krewnego naszego tłumacza Arona Cassino – o mało co za sztyletyśmy nie chwycili, bo kilka monet gotował się wcisnąć nam bez ważenia, za to z kancerami na obrzeżach – postanowiliśmy pohulać za część tego, co nam skapnęło. Owóz i siedliśmy samotrzeć u Salki, lubieżności się oddając.

Kuplerka owego przybytku była dojrzałą Mauretanką, wychrzczoną wdową po pewnym żołnierzu, od dawna znajomą Sebastiána Coponsa i – jak tenże nas upewnił – w rozumnych granicach była osobą wielkiego zaufania. Jej zamtuż mieścił się nieopodal Bramy Morskiej, wśród domów pnących się po zboczu ku starej wieży. Na górze znajdował się taras, skąd cudny widok się roztaczał: z lewej widać było zamek świętego Grzegorza ponad zatoką, po której uwijały się galery i inne statki, dalej w głębi niby klin bury wbity między port i przepastny błękit Morza Śródziemnego forteca Mazalquivir i stojący przed nią olbrzymi krzyż. W porze, o której tu prawię, słońce już zachodziło ponad wodami, jego ciepłe promienie padały na kapitana Alatryste, na Coponsa i na mnie, którzyśmy siedzieli na miękkich skórzanych poduszkach w wielce akuratnej izbie wychodzącej na taras, dobrze zaopatrzeni w napitki, jedzenie i wszelkie inne dobra, jakie w takich miejscach są na podorędziu. Towarzyszyły nam trzy podopieczne Salki, z którymi chwilę wcześniej przeszliśmy już byli od słów do czynów, lubo nie zdobywając ostatnich bastionów, albowiem kapitan i Copons zdołali nader mądrze przekonać mnie, że co innego spędzać czas w przedniej kompanii, inna zasię utracić władzę nad własną bronią, ryzykując

zakontraktowanie francuskiej choroby lub co tam jeszcze dziewczki publiczne – a w Oranie publicznymi były ponad wszelką miarę – mogły rzucić na nieostrożnego, zdrowie mu rujnując. Dziewki były przyjemne: dwie chrześcijanki z Andaluzji, niczego sobie prezencji, co na żywot zarabiała w fortocy, gdzie były przesiedlone skutkiem złej konduity i jeszcze gorszych okoliczności (pochodziły z przybytków rybackich w Zahara<sup>53</sup>, co w ich profesji oznaczało największe mistrzostwo), trzecia zasię okazała się Mauretanką, co wiary się wyparła, dla hiszpańskiego smaku nazbyt ciemnej kraszy, atoli zgrabnie uformowana i wielce szykowna, a na domiar biegła w precyzyjnych manewrach, przy jakich ni busolą, ni sekstantem się nie posługiwała. Salka, brzęczenie naszych dopiero co zarobionych monet posłyszawszy, przyprowadziła nam w te pędy owe trzy podwiki, prawiąc o nich, że czyste, szparkie i do guziczków ohotne, lubo – jakem wspomniał – za tę ostatnią dogodność dwornie podziękowaliśmy. I tak wszakoż, na mój baskijski honor, nie ja miałem matronie w owej materii zadać kłam (rzecz tyczyła się konkretnie Mauretanki).

Alem nadmieniał także o jedzeniu i picciu, na czym zgoła się nie skończyło. Wyjąwszy kilka korzeni, którymi jadło przyprawiono, a które zdały mi się nazbyt ostre, pierwszy raz owego dnia paliłem mauretańskie zioło. Mauretanka przyrządzała je wielce udatnie, mieszając je z tytoniem w długich fajkach z drewna z metalowymi lulkami. Przyznam się waszmościom, że nie byłem nigdy zawołanym palaczem, nie przepadałem nawet za tabaką, którą z takim upodobaniem niuchał mość Francisco de Quevedo. Tam aliści, w Berberii, byłem nowicjuszem, a zioło samo w sobie stanowiło nowinę istotną. I lubo kapitan nie kwapił się spróbować, Copons zasię ledwie parę razy pociągnął z fajki, ja wypaliłem całą, co mnie w osobliwe podniecenie i wesołość wprawiło, we łbie zawrót, a w języku toporność sprawiło, czułem się tedy, jakby ciało me pływało w powietrzu

ponad miastem i morzem. Co nie przeszkodziło, żebym w pogawędce nie mógł partycypować, która pomimo szczęśliwej okazji i pieniędzy w kieszeniach zgoła wesołą nie była. Copons, lubo do Neapolu lub gdziekolwiek wyjechać pragnął – a wiedzieliśmy, że nasza galera za kilka dni podnosiła kotwicę – miał w Oranie ostać, jako że ciągle zwolnienia mu wzbraniano.

– Toteż – zakończył pochmurnie – będę tu gnił snadź aż po sądny dzień.

Co rzekłszy, wychylił cały pucharek trochę ostrej, ale smakowitej i mocnej malagi, za czym strzelił językiem z rezygnacją. Mój wzrok błędził po trzech dziewczkach, które widząc nas rozmową pochłoniętych, odeszły na drugi koniec tarasu, gdzie plotkowały sobie i znaki dawały żołnierzom, co dołem przechodzili. Salka wiedziała, że w czas kawalkady pieniądź łącniej właścicieli zmienia, umiała więc była pouczyć swe łajdaczki, by w interesach nie przeszkadzały.

– Może znajdzie się sposób – odrzekł kapitan Alatryste.

Obrzuciliśmy go bacznyimi spojrzeniami, osobliwie Copons, co w jego przypadku oznaczało, że na kamiennym obliczu znać było błysk zaciekawienia w oku. Nader wybornie swego starego druha już był poznał, by zmiarkować, że ten nigdy nie gada za wiele ni za mało.

– Mówisz wasza miłość – ozwałem się – że Sebastián wydostanie się z Oranu?

– Tak.

Copons położył dłoń na kapitańskim rękku. A dokładniej – na oparzelinie, jaką dwa lata temu mój pan uczynił sobie w Sewilli, gdy przepytywał genueńczyka Garaf fę.

– W dupę jeża, Diego... Ani mi w głowie dezertować. Nigdy tego w życiu nie zrobił i teraz też nie zacznę.

Kapitan, gładząc sobie wąsa dwoma palcami, uśmiechnął się do przyjaciela. Rzadko tak czuły i szczery uśmiech okazywał.

– Mówię, że wyjedziesz z honorem, permisję w blaszanej tubie mając... Jak się należy.

Aragończyk stracił rezon.

– Jużem ci prawił, że dowodzący Biscarrués nie kwapi się mnie zwolnić. Nikt z Oranu nie wyjeżdża, o czym wiesz wybornie. Jeno ci, co są tu po drodze.

Alatriste zerknął z ukosa na trzy niewiasty na tarasie i ściszył głos.

– Ile masz pieniędzy?

Copons zmarszczył brwi, medytując, co to u licha ma znaczyć, za czym jął liczyć, by na koniec potrząsnąć głową.

– Nie ma co – odparł. – Nawet po kawalkadzie nie wystarczy.

– Ile? – nalegał kapitan.

– Nie licząc tego, co wydam tutaj, jakieś osiemdziesiąt eskudów w czystym złocie. Może jeszcze kilka marawedi. Ale powiadam ci...

– A założmy, że nam się powiedzie. Co byś począł w Neapolu?

Copons wybuchnął śmiechem.

– Też mi pytanie!... W Italii bez grosza przy duszy?... Zaciągnąłbym się na nowo. Z wami pospołu, jeśli łaska.

Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu. Ja wracałem już z wolna spod obłoków, przypatrywałem im się przeto zaciekawiony. Już sama myśl, że Copons mógłby towarzyszyć nam do Neapolu, sprawiała, –że miałem ochotę krzyknąć z radości.

– Diego...

Lubo imię mego pana Copons wymówił z nutą sceptyczną, przecież w oczach skrzyła mu się iskierka nadziei. Kapitan umoczył wąsy w winie, podumał przez moment i pokiwał głową twierdząco.

– Twoje osiemdziesiąt eskudów dodać sześćdziesiąt kilka, które zostały mi z kawalkady równa się...

Liczył na palcach, wspartych o tacę z arabskiego mosiądzu, która za stół nam służyła, by nareszcie popatrzeć na mnie.

Kapitan przednio żelazem działał, ale w czterech działaniach szło mu dużo gorzej. Z wysiłkiem przegnałem od siebie ostatnie opary mego uniesienia i potarłem czoło.

– Sto czterdzieści – rzekłem.

– To śmieszna kwota – powiedział Copons. – Żeby mnie zwolnić, Biscarrués zażąda pięć razy tyle.

– I mamy pięć razy tyle. Tak mi się przynajmniej zdaje... No, Íñigo, dodawaj... Sto czterdzieści i moje dwieście za galeotę, którą sprzedaliśmy w Melilli.

– Masz te pieniądze? – zapytał Copons w zdumieniu.

– Tak. Pod ławą galernika sterowego na mojej krypie, Cygana Perchela, co od dziesięciu lat dzwoni łańcuchami, a większy strach budzi niżli bosman, w dodatku zasię pół reala pobiera tygodniowo jako lichwiarz... Íñigo?

– Trzysta czterdzieści.

– Dobrze. Dodaj teraz swoje sześćdziesiąt eskudów.

– Co?

– Mówię, żebyś je dodał, na Boga – jasne oczy przeszywały mnie niczym biskajskie sztylety. – Ile wychodzi?

– Czteryście.

– Jeszcze za mało... Dodaj swoje dwieście z galeoty.

Usta otwarłem gwoli sprzeciwienia się, atoli ze spojrzenia, jakim obrzucił mnie kapitan, zmiarkowałem, że to daremne. Ostatnie skrawki miękkiego obłoczku rozpląnęły się w okamgnieniu. Żegnajcie,

oszczędności – pomyślałem nader przytomnie. Przez czas niedługi czułem się bogaczem i to było miłe...

– Równe sześćset eskudów – odrzekłem głośno z rezygnacją.

Kapitan rozpromieniony zwrócił się do Coponsa.

– Wraz z zaległym żołdem, który są ci winni i który twój sierżant–major pobierze, jak nadejdą, masz aż nadto.

Aragończyk przełknął ślinę, zerkając to na mnie, to na kapitana Alatryste, jakby słowa stanęły mu w gardzieli. I na powrót wspomniałem, jak walczył był w pierwszej linii pod młynem Ruijter, jak brnął przez błoto w okopach pod Bredą, jak ocierał proch i krew z oblicza na reducie Terheijden, jak dzielnie stawał z rapierem w dłoni w nocnej Sewilli i jak brodził w wodzie wedle łachy Sanlúcar podczas napaści na „Niklaasbergen”.

Zawsze milczący, żylasty, drobny i twardy. – Niech to w dupę – wyrzekł.





## IV. ALMOGATAZ.



yszliśmy z zamtuza w szare światło zmroku, już w kapeluszach i z rapierami u boku, gdy pierwsze cienie jęły się właśnie panoszyć w najgłębszych zakątkach ciasnych orańskich uliczek. Temperatura o tej porze była już przyjemna, miasto zapraszało do przechadzki, mieszkańcy siedzieli na krzeselkach i taboretach u wejścia do domów, a w kilku nadal otwartych sklepach migotało światło kaganków i lamp łożowych. Wszędzie kłębił się tłum żołnierzy z galer i miejscowego garnizonu – ci ostatni wciąż świętowali fortunne zakończenie niedawnej kawalkady. Przystanęliśmy, żeby jeszcze raz głębę zwilżyć, tym razem na stojąco, plecami o mur oparci, przed niewielką gospódką w bramie, co się z czterech stołów składała, a prowadził ją pewien staruch kaleka. Przed naszymi oczami – tym razem sączyliśmy rzeźwego i przedniego klareta – przedefilował zrazu strażnik miejski, a za nim sznur złożony z pięciu rano sprzedanych jeńców, trzech mężów i dwóch niewiast, których nowy pan, człek na czarno odziany, z kryzą i rapierem, wiódł pod eskortą do nowego domostwa z miną urzędnika, co to sownie się wzbogacił na ograbianiu z żołdu tych, którzy karku byli nadstawiali, żeby ludzi tych porwać. Wszyscy jeńcy, niewiasty wliczając, mieli już piętno na licach wypalone żelazem w kształcie litery S i znaku gwoździa<sup>54</sup>, i szli oto ze spuszczoneymi łbami ku



swemu przeznaczeniu. Znakowanie takie było zbyteczne, niejeden uważał obyczaj ów wręcz za przestarzały a okrutny, aliści sędziowie zezwalali panom na piętnowanie niewolników gwoli łacniejszego rozpoznania, gdyby który zbiegł. Widziałem, że kapitan odwrócił z niesmakiem rozsierdzone oblicze od tego widoku, a i mnie przyszło na myśl znamię, jakie nie rozżarzoną żelazem, a zimną stalą uczyniłbym właścicielowi owych nieszczęśników, gdybym miał sposobność podejść doń z mym lewakiem. I życzyłem mu w duchu, żeby podczas powrotu na Półwysep dopadł go jaki korsarz berberyjski i żeby szczył w łaźniach algierskich, na amen zagrzmiony kijami. Chociaż – zaraz zmiarkowałem – ludzie jego pokroju mają wystarczająco dużo środków, by się zaraz z niewoli wyłgać. Biedne wojsko jeno i lud prosty, czego dowodem tysiące nieszczęśników porwanych na morzu i na hiszpańskim wybrzeżu, gnili w Tunisie, Bizercie, Trypolisie i Konstantynopolu, bo nikt złamanego szeląga na ich wykupienie nie wyłożył.

Takim to dumaniem pochłonięty spostrzegłem atoli, że ktoś, co wprzód przeszedł mimo nas, przystanął teraz nieopodal i jął baczenie na nas dawać. Przyjrzałem mu się i rozpoznałem w nim owego Almogataza, co kapitanowi Alatryste pośpieszył był z pomocą podczas zajścia z dwoma szubrawcami w Uad Berruch. Odziany był wciąż niezmiennie: burnus w szare paski, ogolony łeb z wojowniczym kosmykiem z tyłu miał odkryty, a rehę, to jest klasyczny turban Arabusów, owinał sobie bezładnie wokół szyi. Długą dzambię, której dotknięcie jeszcze czułem na gardzieli – aż gęsia skórka przechodziła – trzymał schowaną za pasem w skórzanej pochwie. Obróciłem się ku kapitanowi Alatryste gwoli zwrócenia jego uwagi, alem zmiarkował, że sam go był spostrzegł, lubo słowem znać nie dał. Popatrywali tak na się nawzajem w milczeniu z odległości jakich sześciu, siedmiu kroków, Almogataz cały ten czas spokojnie stał sobie śród

tłumu, dumnie i nie spuszczać wzroku, rzekłbyś – na coś czekał. Nareszcie kapitan uniósł dłoń i dotknął róna kapelusza, skłaniając przy tym lekko głowę. U człeka i żołnierza jego pokroju było to znacznie więcej niżli zwykła kurtuazja, osobliwie gdy kierował ów gest w stronę Maura, chociażby i Almogataza i hiszpańskiego sojusznika. Tamten atoli przyjął go z całą naturalnością, jakby mu się snadź należał, odpowiedział bowiem spokojnym skinieniem głowy, za czym z niezmaconym spokojem ruszył w dalszą drogę – ja wszelako miałem wrażenie, że nieco dalej, w końcu uliczki, zatrzymał się na nowo w cieniu arkady.

– Odwiedzmy Fermina Malacalzę – podsunął myśl Copons kapitanowi.  
– Twój widok go ukontentuje.

Niejaki Malacalza, którego dotychczas nie poznał, był dawnym druhem obydwu weteranów – starym wiarusem z garnizonu orańskiego, z którym niegdyś dzielili byli niebezpieczeństwa i niedole we Flandrii; kapral Malacalza zawiadywał kuchnią polową w oddziale, do którego trafili Alatryste, Copons i Lope Balboa, to jest mój rodzic. Jak powiadał Copons, Malacalza, bardzo już sterany życiem, dotknięty chorobami i zwolniony ze służby z racji inwalidztwa, ostał się w Oranie, tu bowiem miał rodzinę. Dawny weteran klepał biedę jak wszyscy, a wiązał koniec z końcem jeno dzięki pomocy, jakiej udzielało mu kilku dawnych druhów. Śród nich i Copons, który zawsze, ilekroć trafem jakimś znalazł w kieszeni kilka marawedi, cichaczem gubił je w domu pocziwca, byle lubo trochę mu pomóc. Tak też było i tym razem, a pomyślną sposobnością było, iż Malacalza, będąc żołnierzem tutejszego garnizonu, lubo już od służby wolnym, miał prawo do niewielkiej części łupu, jakiśmy byli przywieźli z Uad Berruch. Aragończykowi przypadło w udziale dostarczenie mu owej, acz podejrzewam, że wzbogacił ją o własne zaskórniaki.

– Maur nas śledzi – rzekłem do kapitana Alatryste.

Przechodziliśmy nieopodal domu Malacalzy, wąską i podłą uliczką w górnej części miasta, gdzie mężczyźni na progu domów siedzieli, a dziatwa bawiła się wśród brudu i odpadków. W istocie zasię Almogataz, zatrzymawszy się wprzódzi w pobliżu gospody, szedł teraz naszym śladem w odległości jakich dwudziestu kroków, nie zbliżając się zbyt, ale też swej obecności nie kryjąc. Na me słowa kapitan zerknął szybko przez ramię.

– Ulica jest dla wszystkich – odparł po chwili.

Osobliwe – myślałem – że Maur chodzi sobie swobodnie po zachodzie. Tak w Oranie, jak i w Melilli skrupulatnie tego zakazu przestrzegano gwoli zapobiegania nieprzyjemnym siurpryzom. Po zawarciu bram miasta wszyscy krom kilku uprzywilejowanych opuszczali miasto i kierowali się do swych domostw nad strumieniem Ifre lub do innych osad, gdy mowa o tych, co warzywami, mięsem i owocami kupczyli. Pozostali zamieszkiwali w ściśle strzeżonej dzielnicy mauretańskiej w pobliżu zamku, skąd wychodzili dopiero rankiem dnia następnego. Ten osobnik atoli szedł sobie jak gdyby nigdy nic, z czego wniosłem, że znany jest tu i glejt ma w porządku. Co jeszcze mocniej ciekawość mą podnieciło, przestałem wszelako łeb sobie nim zaprzętać, bośmy właśnie doszli do domu Fermina Malacalzy, a nie zapomniałem przecie, że to dawny druh ojca mego, podobnie jak kapitan i Copons. Gdyby Lope Balboa nie odumarł nas od paskudnego postrzału z arkebuza pod murami Jülich, może wiódłby później smutny los człeka, którego syn jego właśnie ujrzał przed sobą: posiwiąłego i wychudłego wyrzutka, zjedzonego przez nędzę i pięćdziesiąt długich lat, co ciągnęły się jak sześćdziesiąt (z czego siedemnaście przeżył w samym Oranie), chromego na jedną nogę, o skórze barwy brudnego pergaminu, na domiar pomarszczonej i bliznami okrytej. Jedyłą rzeczą, która w tym wszystkim żywą się jawiła, były oczy, snadź nawet wąs weterana pokryła

matowa siwizna. I właśnie owe oczy rozbłyły radością, gdy człek siedzący u wnijscia do swego domostwa uniósł wzrok i uśmiech kapitana Alatryste przed sobą ujrział.

– Na Belzebuba, jego taką owaką mać i wszystkich czarcich lutrów!

Domagał się, byśmy opowiedzieli mu zaraz, co nas w te strony sprowadza, oraz byśmy familię jego poznali. W niewielkiej i mrocznej izbie, marnie oświetlonej na pół wypaloną lampką oliwną, woniało stęchlizną i zjełczalym jadem. Na ścianie wisiał bojowy rapier o szerokiej gardzie i wielkich jelcach. Po podłodze łąziły dwie kury, okruchy chleba dziobiące, a wedle kadzi z wodą kocur łapczywie pożerał schwytaną mysz. Po latach na berberyjskiej ziemi spędzonych, nadzieję na powrót utraciwszy przed końcem służby, Malacalza w końcu ożenił się z Mauretanką, którą kupił był po jednej z kawalkad, za czym ochrzcić ją kazał, ta zaś dała mu pięcioro drobiazgu, który teraz wesoło biegał boso i w łachmanach, wyskakując wszędy i zaraz znikając.

– Nuże...! – zawołał na żonę. – Wina przynieś!

Zaoponowaliśmy, od Salki snadź wyszliśmy już nieco przymroczeni, zahaczając jeszcze o gospodę, ale stary wiarus ani myślał słuchać. Może i wszystkiego tu nie dostaje – perorował, kuśtykając po swej jedynej izbie, rozwijając matę z ostnicy i taborety ku stołowi przysuwając – aliści nigdy zbraknąć nie może szklanicy wina, którym dwóch dawnych druhów przepłucze sobie to i owo. A nawet trzech – poprawił się, gdy rzekli mu, że jest synem Lopego Balboi. Chwilę później pojawiła się niewiasta, młoda wciąż, ale już kolejnymi porodami i robotą zniszczona, ciemna na licu i korpulentna, z włosami w warkocz upiętymi. Odziana była na hiszpańską modłę, lubo papucie i srebrne bransolety nosiła, a na wierzchu dłoni widać u niej było sine tatuaże. Zdjąwszy kapelusze, siedliśmy wokół kulawego stołu z prostej deski sosnowej, Mauretanka zaś połała nam wina

z karafy do niejednakich, wyszczerbionych szklanic, po czym wycofała się na powrót do kuchennego kąta, słowa nie wyrzekłszy.

– Wygląda na poczciwą niewiastę – zauważył uprzejmie kapitan.

Malacalza gwałtownie skinął głową. '

– Czysta jest i uczciwa – odparł krótko. – Z lekka nazbyt żywa na umyśle, ale posłuszna. Jej plemię dobre żony wydaje, jeśli tylko baczenie na nie mieć będziesz... Już i niejednego mogłyby się od nich Hiszpanki nauczyć, co tak nosa zadzierają.

– W samej rzeczy – rzucił posepnie kapitan.

Wychudzony dzieciak trzy-, może czteroletni, o czarnych kędziorach, podszedł nieśmiało, przykleił się do ojca, który ucałował go czule i posadził sobie na kolanach. Pozostała czwórka, z której najstarsze mogło mieć najwyżej lat dwanaście, przypatrywała nam się od drzwi. Chodziły boso, kolana miały zbrukane. Copons położył garść monet na stole, na które weteran zaraz spojrzął, zgoła ich nie tykając. Uniósł na koniec wzrok na kapitana Alatryste i mrugnął okiem.

– No i widzisz, Diego – sięgnął po szklanicę, przysunął do ust, a drugą ręką zatoczył, wskazując na pomieszczenie. – Królewski weteran. Trzydzieści pięć lat na służbie, czterokrotnie ranion, w kościach łupie – klepnął się po okaleczonym udzie – i jeszcze ten szwank w nodze... Niezła nobilitacja jak na człowieka, co zaczął być (pamiętasz?) we Flandrii, kiedy ani ty, ani ja, ani Sebastián, ani nieszczęsny Lope, niech spoczywa w spokoju – tu uniósł nieco naczynie w moją stronę w geście hołdu – jeszcze nawet golić nie mieliśmy czego.

Gadał bez szczególnej goryczy, głosem zrezygnowanym, tak naszej profesji właściwym. Jak ktoś, kto mówi to, co i tak każdy wie. Kapitan pochylił się ku niemu.

– Czemu do kraju nie wrócisz?... Ty mógłbyś.

– Wracać? A do czego...? – Malacalza gładził synka po czuprynie. – Miałbym kuleć na pokaz pod kościołem i o jałmużnę zebrać, jak tyłu innych?

– Do swojej wsi. Z Nawarry jesteś, prawda?... Z doliny Baztan, o ile pamiętam.

– Tak, z Alzate<sup>55</sup>. Ale cóż miałbym tam zrobić...? Nawet jeśli, w co wątpię, ktokolwiek mnie pamięta, to już widzę, jak sąsiedzi palcami mnie wytykają, gadając, o, następny, co się był zarzekał, że wróci bogaty i z tytułem, a wraca ubogi i pokiereszowany i bieda–zupę kątem u zakonnic spożywa... Tu przynajmniej zawsze kawalkada się zdarzy, a i na pomoc stary weteran z rodziną liczyć może, choćby i skromną. Poza tym widziałeś moją połowicę – pogładził malca po policzku i wskazał na pozostałe, u drzwi stłoczone. – I te brzdące... Nie dozwolę, żeby familia pojechała tam, gdzie szpiedzy Świętego Oficjum szepczą ci za plecami, a sami inkwizytorzy do garbu się człękowi dobierają. Wolę już tak. Tu jest czyściej... Pojmujesz?

– Pojmuję.

– Zresztą mam tu druhów. Ludzi jak ty, jak Sebastián, jak ja sam, z którymi można pogawędzić... Można zejść do portu pogapić się na galery albo pójść ku bramom miasta, kiedy przybywa albo wyjeżdża wojsko... Zajdziesz czasem do koszar, to i szklanicę ci postawi taki, co jeszcze cię pamięta, na paradę żołnierską popatrzysz, we mszy polowej udział weźmiesz, honor chorągwiom oddasz... jakbyś ciągle służył. I tęsknicę łacniej poskromisz.

Tu na Coponsa popatrzył, chcąc usłyszeć słowa potwierdzenia, Aragończyk skinął więc lekko głową, lubo słowa nie wyrzekł. Malacalza ponownie łyk wina pociągnął, a na wargach jego zamajaczył ślad uśmiechu. Takiego, co to wielkiej odwagi trzeba, by się nań zdobyć.

– Co więcej – ciągnął – inaczej niżli na Półwyspie, tu nigdy nie jesteś na amen zwolniony. Jakbyś był w oddziałach zapasowych, wiesz? Niekiedy Maur na nas się wyprawia i mamy tu regularne oblężenie, a nie zawsze posiłki nadchodzą. I podówczas każda ręka się przydaje na murach i bastionach, toteż nawet kaleki znajdują zatrudnienie.

Tu przerwał, przytknął palce do posiwiałych wąsów i oczy przymrużył, jakby przywołując przyjemne widoki. Za czym otworzył je na powrót i jął się z melancholią przyglądać broni na ścianie wiszącej.

– I wtedy to – dodał – przez kilka dni wszystko na powrót jest takie jak ongi. A nawet przydarzyć się i tak może, że Maury natrą skutecznie i umrzesz jak wojak prawdziwy... Albo były wojak.

Głos mu się odmienił. Gdyby nie dzieciak, którego na kolanach trzymał, i te, co we drzwiach stały, rzekłbyś, że łącznie przystaliby na taką sposobność nawet najbliższej nocy.

– Nie jest to złe wyjście – przyznał kapitan.

Malacalza spojrzał nań przeciągle, jakby z daleka wracał.

– Stary już jestem, Diego... Wiem, do czego zdolni są Hiszpania i jej ludzie. Tu przynajmniej mnie znają. W Oranie, będąc żołnierzem, nadal jesteś kimś. Tam atoli za grosz mają nasze wysługi i dokumenty, pełne nazw, które dawno zapomnieli, jeśli w ogóle kiedyś je byli poznali: reduta Caballo, szaniec Durango... Powiedz, co obchodzi jakiegoś pisarczyka, sędziego, urzędnika królewskiego, sklepikarza albo mnicha, czy na plaży Nieuwpoort wycofywaliśmy się w spokoju, z chorągwiami na sztorc, nie łamiąc szyku, czy też czmychaliśmy jak zające...

Urwał i polał resztkę wina, jaka ostała się w dzbanie.

– Spójrz na Sebastiána. Milczy jak zwykle, ale przecie rację mi przyzna. Patrz, jak kiwa głową.

Położył prawicę na blacie wedle dzbana i przyglądał jej się bacznie: była chuda, koścista, na nadgarstku i knykciach pokryta śladami po dawnych sztychach, jako i ręce Coponsa i kapitana.

– Reputacja... – wymamrotał.

Zapadła długa chwila milczenia. Nareszcie Malacalza znowu wino do ust podniósł i zaśmiał się gorzko.

– I otom jest, jak powiadam. Dzielny weteran króla Hiszpanii.

Popatrzył na nowo na monety leżące na stole.

– Wino się skończyło – rzekł raptem ponuro. – I macie jeszcze sprawy do załatwienia.

Podnieśliśmy się, sięgając po kapelusze, nie wiedząc, co rzec. Malacalza siedział dalej.

– Nim wyjdziecie – dodał – chcę przy was dać świadectwo owej karcie służby, o którą nikt nie dba: Calais... Amiens... Bommel<sup>56</sup>... Nieuwpoort... Ostenda... Oldensel... Linghen<sup>57</sup>... Julich... Oran... Amen.

Z każdą nazwą brał kolejną z tych niewielu monet ze stołu, patrząc w przestrzeń niewidzącym wzrokiem. Nareszcie wrócił do siebie, zważył je w dłoni i wrzucił do kieszeni. Za czym ucałował synka, nadal na kolanach mu siedzącego, zestawiał go na podłogę i sam powstał chorą nogą, ze szklanicą w ręku.

– I jeszcze za króla, niech go Pan Bóg strzeże.

Gdy wyrzekł te słowa, nadziwić się nie mogłem, że nie było w nich śladu żółci ni ironii.

– Za króla – powtórzył kapitan Alatryste. – Pomimo króla, czy kto tam króluje.

Wychyliliśmy do dna we czterech, oblicza kierując ku staremu rapierowi, co na ścianie wisiał.



\* \* \*

Gdyśmy wyszli z domu Fermina Malacalzy, było już po zmroku. Szliśmy ulicą, oświetlani jeno poblaskiem, co przez drzwi otwarte padał z domostw, w których majaczyły ciemne kształty siedzących mieszkańców, albo też światłem świec i gromnic, płonących w niszy pod obrazkiem świętym. W tym momencie jakaś sylwetka powstała w mroku, gdzie dotąd zdawała się czekać w kucki. Tym razem kapitan, miast jeno popatrzeć nań przez ramię, zdjął napierśnik, na plecy narzucony, gwoli lepszemu dostępu do rapiera i lewaka. Za czym, mnie i Coponsa mając za plecami, zbliżył się bez dalszych ceregieli do mrocznej postaci.

– Czego szukasz? – rzucił z miejsca.

Tamten z niezmaconym spokojem przesunął się trochę w kierunku światła. Uczynił to z rozmysłem, chcąc może, żebyśmy lepiej go widzieli, co rozpędziłoby nasze obawy.

– Nie wiem – odrzekł.

Tej zdumiewającej odpowiedzi udzielił hiszpańszczyzną równie nienaganną jak kapitańska, Coponsa czy moja.

– Owóż igrasz z ogniem, idąc tak za nami.

– *Uar*. Chyba nie.

Wyrzekł to głosem nader siebie pewnym, bez cienia strachu, patrząc przy tym kapitanowi prosto w oczy. Ten przygładził wąsa dwoma palcami.



Na lewym policzku widać było wytatuowany krzyż o ramionach zakończonych małymi rombami.

– Bo?

– Ocaliłem ci życie.

Spojrzałem kątem oka na mego dawnego pana, tusząc, że owo tykanie w gniew go wprowadziło. Wiedziałem, że zabić może, gdy kto doń per „ty” albo „acan” zamiast „waszmość” się zwróci. A przecież, ku wielkiemu

z dumieniu memu, dalej jeno patrzył Almogatazowi w oczy, bez śladu urazy. Za czym sięgnął do torby i w tym samym momencie tamten cofnął się o krok, jakby zniewagę przeżywał.

– Tyle warte jest życie dla ciebie? *Zienaashin*?... Pieniądze?

Ni chybi był to Maur wykształcony. Nie byle Arabus, swoje snadź był przeżył. Teraz lepiej widać było jego oblicze, z boku padało nań światło z pobliskiej niszy, migocząc w srebrnych kolczykach, co z uszu mu zwisały: skórę miał nie nazbyt ciemną, brodę miejscami rudą, a nade wszystko długie, rzekłbyś – niewieście rzęsy. Na lewym policzku widać było wytatuowany krzyż o ramionach zakończonych małymi rombami. Srebrna bransoleta zaśniła mu na dłoni, którą właśnie otworzył i uniósł gwoli pokazania, że niczego w niej nie ma i że nie kwapi się do ostrej broni, co ją za pasem trzymał.

– Tedy pójdz swoją drogą, a my pójdziemy swoją.

Odwróciliśmy się i ruszyliśmy w dół ulicy, gdzie skręciliśmy za róg. Tam zerknąłem za siebie i zmiarkowałem, że Maur dalej nas nie odstępuje. Pociągnąłem lekko za napierśnik kapitana Alatryste, zwracając i jego uwagę. Copons już za lewak sięgał, aliści kapitan zatrzymał jego rękę, za czym ją powoli w kierunku Almogataza, chcąc snadź ułożyć sobie słowa.

– Słuchaj no, Maurze...

– Zwę się Aiszah ben Gurriat.

– Wiem, jak się zwiesz, już mi powiedział w Uad Berruch.

Trwali chwilę bez ruchu, wzrokiem się badając, a my z Coponsem popatrywaliśmy na nich nieco z tyłu. Dłonie Almogataza pozostawały wyraźnie daleko od dzambii. Ja zaś, z dłonią wspartą na rękojeści rapiera, pilne baczenie dawałem, by w razie najmniejszego podejrzanego ruchu przygwoździć psubrata do muru. Kapitan wszelako nie podzielał mego niepokoju. Na koniec zatknął kciuki za pas, zerknął w jedną stronę, w

drugą, obrócił się na moment ku Coponsowi i ku mnie, by nareszcie wesprzeć się o ścianę obok Maura.

– Dlaczego wszedłeś podówczas do tego namiotu? – zagadnął.

Tamten zwlekał z odpowiedzią.

– Posłyszałem wystrzał. Jużem wcześniej był widział cię w bitwie i zdałeś mi się dobrym *imyahad*... Dobrym wojownikiem... Na własną głowę klnę się, że tak było.

– Ja nie wtrącam się w cudze sprawy.

– Ani ja. Atoli wszedłem i ujrzałem, że bronisz arabskiej niewiasty.

– Arabka, nie Arabka, wszystko jedno. Tamtych dwóch ustąpić nie chciało, a gardłowali wielce zuchwale o swych przywilejach... Niewiasta to już mniejsza.

Tamten strzelił językiem.

– *Tidt*. Prawda... Ale mogłeś patrzeć w inną stronę albo do triumfujących dołączyć.

– Jako i ty. Zabijając Hiszpana, postawiłeś na kartę, co niechybnie mogła przyzdobić ci szyję powrozem, gdyby wieść się rozniosła.

– Atoli się nie rozniosła... Szczęście.

Obydwaj chwilę milczeli, bacznie się sobie przypatrując, rzekłbyś, że w duchu rachują, który więcej drugiemu zawdzięcza – Almogataz kapitanowi, który niewiastę jego plemienia osłonił, czy kapitan jemu zasię, bo ten mu życie ocalił. A Copons i ja zerkaliśmy jeno na nich, sceną ową i rozmową zadziwieni.

– *Saad* – mruknął kapitan w powszechnie używanej lingua franca.

Wyrzekł to w zadumie, jakby powtarzał ostatnie słowo przez Almogataza wypowiedziane. Ten uśmiechnął się z lekka i przytaknął. , – W mojej mowie mówi się *al-chadar* – nadmienił. – Szczęście i los tą samą są rzeczą.

– Skąd jesteś?

Maur machnął ręką i wskazał nieokreśloną dal.

– Stamtąd... Z gór.

– Z daleka?

– *Uah*. Z daleka i z wysoka.

– Mogę coś dla ciebie uczynić?

Tamten ramionami wzruszył. Dumął.

– Jestem *zuav*<sup>58</sup> – rzekł nareszcie, jakby to miało wszystko wyjaśnić. – Z plemienia Beni Barrani.

– A biegle kastylijskim władasz.

– Matka moja narodziła się jako *zarumi*, chrześcijanka. Była Hiszpanką z Kadyksu... Porwano ją za młodu i sprzedano na plaży w Arzew, opuszczonym miasteczku nad morzem siedem mil stąd na wschód, przy szlaku na Mostaganem... I tam mój dziad kupił ją dla ojca mego.

– Zadziwia mnie ten krzyż, na twym obliczu wytatuowany. Zadziwia mnie krzyż u Maura.

– Stara historia... Zuawowie pochodzą od chrześcijan, z epoki, gdy byli tu jeszcze Wizygoci, a my nosimy go jako *isbah*<sup>59</sup>, jako dobre imię... Dlatego to dziad mój szukał Hiszpanki dla swego syna.

– I dlatego walczysz z nami przeciwko innym Maurom?

Almogataz wzruszył obojętnie ramionami.

– *Al-chadar*. Taki los.

Co rzekłszy, zamilkł na moment i pogłaskał się po brodzie. Za czym, wierę, uśmiechnął się lekko, myślami bujając z dala od nas.

– Beni Barrani znaczy syn cudzoziemca, rozumiesz?... To plemię ludzi, którzy swego kraju nie mają.

\* \* \*

Tak oto właśnie, w Oranie po kawalkadzie do Uad Berruch, w roku dwudziestym siódmym kapitan Alatryste i ja poznaliśmy najemnika Aiszaha ben Gurriata, na którego Hiszpanie orańscy mówili Maur Gurriato – imię owego szlachetnego człeka jeszcze nie raz przewinie się w mych opowieściach. Żaden z nas nie był podówczas tego w stanie przewidzieć, ale owej nocy narodziła się przyjaźń siedem lat trwająca, u schyłku których nastął złowrogi dzień wrześniowy roku trzydziestego czwartego, kiedy to Maur Gurriato, kapitan i ja we własnej osobie, a z nami pospołu siła innych kompanów, biliśmy się ramię w ramię na przeklętym wzgórzu Nördlingen<sup>60</sup>. Tam właśnie regiment Idiaqueza, niby skała niewzruszony, przez sześć godzin nieustępliwie odpierał jeden za drugim piętnaście szwedzkich ataków, a dzielny Maur, po tylu wspólnie z nami przeżytych podróżach, niebezpieczeństwach i przygodach, umierał na naszych oczach jako wierny wiarus hiszpańskiej piechoty. Bronił nie swojej wiary i cudzej ojczyzny, w złudnej nadziei, że kiedyś może dożyje i własnej. A na koniec padł jak tyłu innych za niewdzięczną i skąpą Hiszpanię, co nigdy nie dała mu nic w zamian, atoli której z sobie jeno znanych powodów Aiszah ben Gurriat z plemienia Zuavów Beni Barrani postanowił był służyć wiernie niby złowrogi a wierny wilk – aż do śmierci. A uczynił był to w sposób najbardziej w świecie osobliwy – wybrawszy kapitana Alatryste za druha swego.

\* \* \*

Dwa dni później, gdy „Mulata” berberyjski brzeg za sobą ostawiła i wzięła kurs na Cartagenę pod wiatr – wiała tramontana, cztery rumbi na mistral – Diego Alatryste miał nader dużo czasu, ażeby Maurowi Gurriato

się przyjrzeć, ten bowiem siadł do wiosła w piątej ławie z prawej strony, tuż wedle pierwszego galernika. Siedział bez kajdan z tytułu tego, co na galerach zwane jest „błona woja” – słowa te wzięte były z włoskiego *buonavoglia*<sup>61</sup>, a oznaczały załogę dobrowolną, portowe szumowiny albo ludzi, których rozpacz pędzi na morze; ci do wiosła się najmowali dla zapłaty (tych na tureckich galerach zwano murłakami, czyli szakalami<sup>62</sup>), czyniąc tedy to samo na wodzie, co inni na lądzie, gdy uciekali się pod osłonę ołtarza. Tak też uczynił i Almogataz, w jednej chwili decydując się wędrować dalej społem z kapitanem Alatryste i społem z nim szukać szczęścia. Uregulowaliśmy też sprawę zwolnienia Sebastiána Coponsa – sierżanta Biscarruésa zdołało ukontentować pół tysiąca dukatów w czystym złocie oraz zaległy żołd naszego druha – a w pludrach Diega Alatryste jeszcze brzęczało kilka ślicznych eskudów, co mogło się przydać, gdyby nasmarować czyjeś inne jeszcze dłonie przyszło. Aliści taka potrzeba już nie zaszła.

Almogataz własne miał zasoby, których pochodzenia zdradzić się nie kwapił, rozsypawszy zasię chustę przytroczoną do szarfy w pasie, uwolnił stamtąd kilka monet w srebrze, które – lubo w Algierze, Fezie i Tilimsan tłoczone – zdołały przekonać bosmana i strażnika galery, żeby przyjęli go na pokład na stosownych po temu warunkach. Opatrznościowa okazała się w tej mierze atestacja chrztu świętego, kaduk wie skąd wydobyta, której nikt nie śmiał kwestionować, lubo równie prawdziwą była co pocałunek Judaszowy. Wystarczyła atoli do wpisania go do księgi bosmańskiej – pod nazwiskiem Gurriato de Orán – i wyznaczenia miesięcznego żołdu w wysokości jedenastu reali. I od owej pory Almogataz, przecież nowy katolik i prosty galernik, stał się raptem wiernym katolikiem i ochotnym poddanym króla Hiszpanii – tym zasię przedziwnościom sam zainteresowany nie śmiał kłamu zadawać: będąc człkiem przezornym i

przemysłnym, kompleksję swą do nowej sytuacji dostosował, zgolił kosmyk z czerepu, czyniąc go teraz gładkim jak u każdego innego galernika, a swe mauretańskie sandały, turban, kaftan i szarawary zamienił na nasze pludry, koszulę, beret i czerwony kaftan hiszpański. Ze swego poprzedniego stroju zachował jeno dżambię, jak zwykle za pas zatkniętą, i burnus w szare pasy, w który zwykł się zawijać na noc albo na czas niepogody, gdy – jak w owej właśnie chwili – wiatr pomyślny uwalniał go od pracy wiosłem. Zasię w kwestii tatuazu na obliczu i kolczyków, nasz Almogataz nie był jedynym, co podobne ozdoby światu okazywali.

– Maur–dziwo – mruknął Sebastián Copons.

Siedział w cieniu foka, radując się, że Oran daleko za plecami ostawia. Wydęte na wschód płótno i naprężone reje sprawiały, że maszt za jego plecami skrzypiał co i raz przy każdym porywie wiatru i na każdej fali.

– Nie różni się od ciebie czy mnie – odparł Alatryste. Przez cały dzień już obserwował Almogataza gwoli przeniknięcia go na wskroś. Z tej perspektywy Maur ledwie odznaczał się od reszty załogi: więźniów, jeńców, tłuszczy, co klepała sardynki nie z własnej woli, skuta żelastwem za stopę albo za nadgarstek. Niewielu wśród nich należało do „błon woja”, co wiosłowali z potrzeby albo ochoty: na dwustu „Mulata” liczyła ich ledwie pół tuzina. Do nich snadź dodać musimy ochotników przymuszonych, która to sprzeczliwość da się wyjaśnić arcyhiszpańsko faktem, że z braku ludzi na galerach królewskich (nader podobna sprawa, jak z żołnierzami w twierdzach berberyjskich) co poniektórym galernikom po odpracowaniu wyroku nie zezwalano odejść na swobodę, jeno zatrudniano ich za zapłatą na tej samej ławie. Wprzódzi czyniono tak, dopóki nowi skazańcy załogi nie zasilili, ale to nie zdarzało się rychło, bywało tedy, że dawny więzień, przewiosłowawszy dwa, pięć, czasem wręcz osiem i dziesięć lat – ten



ostatni wyrok mało kto przeżywał, równał się bowiem dożywociu – dalej przez wiele miesięcy albo i lat czynił to samo, bez nijakiej nadziei.

– Bacz – powiedział Copons. – Nie drgnie nawet, gdy tamci robią swój salat... Rzekłbyś, zaiste nie jest od nich. W owej chwili wiosła leżały unieruchomione z racji przychylnego wiatru, przeto skazańcy i „błony woja” próżnowali. Galernicy pokładali się na ławach, pofolgowanie potrzebom dawali przez burtę i w wychodkach dziobowych, iskali się wzajemnie z wszy, cerowali szatki albo rozmaite prace wykonywali dla marynarzy i żołnierzy. Zaufanym jeńcom zezwalano, po rozkuciu, przechadzać się po pokładzie, odzienie w morzu poprać albo pomóc kuchcikowi w gotowaniu bobu we wspólnym kotle, co bulgotał na bakburcie, między głównym masztem a tylnym mostkiem. Dwa tuziny galerników – omalże połowa Turków i Maurów, co za wiosłami się trudzili – skorzystało ze sposobności, by kolejną z pięciu modlitw dziennych odmówić z gębą ku wschodowi na klęczkach, raz po raz prostując się i schylając na swych ławkach: *la ilaha illa Allah wa Muhammadan abduhu wa rasuluhu* – powtarzali chórem, czyli „nie ma boga prócz Allacha, a Mahomet jest Jego prorokiem”. Żołnierze i marynarze, zajmujący miejsca na burtach, przy balistach i na pokładzie, nie czynili im przy tym wbrew. A i pojmane psubraty nie szemrały, jeżeli na horyzoncie żagiel się pokazał albo wiatr się odmienił i padał rozkaz, żeby wiosła moczyć, za czym zaraz śmigał kańczug bosmański, przerywając modły i zapędzając kompanię całą do pracy, do miarowego dźwięczenia łańcuchami. Na galerze każdy znał dobrze tutejsze obyczaje i prawidła.

– Nie jest od nich – przyznał Alatryste. – Wierę, że istotnie znikąd nie jest, jako gadał.

– A historia, że miał jakoby w plemienu chrześcijańskich antenatów?

– I to być może. Widziałeś krzyż na gębie. Wczoraj wieczorem prawili o jakimś dzwonie z brązu, w pewnej jaskini skrywanym... A u Maurów nie masz dzwonów. Prawdą jest, że w czasach Wizygotów, kiedy kraj najechali Saraceni, niektórzy nie zaparli się wiary, jeno w górach się ukryli... Po tylu wiekach religii mogli zapomnieć, ale coś niecoś zachowali. Obyczaje, wspomnienia... Wszak ma rudą brodę, jakieś widział.

– Może być, że to po matce chrześcijańskiej.

– Może... Ale przypatrz mu się. W oczy się rzuca, że nie uważa się za Maura.

– Ani za chrześcijanina, niech to w kizkę.

– Nie pierdolże, Sebastián. Ile razy przez ostatnie dwadzieścia lat byłeś w kościele?

– Tyle razy, ile nie dało się tego uniknąć – przyznał Aragończyk.

– A ile przykazań złamałeś, od kiedyś się do wojska zaciągnął?

Tamten policzył na palcach z powagą.

– Wszystkie – wymamrotał.

– A przeszkadza ci to w dobrej służbie twemu królowi?

– Przebóg!

– Sam widzisz.

Diego Alatryste jął dalej przypatrywać się Maurowi Gurriato, który siedział na odsadni po swojej burcie i kontemplował widok morza, nogi zwiesiwszy nad samą wodę. Almogataz, jak sam był wyznał, pierwszy raz w życiu znalazł się na pokładzie, ale treści żołądka przecież nie zwrócił jak inni, lubo przy słabym wietrze galera rozkołysała się na fali zaraz po tym, jak krzyż na fortecy Mazalquivir ostawiliśmy za sobą. Sposób podsunął mu był ponoć pewien *bahari*<sup>63</sup> – wystarczyło przyłożyć ususzony płatek szafranu na pierś.

– Ani chybi życie go doświadczyło – dodał Alatryste. – Umie się dostosować.

Copons jęk wydał z siebie.

– Nawet nie mów. Dopiero patrzeć, jak sam za burtę rzuciłem pawia... – uśmiechnął się krzywo. – Nawet tego nie chciałem zabierać ze sobą z Oranu.

Skinął głową Alatryste. W swoim czasie on także mnogo się nacierpiął, kiedy przyszło do ciężkiego życia na galerach przywyknąć: do braku miejsca i samotności, do pogryzionych przez myszy sucharów, pełnych robactwa, twardych i marnie popitych, do podgniętej i mdłej wody, do wrzasków marynarzy i fetoru załogi, do świądu doznanego od pranego w słonej wodzie odzienia, do niespokojnego snu na dechach i tarczy miast poduszki, do ciała łącno na słońce, skwar i ulewę wystawionego, jako i na chłodne noce na morzu, które o złe humory we krwi albo głuchotę mogły przyprawić, skoro głowy nigdzie nie można było schować. Nie wspominając już o nudnościach przy podlejszej pogodzie, wściekłych sztormach i niebezpiecznych terminach wojennych, kiedy to bić się trzeba było na kruchych deskach, co pod stopami w chybot nieustanny wpadały, to zasię groziło upadkiem prosto w odmęt. A wszystko to pospołu z gromadą galerników, to jest najgorszej kompanii pod słońcem; jeńców, skazanych heretyków, fałszerzy, ubiczowanych więźniów, krzywoprzysięzców, sprzedawczyków, szulerów, wiarołomców, stręczycieli, rabusiów, nożowników, cudzołożników, bluźnierców, skrytobójców i złodziei, którzy nigdy nie rozstawali się z kośćmi albo zatłuszczoną talią kart. Nie żeby żołnierze czy marynarze od nich lepsi byli, ilekroć bowiem na ląd schodzili – w Oranie jednego przyszło powiesić dla przykładu – potrafili każdy kurnik splądrować, każdy sad spustoszyć, każde wino wyżłopać, każdą strawę i przyodziewek uprzątnąć, każdą niewiastę pohańbić, każdego

wreszcie łajdaka pognać albo i zakłuć. Bo do galer – jak stare powiedzenie głosiło – ciągnął zawsze łotrów szpaler.

– Naprawdę sądzisz, że do żołnierki się nada?

Copons przyglądał się wciąż Maurowi Gurriato, jako i Alatristemu. Kapitan przywołał na oblicze beznamiętny grymas.

– A kto go wie? Na razie świat poznaje, jak sobie umyślił.

Aragończyk pokazał ręką pokład galerniczy, za czym nader wymownie przytknął palec do nosa. Gdyby nie wiatr, co żagle nadymał, fetor tłuszczy stłoczonej wśród wiosł, bloczków i tobołów, oraz to, co z zęzy dobiegało, czyniłyby oddychanie rzeczą niemal ponad siły.

– Z tym poznawaniem świata toś przesadził, Diego.

– Wszystko w swoim czasie.

Copons, nadal nieufny, podparł się łokciami o deskowanie.

– A po cośmy go wzięli? – zapytał nareszcie.

Alatriste wzruszył ramionami.

– Nikt go nie brał. Może sam iść, dokąd zechce.

– A nie jest dziwne, że nas na druhow wybrał, tak ot sobie?

– Nie tak znowu ot... Ruszże głową, do kroćset. To druhowie wybierają ciebie.

Jeszcze chwilę patrzył na Almogataza, za czym skrzywił się.

– A poza tym – dodał zamyślony – za wcześniej go tak zwać.

Copons zadumał się nad tymi słowami. Nareszcie chrząknął i dłuższą chwilę już gęby nie otworzył.

– Wiesz, co sobie myślę, Sebastián? – zagadnął Alatriste.

– Nie, w dupę. Nigdy za diabła wcielonego nie wiem, co sobie myślisz.

– Że odmiana w tobie nastąpiła... Gadasz więcej niżli niegdyś.

– Doprawdy?

– Przecież mówię.

– To przez Oran. Za długo trwało.

– Może.

Aragończyk zmarszczył brwi, za czym ściągnął chustkę, wokół czerepu obwiązaną, i starł nią pot z karku i lica.

– A to dobrze czy źle?

– Nie wiem. Na pewno inaczej.

– Aha.

Jał się w chustkę Copons wpatrywać, jak gdyby tam miał znaleźć wytłumaczenie dla jakiejś trudnej kwestii.

– Pewnikiem się starzeję – wymamrotał nareszcie. – Lata lecą, Diego. Widziałeś Fermina Malacalzę, nie?... I przypomnij sobie, jaki był dawniej.

– Jasne. Za dużo rzeczy w tobołku, tak myślę... Chyba przez to.

– Chyba.

Ja stałem na drugim końcu statku, blisko tylnego mostka, i obserwowałem, jak pilot laską Jakuba mierzy wysokość słońca i konfrontuje dane z busolą. Miałem lat siedmnaście, byłem chłopcem czujnym i ciekawym wszystkiego, co mogło mi przynieść jakąkolwiek naukę. Tak też działo się przez większą część żywota mego i owej ciekawości przypisać należy niejednen szczęśliwy traf w późniejszych latach. Poza sztuką żeglarską, której przydatne rudymenty poznałem podczas pobytu na pokładzie, ciasna przestrzeń galery przyniosła mi i inne korzyści: od sposobów, jakimi cyrulik rany zaleczał – na morzu, w wilgotnym, pełnym soli powietrzu nie goiły się tak jak na lądzie – po rzetelną naukę o tym, jak niebezpiecznie różni mogą być ludzie za boską lub też czarcią sprawą, a był to dalszy ciąg edukacji, jakąm pobierał wprzódzi jako pacholę w Madrycie, bakałarz we Flandrii i nareszcie licencjat na królewskich galerach. Ludzie ci byli tu żywcem jak ci, o

których powiada skazaniec w romancy uciesznej mości Francisca de Quevedo:

*Uczyłem się, klepiąc rybki, jak każdy wiosłowy mól, doktoram zaś tytuł zdobył w turmie, z braku lepszych szkół<sup>64</sup>.*

Sięgałem wzrokiem pomiędzy galernikami, marynarzami i żołnierzami, kontemplując Maura Gurriato, siedzącego bez ruchu na odsadni i wpatrującego się w morze, oraz kapitana Alatryste i Coponsa, którzy gawędzili pod fokiem na samym dziobie. Rzec muszę, że i teraz pozostawał pod silnym wrażeniem odwiedzin u Fermina Malacalzy. Nie był to, ma się rozumieć, pierwszy weteran, jakiegom był poznał; atoli widok jego w Oranie, w nędzy i chorobie po latach służby, w otoczeniu rodziny, a bez nijakiej nadziei na odmianę losu, widok człeka świadomego, że albo strupieszaje tam w słońcu na amen, albo popadnie w mauretańskie łapska spółem z rodziną, jeżeli psubraty fortecę zdobędą – o, ten widok dał mi dużo do myślenia. A myślenie potrafi nastreczyć niewygody, zależy, kto się czym para. Sięgając po strofy poetyckie, dodam, że kilka lat wcześniej, gdym jeszcze większym był młokosem, przez czas jakiś chętnie deklamowałem byłem żołnierskie oktawy pióra Juana Bautisty de Vivar<sup>65</sup>, wielce wedle gustu mego napisane:

*Za wiarę, kraj swój, walcz w dalekiej stronie, pielesze zmień na służbę niespokojną: smak życia poznasz, szcudrze doprawiony krwią, ogniem, znojem, szczękiem broni, wojną.*

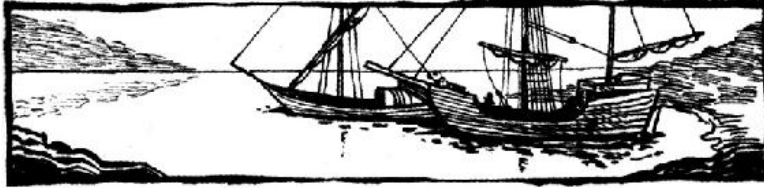
...A bywało, że kiedym z żarem mówił je przed kapitanem Alatryste, pod wąsem mego dawnego pana wykwitał raptem ironiczny uśmiezek – aliści

on sam zawsze niechał komentarzy, uważał snadź, że słowa same nikogo jeszcze niczego nie nauczyły. Zważcie waszmościowie, że kiedym znalazł się pod Oudkerk i pod Bredą, wciąż byłem pacholęciem płochym i niestałym,, to zasię, co dla innych tragedię i okrucieństwo świata tego stanowiło, dla mnie – zaprawionego jak każdy Hiszpan do cierpienia niedoli od samej kołyski – było ni mniej, ni więcej, jeno wspaniałym doświadczeniem, więcej wspólnego z zabawą i przygodą mającym. Teraz wszelako, gdym skończył lat siedmnaście, gdy już i charakter mi okrzepł, i duch nabrał rześkości, i we łbie więcej wiedzy było, niepokojące pytania jęły pełgać mi po duszy na podobieństwo grzecznego sztyletu, co w szpary napierśnika zagląda. Ironiczny uśmieszek kapitana zaczął nabierać sensu, a na dowód zasię wspomnę, że po odwiedzinach u starego wiarusa Malacalzy nigdy więcej strof owych nie deklamowałem. Lat i mądrości już nadto miałem, żeby w owym wraku człeka dostrzec cień ojca mego, a i cienie kapitana Alatryste, Sebastiana Coponsa, ba, mój nawet, gdy pora nadejdzie. Zamiarów mych nie odmieniłem ni na jotę, wciąż chciałem żołnierzem zostać. Aliści po Oranie jałem dumać, czy wojaczki raczej jako środek niżli cel w życiu nie traktować, jako zmyślny sposób, by – mając za oparcie rygory dyscypliny czy wręcz reguły – stawić czoło wrogiemu światu, którego jeszcze nie był poznał ni trochę, ale wobec którego, jak się należało spodziewać, nauka wyniesiona ze służby wojennej i jej pokłosie łącno przydać się może. I na krew Chrystusa, miałem rację. Wszystko to przydało mi się później, gdy przeciwko Hiszpanii nieszczęsnej, a i mnie samemu, stanęły ciężkie czasy, przynosząc afekt, oddalenie, utratę i ból. A i dzisiaj, blisko granicy życie i śmierć rozdzielającej, kiedy jestem, kim jestem, a poniechałem być, kim poniechałem, z dumą mogę żywot mój i kilku mych druhów śmiałych i lojalnych streścić jednym słowem: żołnierz. Nie darmo wszak, lubo po latach i kompanią dowodziłem, i szarzę

porucznika, a potem i kapitana gwardii najjaśniejszego pana otrzymałem – a nie byle jakie to awanse dla sieroty baskijskiego z Oñate – jeśli dokumenta jakieś z mych rąk wychodziły, podpisywałem je słowami „chorąży Balboa”. Owym skromnym stopniem, który miałem na sobie dziewiętnastego maja tysiąc sześćset czterdziestego trzeciego roku, kiedy to ramię w ramię stojąc z kapitanem Alatryste i resztą ostatniego czworoboku piechoty hiszpańskiej, podtrzymałem pocziwą, postrzępioną chorągiew na równinie Rocroi.







## V. ANGIELSKI BRYG.



zliśmy na wschód, dzień za dniem, po morzu, przez tych z drugiego brzegu zwanym bahar el-Mutauàssit, w przeciwną podążając stronę, aniżeli nawy greckie i fenickie, bogowie starożytności, jako też rzymskie legiony zdążające do naszej Hiszpanii. Każdego poranka rodzące się słońce oświecało nam oblicza od dziobu naszej galery, zaś przy zapadaniu zmroku topiło się w kilwaterze, przysparzając mi szczególnej przyjemności; nie tylko za tą przyczyną, że u kresu tej podróży znowu był Neapol, raj dla żołnierza i niezgłębiony kufer italskich rozkoszy, lecz także i dlatego, że to lazurowe morze, jego krwiste wieczory, spokojne poranki bez jednego podmuchu bryzy, na galerze pchanej rytmicznym wiosłowaniem galerników, sunącej prosto poprzez spokojne wody niczym ostrze polerowanego żelaza, zdawały się tkać skrywane więzy z czymś, co niechybnie było ukryte w mojej pamięci, drzemiąc niczym wrażenie uśpionego wspomnienia. „Stąd przybywamy”, słyszałem, jak przy pewnej okazji mamrotał kapitan Alatryste, gdy sunęliśmy mimo nagiej i skalistej wyspy, typowej dla Śródziemnomorza, na której szczycie znać było starożytne kolumny pogańskiej świątyni; krajobraz to wielce różny od leońskich gór jego dzieciństwa, jako też od zielonych pól mojej Guipuzcoy, tudzież barbarzyńskich skał, wśród których

się wychował, skacząc ze skały na skałę, szczep harcowników Sebastiana Coponsa – któren usłyszawszy to, spojrzał na niego zmieszany. Wszelako ja pojąłem, do czego odnosi się mój dawny pan – do ponęty dalekiej, zbawiennej, co poprzez języki, ludzi wzrastających pośród drzew oliwnych, winnej latorośli, białych żagli, marmuru i pamięci, dotarła, niczym fale czynione przez szlachetny kamień, gdy wpada do spokojnej wody, aż do niespodziewanych dalekich brzegów, innych mórz i innych ziem.

Poszliśmy z Oranu do Cartageny wraz z resztą okrętów z konwoju; i po zaprowiantowaniu się w mieście, które w swej *Wyprawie na Parnas*<sup>66</sup> wychwalał Cervantes – „Zatem powoli wpływałem do portu, któremu Kartagińczycy dali imię” – wyrwaliśmy kotwicę i ruszyliśmy konwojem z dwoma sycylijskimi galerami; i po opłynięciu przylądka Palos wyszliśmy na pełne morze na grecki wiatr, o dwa rumby na wschód, co w dwa dni zawiodło nas do Formentery. Tam, ostawiwszy po lewej Majorkę i Minorkę, obraliśmy kurs na Cagliari, na południu Sardynii, gdzie przybiliśmy bez żadnych wydarzeń godnych odnotowania po ośmiu dniach od opuszczenia hiszpańskiego wybrzeża i stanęliśmy na kotwicy tuż obok salin. Potem żagle na maszt i zaopatrzeni w wodę oraz solone mięso zostawiliśmy za rufą przylądek Carbonara i, gnani od baksztagu lewantyńskim wiatrem, szliśmy przez dwa dni do Trapany na Sycylii. Tym razem odbyliśmy drogę z wielką ostrożnością, z solidnymi wachtami na bocianich gniazdach fokmasztu i grotmasztu, wszak brnęliśmy przez wody o wielkim ruchu korabi pomiędzy Berberią, Europą i Lewantem, tworzącym wąski przesmyk i naturalne zwężenie Śródziemnomorza, odwiedzone przez wszelkie nacje.

Nasza ostrożność wynikała zarówno z troski o zabezpieczenie się przed wrogiem, jak i ekspektatywy możliwych okrętów tureckich, berberyjskich, angielskich czy holenderskich, które łącznie byśmy złupili; wszelako w tej

sytuacji ani Chrystus, ani sakiewki nasze korzyści nijakiej nie wyniosły, jako że nijakich korabiów nie zoczyliśmy. W Trapanie, mieście rozciągniętym na wąskim cyplu i leżącym na samym wybrzeżu, szczytującym się dość dobrym portem – choć z wieloma podwodnymi skałami i łachami, sprawiającymi, że kapitan z sondą w rękach przez cały czas przeżuwał w ustach obelżywe słowa – odłączyliśmy się od naszego konwoju i ruszyliśmy dalej samotnie, wiosłując pod wiatr, gdyż pogoda nam nie sprzyjała, dopóki nie obraliśmy kursu na Malte, dokąd mieliśmy zawieźć rozkazy wicekróla Sycylii oraz czterech pasażerów, rycerzy Zakonu Świętego Jana, na ową wyspę zmierzających.

Uwagę moją dalej zaprzętał Maur Gurriato, który w owym okresie zdawał się tak bardzo przystosowany do życia galernika, jakby od dziecka siedział przy wiosłach. Cierpliwy, wytrzymały, z ogoloną głową i obnażonymi muskularnymi plecami, kiedy bosman rozkazywał zrzucić odzież, i gdyby nie brak kajdan na kostkach – nazywaliśmy je biskajskimi kamaszkami – można by go wziąć za zwykłego galernika. Tak jak wszyscy jadł na desce i pił tę samą mętną wodę i rozwodnione wino z miski na swojej ławce. Okazywał też wszystkim szacunek i był nader zdyscyplinowany; oddawał się ciężkiemu zajęciu, wiosłując żywo pośród gwizdów i chłostań bosmana, jednakich dla pleców dobrowolnych wiosłarzy i więźniów, bez skarg ani wykrętów, by uniknąć swoich obowiązków. Stawał na rozkaz szarpnięcia wiosła i wypluwał płuca albo siedział i wychylał się do tyłu w spokojnym rytmie, powtarzał szanty śpiewane przez wszystkich, żeby równo ciągnąć wiosła; i choć nikogo nie traktował z wyższością, nie udawał też brata łąty; zatem towarzysze od wiosła – był jedynym ochotnikiem na swojej ławce, gdzie siedzieli w łańcuchach hiszpański galernik i dwóch tureckich niewolników – spozierali na niego przychylnym okiem. Fakt, że żył w zgodzie z pierwszym na ławce

chrześcijańskim wioślarzem, jak i z dwoma Turkami, był znamienny, wszak jasne było, że jeśli los zdarzy, iż pewnego dnia wpadniemy w ręce berberyjskie albo poddanych Wysokiej Porty, natychmiastowe świadectwo tych dwóch, wskazujących go jako dobrowolnego wioślarza, renegata ich mahometańskiej religii czy co by tam im przyszło do głowy oznajmić, byłoby aż nadto wystarczającym powodem, aby nanizać go na pal bez łożu ni smalcu, który by w tym procesie przyniósł odrobinę ulgi. O to jednak Maur Gurriato zdawał się nie dbać – spał jak jego sąsiedzi od wiosła pomiędzy ławkami, iskał się z nimi w doskonałej zgodzie, a podczas złej pogody, gdy któryś z żołnierzy albo marynarzy, żeby nie zmoczyć się w wychodku na dziobie, nie bacząc na nic, przychodził ulżyć swemu ciału pomiędzy ławkami, jak to robili galernicy – na każdej ławce robiło się to przy trzecim, czyli najbliższym wody wioślarzu i przez to właśnie to miejsce było najgorsze – Almogataz korzystał z możliwości poruszania się, żeby wziąć wiadro przywiązane na linie, napełnić je wodą morską i zmyć deski. Traktował swych towarzyszy z takim samym szacunkiem, co wszystkich pozostałych, rozmawiając z nimi, gdy nadarzyła się okazja, chociaż nie był gadułą. Odkryliśmy zatem, że oprócz posługiwania się językiem kastylijskim i narzeczem arabskim Maurów, radził sobie też w mowie turczyńskiej – jak się później dowiedzieliśmy, nauczył się jej od janczarów w Algierze – i w lingua franca, składającej się po trochu ze wszystkich narzeczy, którymi posługiwano się od końca do końca Śródziemnomorza.

Kilka razy zbliżyłem się do niego gnany ciekawością i porozmawialiśmy. W ten sposób poznałem szczegóły z jego życia, a także jego pragnienie, by zobaczyć świat i trzymać się blisko kapitana Alatryste. Nie udało mi się go nakłonić, aby dogłębnie mi wyjaśnił przyczyny tak dziwacznej wierności, bo nigdy nie był wylewny w tej kwestii, jakby

hamował go jakiś szczególny wstyd; pewne jednak jest to, że w mających nadzieję czasach jego czyny nigdy nie zadały kłamu owym deklaracjom, wręcz przeciwnie. Zachwycała mnie, jak już mówiłem, jego łatwość przystosowania się do tego życia – później potwierdziłem, że też niezawodnie u naszego boku utrzymała go fortuna – zwłaszcza biorąc pod uwagę, że mnie samego, mimo że byłem chłopakiem pełnym animuszu, przyjście na galerę kosztowało niemało trudu:

*W rok mojego nowicjatu ogarniał mnie strach, Chciałem już to zrejterować, lecz jest tak, Że uśmierzą wszystko nawyki i czas.*

Jedno, czego nie potrafiłem przewyciężyć, to nuda. Chociaż zaprawiony we wszystkim, co właściwe naszej ludzkiej kondycji: smrodzie, niewygodach i wzburzonym morzu, nie potrafiłem przywyknąć do długich godzin bezczynności na pokładzie, które na ograniczonej przestrzeni tego pływającego kawałka drewna kompletnie się marnotrawiło, do tego stopnia, że witałem z radością każdy wypatrzony żagiel jako możliwość pościgu i bitwy albo wieszowałem sobie, kiedy niebo ciemniało, wiatr wzmagął ryk w takielunku i morze stawało się szare, a dziób rąbał fale i nadciągała na nas burza; w takich chwilach wszyscy na pokładzie modlili się i żegnali albo polecali Bogu i składali pobożne obietnice, które potem, kiedy byli bezpieczni i na lądzie, bardzo mocno starali się wypełnić.

Aby oszukać znużenie, dalej oddawałem się zwyczajowi lektury, który kapitan Alatryste wpajał mi z takim zapamiętaniem i któremu sam często dawał wyraz; wszak oprócz pogawędek ze mną, z Sebastiánem Coponsem albo z towarzyszami, kapitan zwykł wspierać się na burcie z jedną z dwóch czy trzech ksiąg, które jak zawsze targał w swoim worku. Jedną, którą wspominam z wdzięcznością, wszak czytałem ją i ciągle do niej wracałem

przez całą podróż, był gruby tom *Nowel przykładowych* mości Miguela de Cervantes – rozmowa psów Cipiona i Berganza albo postaci z *Rinconete i Cortadillo* doprowadzały mnie do wybuchów śmiechu, ku zdumieniu marynarzy, żołnierzy i ogółu wioślarzy. Inna, której lekturze oddawałem się z nie mniejszą przyjemnością, choć wydała mi się spisana mniej wyszukany stylem i pozbawiona konceptów, była bardzo stara, wydrukowana w Wenecji w poprzednim wieku pod tytułem *Obraz czerstwej Andaluzyjki*<sup>67</sup>; wielce niewybredna i dlatego kapitan przez jakiś czas zwlekał, zanim oddał ją w moje ręce; a i tak, kiedy w końcu się zdecydował, uczynił to niechętnie, i dopiero gdy był pewny, że i tak wertuję ją ukradkiem.

– W sumie – zakonkludował pogodzony z losem – jeśli masz dość lat, żeby zabijać i żeby zabili ciebie, masz ich też dość, żeby czytać, na co przyjdzie ci chęćka.

– Amen – poświadczył Copons, który ani nie przeczytał tych książek, ani nie miał zamiaru ich czytać, jako też żadnych innych, przez całe swoje życie.

\* \* \*

Na sześć albo siedem mil przed dotarciem do przylądka Pajaro, wiosłując na zmianę, nasza galera zmieniła kurs. Minęliśmy się z dalmacką tartaną wiozącą daktyle, wosk i skóry z Kerkennów do Raguzy. A jej załoga, gdy zdołała do nas przemówić, opowiedziała nam, że trzymasztowy korsarski bryg i inny mały okręt skrobały dno na wyspie Lampeduzie, że zoczyli ich o brzasku poprzedniego dnia, kiedy zbliżali się, żeby nabrać wody, i że bryg wyglądał jak ten angielski, który od miesiąca kręcił się po morzu pomiędzy przylądkiem Bono i przylądkiem Blanco, rabując na

całego, i ani galery z Malty, ani z Sycylii jeszcze na niego się nie napatoczyły. Tartana ruszyła dalej, zebrała się narada wojenna pod toldą naszego okrętu, a mając na względzie, że utrzymywał się mocny lewantyn, doskonale wypełniający „Mulacie” oba wielkie łańskie żagle i że w godzinę przechodziła ponad milę, zrobiliśmy zwrot na południe, co było kursem na Lampeduzę, gotowi popędzić kota tym psim synom, jeśli jeszcze tam byli.

Nie było dziwne w owym czasie, jak już powiedziałem, spotkać Anglików albo Holendrów, zapuszczających się coraz dalej na wody śródziemnomorskie, odwiedzających porty Berberii, a nawet Turka, wszak chodziło o nękanie Hiszpanii i nacji katolickich. Potrzeba, jakiej ci z białego Albionu łakomie się oddawali, zajmując się przemytem i piractwem, poza krótkimi okresami zawieszenia broni, od czasów jej wysokości królowej dziewicy Elżbiety – o dziewicy mówię tylko przez konwencję, a nie dlatego, że jest to rzecz potwierdzona. Odnoszę się do tej złotowłosej ździry, w którą wszyscy nasi poeci mierzyli jak we wroga, między innymi kordobańczyk Góngora:

*Żona wielu i wielu kochanica.*

*Och, niecna królowa, królowa, nie, raczej wilczyca,*

*Nienasycona lubieżnica!*

...i której Cristóbal de Virues poświęcił wymowne wspomnienie:

*Niewdzięczna królowa, niegodna tego miana,*

*Przeklęta Jezabel wyklęta z Kościoła.*

*Cóż do burzenia pokoju boskiego cię woła?*

*Zaczem wiecznie burzysz świętą pax christiana?*

...i której śmierć – każdemu jest pisana w swojej godzinie, Bogu dzięki – powitał wielki Lope, nasz Feniks geniuszu, odpowiednim epitafium:

*Tu Jezabel legła,  
Tu nowa Atalia,  
Atlantyckiego złota harpia,  
Morska śmierć przebiegła.*

A skoro mówimy o Anglikach, muszę podkreślić, że ci, którzy kierowali się na Śródziemnomorzu mniejszym wstydem i większą bezczelnością, to nie byli Turcy lubo Berberowie, zwykle co do joty wypełniający pakta pomiędzy narodami, lecz te psubraty przybyłe z zimnych mórz, bezduszne i pijane, które pod fałszywym pretekstem prowadzenia wojny przeciwko papistom zachowywały się nie jak korsarze, lecz jak piraci, kupujący sobie współników w portach takich jak Algier albo Sala. Takiego byli pokroju, że nawet sam Turczyn patrzył na nich bez sympatii, wszak po kryjomu łupili wszystkich, nie bacząc na ładunek czy banderę, chronieni przez swoich królów i kupców; bo ukrywając to publicznie, na osobności dokonywali swych najazdów, nabijając kabzy. Powiedziałem piraci, i to słowo do nich pasuje; wszak wedle dawnego zwyczaju korsarstwo było zajęciem starożytnym, tradycyjnym i szanowanym: kilka osób prywatnych i wyposażonych w patent – królewskie pozwolenie na łupienie wrogów korony – ekwipowało okręt dla swych korzyści, zobowiązując się płacić piątą część zysków królowi i kierować się prawami ustanowionymi pomiędzy narodami. W tej kwestii Hiszpanie, wyjąwszy kilku korsarzy z Majorki, z Morza Kantabryjskiego i Flandrii, niemal nie praktykowali innego korsarstwa niż wojenne: okrutne i bezlitosne, to prawda, ale zawsze



pod banderą katolickiego króla i zgodnie z jego rozkazami; z największą surowością karząc każde pogwałcenie traktatów, nadużycia albo zuchwałość wobec postronnych. Z powodów dbałości o dobre imię i formy, i dlatego że przed wiekami cierpieliśmy to na naszych własnych wybrzeżach, korsarz w Hiszpanii cieszył się złą sławą; uważano za możliwe do tolerowania – w końcu to wojna, choć przy użyciu innych środków – kiedy robili to żołnierze i marynarze, lecz niegodne i nieszlacheckie w prywatnych rękach. W owej niedoli, wszak wrogowie uciekali się do wszystkiego, co nas wykrwawiało na morzach i stałym lądzie, korsarstwo hiszpańskie – wyjąwszy naszych nieustraszonych katolików z Dunkierki, bicza na Anglików i Holendrów – marniało, aż niemal zanikło z braku załóg, z powodu kłopotów albo niemożności otrzymania królewskich pozwoleń albo dlatego, że kiedy te przychodziły, korzyść była nieznaczna, uszczuplona przez biurokratyczną gęstwinę podatków, skorumpowanych urzędników i rozlicznych pasożytów. Nie zapominając smutnego końca księcia Osuny, wicekróla Sycylii, a następnie Neapolu – serdecznego przyjaciela mości Francisca de Quevedo, o którym jeszcze będziemy później mówić – kata Turków i Wenecjan, ojca hiszpańskich korsarzy i nieugiętego pogromcy wroga, którego tryumfy i fortuna rozbudziły zawiść, kosztując go infamię, więzienie i śmierć. I oczywista. Przy takich poprzednikach, kiedy z nakazu polityki i wojny nasz Czwarty Filip i hrabia–diuk Olivares chcieli ponownie uzbroić korsarzy – nawet dzieląc łup po biskajsku, przy rezygnacji króla z czwartej części – wielu ludzi nauczonych doświadczeniem, sceptyków albo zrujnowanych, starało się nie brać na kark tych kłopotów.

\* \* \*

Lampeduza jest wyspą płaską, niezamieszkałą i pokrytą zaroślami, leżącą piętnaście albo szesnaście mil w kierunku zachodnim od Malty. Nasi majtkowie, ze swych bocianich gniazd penetrujący horyzont w promieniu piętnastu mil, zoczyli ją po południu; i żeby nie zostać zauważonymi przez znajdujących się tam korsarzy – pilot powiedział, że jest wieża od południowej strony – rozkazał kapitan Urdemalas zdjąć oba maszty i położyć je na pokładzie, i dalszą drogę odbyliśmy ogoleni i na spokojnych wiosłach, żeby przybliżyć się niepostrzeżenie, nie przybywając przed nocą. Kiedy tak robiliśmy, przyjmując rozkazy odpowiednie, żeby spaść na bryg i żeby nie wymknął nam się z rąk, znający te wody pilot opowiedział, że na tej wyspie lądują zarówno muzułmanie, jak i chrześcijanie, gdyż z obu stron zwykli zbiegać tutaj niewolnicy, i że jest tam niewielka grota, gdzie można wejść wyprostowanym, z dawnym obrazem Matki Boskiej z Dzieciątkiem na rękach, namalowanym na płótnie na desce, gdzie ludzie zostawiają jałmużnę w postaci sucharów, sera, słoniny, oliwy i czasem ćwierciaka. Znamienne jest, że w pobliżu groty był grób marabuta, którego Turcy mieli za swego wielkiego świętego, gdzie składali taką samą jałmużnę jak nasi Matce Boskiej, oprócz słoniny. Wszystko to po to, żeby zbiegli niewolnicy po przybyciu na wyspę mieli co jeść, bo wodę czerpali ze źródła, które chociaż słonawe i liche, gasiło pragnienie. Mając na względzie szczególną okoliczność, że zarówno chrześcijanie, jak i mahometanie tam przybijali, nikt nie niszczył ani nie dotykał tego, co należało do innej religii, bardzo szanując wiarę i potrzeby innego. Bo na Śródziemnomorzu – w końcu dziś dla ciebie, jutro dla mnie – do wszystkich pasowały te wersy Lopego:

*Bo w kwestii ojcostwa, jasna i oczywista sprawa,  
Rzecz prosta, choć wcale nie jest taka łatwa.*

*Wszyscyśmy niechybnie synami Adama,  
A Bóg Ojciec na niebie, myśmy jego dziatwa.*

Było zatem tak, jak mówiłem, że bez masztów i wolno wiosłując, zbliżaliśmy się do Lampeduzy od strony północnej tramontany do lewantu, podczas gdy słońce zachodziło nam z prawej burty i noc sprzyjała naszemu przedsięwzięciu. Ostatnią rzeczą, którą zobaczyliśmy, zanim zasnuł się horyzont, była kolumna dymu, znak, że na wyspie ktoś jest, bryg to czy też nie. I z nocą tak rozpoczętą, i za jedyne światło mając cienką czerwoną linię na horyzoncie, udało nam się zobaczyć na lądzie jakieś ognisko. Owóż bardzo dodało nam to ducha i jęliśmy gotować się do akcji, po omacku, bo już nie stawało światła i kapitan Urdemalas wydał zakaz zapalania czegokolwiek na pokładzie, wołania czy krzyczenia, nawet bosman nie używał gwizdka. Szliśmy w ten sposób, w ciszy i ciemności skroś ciemne morze, gdzie jeszcze nie wzeszedł miesiąc, a jedynym dźwiękiem było niskie dyszenie, gardłowe – swego rodzaju przeciągłe uuuh, uuuh – naszych galerników wiosłujących w dobrym rytmie, oraz chlupot czterdziestu ośmiu wiosł uderzających w wodę.

\* \* \*

– Oddział szturmowy na stanowiska!... Broń rozładowana i kara śmierci, jeśli ktoś strzeli!

Kiedy rozkaz przyszedł szeptem, dwudziestu ludzi, czekających w kucki w przejściu przy każdej burcie, ruszyło na rufę, w stronę drabin. Już opuszczono szalupę i małą łódź, które miały przewieźć ich na ląd. Podeszliśmy w ciemności bardzo ostrożnie, na wolnych wiosłach i po cichu, maszty i reja zaszałowane pośrodku pokładu, żeby nie odcinały się

na nocnym niebie, pilot leżał z twarzą w dół na ostrodze, obok marynarza, monotonnie recytującego głębokość odczytywaną z węzłów sondy. Galery hiszpańskie o niewielkim zanurzeniu, delikatne i lekkie jak wiatr, mogły zbliżyć się tak bardzo, żeby wysadzić ludzi na ląd w suchych płudrach, choć nie tak było tym razem. Dla bezpieczeństwa ostatni odcinek nasi pokonali w łodziach. Miejsce lądowania okazało się wąskie, a poza tym nie był to czas nurkowania, żeby nie zamoczyć lontów arkebuzów i prochu., – Uważaj, Íñigo – wyszeptał kapitan Alatryste. – I szczęścia.

Poczułem, że jego ręka spoczęła na moim ramieniu, a Copons lekko mnie uszczypnął, zanim oddalili się i zeszli do szalupy po drabinie z prawej burty. Rozkojarzony, zakładając stalowy napierśnik, wybełkotałem spóźnione „powodzenia”, którego już nie usłyszeli. Oddział, cały złożony z arkebuzerów, podzielony został na dwie części, jedna pod dowództwem chorążego Muelasa, a na czele drugiej stanął kapitan Alatryste; snadź sierżant Albaladejo został, by zarządzać resztą sześćdziesięciu żołnierzy, pozostałych na pokładzie. W miarę jak ludzie sadowali się w łodziach, słyszeliśmy ich ciche słowa, przytłumione przekleństwa, kiedy się popychali lubo po sobie deptali, dźwięk wiosła wsadzanych w dulki i metaliczny szcęk broni, przytłumiony obwiążującymi je szmatami. Owóż plan był taki, że arkebuzerzy mieli wylądować na małej plaży w niewielkiej zatoczce, która według pilota znajdowała się dokładnie tam, przed naszym dziobem, we wschodniej części wyspy, a jej gardziel miała zaledwie pięćdziesiąt kroków szerokości, choć zatoka była czysta i bez podwodnych skał ani pojedynczych głazów, czyhających na nas w ciemności. Pikieta miała tam stanąć na lądzie, ażeby potem, po przejściu przez wyspę w kierunku południowo-zachodnim, rozłożyć się wokół obozowiska korsarzy, ostrzelać ich i odciąć im, oprócz drogi ucieczki, także dostęp do jedyne go źródła wody, kiedy z pierwszym brzaskiem „Mulata”, wiosłując w ciszy

wokół wyspy, zamknie im wyjście na morze i po kilku armatnich salwach dokona abordażu. Pomiędzy pierwszą i drugą wachtą, korzystając z sierpu księżyca i dwóch marynarzy, będących bardzo dobrymi pływakami – jednym z nich był pewien Ramiro Feijoo, dzielny nurek z galery, później osławiony tym, że przedziurawił kadłub tureckiego okrętu przy zdobywaniu Mamory<sup>68</sup> – zrobiono na małej łódce rozpoznanie wielkiej zatoki lubo też portu, znajdującego się na południu wyspy. Wychylając się za jej wschodni kraniec, nasi ludzie potwierdzili, że znajdują się tam dwa okręty, że jednym z nich jest bryg, a drugi jest mniejszy, może tartana albo feluka, i że bryg nie wydaje się gotowy do wyruszenia w morze, gdyż leży na burcie, jakby wszedł na mieliznę albo jakby skrobali mu dno.

– Ludzie do wiosł – rozkazał kapitan Urdemalas, kiedy szalupa i łódź znikły w ciemności. – Klar, bez hałasu ani krzyków... Przygotować i załadować armaty.

Poruszyły się wiosła w wodzie, podczas gdy zawieszaliśmy sienniki, pawęże i stawialiśmy proce na obu burtach, a mistrz artylerii i jego pomocnicy rozstawiali na dziobie wszystkie trzy działa. Niebawem, kiedy wróciły łodzie i zostały umocowane na holu, nasz kapitan na morzu i w boju wydał nowe rozkazy, sternik dał ster na burtę, i cały czas bezszelestnie, bez głośnych rozkazów ani gwizdka, „Mulata” zrobiła zwrot, wiosłując z jednej strony i hamując wiosłami z drugiej. W ten sposób, zachowując ciszę na ile było to możliwe, poruszyliśmy powoli Gwiazdę Polarną, aż zostawiliśmy ją za naszymi plecami, kierując dziób na skalisty punkt, niezbyt wysoki, którego ciemna masa rysowała się w pobliżu. I w ten sposób, idąc blisko brzegu, z pilotem cały czas uważnym na wyniki sondy i strzegąc się, żeby nie natrafić na jakąś mieliznę albo niespodziewaną skałę, okrążyliśmy Lampeduzę w kierunku południowym.

\* \* \*

O sześć czy siedem kroków pojawił się zając. Wychylał głowę z nory, strzygł uszami, rozglądał się dookoła. A przyglądając się zającowi w chwiejnym świetle świtu, Diego Alatryste wsparł brodę na kolbie arkebuz, załadowanego prochem i jedną kulą. Broń była mokra, tak jak zarośla, kamienie i ziemia, na której leżał od ponad godziny, podczas gdy ostatnia nocna rosa opadała mu na plecy, mocząc ubranie. Tylko panewka i kurek, owinięte nasączoną woskiem szmatą, tak jak lont, który trzymał zwinięty w sakiewce, były suche. Alatryste przesunął się odrobinę, żeby rozruszać nogi, i zacisnął zęby z bólu. Dawna rana w biodrze, sprzed czterech lat – Gualterio Malatesta obok Plaza Mayor, w Madrycie – doskwierała mu, kiedy przez dłuższy czas leżał nieruchomo w wilgoci. Przez chwilę zabawiał się myślą, że już się nie nadaje na wystawianie się na chłód i spędzanie nocy po świt pod gołym niebem; wszelako ostatnimi czasy jednych i drugich nie brakowało. Parszywe zajęcie, kusiło go pomyśleć, ale odsunął tę myśl i tego nie zrobił. Snadź pomyślałby tak, gdyby znał jakieś inne zajęcie. Ale tak nie było.

Rzucił okiem na towarzyszy ukrytych w pobliżu, tak nieruchomych jak on – z Sebastiana Coponsa, przyczajonego za jakimiś krzakami, widział tylko espadryle – a później przyjrzał się kamiennej wieży, odcinającej się na szarym niebie z niskimi chmurami. Przyszli tam po wylądowaniu, maszerując milę z wielką ostrożnością, i nikt ich nie usłyszał. Na wieży było dwóch wartowników, jeden śpiący, a drugi drzemący; nie można było sprawdzić, czy to Anglicy, czy nie, aliści Sebastián Copons i chorąży Muelas poderznęli im gardła cichaczem w ciemności, ciach, ciach, nie dając im czasu na otwarcie ust, żeby cokolwiek powiedzieli, ani w mowie angielskiej, ani w żadnej innej. Potem, mając zabronione poruszać się,

mówić albo zapalać lonty arkebuzów, aż nie nadejdzie odpowiednia pora – bryza lądowa mogła ponieść ich zapach na plażę – dwudziestu ludzi rozłożyło się wokół wielkiej zatoki, pełniącej na wyspie rolę portu, a teraz widocznej w pierwszym świetle dnia: zatoka albo port mogący swobodnie pomieścić osiem albo dziesięć galer, z wejściem szerokim na niemal pół mili, która w środku rozlewała się na wzór koniczyny na trzy przestronne zatoki. A w środkowej, największej i piaszczystej, był bryg trochę przechylony na burtę, z trzema cumami zaczepionymi o trzy kotwice wbite w ziemię na samej plaży i w skały w części wschodniej. Na gładkim pokładzie, wielkim, bez ławek i podniesionym na rufie, z tych, co to już nie używają wiosł, lecz wszystko powierzają wiatrowi, zostawiając miejsce na artylerię na burtach, miał trzy maszty, grotmaszt z kwadratowym żaglem, a pozostałe dwa łaćńskie, z rejami niskimi i zahaczonymi o pokład. Miał też po cztery działa z każdej burty, chociaż teraz były zebrane na burcie pochylonej ku ziemi. Widać było wyraźnie, że czyszczą mu kadłub po zewnętrznej burcie, żeby naprawić poszycie, uszczelnić je, wymienić przegniłe planki albo oczyścić je ze ślimaków, które tam się przyczepiały; szczegół o pierwszorzędnym znaczeniu na korsarskim okręcie, potrzebującym szybkości i czystych linii, żeby zaatakować i uciec bez przeszkód.

Widać było nie tylko bryg. Blisko niego, po zachodniej stronie tej samej zatoki stała na kotwicy feluka, jej dziób był zwrócony w kierunku delikatnej bryzy więcej od lądu. Była mniejsza niż bryg i miała ożaglowanie łaćńskie, z typowym nachyleniem fokmasztu w stronę dziobu. Nie miała wyglądu korsarskiego i była pozbawiona artylerii; może była to zdobycz. Pokłady statków wydawały się puste, ale na plaży dymiło się niewielkie ognisko, wokół którego kręciło się kilku mężczyzn. Głupie zaniedbanie, pomyślał Alatryste, ten dym i światło widoczne w nocy.

Typowa arogancja Anglików, jeśli to rzeczywiście byli oni. Znajdowali się blisko, choć ledwie można było dosłyszeć ich głosy przy bryzie wiejącej z przeciwnej strony. Dobrze ich widział, ich i tych czterech, którzy byli po przeciwnej stronie zatoki, na niewysokiej skale, tuż obok jednego z dział z brygu, wyciągniętych na ląd, żeby bronić wejścia przed niechcianymi gośćmi. Lecz morze jawiło się puste po horyzont, a „Mulata”, gdziekolwiek była – zbliżała się do zatoki, miał nadzieję Alatryste dla dobra swego i swoich dziewiętnastu towarzyszy – jak dotąd nie dawała znaków życia.

Zając wyszedł z nory i znieruchomiał przed wlekącym się flegmatycznie lądowym żółwiem, po czym skoczył w swoją stronę i znikł w zaroślach. Diego Alatryste zmienił pozycję, roztarł zbolące biodro. Zal, że ten zając biega, powiedział do siebie, a nie jest nadziany na rożen. Było mu zimno i był głodny jak sto diabłów, stwierdził na ostatek, przyglądając się korsarzom, którzy w najlepsze śniadali. Popatrzył na prawo, gdzie chorąży Muelas ukrywał się obok cembrowiny jedynej studni na wyspie, i wymienił z nim milczące spojrzenie. Chorąży wzruszył ramionami i popatrzył na puste morze. Przez chwilę Alatryste dopuścił do świadomości myśl, że galera nie pojawi się i oddział tam zostanie, porzucony na los szczęścia. Myśl ta sprawiła, że podkręcił węża. Nie byłby to pierwszy raz. Policzył korsarzy, których mógł dojrzeć na plaży: w sumie piętnastu, choć może zostali też jeszcze jacyś poza zasięgiem wzroku, nie licząc tych czterech od działa i tych na pokładach okrętów. Zbyt wielu, żeby trzymać ich z dala przy użyciu arkebuzów – wylądowali z sześcioro ładunkami na człowieka, akurat tyle, żeby ich ostrzelać – przez dłuższą chwilę. Po wystrzeleniu wszystkiego sprawa sprowadzi się do rapiera i sztyletu. Zatem lepiej by było, zakonkludował, żeby kapitan Urdemalas dotrzymał słowa jak należy.

Zaniepokojony skupił wzrok na dwóch ludziach, odchodzących od grupy siedzącej przy ogniu i wspinających się po zboczu, prowadzącym do wieży



i studni. Ciężki problem, stwierdził. Zmiana podezrniętych wartowników albo wysłani po wodę, wszystko jedno – szli prosto na niego. To komplikowało sprawę albo ją przyśpieszało. A galery ani śladu. Wielki Boże. Popatrzył w stronę chorążego Muelasa, oczekując poleceń. Ten, także widząc nadchodzących, potarł zaciśniętą pięścią o wierzch drugiej ręki, a potem zgiął palec w haczyk nad własnym arkebuzem: znak zapalenia i założenia lontów. Zatem Alatryste wsunął rękę do sakiewki, wyciągnął hubkę, krzesiwo i lont i zapalił go. Kiedy odwijał nawoskowaną szmatę, rozdmuchiwał lont, umieszczał i mocował go na miejscu, stwierdził, że jego towarzysze robili to samo i że bryza niesie strużki cierpkiego dymu w stronę wchodzących po zboczku korsarzy. W tej chwili było to już obojętne. Nasypał odrobinę prochu do panewki i spokojnie wymierzył arkebuz, wspierając go na dużym i płaskim kamieniu, celując pomiędzy obu zbliżających się mężczyzn, nie biorąc konkretnie żadnego. Kątem oka potwierdził, że Muelas robi to samo, a jemu jako dowódcy wycieczki przypadał wybór, z kim rozpocznie bal.



Zaniepokojony skupił wzrok na dwóch ludziach, odchodzących od grupy...

Zatem odczekał, z palcem z dala od spustu, oddychając spokojnie, żeby nie stracić wyczucia, aż obaj korsarze znaleźli się tak blisko, że mógł dojrzeć ich twarze. Jeden nosił długie włosy i jasną brodę, a drugi, korpulentny, miał na głowie hełm obity skórą. Przynajmniej ten z brodą wyglądał na Anglika i miał spodnie do kostek, jak oni noszą. Mieli

muszkiet i handzary, rozmawiali, niczego nie podejrzewając. Kilka słów wypowiedzianych w obcym języku dotarło do uszu Alatristero; lecz nagle pogawędka ucichła, bo ten z brodą zatrzymał się o piętnaście kroków, niuchając powietrze, podczas gdy drugi rozglądał się dokoła, zaniepokojony. Wtedy chorąży Muelas jednym strzałem oderwał mu pół głowy, a Alatristero, skoro sprawa została już wyjaśniona, przesunął lufę swego arkebuzia na lewo, wycelował w wielkoluda, który zdążył do połowy się odwrócić, żeby rzucić się do ucieczki, i powalił go jednym strzałem.

Pozostałych osiemnastu Hiszpanów to byli ludzie doborowi, mistrzowie w swoim fachu. Dlatego tam byli. Chorąży nie musiał wydawać im rozkazów ani dawać znaków, podczas gdy on i Alatristero ponownie ładowali arkebuzy – operacja wymagała czasu dwóch zdrowasiek albo dwóch paternostrów, i byli tacy, którzy je odmawiali – Copons i pozostali sprawili, że zatoka i okolica zadudniły dobrze wycelowanymi wystrzałami, zarówno w kierunku mężczyzn znajdujących się na plaży, jak i tych, którzy pilnowali ustawionego na skale działa. Z tych czterech, trzech od razu padło, a ostatni rzucił się do wody. Co się tyczy tych z plaży, ponieważ byli trochę oddaleni, Alatristero zobaczył tylko, że dwóch z nich przewraca się, podczas gdy inni rozbiegają się w poszukiwaniu schronienia. Po chwili uspokoili się i zaczęli odpowiadać ogniem z arkebuzów i muszkietów, zarówno oni, jak i kilku, którzy pojawili się na pokładzie brygu; były to słabe strzały i na szczęście działa stały ustawione na pokładzie po stronie burty pochylonej ku ziemi, zatem nie można ich było użyć do walki od strony lądu ani od strony morza. Ponieważ ich towarzysze kierowali ogniem, nie przykładając żaru do panewki, dopóki nie zyskali pewności co do każdego strzału, Alatristero starał się dobrze wykorzystać swoje pięć pozostałych ołowianych kul, aplikował je w miarę, jak korsarze, rozrzucony po plaży – łódź z posiłkami zbliżała się od strony brygu – bez wątplenia po skalkulowaniu

liczby ukrytych atakujących ruszyli po stoku, chowając się za skałami i krzakami. Alatryste naliczył ich ponad trzydziestu – niewielu, gdyby galera przybyła na czas, albo wielu, jeśli skończą się ładunki arkebuza i trzeba będzie uciec się do białej broni. Dlatego strzelał najrzadziej, jak tylko mógł; powalił następnego korsarza, który padł poza zasięgiem jego wzroku, i w końcu, kiedy wysłał ostatniego apostoła i wystrzelił po raz ostatni do wroga, który podszedł do niego na osiem czy dziesięć kroków, i zgruchotał mu nogę – brzmiało to jak pęknięcie suchej gałęzi – zostawił arkebuz na ziemi, chwycił rapier i jął czekać, aż do niego dotrą. Jedno spojrzenie wystarczyło, by stwierdzić, że chorąży Muelas leży martwy mimo cembrowiny studni. I nie był jedyny. Zobaczył też, że zarośla, w których znajdował się Sebastián Copons, trzęsły się gwałtownie, podczas gdy wznosiła się i opadała, pośród dźwięcznych ciosów, trzasków i złorzeczeń, kolba jego arkebuza – żałując być może, że nie pozostał w Oranie, Aragończyk drogo sprzedawał swoją skórę. Blisko usłyszał głosy, a niemal wszystkie wrzeszczały po angielsku. Niewielkich łask mogli się tu spodziewać, zatem Alatryste spojrział na szare niebo, odetchnął głęboko trzy czy cztery razy i zacisnął zęby. Pierdolona galera, podsumował, podnosząc się z rapierem w jednej i biskajskim sztyletem w drugiej. Wtedy zobaczył, że od wschodniej strony zatoki szybko wyłania się ostroga „Mulaty”.

Galera rażno sunęła po spokojnej wodzie zatoki w kierunku brygu. Gwizdek bosmana towarzyszył rytmem galernikom, którzy z torsami lśnięcymi potem wypluwali płuca na wiosła, czy to na stojąco, opierając się pomiędzy ławkami, czy siedząc na ławce, ciągnąc drewno z całych sił, znacząc rytm metalicznym szczękiem kajdan i łańcuchów i strzelaniem pejcza, raniącego plecy jednako Maurom, Turkom, heretykom i chrześcijanom. Niski szmer gardeł, mieszanka pojękiwania i sapania galerników, wydawał się należeć do ludzi oddających ducha przez usta.

Tymczasem my, sześćdziesięciu żołnierzy i pięćdziesięciu marynarzy, uzbrojonych po zęby i żądnych walki, tłoczyliśmy się na pokładzie z rękami świerzbiącymi, żeby dostać w nie wroga. Bo choć byliśmy pewni, że dzień przyniesie więcej chwały niż zysku, nawet najgorszy łapserdak nie chciał pozostać w tyle. A nawet czterech rycerzy maltańskich, których wieźliśmy jako pasażerów – jeden francusko-, jeden włoskojęzyczny, a dwóch mówiących po kastylijsku – poprosiło kapitana Urdemalasa o pozwolenie przyłączenia się do wojska i stali tam kompletnie uzbrojeni, z krzyżami na eleganckich kapach z czerwonej tafty, które zakładali przed bitwą; byli tak śliczni, że aż śmieszni, ale całe Chrześcijaństwo wiedziało, że to straszliwi wojownicy.

– Hej raz! Hej raz! Hej raz! – krzyczeliśmy zgodnie, pożądliwie, wtórując rytmowi gwizdka i pejcza. – Dobijaj! Dobijaj!

Byliśmy rozpaleni z poważnej przyczyny, snadź niemałe było prawdopodobieństwo, że wrogowie są Anglikami, ludźmi okrutnymi i zuchwałymi; wszak nie wystarczało im piractwo w Indiach, chcieli jeszcze wcisnąć się z zagrożeniem i lekceważeniem na dziedziniec naszego domu. Słyszeliśmy też salwy z lądu, pomni, że każdy strzał może zabrać życie jednego towarzysza. Dlatego krzykiem zagrzewaliśmy wioślarzy, a ja sam – niech Bóg wybaczy, jeśli zwraca uwagę na takie rzeczy – chwyciłem za bicz, żeby traktować grzbiety galerników, zmuszając ich do pracy z jeszcze większym zaangażowaniem.

– Dobijaj! Dobijaj!

W taki sposób dochodziliśmy do brygu korsarzy, bez manewrowania ani ceremonii, prosto, odkąd minęliśmy przylądek i sternik dał ster prawo na burt, z kapitanem Uremalaszem krzykiem wyrzucającym z gardła rozkazy i przekleństwa. Od wejścia na zatokę, w miarę zbliżania się, widzieliśmy bryg unieruchomiony cumami; a od strony jego rufy i trochę dalej, po

lewej, felukę zakotwiczoną po przekątnej, z dziobem zwróconym w kierunku plaży. Prawda jest taka, że w miarę jak się zbliżaliśmy z flanki, bryg mógłby nam wyrządzić wiele szkód, gdyby miał działa ustawione na burcie od strony morza; ale przechył, odkrywający znaczną część poszycia jego dna, i to, że sztywno trzymały go kotwice i cumy biegnące do lądu, nie pozwalało, na nasze szczęście, użyć artylerii. I tak patrzyliśmy, jak powiększa się przed naszym dziobem, nieruchomy i bezbronny, poza dymkiem z lontów mistrza artylerii i jego pomocników kucających za armatą i działami na dziobie, oraz marynarzami obsługującymi proce ustawione na pokładzie i na burtach. Na pokładzie niemal nie było arkebuzów, wszak prawie wszystkie znalazły się na lądzie; ale byliśmy najeżeni pistoletami, lancami, krótkimi dzidami i rapierami. Lecz, jak mówię, żądni dostania ich w swoje ręce. Ja, który miałem zwyczaj wiązania, jak wielu żołnierzy, chustki na głowie, żeby włosy nie przeszkadzały mi w bitwie albo żeby założyć morion, gdy nadarzyła się okazja, miałem na sobie prosty półpancerz przywiązany na bokach rzemieniami, które pozwalały mi się go pozbyć, gdybym wpadł w morze, i małą, drewnianą, okrągłą tarczę obitą skórą, sztylet zatknięty za pas i szeroki, krótki rapier w pochwie, więcej mi nie było trzeba. W ten sposób, blisko dziobu – nikt nie wchodził na ostrogę, zanim nie wystrzeliła armata i pozostałe działa – ściśnięty pośród towarzyszy na przejściu z prawej burty, pomyślałem o Angelice de Alquézar, jak zawsze, kiedy miałem ruszyć do boju, a potem przeżegnałem się, jak niemal wszyscy, i gotowałem się do abordażu.

– Teraz wyłazą te psy!

Teraz tak. Na burcie brygu pojawiło się z tuzin ludzi, którzy w jednej chwili potraktowali nas porządną salwą z muszkietów. Kule, wystrzelone w pośpiechu, zawyły nad naszymi głowami, uderzyły w deski albo wpadły w

morze; ale zanim wrogowie schowali się, żeby przeładować, nasz bombardier z pomocnikami wypalili do nich prosto z działa dziobowego, naładowanego sakiewką gwoździ, ogniwami starego łańcucha i luźnymi kulami; burta podskoczyła postrzępiona drzazgami, pośród okrutnego pisku pękającego takielunku i skrzywienia łamanego drewna, a ci od muszkietów byli na wpół pochyleni, więc doznali niemało szkody. I jeszcze nie doszli do siebie po zamieszaniu, kiedy zdarzyło się to, czego Anglicy, dobrzy sternicy i lepsi jeszcze artylerzyści, zawsze bali się bardziej niż samego diabła: abordaż hiszpańskiej piechoty, która po sczepleniu okrętów chwyciła za białą broń z taką zażartością, że zdawała się znajdować na lądzie. Właśnie tak na nich runęliśmy, kiedy nasz bosman i sternik, przy bardzo dobrze zgranym manewrze wiosłami, oparli ostrogę galery na kadłubie brygu z taką delikatnością, że zaledwie uszkodzili kilka planek. I wtedy ruszyli, albo ruszyliśmy, połowa ludzi, pięćdziesięciu, śpieszących po wąskich dwóch stopach deski ostrogi, zanim „Mulata” wykonała następny dobry manewr, wycofała się o kilka uderzeń wiosłami i, okrążywszy rufę brygu, przeszła pomiędzy nim i feluką – pokład tej ostatniej zamiotły proce z lewej burty, na wszelki wypadek – i bardzo zgrabnie, dotarłszy przed plażą, wykonała zwrot, żeby wystrzelić proce z drugiej burty w korsarzy, którzy tam byli, zanim wysadzi na ląd resztę naszych; którzy rzucając się w wodę do pasa, gnali naprzód z okrzykiem „Święty Jakubie, Hiszpania, naprzód, naprzód!”, w myśl dawnego powiedzenia: Rapierem, lewakiem, biskajskim sztyletem tną snadnie, Nożem, wszystkim, co pod rękę wpadnie.

To prawda, że tej części manewru nie mogłem się przyglądać, wszak wtedy już przeskoczyłem przez ostrogę i pośliznąwszy się na łoju i umorusawszy ubranie smołą kalfatażu poszycia, przeszedłem na pokład.

Tam wyciągnąłem rapier i zmieszany z moimi towarzyszami, walczyłem, jak umiałem. Oczywiście byli to Anglicy albo na takich wyglądali. Było trzech czy czterech blondynów poszatkowanych przez nasze działa i jakiś ranny, wlokący się, zostawiający za sobą krwisty ślad, który z powodu nachylenia pokładu spływał do watergangów na drugiej burcie. Jakaś grupa próbowała się bronić za bezanmasztem, gdzie było wiele żagli i bucht liny; wszelako kiedy wypalili do nas ze swoich pistoletów, trafiając kilku towarzyszy, runęliśmy na nich hurmem, nie bacząc na ich wrzaski i wycia, aliści potrzęsali bronią z wielką chwackością, wyzywając nas, byśmy do nich podeszli. I w rzeczy samej podeszliśmy, oszaleli z wściekłości z racji ich bezwstydu, odebraliśmy im maszt i posiekaliśmy bez litości na relingu rufowym, skąd niektórzy skakali do morza, widząc, że nikomu nie odpuszczamy. Byliśmy tak głodni krwi, że nie dość było mięsa na tyle zębów; dlatego nie mogłem zabrać się do nikogo konkretnego, krom jednego z bokobrodami o niebieskich oczach, uzbrojonego w ciesielską siekiere, który jednym uderzeniem zerwał mi pół tarczy z lewego ramienia, jakoby z wosku była, i jak gdyby nigdy nic zostawił mi wgniecenie w półpancerzu, że o siniaku na żebrach nie wspomnę. Odrzuciłem tarczę i oporządziłem się jak mogłem, gotowy uderzyć na niego od dołu i przesyć mu flaki, atoli niewygodnie było walczyć na tym pochyłym pokładzie – wszelako jeden z rycerzy maltańskich, kręcących się w pobliżu, rozłupał mu pół głowy jednym sieknięciem na wysokości skroni, zostawiając mnie bez przeciwnika, a tego z faworytami z mózgiem na wierzchu, duszą w piekle, a ciałem w morzu. Rzuciłem okiem dokoła w poszukiwaniu następnego, którego mógłbym wziąć na ostrze, ale już wszystko było załatwione; zatem zszedłem przeszukać ładownie wraz z kilkoma innymi, łupiącymi przy okazji wyłapywania tych, co się tam pochowali. I miałem czarną satysfakcję, że jeden z tych psów morza, Anglik wielki, piegowaty i



o długim nosie, którego odkryłem, wciskając się za beczki z wodą, wyszedł z wypiekami na twarzy i padł na ziemię, jakby zawiodły go nogi, i błagał *nou, nou*, i prosił litość, litość. Bo wielu z tej nacji, nie znajdując oparcia w sile, czerpanej z bycia w gromadzie i ze stadnego animuszu, który zwykle dają im wino albo piwo, kiedy przyjdzie kryśka na Matyska, zastępują butę franciszkańską skromnością; podczas gdy Hiszpan, gdy znajduje się sam, przyciśnięty do muru i trzeźwy, wtedy jest najbardziej niebezpieczny, snadź jak wściekła bestia szaleje i wali na oślep, bez przyczyny ani nadziei, nie bacząc, czy wali w świętego Antoniego, czy w Niepokalane Poczęcie. Wracając wszelako do Anglika z ładowni, sprawy miały się tak, jak możecie waszmościowie sobie wyobrazić, iż ja nie byłem w nastroju do lukrowanych powidełek; zaiste miałem zamiar przeszyć mu rapierem gardziel, i po krzyku. Już unosiłem rapier, gotowy posłać do diabła łotra i angielską dziwkę, która go na świat wydała, kiedym przypomniał sobie coś, co przy jakiejś okazji rzekł mi kapitan Alatryste: nigdy nie błagaj o życie tego, kto cię zwyciężył, ani nie odbieraj go temu, kto cię o nie prosi. I dobrze. Każdy jest, jaki jest. Zatem pohamowawszy się jak dobry chrześcijanin, ograniczyłem się do sprzedania Anglikowi kopniaka w twarz, którym złamałem mu nos. Chrupnęło. Potem popchnąłem go zejściówką do góry, na pokład.

\* \* \*

Spotkałem kapitana Alatryste na plaży, gdzie był wraz z ocalałymi z wycieczki, Copons pomiędzy nimi: brudni, wyczerpani, zmalretowani, ale żywi. Co nie było hetką pętelką, wszak krom chorążego Muelasa i kolejnych czterech zabitych było siedmiu rannych – dwóch wyzionęło potem ducha na galerze – co dowodzi, jak bardzo zacięta toczyła się walka

na lądzie. Do owych strat należało dodać następnych trzech zmarłych i pięciu ranionych w abordażu, w tym naszego mistrza artylerii, któremu kula z muszkietu urwała połowę szczęki, jako i sierżanta Albaladejo, oślepionego strzałem z muszkietu z bliskiej odległości. Nie była to niska cena za bryg, niewart nawet trzech tysięcy eskudów, ale osłodziliśmy sobie to wyrżnięciem dwudziestu ośmiu piratów, niemal wszystkich angielskiej nacji, oraz kilku Turków i Maurów tunezyjskich, i pojmanie następnych osiemnastu. Przejeliśmy też felukę, z której ładunku, według królewskich statutów, trzecia część należała się marynarzom i żołnierzom. Był to statek sycylijski, który Anglicy zdobyli przed czterema dniami; z jego ładowni uwolniliśmy ośmiu członków załogi, którzy opowiedzieli wystarczająco wiele, żeby odtworzyć historię. Kapitan brygu, niejaki Robert Scruton, z angielskiej nacji, przeszedł Cieśninę Gibraltarską na holku i z załogą ze swoich stron, gotowy zarobić fortunę na przemyśle i rzemiośle korsarskim, operując z portów Sala, Tunis i Algier. Ponieważ holk był ciężki dla śródziemnomorskich wiaterek, zdobył wielki bryg, szybszy i zdatniejszy do tego rzemiosła, którym przez osiem tygodni pruli morze, choć nie zdobywając takiego łupu, jakiego by sobie życzyli. Feluka, która niosła zboże z Marsali na Malte, poznała, że bryg należy do korsarzy, po jego ostrym kursie na wiatr, wszelako nie mogła uciec i musiała zrzucić żagle. Na nieszczęście dla napastników, silna fala i błąd sternika sprawiły, że rzucili się do abordażu w bardzo niefortunny sposób, a bryg ucierpiał na tym bardziej, choć był większy; w prawej burcie otworzyło się poszycie na wysokości linii wodnej. Atoli, mając wyspę w pobliżu, Anglicy zdecydowali się dokonać na niej napraw; które już były zakończone, kiedy zaatakowaliśmy, i tego samego dnia mieli zamiar wrócić na morze, żeby sprzedać ośmiu Sycylijczyków i felukę z ładunkiem w Tunisie.

Po wysłuchaniu świadków, dowiedzeniu się wszystkiego i przeprowadzeniu procesu wyrok był oczywisty. Nie mogło być tam mowy o patencie korsarskim ani o niczym takim, co honorowały szlachetne narody. Co zdarzało się na przykład u Holendrów, którzy choć byli wrogami w wojnie flandryjskiej, gdy wpadali w nasze ręce w Indiach albo na Śródziemnomorzu, byli traktowani jak jeńcy sprawiedliwej wojny i pozwalaliśmy wracać do ojczyzny tym, którzy się poddawali, przykuwaliśmy do wiosł tych, którzy walczyli po opuszczeniu bandery, i wieszaliśmy, jako żywo, kapitanów, chcących wysadzić w powietrze statek, żeby go nie oddać. Zwyczaj to porządne, respektowane przez polerowne narody, i nawet Turcy wypełniali je bez mrugnięcia okiem co do joty. Jednak w dniach, o których opowiadam, nie mieliśmy wojny z Anglią – feluka była z Saragossy na Sycylii, wyspy tak naszej, jak Mediolan czy Neapol – więc ich marynarze nie mieli prawa oświadczać, że są korsarzami, i łupić poddanych króla Hiszpanii: byli zwykłymi piratami. Zatem twierdzenia kapitana Scrutona, że w Algierze ma patent i porozumienia, które upoważniały go do pływania po tych wodach, nie zrobiły wrażenia na surowym trybunale, doświadczonym okiem przyglądającym się szerokości jego gardła, podczas gdy bosman „Mulaty”, mając na względzie, że Anglik okazał się właśnie z Plymouth, wybierał swoją najlepszą linię. I kiedy następnego poranka feluka i bryg, prowadzony przez naszych marynarzy, postawiły żagle i wychodziły z zatoki dzięki grożącemu deszczem mistralowi, ów Robert Scruton, poddany jej brytyjskiej królewskiej mości, zwisał na sznurze z wieży na Lampeduzie, z kartą u stóp – napisaną po kastylijsku i turecku – ze słowami: Anglik, złodziej i pirat.

Pozostałych osiemnastu ludzi, jedenastu Anglików, pięciu Maurów i dwóch Turków, przykuto do wiosł i tam pozostali, wiosłując ku chwale

króla Hiszpanii, aż morskie i wojenne przypadki powoli ich wykańczały. Z tego co wiem, jeszcze było kilku żywych, kiedy „Mulata” w jedenaście lat później poszła na dno podczas morskiej bitwy z Francuzami koło Genui, z galernikami przykutymi do ławek, bo nikomu nie przyszło do głowy ich rozkuć. Do tego czasu żaden z nas nie pozostał na pokładzie; także Maur Gurriato, który na razie, po zasileniu okrętu przez nowych wioślarzy, miał więcej wolnego czasu, dając mi okazję do prowadzenia z nim rozmów, o których opowiem w następnym rozdziale.





## VI. WYSPA RYCERZY.



Malta, wyspa rycerzy korsarzy Świętego Jana z Jeruzalem, zaskoczyła mnie swoim wyglądem i swoją niedawną historią. Straszliwe galery Religii, bo tak je zwaliśmy, były biczem całego Lewantu, wszak przebiegały po morzach, chwytając Turków, zdobywając bogate łupy i licznych niewolników. Znienawidzony przez wszystkich wyznających wiarę Mahometa, zakon Świętego Jana był ostatnim wielkim zakonem rycerskim z wypraw krzyżowych, a jego członkowie winni byli posłuszeństwo wyłącznie papieżowi. Po utracie Ziemi Świętej przenieśli się na Rodos, a po wyrzuceniu ich stamtąd nasz cesarz Karol V nadał im Maltę w zamian za symboliczną zapłatę jednego sokoła rocznie. Ta cesja, fakt, że byliśmy najsilniejszą na świecie potęgą katolicką oraz bliskość naszych wicekrólestw Neapolu i Sycylii – z tego ostatniego przybyła odsiecz podczas wielkiego oblężenia roku pańskiego tysiąc pięćset sześćdziesiątego piątego – zacieśniały silne więzy pomiędzy Zakonem i Hiszpanią; i często się zdarzało, że nasze galery chadzały razem. Ponadto pośród kawalerów maltańskich wielu było Hiszpanów. Wszyscy składali śluby atakowania muzułmanów, gdziekolwiek by byli: twardzi jak Spartanie, pewni niezaznania łaski w przypadku pojmania, gardzili wrogiem do tego stopnia, że każda z ich galer była zobowiązana atakować,

jeśli proporcje były jak jeden do czterech. W takich okolicznościach łatwo zrozumieć, dlaczego Zakon Maltański patrzył na Hiszpanię jako na jedyne obrońcę i wsparcie, wszak byliśmy jedyną potęgą niepaktującą z Turkami ani Berberami, podczas gdy inne nacje katolickie układały się z nimi i niechlubnie szukały przymierza. Najbardziej bezwstydne były Wenecja, zawsze niejednoznaczna, i szczególnie Francja, która w walce z Hiszpanią doszła do takiego wszeteczeństwa, że dopuszczała, by ich galery chadzały w konwojach z tureckimi, i że flota korsarska Haireddina Rudobrodego<sup>69</sup>, ku wielkiemu zgorszeniu całej Europy, spędzała zimę we francuskich portach, choć łupiła wybrzeże hiszpańskie i włoskie, biorąc w jasyr tysiące chrześcijan.

Możecie zatem waszmościowie przedstawić sobie stan mojego ducha, kiedy po przejściu mimo przylądka Dragutt i wspaniałego fortu Świętego Elma „Mulata” rzuciła kotwicę w wielkim porcie, pomiędzy fortem Świętego Anioła i półwyspem Senglea. Stamtąd mogliśmy podziwiać scenę straszliwego oblężenia sprzed sześćdziesięciu dwóch lat; zdarzenia, które uczyniło nazwę wyspy tak nieśmiertelną, jak i tych sześciuset rycerzy z różnych narodów oraz dziewięciu tysięcy żołnierzy hiszpańskich, włoskich i obywateli Malty, którzy przez cztery miesiące walczyli przeciw czterdziestu tysiącom Turków, z których to zabili trzydzieści tysięcy, bijąc się z nimi o każdą piędź ziemi i tracąc fort po forcie w krwawych zmaganiach bark w bark, aż pozostały tylko reduty Borgo i Senglea, gdzie bronili się ostatni pozostali przy życiu.

Jako starzy żołnierze, zarówno kapitan Alatryste, jak i Sebastián Copons przyglądali się tym miejscom z szacunkiem ludzi dobrze przedstawiających sobie tragedię, która tam się rozegrała. Może z tego powodu zachowywali milczenie cały ten czas, od chwili, kiedy jakaś falua zabrała nas poprzez odnogę wielkiego portu do stóp góry Monte i pod dwoma jej wieżyczkami

weszliśmy do nowego miasta La Valetta – nazwanego tak na cześć wielkiego mistrza, który je zbudował po obronie Malty podczas oblężenia. Pamiętam spacer po mieście o pylistych ulicach, choć dobrze wytyczonych – oraz domy z krużgankami i żaluzjami, i werandami – który odbyliśmy z opłaconym monetą przewoźnikiem maltańskim. Patrząc na wszystko w niemal religijnym skupieniu, poszliśmy najpierw prosto wzdłuż murów aż do głównego kościoła, a później skręciliśmy w prawo aż do wspaniałego pałacu mistrza Zakonu i przylegającego do niego pięknego placu, z fontanną i kolumną. Później doszliśmy do kanału Świętego Elma, po którego drugiej stronie wznosiła się nieprawdopodobna gwiaździsta budowla fortu. A obok zwodzonego mostu, na którym falowała czerwona flaga z ośmiokątnym krzyżem Religii, przewoźnik, którego ojciec walczył w oblężeniu, opowiedział nam w mieszaninie włoskiego, hiszpańskiego i lingua franca, jak pomagał, wraz z innymi marynarzami z Borgo, w transporcie rycerzy ochotników hiszpańskich, francuskich, włoskich i niemieckich ze Świętego Anioła do oblężonego Świętego Elma, i jak co noc łodziami i wpraw przerywali turecką blokadę, ażeby uzupełnić straszliwe straty otrzymane za dnia, wiedząc, że droga prowadzi tylko w jedną stronę i idą na pewną śmierć. Opowiedział nam też, że ostatniej nocy nie mógł przejść przez tureckie linie i ochotnicy musieli zawrócić; a ponieważ o świcie z fortów Senglea i Świętego Michała oblężeni w nich z mistrzem La Valette widzieli Świętego Elma zatapiającego się pod zalewem pięciu tysięcy Turków, rzucających się do ostatecznego uderzenia przeciw dwustu rycerzom i żołnierzom – niemal samych Hiszpanów i Włochów, którzy porozbijani, poranieni i zdruzgotani po pięciu dniach walk we dnie i w nocy, gnębieni osiemnastoma tysiącami armatnich strzałów, trwali pośród ruin. Zakończył przewoźnik swoje opowiadanie szczegółowym opisem, jak ostatni rycerze, poranieni i bez sił, by wytrzymać jeszcze jedno natarcie,

schronili się w ostatniej reducie kościoła, zabijając i umierając jak przyparte do muru lwy; lecz widząc, że Turcy, rozsierdzeni ceną zwycięstwa, nie szanują życia żadnego z tych, którzy popadli w ich ręce, ponownie wyszli na plac, aby umrzeć, jak na nich przystało; zatem sześciu z nich: Aragończyk, Katalończyk, Kastylijczyk i trzech Włochów, sztyletami torując sobie drogę we wrażej ciżbie, jeszcze zdołali cisnąć się w morze, chcąc wpław dotrzeć do Borgo, lecz pojmano ich w wodzie. A wściekłość Mustafa baszy była tak wielka – stracił sześć tysięcy ludzi tylko w Świętym Elmie, w tym sławnego korsarza Draguta – że rozkazał ukrzyżować na deskach trupy rycerzy i zrobiwszy im krzyże na brzuchach dwoma cięciami szamszyrów, pozwolić, by prąd zabrał ich na drugą stronę portu, gdzie dalej broniły się Senglea i Święty Michał, a później kupił wszystkich jeńców i kazał ich ściąć na murach. Barbarzyński to czyn, na który odpowiedział wielki mistrz, zabijając pojmanych w niewolę Turków, a ich głowy wystrzelił z armat na wraże pole.

\* \* \*

Taką historię opowiedział nam przewoźnik. A kiedy skończył, staliśmy w milczeniu, myśląc o tym, co właśnie usłyszeliśmy. Aż po kilku chwilach Sebastián Copons, który opierając się o parapet z piaskowca, spoglądał posepnie na kanał, otaczający fort u naszych stóp, popatrzył na kapitana Alatryste.

- Może któregoś dnia też tak skończymy, Diego... Ukrzyżowani.
- Może. Ale zapewniam cię, że nie żywcem.
- Do kaduka. Mogę ci to przysiąc.

Przestraszyło mnie to, ale nie szczególnie ze strachu przed tą myślą, choćby nie wiem jak była nieprzyjemna. Doskonale rozumiałem, o czym



mówią Copons i kapitan, aż nadto dobrze wiedziałem w owym okresie mojego życia, że niemal wszyscy my ludzie, jesteśmy zdolni i do najgorszego, i do najlepszego. Lecz było prawdą, że tam, na niepewnej granicy lewantyńskich wód, ludzkie okrucieństwo – a nie ma nic bardziej ludzkiego niż okrucieństwo – rozrastało się w niepokojące formy, i nie tylko ze strony Turków. Były żale niemożliwe do wyjaśnienia, zasklepione w pamięci: dawne nienawiści, sprawy rodzinne, a tamto światło, słońce i woda podgrzewało ich temperaturę. Dla nas, Hiszpanów pochodzących z dawnych narodów, przy świeżej jeszcze, a wielowiekowej historii wyrzynania Maurów albo wyrzynania siebie wzajemnie, nie było tym samym podcinanie gardeł obcym Anglikom, co walka z Turkami, Berberami czy krajanami z nacji otaczających te wody. Kapitana Roberta Scrutona ani jego piratów nikt tu nie wołał; ci obcy intruzi byli tutaj zbędni i zabicie ich na Lampeduzie było tylko formalnością, zadbanie o czystość rodziny, pozbyciem się kleszczy przed uregulowaniem prawdziwych rachunków: Turcy, Hiszpanie, Berberowie, Francuzi, Maurowie, Żydzi, Wenecjanie, Genuńczycy, Florentczycy, Grecy, Dalmatyńczycy, Albańczycy, renegaci, korsarze. Sąsiedzi z tego samego podwórka mieszańców. Ludzie z tej samej kasty, z którymi nie było niedorzeczne dzielić szklankę wina, śmiech, stanowcze i malownicze przekleństwo, makabryczny żart przed ukrzyżowaniem albo wymianą głów poprzez armatnie salwy, z wyobraźnią i zaciekłością. Z dobrą, starą i solidną śródziemnomorską nienawiścią. Wszak najlepiej i z największą rozkoszą zarzyna się tego, kogo najlepiej się zna.

\* \* \*

Wróciliśmy do Borgo o zmierzchu, kiedy pył zawieszony w powietrzu i ostatnie promienie słoneczne zabarwiały na czerwono mury fortu Świętego Anioła, jakby były z rozżarzonego żelaza. Przed wejściem na pokład przez następną dłuższą chwilę spacerowaliśmy po prostych i stromych ulicach nowego miasta, odwiedzając port Marsamxett, który znajduje się po zachodniej stronie, i słynne sypialnie albo koszary Aragonii i Kastylii, te ostatnie z pięknymi schodami; wszak w mieście każdy ma swoje schronienie według siedmiu języków, na które dzielą się kawalerowie Zakonu: rzeczony Aragonia i Kastylia, które pochodzą z nacji hiszpańskiej; Owernia, Prowansja i Francja – wszystkie trzy nacji francuskiej; Italia i Niemcy. Sprawy miały się tak, że wracając, postawiliśmy stopy na lądzie w marinie tuż obok kanału Borgo, gdzie znajdują się tawerny marynarzy i żołnierzy starego miasta. A ponieważ zostało ponad pół godziny do modlitwy, czyli do chwili, kiedy powinniśmy powrócić na galerę, postanowiliśmy odbić sobie pokładowe spleśniałe suchary, splukując gardło na własny rachunek i biorąc coś porządnego na ząb w jakiejś tawernie. Tak też zrobiliśmy, rozsiadając się wokół beczki pełniącej funkcję stołu, przy baranich nóżkach w occie, kotletach wieprzowych, chlebie z bazaru przy koszarach i dzbanie czerwonego wina z Metelin, mocniejszego niż Roland; które – trzeba to powiedzieć – przypomniało nam wino z Toro. Patrzyliśmy na wchodzących i wychodzących ludzi: mężczyzn o ogorzalej skórze, z charakterem i sycylijskimi zwyczajami, mówiących swym językiem pomieszanym ze starymi słowami, pochodzącymi od Kartagińczyków; i na kobiety, które tam są piękne, choć przez przyzwoitość unikają męskiego towarzystwa i wychodzą z domu przykryte czarnymi albo brązowymi pelerynami z powodu swych ojców i mężów, zazdrosnych jak Hiszpanie, a nawet bardziej; zwyczaj, który wszyscy przejęliśmy od Maurów i Saracenów. Tak siedzieliśmy we trzech w niepełnym rynsztunku, kiedy

kilku żołnierzy i marynarzy z weneckiego korabia, pijących blisko nas, kupiło od sprzedawcy relikwii, chodzącego ze swoją skrzynką z towarem zawieszoną na szyi, kilka kamieni świętego Pawła, powszechnie i wielce czczonych na Malcie – istnieje legenda, że święty uratował się tam z morskiej katastrofy – bo uważa się, że leczą ukąszenia skorpionów i węży.

Wtedy zachowałem się nierozważnie. Nie byłem niedowiarkiem, lecz trzeźwym w sprawach religii, jak mnie nauczył tego kapitan Alatryste. I z zuchwałością swej młodości nie mogłem nie uśmiechnąć się, kiedy zobaczyłem, że jeden z Wenecjan pokazuje kompanom z wielkim zadowoleniem rzeczony kamienie nanizane na sznur; a nieszczęście chciało, że dostrzegł uśmiech, znikający mi z twarzy. Pewnie nie był to człek wyrozumiały, bo wykrzywiwszy twarz, poskoczył na mnie wrogo, podchodząc z ręką wspartą na rękojeści rapiera, a jego towarzysze stanęli za nim murem.

– Przepróż go – poradził mi przez zęby kapitan Alatryste.

Spojrzałem na niego kątem oka, zaskoczony szorstkim tonem i tym, że nakazuje mi przełknąć bezczelność; chociaż, zastanawiając się na zimno, stwierdziłem, że ma rację. Nie ze strachu przed konsekwencjami – choć było ich sześciu, a nas trzech – lecz dlatego, że pora modlitwy była tuż–tuż i czasu nie stawało, żeby wdawać się w bójki, i dlatego że sprawa z Wenecjanami na Malcie mogła przynieść swoje konsekwencje. Relacje pomiędzy nami i Najjaśniejszą Republiką Świętego Marka nie były dobre, zdarzenia na Adriatyku w walce o prym i suwerenność okazywały się częste, i każda iskra zapalała proch. Zatem powściągając dumę, uśmiechnąłem się do Wenecjanina w sposób wymuszony, żeby nie dolewać oliwy do ognia, mówiąc w lingua franca, której my, Hiszpanie, używaliśmy na tych ziemiach i morzach, coś w rodzaju *mi escusi, siñore, no era kuesto con voi*<sup>70</sup>. Ale Wenecjanin nie zrzucił żagli, wręcz przeciwnie.

Rozzuchwalony tym, co uważał za potulność, oraz przewagą liczebną, odrzucił włosy do tyłu – miał je długie jak huśtawki dla gnid, w odróżnieniu od nas Hiszpanów, którzy nosiliśmy się krótko od czasów Karola V – i znieważył mnie słowami z wielką niegodziwością, nazywając mnie zachodnim rabusiem, co rozpała każdego, a szczególnie Biskajczyka. I już miałem wstać, bezmyślnie sięgając ręką, żeby obnażyć rapier, kiedy kapitan, cały czas siedzący beznamiętnie, chwycił mnie za ramię.

– Chłopak jest młody i nie zna zwyczajów – powiedział po kastylijsku i bardzo spokojnie, patrząc Wenecjaninowi w oczy. – Ale z przyjemnością postawi waszmości dzban wina.

Po raz drugi tamten opacznie zrozumiał sprawy. Sądząc, że także i moi obaj kompani cofają się rakiem, i wzmocniony obecnością swoich, udał, że nie słyszy słów kapitana; i nie porzucając swojej ofiary, którą byłem ja, poprawił się w strzemionach, rzucając bardzo bezczelnie: – Xende, españuolo marrano, ça te volio amazar<sup>71</sup>.

I dalej miętosił rękojeść rapiera. Wobec tego kapitan Alatryste, nie zmieniając wyrazu twarzy, puścił moje ramię. Potem, kiedy przesunął ręką po wąsach, popatrzył na Coponsa. A ten siedział był w milczeniu, zgodnie ze swym zwyczajem, nie tracąc z oczu towarzyszy fanfarona, a teraz powoli wstał.

– Pludraki, mściwe szubrawce – wymamrotał.

– *Que cosa diche?*<sup>72</sup> – zapytał Wenecjanin, zbity z pantałyku.

– Mówi – powiedział kapitan, sam też wstając – że zaraz zło ci dupę, wszawa kanalio.

I w taki oto sposób – mogą waszmościowie wierzyć mi na słowo – rozpoczęła się bitwa pomiędzy Hiszpanami i Wenecjanami, którą historia Malty i wspomnienia owoczesne pamiętają jako zamieszki w Birgu, albo w Borgo; na szczegółowe opisanie przebiegu których nie byłoby dość papieru

w całej Genui. Bo ledwie to powiedziawszy, kapitan zdzielił go ręką, a Copons i ja także, i to z taką wprawą, że choć Wenecjanin miał rękę na rapierze, a jego towarzysze byli przygotowani, pludrak, mściwy szubrawiec, jak go nazwał Copons, odleciał do tyłu, przewracając się, z jednym policzkiem przeciętym sztyletem, który jak błyskawica wyskoczył z pochwy do lewej ręki kapitana, a z niej do twarzy Wenecjanina. I w krótszym czasie niż potrzebowałem, żeby to opowiedzieć, ten, który był najbliżej Coponsa, miał mięsień ramienia przeszyty rapierem Aragończyka, podczas gdy ja, szybszy w nogach, dźgałem trzeciego; i choć ów się uchylił, nie mógł uniknąć dobrego sztychu, który co prawda trafił w pancerz i go nie zranił, jednakowoż kazał mu się odsunąć z szacunkiem.

Od tej chwili sprawy jęły się rozwijać. Wszak w tym momencie, wychodząc nie wiem skąd, pojawił się Maur Gurriato – później dowiedziałem się, że czekał na nas przez cały dzień, siedząc w cieniu, od chwili, kiedy weszliśmy do łódki, żeby popłynąć do nowego miasta – i rzucając się na pierwszego z brzegu Wenecjanina, w jednej chwili dziabnął go tasakiem po nerach. Ponieważ knajpa znajdowała się na początku ulicy prowadzącej z placu przy marinie do kościoła, stojącego blisko kanału Świętego Anioła, miejsca wyjątkowo uczęszczanego, a ponadto była pora powrotu na okręty stojące przy nabrzeżu albo zakotwiczone nieopodal, dookoła mrowili się żołnierze i marynarze. Dlatego na krzyki ranionych i ich towarzyszy, którzy obnażyli żelazo, ale obawiali się do nas zbliżyć, snadź przybyło więcej Wenecjan, napierając na nas z niemałym dla nas niebezpieczeństwem. I mimo że zrobiliśmy koło na wzór dawnej sztuki wojennej, osłonięci przez taborety i wieka beczek jako tarcze i z całych sił siekąc ich i kłując, źle by z nami było, gdyby nie wielu towarzyszy z „Mulaty”, także czekających na swoją kolej, by udać się na pokład, którzy nie dopytując się o racje, stanęli obok nas, za nic mając przyczyny bitwy. I

ponieważ ludzie z galer nie najlepiej żyli z wymiarem sprawiedliwości, mieli we zwyczaju śpieszyć towarzyszom z pomocą, dziś za ciebie, jutro za mnie, znając przyczynę albo nie, czy to przeciw straży i łapsom, czy przeciwko tubylcom albo obcym; punktem honoru było bronić każdego żołnierza, marynarza czy galernika, który po jakiegokolwiek bijatyce schronił się na pokładzie, jakby do kościoła się uciekł, i odpowiadał tylko przed swoim kapitanem na morzu i w boju.

I rzecz jasna, biorąc pod uwagę rodzaj ludzi, których przyjęliśmy na pokład – kwiat w każdym rodzaju, jak to się mówi – w jednej chwili Borgo zmieniło się w Ilion. Pośród zgiełku i wrzawy karczmarzy i handlarzy, widzących swe pogruchotane meble i porozrzucane po ziemi towary, wobec zbiegowiska gapiów i pisków dzieci, w końcu wzięło się za łby pół setki Wenecjan i tyleż samo Hiszpanów. Do tego stopnia rozszerzyła się bijatyka, że zasilali ją ludzie z jednej i drugiej strony; wszak dowiedziawszy się o starciu, wielu wyskoczyło z okrętów z rapierami w garści, a nawet z któregoś okrętu sprowadzono muszkiety. Ponieważ jednak na Malcie ceniono nas Hiszpanów, a tych z Najjaśniejszej Republiki, z racji ich chciwości, podstępności i pogardliwości – że nie wspomnę o ich cichym paktowaniu z Turkiem – nienawidzili nawet sami Włosi, niemało Maltańczyków przyłączyło się do bijatyki, atakując kijami i kamieniami Wenecjan, wrzucając kilku do wody, a wielu musiało się do niej rzucić, salwując się ucieczką. Stało na tym, że byli zabici i zniszczeni, bo w całym starym mieście – i już nie znając pierwotnej przyczyny starcia – wszczęto polowanie na wszystkich, którzy choćby wyglądali na Wenecjan, przekazując sobie – argument zawsze skuteczny przy takich zamieszkach – że kilku z tej nacji uchybiło godności jakichś kobiet. Gawiedź zatem splądrowała sklepy Wenecjan i wyrównano zaległe rachunki, o czym

kronikarz Julio Bragadino, choć pisał o swoich, właściwie to podsumował siedmnaście lat później:

*Noc całą wielkich szkód na zdrowiu i mieniu doznawali poddani Najjaśniejszej (...) Koniecznym było rozkazanie Wielkiego Mistrza Zakonu Maltańskiego i kapitanów stojących w porcie okrętów i korabi, aby ostudzić zapalczywość żołnierzy i marynarzy, coby pod karą śmierci na swe okręty powrócili (...) Poszukiwania sprawców tumultu do skutku nijakiego nie doprowadziły, zdołano jeno ustalić, że jakowymiś Hiszpanami oni byli, lecz niezbyt gorliwie ich poszukiwano, aby zamieszania dalszego uniknąć.*

Mimo to, kiedy następnego dnia zarządzono przegląd żołnierzy i marynarzy na „Mulacie”, nikt nas nie uchronił przed gigantyczną reprimendą kapitana Urdemalasa, ciskającego się w turbacji – choć niektórzy zarzekali się, że w duchu się z tego śmiali – od dziobu do rufy, a wszyscy staliśmy na burtach w pełnym oporządzeniu, ważącym trzydzieści funtów, i z morionem na głowie, ważącym następnych trzydzieści, żeby nam porządnie dopiec, bo tyle żelastwa paliło jak diabli pod ostrym słońcem w porcie, gdzie trzymał nas przez dłuższy czas po zwinięciu brezentowej tenty galery, choć żar lał się z nieba i nie było ni śladu bryzy. A przedstawienie było godne malarskiego pędzla, te wszystkie zakazane gęby, skupione, zalewające się potem i ze spojrzeniami wbitymi w espadryle – nie była to skromność, tylko rozsądek – kiedy Urdemalas przechodził, gromiąc nas wszystkich po kolei.



...następnego dnia zarządzono przegląd żołnierzy i marynarzy na „Mulacie”, nikt nas nie uchronił przed gigantyczną reprimendą kapitana Urdemalasa...

Waszmościowie jesteście bydlętami, mówił dość głośno, żeby było słycać w Borgo. Przestępcami fanfaronami, którzy wpędzą mnie w ruinę; ale zanim do tego dojdzie, powywieszam was wszystkich, na Boga i na wasze takie i owakie matki, jeśli zaraz mi nie wyśpiewacie, kto rozpoczął tę jatkę. Do jasnej ciasnej i niech was wszystkich diabli porwą. I przysięgam



sobie i Szatanowi, i matce, która mnie zrodziła, że powieszę dzisiaj na rei tuzin. Wszystko to wykrzykiwał bardzo wyniośle nasz kapitan na morzu i w boju, nie oszczędzając się ani krztyny, więc jego głos rozbrzmiewał po całym porcie aż do murów. Lecz skoro taka była jego rola i on od nas oczekiwał skruchy, milczeliśmy wszyscy jak myszki, z kamiennymi minami, dzielnie dotrzymując pola. Wiedząc, że wcześniej czy później odpuści. A trzeba było nas tam zobaczyć w szyku, wielu ze stłuczeniami i siniakami, niektórzy z plastrami, okładami i szmatami, ktoś z ręką na temblaku, ktoś inny z czarno podbitym okiem. Wyglądaliśmy raczej jak po abordażu tureckiej galery niż po spokojnym rozruszaniu nóg w wolnym czasie na Malcie.

Następnego dnia w czas rano, wszak nikomu już nie pozwolono zejść na ląd, wyrwaliśmy kotwicę bez żadnych trudności i ruszyliśmy gnani greckim wiatrem, żeby opłynąć Sycylię aż do Messyny. Połowę drogi odbyliśmy przy dobrym wietrze i z zadowolonymi galernikami, bo wiatr był pomyślny i niewiele trzeba było wiosłować. To właśnie tej samej nocy, kiedy na lewym trawersie zobaczyliśmy w oddali światło, które mogło oznaczać zarówno przylądek Pajaro, jak i lampy Saragossy – którą Sycylijczycy nazywają Syrakuzami – odbyłem rozmowę z Maurem Gurriato. Oba żagle skrzypiały na swoich masztach, a galernicy, żołnierze i marynarze, poza tymi na wachcie, spali spokojnie na ławkach ze zwyczajowym chrapaniem, chrząkaniem, beknięciami i innymi nocnymi odgłosami, których oszczędzę waszmościom. Bolała mnie głowa i nie mogłem zasnąć; zatem, podnosząc się ostrożnie, aby nikogo nie obudzić, poszedłem, deptając karaluchy, przejściem po lewej burcie, w nadziei, że nocna bryza przyniesie mi ulgę; i na wysokości ławki wzorowego natknąłem się na znajomą postać, odznaczającą się na tle jasności latarni zapalanej na relingu, która odrobinę oświetlała rufę galery. Maur Gurriato wspierał się na poręczy, wpatrywał się

w ciemne morze i w gwiazdy, które kurtyna żagla to zakrywała, to odkrywała przy kołysaniu okrętu. On też nie mógł zasnąć, odpowiedział na zadane przeze mnie pytanie. Nigdy wcześniej nie był na morzu, zanim wszedł z nami na pokład w Oranie, wszystko wydawało mu się nowe i dziwaczne, i kiedy nie siedział przy wiosłach, wiele nocy spędzał tak właśnie, z szeroko otwartymi oczyma. Wydawało mu się cudem, że coś tak wielkiego, ciężkiego i misternie zbudowanego mogło pewnie poruszać się po morzu w mroku. Chcąc poznać tajemnicę, uważnie przyglądał się ruchom galery, każdemu światełku, rozbłyskującemu na horyzoncie, chłonał szmer niewidocznej wody, która fosforyzując, odbijała się o burtę okrętu. Brzmiała jak magiczne słowa, dodał, jak psalm albo modlitwa, ta formuła, którą co pół godziny wyśpiewywał monotonnym głosem marynarz na wachcie przy sterze, gdzie była igła, kiedy odwracał klepsydrę:

*Dobra, co odchodzi,  
Lepsza, co przychodzi.  
Wartę tu trzymamy,  
Szlanka piasek sieje,  
Dobra będzie podróż,  
Bóg daje nadzieję.*

To wtedy zapytałem go o krzyż wytatuowany na policzku i o tę legendę, według której jego lud był chrześcijański w dawnych wiekach, nawet w długi czas po przybyciu muzułmanów z północnej Afryki i upadku Hiszpanii, w czasach Wizygotów, Tarika, Musy i zdrady hrabiego Juliana. O tych imionach nic nie wiedział, odpowiedział po krótkim milczeniu. Ale było prawdą, że dziadek i ojciec opowiedzieli mu, że jego plemię, Beni Barrani, było inne od pozostałych, bo nigdy nie przeszli na wiarę

Mahometa. Po wielu wojnach w górach utracili niemal wszystkie zwyczaje chrześcijańskie i stali się niejako ludźmi bez boga i ojczyzny. Dlatego pozostali Maurowie nigdy im nie ufali.

– I dlatego nosicie krzyż na twarzy?

– Nie jestem pewien. Mój ojciec mówił, że to znak z czasów Gotów, żeby odróżnić się od innych pogańskich plemion.

– Kiedyś mówiłeś o dzwonie ukrytym w górach...

– *Tidt.* Prawda. Wielki dzwon z brązu, w jaskini. Ja nigdy go nie widziałem, ale mi powiedzieli, że leży ukryty od ośmiu czy dziesięciu wieków, od przybycia muzułmanów... Były także bardzo stare księgi, których nikt już nie potrafi przeczytać, z czasów Wandalów albo wcześniejszych.

– Napisane po łacinie?

– Nie wiem, co to łacina. Ale nikt ich już nie potrafił przeczytać.

Zaległa cisza. Ja wyobrażałem sobie tych ludzi samotnych w górach, oddanych wierze, która wraz z upływem wieków przeciekała im pomiędzy palcami. Powtarzających symbole i gesty, których znaczenia zapomnieli już bardzo dawno. Beni Barrani, przypomniałem sobie, oznaczało „bez ojczyzny”. Dzieci obcych.

– Dlaczego poszedłeś z nami?

Maur Gurriato poruszył się trochę na tle słabego światła latarni rufowej. Zdaje się, że nie spodobało mu się pytanie.

– Przypadek – powiedział w końcu. – Człowiek powinien iść, dopóki może. Iść do miejsc, które są daleko, i stawać się mądry... Może w ten sposób lepiej zrozumie.

Wsparłem się na burcie, naprawdę zainteresowany.

– Co musisz zrozumieć?

– Skąd pochodzę. Ale nie mówię o górach, w których się urodziłem.

– A co to ma za znaczenie?

– Wiedza, skąd pochodzisz, pomaga umrzeć.

Znowu zaległa cisza, przzerwana przez rutynowe słowa wymienione przez dziobowego wachtowego i sternika, wskazujące, że droga przed dziobem jest czysta. Później usłyszeliśmy tylko skrzypienie rej i szmer wody pod galerą.

– Spędzamy życie na krawędzi śmierci – dodał po chwili Maur Gurriato – ale wielu ludzi o tym nie wie. Tylko *assen*, mędracy, to wiedzą.

– Ty jesteś mędrcom?... Czy chcesz nim być?

– Nie. Ja jestem tylko jednym z Beni Barrani – głos mojego rozmówcy promieniował spokojem, bez niedomówień. – I nawet nie widziałem na własne oczy dzwonu z brązu ani książek, których nikt nie potrafił przeczytać... Dlatego potrzebuję innych ludzi, aby wskazali mi drogę, jak ta magnetyczna igła, którą tutaj macie.

Uczynił ruch w kierunku rufy, gdzie w ciemności odcinała się twarz marynarza wachtowego, podświetlona od dołu przez latarnię niechybnie po to, by wskazać kompas.

Skinąłem głową.

– Rozumiem... To jest powód, dla którego wybrałeś kapitana Alatryste, żeby odbyć swoją podróż.

– To prawda.

– Ale on jest tylko żołnierzem – zaproponowałem. – Wojownikiem.

– Jest *imyahad*, to prawda. Dlatego ci mówię, że jest mędrcom. On co rano patrzy na swój rapier, kiedy otwiera oczy, i patrzy na niego, zanim je zamknie... Wie, że umrze, i jest przygotowany. Rozumiesz?... To go odróżnia od innych ludzi.

\* \* \*

Przed świtem słowo umrzeć nabrało bezpośrednich znaczeń. Grecki wiatr, który do tej pory był umiarkowany, dmuchnął z mocą i zagroził zepchnięciem nas za bardzo w kierunku brzegu. Zwykłym uderzeniem pejcza zbudzono zatem wiosłarzy i ze wszystkimi przy wiosłach ruszyliśmy z wolna na otwarte morze, pofalowane i wzburzone, podczas gdy bryzgi i fontanny wody przelewały się przez dziób, mocząc ludzi na ławkach, aż żal było na nich patrzeć, przemoczonych i na wpół nagich, dyszących nad wiosłami. Również marynarze i majtkowie biegali bez przerwy z jednej strony na drugą, po równo złorzecząc i modląc się, z wyjątkiem kilku uprzywilejowanych, którzy mogli ułożyć się w ładowniach, w szpitalu i mesie, my żołnierze zwinęliśmy się, leżąc na ławkach jak Pan Bóg przykazał, wciskając się jedni w drugich i przytrzymując się wzajemnie przy kołysaniu, pośród wymiotów, mimo to, gdy galera zatapiała ostrogę w piersi fali, woda zalewała nas od końca do końca. Na niewiele zdawały się opończe i okrycie się brezentem, bo do morza przyłączył się zaraz zimny ulewny deszcz, który w końcu wszystkich nas uciszył, a wiatr nie pozwalał na rozpięcie tenty.

W ten sposób, na wiosłach – pięć czy sześć połamało się tego dnia – weszliśmy w morze coś z milę, a wysiłek ten zajął nam całe rano. W pewnej chwili bosman zauważył, że istnieje możliwość zażądania od niektórych żołnierzy pomocy przy wiosłach, w przypadku, gdy sytuacja się pogorszy, aby uniknąć zepchnięcia nas przez wiatr na brzeg. Ciekawe było przyglądać się, jak podniósł się chór protestów tych, którzy to usłyszeli, rzucający, że oni są żołnierzami, a więc szlachtą, i nawet nie ma co marzyć, że przyłożą swoje ręce do wiosła, dopóki król nasz pan nie skaże ich na galery, a Bóg będzie łaskaw im tego oszczędzić. Że wolą raczej – powiedział któryś – utopić się jak świeżo urodzone kociaki, ale z

nienaruszonym honorem, niż uratować się, ucierpiawszy na nim uszczerbek; i że, dzieci swoich matek, woleli raczej pozwolić się poćwiartować, niż choćby na chwilę zniżyć się do nikczemnej pozycji galernika. Zatem na razie nie było o czym mówić, i wszystko zostało po staremu; żołnierze ściśnięci na ławkach, przemoczeni i szczękający zębami, uparci, modlący się i złorzeczący wszechświatowi, a galernicy przy swojej robocie, wiosło za wiosłem, zostawiający skórę na pejczach bosmana i jego pomocnika.

W południe, na szczęście dla wszystkich, grecki wiatr zmienił kierunek; mogliśmy zaszałować wiosła i postawiwszy grotzagiel i baksztag – postawiono także mały żagiel na fokmaszcie – porządnie ruszyliśmy przed siebie, wracając na właściwy kurs. Przeszkodą było to, że dalej mocno padało, jakby świat się zatapiał; i tak, przy ciągłych zmianach deszczu w porywisty wiatr i na odwrót, z błyskawicami w oddali, szliśmy kanałem Świętego Jana, baksztagiem, mocno pochyleni na burtę i ze wszystkimi ludźmi na rufie, żeby nie pruć ostrogą fal, kiedy zbliżaliśmy się do Cieśniny Messyńskiej z prędkością, według obliczeń pilota, cztery mile na każde obrócenie klepsydry. Żeby pogorszyć jeszcze naszą sytuację, noc stała się czarna, choć oko wykol, co utrudniało ustalenie naszej pozycji, tak więc mieliśmy przed sobą niebywale niebezpieczne Scyllę i Charybdę, które od czasów Ulissea przy złej pogodzie były najgorszym miejscem na świecie i koszmarem marynarzy. Ale wzburzone morze i wyczerpanie wioślarzy nie pozwalało halsować ani trzymać się z daleka. W takiej byliśmy sytuacji, wchodząc w lejek cieśniny i nie mogąc już wrócić, choćbyśmy chcieli, kiedy kilku ludzi zapewniło, że widzi światło na lądzie; i pilot, i kapitan Urdemalas, po długim konwentyklu, zdecydowali się rzucić monetą, żeby zdecydować, czy to światło wieży w mieście Messyna czy latarnia,

oddalona niemal dwie mile w kierunku tramontany. Zatem zostawiono na maszcie mały żagiel, bosman zagwizdał, usiłując przebić się przez wycie wiatru w takielunku, i nasi galernicy, w tym też Maur Gurriato, wiosłowali, dopóki sternik, zmagając się z uderzeniami morza, wdzierającymi się nam na pokład od strony rufy, starał się utrzymać ostrogę na kursie dalekiego światełka. Przybyliśmy do brzegu po ciemku i znacznie szybciej, niż byśmy sobie życzyli, z paternostrem w ustach, mocno trzymając się tego, co było pod ręką, wierząc, że nie wejdziemy na jakiś kamień albo nie rozbijemy się o skały. A stałoby się tak, gdyby nie wydarzyło się coś, co wielu uważa za cud, a inni za morską fortunę; a wydawało się, że gdy zgasło, być może z powodu wielkiej ulewy, światło na wieży, które nas prowadziło, kiedy już znajdowaliśmy się blisko, jak twierdził pilot, miasta Messyna, i przy ponownej zmianie kierunku wiatru znaleźliśmy się w ciemnościach, choć przy odrobinę spokojniejszym morzu, wypatrując wejścia do portu. I gdyby w tej chwili błyskawica nie rozświetliła nam fortu Zbawiciela na odległość strzału z pistoletu przed dziobem, pozwalając na położenie steru na burcie, niechybnie byśmy się o niego rozbili, ginąc w chwili, kiedy ocalenie znajdowało się już na wyciągnięcie ręki.





## VII. ZOBACZYĆ NEAPOL I UMRZEĆ.



oc była czerwonawa, z Wezuwiuszem zabarwiającym ją całą z daleka tym niepewnym fantastycznym światłem, od którego pokraśniała nawet poświata miesiąca wznoszącego się po drugiej stronie miasta. Kształty i cienie Neapolu, jego budynków, szczytów i wież, ziemi i morza, zostawały w ten sposób dziwnie oświetlone z dwóch różnych stron, rozmywając cienie, tworząc tak nierealny krajobraz, jak ten z płócien, które Diego Alatryste widział w płomieniach, rzeczywisty ogień na ogniu namalowanym, podczas plądrowania Flandrii.

Z rozkoszą odetchnął letnim i słonym powietrzem, gdy nie śpiesząc się, zapinał pas z rapierem i sztyletem. Nie miał peleryny. Mimo późnej godziny – zapadła już noc – temperatura dalej była przyjemna. To, wraz ze specyficzną nocną jasnością, nadawało miastu łagodny wygląd, właściwy melancholii. Poeta taki jak mość Francisco de Quevedo napisałby kilka dobrych lub złych wersów na ten temat; jednak Alatryste nie był poetą, a jego jedynymi własnymi wersami były blizny i tuzin wspomnień. Dlatego włożył kapelusz i spojrzawszy w jedną i drugą stronę – nocne w miejscach odosobnionych, takich jak to, nie były pewne nawet dla samego diabła – ruszył przed siebie, słuchając odgłosu swoich kroków, początkowo na



ciemnych kocich łbach, a potem przytłumionych na piaszczystej drodze Chiaia. Kiedy szedł niezwolnie, uważny na cienie, mogące chronić się pośród wyciągniętych na brzeg rybackich łódek, widział odcinające się czernią na czerwieni po drugiej stronie szerokiej plaży wzgórze Pizzofalcone i zamek Jajeczny, wbijający się w spokojne morze. W domach nie świeciło się ani jedno światło, ani jednej pochodni nie zapalono na ulicach. Żadnego też podmuchu bryzy. Starożytna Partenope spała zakryta ogniem, i Alatryste uśmiechnął się zamyślony pod szerokim rondem kapelusza, wspominając. To samo światło, właściwe dla chwil, kiedy staremu wulkanowi przewracały się wąpzia, w innych czasach oświetliło dobre zdarzenia z jego żołnierskiej młodości.

To już dwadzieścia lat, zastanowił się. W roku dziesiątym tego wieku poznał Italię po raz pierwszy, po straszliwych przeżyciach kwestii mauretańskiej w górach i na plażach Hiszpanii. Żołnierz na korsarskich galerach – *lawandi*, nazywali ich Turcy – z bogatymi łupami z greckich wysp i otomańskiego wybrzeża w zasięgu ręki każdego człowieka na tyle śmiałego, by po nie pojechać, sześć pierwszych lat w służbie wojskowej w Neapolu zaliczał do najlepszych w życiu; pełna sakiewka pomiędzy podróżą i podróżą, karczmy i tawerny w Mergellinie i Chorrillo, komedie hiszpańskie w teatrze Florentczyków, dobre wino, jeszcze lepsze jedzenie, zdrowy klimat, życie w koszarach w dzielnicach na obrzeżach miasta pod winoroślami i gęstymi drzewami, w towarzystwie miłych towarzyszy i pięknych kobiet. Tam poznał wielką nadzieję Hiszpanii, służącą na neapolitańskich galerach jako poszukiwacz przygód – dobrze urodzeni młodzieńcy w ten sposób zdobywali sobie reputację – hrabiego Guadalmedina, syna tego drugiego, starego, który był jego generałem we Flandrii pod Ostendą.

Guadalmedina, ni mniej, ni więcej. Idąc brzegiem morza, Alatryste zadał sobie pytanie, czy w swoim pałacu w Madrycie Álvaro de la Marca wie, że on znowu jest w Neapolu. To, zakładając, że pan hrabia, przyjaciel i zaufany króla Filipa Czwartego, choć trochę dba o los człowieka, który w roku czternastym na Kerkennach zarzucił go na plecy rannego i zaniósł z powrotem na okręt, w wodzie po pas i z bisurmanami osaczającymi ich jak psy. Jednak zbyt wiele rzeczy zaszło pomiędzy tamtym wydarzeniem i dniem dzisiejszym, w tym nocne pchnięcia nożem przed pewnym domem w Madrycie i kilka sztychów nad rzeką Manzanares.

„Chryste, w dupę mać”.

Przekleństwo zrodziło się w jego wnętrznościach, odwrócił głowę na bok, mlasnąwszy z urazą. Wspomnienie Guadalmediny, którego więcej nie widział po sprzeczce w Escorialu, mąciło mu zmysły i dumę. Aby je rozjaśnić, skierował myśli na przyjemniejsze sprawy. Był w Neapolu, do diabła. W środku italskich rozkoszy, zdrów i z brzękiem reali w sakiewce. Miał tam solidnych przyjaciół, nie wspominając Sebastiana Coponsa – szczyił się tym, że odzyskał Aragończyka – z tych, co to dobrze żują, a jeszcze lepiej pociągają z flaszki, z tych, co to dadzą się porąbać za człowieka. Jednym z takich był też Alonso de Contreras: najdawniejszy ze wszystkich, wszak to z nim, gdy ledwie skończyli trzynaście lat, zaciągnął się jako paż werblista do piechoty idącej do Flandrii. Alatryste i Contreras ponownie spotkali się w Italii w dziesięć lat później, następnie w Madrycie, a teraz znowu w Neapolu. Dzielny Contreras był jak kiedyś: odważny, gadatliwy i trochę fanfaron; rzecz to myląca i nieco niebezpieczna dla tego, kto dokładnie go nie zna. Zachował stanowisko kapitana, miał dobrą reputację, odkąd to Lope de Vega napisał o nim słynną komedię – *Król bez królestwa* – i chodził na maltańskich galerach na wyprawy na wybrzeże Morei i Morza Egejskiego, nigdy dość bogaty, ale świetnie sobie radzący.

Księżę Albuquerque, wicekról Sycylii, właśnie przekazał mu w dowództwo garnizon Pantelaria, wyspy leżącej w połowie drogi do Tunisu, z niedużą fregatą, żeby mógł oddawać się korsarstwu, gdyby się nudził. Co też, słowami Contrerasa, nie robiło go bardziej królem, niż zrobił go Lope, ale dawało mu opłacone wojsko, przyjemne i godne zaufania.

Alatryste dalej szedł wzdłuż plaży. Zanim dotarł do wysokości murów Pizzofalcone, wszedł po zboczu po lewej stronie. Chwilę później, minąwszy furtkę, która przez całą noc pozostawała otwarta przy bramie Chiaia, zagłębił się, z odpowiednią ostrożnością, w ulice miasta. Pomędzy dwoma narożnikami oświetliło go wejście do knajpy. W środku słychać było brzdąkanie gitary, hiszpańskie i włoskie głosy oraz śmiechy mężczyzn i kobiet. Poczłł ochotę ujrzenia ich podchmielonych, ale ruszył w swoją stronę. Było późno, był zmęczony, a został mu jeszcze spory kawałek do dzielnicy zwanej hiszpańską, wielkiej dzielnicy, w której miał kwaterę. Poza tym wypił już wystarczająco dużo, żeby ugasić pragnienie – nie była to jedyna ugaszona rzecz, wbrew Bogu – i on sam wychylił dzban do dna, podczas gdy demony tańczyły w jego sercu i pamięci, co nie było przypadkiem tej nocy. Jego niedawne wspomnienia bliższe były rajn niż piekła. Myśl sprawiła, że ponownie się uśmiechnął, a przesunąwszy dwa palce po wąsach, poczuł na nich woń kobiety, której mieszkanie zostawił za plecami. Było dobrze, pomyślał, ciągle żył i znowu znajdował się w Neapolu.

\* \* \*

– *Non e vero*<sup>73</sup> – powiedział Włoch.

Jaime Correas i ja wymieniliśmy spojrzenia. Na szczęście żaden z nas nie miał broni – w domu gry wymagali rozbrowienia się przy wejściu – bo

zaszlachtowalibyśmy beczelnego typu na miejscu. Choć między Włochami takie słowa nie były obraźliwe, żaden Hiszpan nie pozwalał, by je wypowiedziano bez chwycenia za broń. A szuler doskonale wiedział, z kim rozmawia.

– To wy – odpowiedziałem – łzecie jak pies.

I wstałem z miejsca, rozwścieczony zuchwałością tamtego, chwytając dzban i gotowy rozbić mu nim pysk przy najdrobniejszym ruchu. Correas zrobił to samo i znaleźliśmy się jeden obok drugiego, stając twarzą: ja wobec szulera, a mój towarzysz wobec ośmiu czy dziesięciu typów o okrutnym wyglądzie, którzy wypełniali niewielki dom gry. Nie pierwszy to raz znajdowaliśmy się w podobnym położeniu, wszak, jak to napisałem w innym miejscu, Correas nie należał do takich, którzy wzbudzają miłosierdzie albo spokój, często ryzykował, że nie doczeka poranka. Nawykły do złych obyczajów pazia we Flandrii, mój dawny towarzysz stał się hultajem, oszustem i rozpustnikiem, miłośnikiem włóczenia się po szulerniach i zamtuzach; jednym z tych straconych młodzików, poruszających się na krawędzi, którzy w końcu, jeśli nie wkraczają na drogę poprawy, zwykle kończą na krawędzi noża, bijąc po grzbietach sardynki z rozkazu króla, albo z trzema pętlami sznura na szyi. Co do mnie, cóż mam powiedzieć waszmościom: liczyłem tyle samo lat, byłem jego przyjacielem i nie miałem w sobie ani krztyny ze świętego. I w ten sposób staliśmy się dwoma królami życia, rapiery pod ręką i kapelusze na bakier, po zawadiacku, w tej Italii, gdzie my Hiszpanie byliśmy panami, albo prawie, od czasów, kiedy dawni królowie Aragonii podbili Sycylię, Korsykę i Neapol, i wprzód wojska Wielkiego Kapitana<sup>74</sup>, a potem piechota cesarza Karola przepędziły Francuzów kopniakiem w zadek. Wszystko to wbrew papieżom, Wenecji, Sabaudii i samemu diabłu.

– Po stokroć łzesz – dodał Correas, żeby zakończyć sprawę.

Zaległa cisza z tych, które nie wróżą nic dobrego, i oceniłem rzecz wojskowym okiem: Bóg zsyłał nam trudny orzech. Pretendent był z tych smaglejszych, Florentczyk, a pozostali, Neapolitańczycy, Sycylijczycy czy diabli ich wiedzą skąd; ale z tego, co widziałem, żadnego z naszej nacji. Ponadto znajdowaliśmy się w piwnicy o pociemniałym od dymu suficie przy placu Olmo, naprzeciwko fontanny, z dala od hiszpańskiej dzielnicy. Jediną dobrą rzeczą było to, że wszyscy wyglądali na tak samo rozbrojonych jak i my, chyba że zabłysnęłaby gdzieś jakaś kosa albo rożen ukryty w ubraniu. Przekląłem w myślach swojego przyjaciela, który po raz kolejny i wyzbyty choćby krztyny rozsądku, upierając się, że zagra w cztery karty w lokalu tak podłym jak ten, wpędził nas w ambaras. Rzecz jasna, nie pierwszy to raz znaleźliśmy się w tak mizernym położeniu. Jednakowoż podejmowaliśmy ryzyko, że będzie to raz ostatni.

Ze swej strony szuler nie tracił rezonu. Był to doktor szulerstwa, człek nawykły do takich niedogodności w swej szlachetnej profesji. Jego wygląd raczej nie uspokajał: maskował łysinę wyleniałym tupetem, był wysuszony, na palcach miał grube złote pierścienie, a usztywniony wąs jaskółczy sięgał mu do oczu. Nadałby się na statystę w teatrze, gdyby nie to, że źle mu z oczu patrzyło. I w ten sposób, z podstępłą miną i uśmiechem bardziej fałszywym niż gaskoński pielgrzym, puścił oko do innych cwaniaczków i zaraz wskazał karty rozłożone na stole zalanym winem i woskiem świec.

– *Voacé a fato acua* – wycedził przeciągle. – *A perduto*<sup>75</sup>.

Popatrzyłem ze swej strony na położone pyskami do góry byki, bardziej rozsierdzony tym, że bierze nas za durni, niż samym oszustwem. Królowie i siódemki, którymi chciał nas oszwabić, były bardziej znaczone niż królewskie bydło i miały bardziej pozaginane rogi niż włoskie barany. Nawet dziecko odkryłoby jego wybieg, ale łotr brał nas za mniej niż dzieci.

– Weź nasze pieniądze – wyszeptałem do Correasa. – I do Villadiego.

Nie trzeba było tego powtarzać dwa razy, mój towarzysz wsypał do sakiewki monety, które wcześniej postawiliśmy. Ja, ciągle z dzbanem w ręku, nie spuszczałem wzroku z szulera i kątem oka uważałem na jego współników. Ciągle przeprowadzałem kalkulacje szachisty, jak to zawsze mi zalecał kapitan Alatryste: zanim weźmiesz się do pięści, pomyśl, jak wyjdiesz. Było dziesięć kroków i z tuzin stopni przed drzwiami, za którymi znajdowała się broń. Na naszą korzyść przemawiało to, że dla oszczędzenia właścicielowi domu gry kłopotów ze sprawiedliwością, stali bywalcy zwykle nie napadali tam, lecz na ulicy. To oczyszczało nam teren aż do placu. Wysiliłem głowę; ze wszystkich kościołów, w których mogliśmy się schronić na wypadek odniesienia ran, najbliższe były Santa María la Nueva i Monserrate.

Wyszliśmy nieniekajeni, co mimo wszystko mnie zaskoczyło, chociaż ciszę można było kroić nożem. Na szczycie schodów wzięliśmy nasze rapiery i sztylety, daliśmy monetę chłopakowi i stanęliśmy na placu Olmo, oglądając się za siebie, bo słyszeliśmy kroki za plecami. Różanopalka jutrzienka wychylała się, ze wszystkimi swymi metaforami, spoza góry zwieńczonej zamkiem Świętego Marcina, i oświetliła nasze wymizerowane i zaspane oblicza wykolejeńców po nocy pełnej wina, muzyki i gotowości do bitki. Jaime Correas, który niewiele wyrósł od czasów Flandrii, ale rozszerzyły mu się ramiona i zyskał wygląd żołnierza – teraz nosił prawie gęstą bródkę, przedwczesną, i rapier tak długi, że jego czubek niemal wlokł się po ziemi – ruchem głowy wskazał szulera i trzech jego współników, którzy szli za nami, pytając cichaczem, czy ruszamy biegiem, czy obnażamy rapiery. Prawda jest taka, że bardziej miał ochotę na to, by wziąć nogi za pas, niż na cokolwiek innego. To odebrało mi animusz, bo ja też nie miałem na tyle pewnej ręki, żeby wdawać się w szermiercze pojedynki. Ponadto, wedle pragmatyki wicekrólewskiej, publiczne ścieranie się na

ulicy w biały dzień było niechybnym wiatykiem na podróż do więzienia św. Jakuba, jeśli było się hiszpańskim żołnierzem, i do Wikariatu, jeśli włoskim. I oto w takiej znalazłem się sytuacji, z florenckim kanciarzem i jego poplecznikami na karku, wahając się, jako *miles gloriosus*<sup>76</sup>, którym byłem, pomiędzy taktyką nagłego ataku, łup i na nich, typu „Hiszpania! Zwyciężaj!”, czy też taktyką szybkiego zajęcia – bo odwaga nie zaćmiewa rozsądku – kiedy Correasowi i mnie objawiła się Najświętsza Paniienka. Albo, żeby być dokładniejszym, pojawiła się nam pod postacią rontu wojska hiszpańskiego, który wracał z warty na stanowisku przy *molo piccolo* i kierowała na ulicę Celną. Zatem, nie wahając się ani chwili, rzuciliśmy się na łono ojczyzny, a szubrawcy, nie mogąc nic nam zrobić, spokojnie stali na rogu. Atoli bardzo się nam przyglądali, żeby zapamiętać nasz wygląd i twarze.

\* \* \*

Uwielbiałem Neapol. I jeszcze teraz, kiedy spoglądam wstecz, wspomnienia moich młodych lat w tym mieście, będącym jak miniaturowy świat, wielki jak Sewilla i piękny jak raj, wzbudzają uśmiech rozkoszy i nostalgię. Wyobraźcie mnie sobie: młodego, przystojnego Hiszpana, pod sztandarem słynnej piechoty, której naród był największą potęgą i biczem świata; na ziemi tak rozkosznej jak tamta: *Madono, porta manjar. Bisoño presto e vino, presto. Bongiorno, bela signorina*. Dodajcie do tego, że w całych Włoszech, oprócz Sycylii, kobiety za dnia chodziły po ulicy bez zasłony, w dopasowanym ubraniu i pokazując kostki, włosy w siateczce albo z mantylką, lubo w lekkiej jedwabnej chustce. Poza tym, w odróżnieniu od małostkowych Francuzów, skąpych Anglików albo brutalnych Niemców, my Hiszpanie cieszyliśmy się w Italii dobrą sławą;

lubo aroganccy i fanfaroni, uważano nas też za zdyscyplinowanych, dzielnych i bez węża w sakiewce. I mimo naszego naturalnego okrucieństwa – o którym zaświadczały nawet sami rzymscy papieże – w owym okresie zwykle cudownie się rozumieliśmy z Włochami. Osobliwie w Neapolu i na Sycylii, gdzie z łatwością można się było porozumieć w hiszpańskiej mowie. Wiele było włoskich oddziałów – mieliśmy je z nami pod Bredą – przelewających swoją krew pod naszymi sztandarami, a ich ludzie i historycy nigdy nie uważali tych żołnierzy za zdrajców, lecz za wierne sługi ojczyzny. Znacznie później zamiast kapitanów i żołnierzy, którzy trzymali w ryzach Francuzów i Turków, napłynęli z Hiszpanii poborcy podatkowi, sędziowie, pisarze i pijawki wyzbyte przyzwoitości, i miejsce wielkich czynów bitewnych zajęły panowanie bez skrupułów, łachmany, bandytyzm i nędza, które doprowadziły do zamieszek i krwawych buntów, jak ten z roku czterdziestego siódmego pod wodzą Masaniella.

Wróćmy wszelako do Neapolu mojej młodości. Który, jakem już mówił, bogaty i osobliwy, był doskonałą scenerią dla mych chłopięcych lat. I dodajcie do tego, jak mówiłem, niespokojną kompanię towarzysza Correasa; przecież nawet wokół klasztorów się kręciliśmy jako adoratorzy mniszek, ponadto w piątki i soboty szliśmy grupą do portu, kąpaliśmy się w ciepłe noce przy nabrzeżu albo poszukiwaliśmy krat, balkonów tudzież żaluzji, za którymi skrywały się oczy kobiet stających nam na drodze, nie zapominając o tawernach – we Włoszech były pierwsza klasa – czasem o szulerniach i lupach. Choć w tych ostatnich zachowywałem się tak powściągliwie, jak niepoohamowanie mój kompan; wszak cały czas miałem na względzie choroby, rujnujące jednako zdrowie i sakiewkę, podczas gdy Jaime wchodził i wychodził z każdą zastawiającą siadła, która mu rzekła: „masz piękne oczy”. Ja zwykle trzymałem się na uboczu, popijałem



szklanice wina i prowadziłem eleganckie rozmowy, ograniczając się do peryferyjnych potyczek, sympatycznych i bez wielkiego ryzyka. A ponieważ dzięki kapitanowi Alatriście byłem wychowany na młodzieńca roztropnego i nie byłem dusigroszem – wszak bardziej ceni się zegar, który wybija godzinę, niż ją pokazuje – nigdy nie miałem złych wyników w szykownych gospodach przy plaży Chiaia, w burdelach na ulicy Catalana albo w pustelniach Mandaracho albo Chorrillo: dziewczki kochały mnie, wzruszone moim dobrym wychowaniem i młodością, a nawet jedna mi prasowała – i krochmaliła – mankiety, pludry i koszule. Także gromady pyszałków odwiedzających te przybytki zwykle zwracały się do mnie „proszę pana” i „dobry towarzyszu”; krom tego, dla wiadomości waszmościów, i dzięki doświadczeniu zdobytemu u boku mojego kapitana, miałem wprawę w walce na pięści i robieniu rapierem, byłem w tym zręczny, szybki w posługiwaniu się sztyletem i miałem lekkie nogi. Rzeczy te, w zestawieniu z wydawanymi monetami, zawsze przysparzają dobrej reputacji pomiędzy urwipołciami, nicponiami, oczajduszami, zakapiorami i im podobnymi bywalcami tawern.

\* \* \*

– Masz list – powiedział kapitan Alatriście.

Rano, gdy schodził z wachty w Castilnuovo, poszedł na pocztę do stróżówki Don Francisca i odebrał złożony i zalakowany plik papieru, który z wypisanym moim imieniem leżał teraz na stole naszego pokoju gospody Any de Osorio w hiszpańskiej dzielnicy. Kapitan patrzył na mnie, nie wypowiadając więcej ani słowa, stojąc przy oknie, oświetlającym mu pod światło połowę twarzy i końcówkę wąsa. Zbliżyłem się powoli, jak do wrażej ziemi, rozpoznając pismo. I przysięgam Bogu, że mimo minionego

czasu, odległości, moich lat, spraw, które się wydarzyły od tej intensywnej i okropnej nocy w Escorialu, blizna na plecach skurczyła mi się niemal niezauważalnie, jakbym właśnie poczuł na niej rozpalone usta po lodowatym zimnie żelaza, i moje serce zatrzymało się, by ponownie zabić, silnie i bez rytmu. W końcu wyciągnąłem rękę, żeby chwycić pismo, i wtedy kapitan spojrzał mi w oczy. Wydawało się, że ma zamiar coś powiedzieć; lecz zamiast tego po chwili wziął kapelusz i pas z rapierem i przeszedłszy mimo, zostawił mnie samego w izbie.

*Pan don Íñigo de Balboa Aguirre Chorągiew kapitana don Justina Armenta de Medrano Poczta wojenna pułku piechoty w Neapolu*

*Panie żołnierzu,*

*Niełatwo było miejsce waszego pobytu ustalić, mimo że będąc z dala od Hiszpanii, przez krewnych i znajomych stale informacje o zdarzeniach tam zachodzących otrzymuję. W ten sposób doszły mnie wieści o Waszych przygodach po ponownym zaciągnięciu się do wojsk naszych w towarzystwie tego kapitana Batisty czy Eltristy, co dowodzi, iż nie zaspokoiwszy swych pragnień rzeźnia heretyków we Flandrii, poświęćcie obecnie swe siły Turczynowi, nieodmiennie służąc ku wzmocnieniu naszej powszechnej monarchii i prawdziwej religii, co przydaje wam honoru jako dzielnemu i krzepkiemu rycerzowi.*

*Jeśli uważacie me życie tutaj za wygnanie, mylicie się. Nowa Hiszpania jest światem nowym i porywającym, pełnym możliwości, a nazwiska i stosunki wuja mego, don Luisa, są w tym miejscu równie użyteczne, co na Dworze, a nawet bardziej jeszcze, z racji rzadkiej z nim komunikacji. Dość Wam wiedzieć, że jego pozycja nie tylko nie ucierpiała, lecz wzmocnia się i bardziej szczęsną się staje, mimo fałszywych argumentów, wysuniętych przeciw niemu roku przeszłego, po wydarzeniach w Escorialu. Mam nadzieję, że niebawem uzyska rehabilitację w oczach króla, pana naszego, wszak zachował na Dworze sprzyjających mu dobrych przyjaciół i dłużników. Ponadto jest czym ich zachęcać, wszak dość tu prochu dla dział, jakbyście powiedzieli w waszym żargonie żołnierzyka. W Taxco, gdzie zamieszkuję, produkujemy najlepsze i najszlachetniejsze srebro na świecie, a*

*znakomita część tego, które wozi flota do Kadyksu i Hiszpanii, przechodzi przez ręce mego wuja, a zatem przez moje. jakby powiedział brat Emilio Bocanegra, ten Bogu miły święty człowiek, którego z pewnością wspominać z taką samą miłością, jako i ja to czynię, drogi Pańskie są nieodgadnione, a osobliwiej w naszej katolickiej ojczyźnie, bastionie wiary i tak wielu przezczystych cnót.*

*Co zasię tyczy się Waszej miłości i mnie, wiele spraw i czasu upłynęło od naszego ostatniego spotkania, z którego wspominam każdą chwilę i każdy drobiazg, jak mam nadzieję wspominać i wy. Urosłam zewnątrz i wewnątrz i chciałabym z bliska porównać te zmiany z Waszymi; zatem wielce jestem przekonana, że pewnego odległego dnia spotkam Waszeczki twarzą w twarz, kiedy ten czas przeciwności, podróży i odległości wspomnieniem ledwie będzie. zaiste już mnie poznaliście: potrafię czekać. Tymczasem jednak, o ile jeszcze chowacie do mnie te uczucia, co przy naszym poznaniu, żądam natychmiastowej odpowiedzi własną Waszą ręką skreślonej, zapewniającej mnie, że czas, odległość i kobiety Włoch czy Lewantu nie zatarty Wam śladu moich dłoni, moich ust i mojego sztyletu. W przeciwnym bowiem razie przeklętym będziecie, wszak najgorszych plag świata tego będę Wam życzyła, łańcuchów w Algierze, wiosł galery, jako i wbicia na pal turecki. Jeżeli jednak pozostaniecie wiernym tej, która raduje się, że Was jeszcze nie ukatrupiła, przysięgam Was wynagrodzić mękami i szczęściem, jakiego nawet sobie wyobrazić nie potraficie.*

*Jak możecie ocenić, zdaje się, że jeszcze Was kocham. Aliści nie bądźcie tego pewni ani niczego. Wtedy tylko będziecie mogli to stwierdzić z całą pewnością, kiedy ponownie staniemy twarzą w twarz, patrząc sobie w oczy. Do tego czasu nie pozwólcie pozbawić siebie życia lubo też zadać uciążliwe rany. Mam wobec was zajmujące plany. A gdy będziecie atakować następną turecką galeryę, krzyczcie moje imię. Przyjemnie mi jest czuć się na ustach dzielnego mężczyzny.*

*Wasza  
Angelica de Alquézar*

Po chwilowym wahaniu zszedłem na ulicę. Zostałem kapitana siedzącego u drzwi zajazdu, z rozpiętym kaftanem, kapeluszem na głowie,

rapierem i sztyletem złożonymi na taborecie, przyglądającego się przechodniom. Miałem list w ręku i pokazałem mu go wielkodusznie, lecz on nie chciał nań patrzeć. Aliści lekko kiwnął głową.

– Nazwisko Alquézar przynosi nam pecha – powiedział.

– Ona to moja sprawa – odparłem.

Ponownie pokręcił głową, daleki od rzeczywistości. Zdawał się myśleć o czymś innym. Miał oczy wbite w skrzyżowanie naszej ulicy – gospoda znajdowała się na wzgórzu Trzech Króli – z ulicą Świętego Mateusza, gdzie kilka mułów przywiązanych do kółek w ścianach brudziło nawozem ziemię, pomiędzy kłitką, gdzie sprzedawano węgiel, miał i szczyпки, a sklepem pełnym pęków i rzędów łojowych świec. Słońce stało wysoko, a przydziewek rozwieszony pomiędzy oknami, z którego kapało na nasze głowy, kołysał kwadratami światła i cienia na ziemi.

– Nie tylko twoją sprawą były lochy Świętego Oficjum, ani ta sprawa z „Niklaasbergen” – kapitan mówił, ważąc słowa, raczej jakby głośno myślał, niż kierował się do mnie. – Podobnie w klasztorze Minillas ani w Escorialu... Wplątały też naszych przyjaciół. Zginęli ludzie.

– Szkopułem nie była Angelika. Wykorzystali ją.

Powoli odwrócił twarz w moją stronę i wpatrzył się w list, który ja jeszcze trzymałem w rękach. Spuściłem oczy, zmieszany. Następnie złożyłem plik i schowałem go do kieszeni. Na paznokciach został mi lak ze złamanej pieczęci i wydawał się zeschniętą krwią.

– Kocham ją – powiedziałem.

– To już kiedyś słyszałem, w Bredzie. Otrzymałeś list taki jak ten.

– Teraz kocham ją bardziej.

Kapitan znowu zamilczał na długą chwilę. Wsparłem się ramieniem o ścianę. Patrzyliśmy na przechodzących: żołnierzy, kobiety, służących z zajazdu, stajennych, tragarzy. Cała dzielnica zbudowana przez zwykłych

ludzi, od poprzedniego wieku z podniety wicekróla don Pedra de Toledo służyła za mieszkanie znakomitej części z trzech tysięcy hiszpańskich żołnierzy neapolitańskiej piechoty, wszak tylko nieznaczna ich liczba pomieścić się mogła w koszarach. Reszta pomieszkiwała tutaj, tak jak my. Prostokątna, jednolita i rozwiązła, nie była miejscem pięknym, lecz praktycznym – brak tu było budynków administracji, niemal wszystkie były zajazdami, gospodami i prywatnymi domami z izbami do wynajęcia w budynkach o czterech, a nawet pięciu kondygnacjach, zajmujących niemal każdy możliwy kawałek przestrzeni. Po prawdzie był to ogromny miejski teren wojskowy, zamieszkały przez żołnierzy będących tu przejazdem lub stacjonujących w garnizonie, gdzie współżyliśmy – niektórzy brali sobie za żony Włoszki albo kobiety przybyłe z Hiszpanii i mieli tam dzieci – z mieszkańcami wynajmującymi pokoje, dostarczającymi nam żywność i utrzymującymi się w sumie z tego, co wydawało wojsko, a było tego niemało. A tamtego dnia, jak we wszystkie inne, podczas gdy kapitan i ja gawędziliśmy przy drzwiach zajazdu, nad naszymi głowami szczebiotały kobiety z okna do okna, wyglądali starzy i mocne głosy rozbrzmiewały w domach, gdzie mieszały się różnorodne akcenty hiszpańskie z zamkniętym akcentem neapolitańskim. W obu językach krzyczały też jakieś obszarpane dzieciaki, które z wielkim zgiełkiem znęcały się nad psem w górze ulicy – przywiązały mu do ogona potłuczony dzban i pędziły go kijami, wrzeszcząc, że to żydowski pies.

– Są kobiety...

To zaczął mówić kapitan, lecz w jednej chwili zamilkł, zmarszczywszy brwi, jakby zapomniał całą resztę. Nie wiedząc dlaczego, poczułem się zirytowany. Zuchwały. Przed dwunastu laty, w tej samej hiszpańskiej dzielnicy, z nadmiarem wina w brzuchu i nadmiarem furii w duszy, mój

dawny pan zabił swego najlepszego przyjaciela i ciął sztyletem twarz pewnej kobiety.

– Nie sędzę, aby wasza miłość mógł mi udzielać lekcji na temat kobiet – powiedziałem, odrobinę unosząc głos. – Zwłaszcza tutaj, w Neapolu.

Mistrzowskie pchnięcie nożem. Lodowata błyskawica przeszła jego niebieskozielone oczy. Ktoś inny przestraszyłby się tego spojrzenia, lecz ja nie. On sam nauczył mnie nie bać się niczego ani nikogo.

– Ani w Madrycie – dodałem – z biedną płaczącą Cyganicą, podczas gdy María de Castro...

Teraz to ja zostawiłem zdanie w połowie niedokończone, coś dla mnie niezwykajnego, albowiem kapitan wstał z wolna, cały czas wbijając we mnie spojrzenie z bardzo bliska, swymi lodowatymi oczyma, wyglądającym jak flandryjskie kanały zimą. Choć bezczelnie wytrzymałem jego wzrok, przełknąłem ślinę, kiedy zobaczyłem, że dwoma palcami przygląda wąż.

– Ta – powiedział.

Przyjrzał się swojemu rapierowi i sztyletowi, leżącym na taborecie. Był zamyślony.

– Chyba Sebastián ma rację – ozwał się po chwili. – Za bardzo urosłeś.

Wziął broń i przypasał ją sobie bez pośpiechu. Tysiące razy widziałem, jak to robi, lubo przy tej okazji szczęk żelaza zjeżył mi włos na głowie. Po chwili, w zupełnej ciszy, wziął kapelusz z szerokim rondem i włożył go, oceniając sobie twarz.

– Prawdziwy z ciebie mężczyzna – dodał w końcu. – Gotowy unieść głos i zabić, rzecz jasna. Ale także umrzeć... Postaraj się o tym pamiętać, kiedy mówisz ze mną o pewnych sprawach.

Patrzył na mnie jak poprzednio, lodowato i uporczywie. Jakby właśnie ujrzał mnie po raz pierwszy w życiu. I wtedy rzeczywiście obleciał mnie

strach.

\* \* \*

Przyodzievek rozwieszony u góry, z jednej strony na drugą wąskich ulic, wydawał się całunem falującym w ciemnościach. Diego Alatryste pozostawił za sobą wybrukowany narożnik przestronnej ulicy Toledo, oświetlonej pochodniami na węglach, i zapuścił się w głąb hiszpańskiej dzielnicy, której proste i strome ulice wznosiły się w mroku w górę św. Elma. Na szczycie rysował się zamek, jeszcze odrobinę poczerwieniały od dalekiego, słabego światła Wezuwiusza. Po wzburzeniu poprzednich dni wulkan ponownie pogrążał się w letargu – krater zwieńczał już jedynie niewielki obłok dymu, a jego czerwonawa luna ograniczała się do słabego refleksu na chmurach i w wodach zatoki.

Gdy tylko poczuł się chroniony przez mrok, przestał się powstrzymywać i zwymiotował, rycząc jak knur. Przez chwilę stał tak, wsparty o ścianę, pochylając głowę i dzierżąc w ręku kapelusz, aż cienie przestały kołysać się wokół niego i cierpka świadomość zastąpiła winne opary – które o tej porze były śmiertelną mieszaniną greka, mangiaguerry, latina i lacrimacristi. Nie było w tym nic dziwnego, wszak wracał po samotnym pielgrzymowaniu, trwoniąc całe popołudnie i znakomitą część nocy, od tawerny do tawerny, umykając przed towarzyszami spotykanymi na drodze krzyżowej, otwierając usta tylko po to, żeby prosić o kolejne dzbany wina. Pijąc po teutońsku albo jak on sam.

Obejrzał się za siebie, w stronę oświetlonego wylotu ulicy Toledo, w poszukiwaniu niewczesnych świadków. Po szorstkich reprimendach Maur Gurriato przestał łączyć za nim krok w krok i w tej chwili pewnie spał w skromnej izbie koszarów Monte Calvario. W zasięgu wzroku nie było

żywego ducha, zatem towarzyszył mu tylko odgłos jego kroków, kiedy włożył kapelusz i ponownie ruszył przed siebie skroś pogrążone w mroku ulice. Przeciął ulicę Sperancella, odsłoniwszy rękojeść rapiera, idąc środkiem ulicy, aby uniknąć jakiegoś niewczesnego spotkania w bramie lub na którymś rogu, i dalej kroczył w górę, aż dotarł pod podcienia, gdzie zwolnił. Skręciwszy w prawo, żeglował przed siebie, aż przeszedł mimo placyku z hiszpańskim kościołem Świętej Trójcy. Ta dzielnica Neapolu przynosiła mu i dobre, i złe wspomnienia, a te ostatnie zostały poruszone w wielce nieodpowiedni sposób tegoż właśnie popołudnia. Mimo upływającego czasu ciągle tam były, żywe i świeże, niczym komary walczące o to, by nie utopić się w winie. I całe pragnienie świata nie wystarczało, żeby z nimi skończyć.

Nie chodziło tylko o zabicie ani o pokieraszowanie twarzy kobiety. Nie była to kwestia wyrzutów sumienia ani zgryzoty, które można by uciszyć, wchodząc do kościoła, aby paść na kolana przed jakimś księżulkiem, w nieprawdopodobnym przypadku, gdyby Diego Alatryste wszedł doń w innym celu, niż w poszukiwaniu schronienia w świętym miejscu przed deptającą mu po piętach sprawiedliwością. Podczas swych czterdziestu pięciu lat życia zabijał bardzo wiele, i był świadom, że jeszcze będzie zabijał, zanim przyjdzie mu zapłacić za te wszystkie śmierci razem. Nie. Problem był inny, i wino pomagało go przetrwać albo zwymiotować: lodowata pewność, że każdy krok, który stawia w życiu, każde pchnięcie sztyletem na prawo czy lewo, każda zarobiona moneta, każda kropla krwi brocząca na jego kaftan, tworzyły wilgotny tuman, woń, która na zawsze przylegała do skóry jak woń pożaru lub wojny. Woń życia, lat minionych bezpowrotnie, niepewnych kroków, wątpliwych, szalonych lub niewzruszonych, z których każdy określał następne, bez możliwości zmiany kursu. Woń rezygnacji, niemocy, pewności, nieodwołalnego przeznaczenia,



którą jedni ludzie maskowali fantastycznymi perfumami, spoglądając w drugą stronę, a inni wdychali zdecydowanie, twarzą w twarz, świadomi, że nie ma gry ani życia, ani śmierci, które nie miałyby swych zasad.

Przed dotarciem do kościoła Świętego Mateusza Diego Alatryste skręcił w pierwszą ulicę w lewo. Po kilku krokach zobaczył gospodę Any de Osorio, zawsze oświetloną nocą przez lampki i świece przed trzema czy czterema mszami z Matką Boską i świętymi, które tam się znajdowały. Doszedłszy do drzwi, uniósł twarz pod rondem kapelusza, patrząc na smoliste niebo pomiędzy domami i rozwieszonymi ubraniami. Czas odmienia jedne miejsca i oszczędza inne, podsumował. Wszelako zawsze zmienia ci serce. Później, wymamrotawszy przekleństwo, wszedł powoli i po ciemku po drewnianych schodach skrzypiących pod jego stopami, otworzył drzwi swej izby, po omacku odszukał hubkę i krzesiwo, po czym zapalił świecę wiszącą na gwoździu wbitym w belkę powały. Rozpiąwszy pas, rzucił broń na ziemię z wściekłością, nie dbając o to, że może obudzić śpiących w pobliżu. Poszedł po niewielką flaszkę wina, która stała w kącie, i znowu zaklął, szeptem, gdy zobaczył, że jest pusta. Uczucie spokoju, którego doznawał, przyjeżdżając do Neapolu, rozwiało się tego popołudnia po zaledwie kilku minutach rozmowy na ulicy. Doświadczywszy ponownie przekonania, że nikt bezkarnie nie przechodzi przez życie i że ledwie dwoma słowami siedemnastoletni młokos zdołał zmienić się w zwierciadło, w którym dojrzał własne oblicze, nigdy niezapomniane blizny, niepokój pamięci, niemożliwe tylko u ludzi, którzy nie żyli dość długo. Ktoś gdzieś napisał, że odwiedzanie dróg i ksiąg prowadzi do wiedzy. To prawda, być może, w przypadku ludzi innego rodzaju. Diega Alatryste prowadziły tylko do stołu tawerny.

\* \* \*

W kilka dni potem znalazłem się w ciekawej sytuacji, którą opowiem waszmościom, aby okazać, do jakiego stopnia, mimo mych praw i namiętności, i mimo wszystkich rzeczy, które wydarzyły się w tamtych latach, w dalszym ciągu byłem nieopierzonym młokosem. Zdarzyło się oto, że późną nocą wracałem ze służby wartowniczej przy baszcie, którą zwaliśmy basztą Alcalá, w pobliżu zamku Jajecznego. Poza słabym czerwonym blaskiem po drugiej stronie miasta, ponad wulkanem, i jego refleksami w wodzie zatoki, panowała ciemna, niemal nieprzenikniona noc; i wchodząc w górę ulicy św. Łucji, przechodząc mimo kościoła, w pobliżu fontann i przy stojącej tam kapliczce, pokrytej woskowymi i mosiężnymi wotami w kształcie dzieci, nóg, oczu, suchych wiązanek kwiatów, medalików i wszystkiego, co tylko można sobie wyobrazić, ujrzałem samotną kobietę z zasłoniętą twarzą, na wpół przykrytą mantylką. O tej porze, pomyślałem, albo była bardzo pobożna, albo przebiegle zarzucała sieci; zatem powściągnąłem krok, starając się jej dokładnie przyjrzeć w świetle dziwnych lampek, płonących na ołtarzyku; wszak młody jastrząb na każdą zwierzynę czyha. Wydała mi się ponętą kobietą, a gdy się do niej zbliżyłem, usłyszałem szelest jedwabiu i poczułem woń ambry. Tym wabiły, stwierdziłem, tanie dziwki; zatem wykazałem większe zainteresowanie, chcąc dostrzec jej oblicze, które mantylka bardzo zasłaniała. Gdy przyjrzeć się jej po kawałku, prezentowała się znakomicie, a w całości znacznie lepiej.

– Svergoñato anda il belo galán<sup>77</sup> – odezwała się z wielką gracją.

– To nie bezwstydnosc – odparłem spokojnie – wszak przy takim uroku nie sposób zachować się inaczej.

Zachęcił mnie do tego jej głos, młody i dźwięczny. Włoski, rzecz jasna. Nie taki, jak ten tak wielu czerstwych – Andaluzyjek czy nie – naszych

krajanek, przybywających do Italii, niby mieniących się nazwiskami Guzmán czy Mendoza albo też i świetniejszymi, i zahaczającymi cię czystym kastylijskim. Owóz stałem przed nią i dalej nie widziałem jej twarzy, choć jej zarys, bardzo miły moim oczom, odcinał się w blasku światełek ołtarza. Mantylka wydawała się jedwabna, z tych niezbyt szykownych. A mając próbkę materiału, starałem się kupić całość.



Wydała mi się ponętną kobietą, a gdy się do niej zbliżyłem, usłyszałem szelest jedwabiu i poczułem woń ambry.

– *Tan sicura crede tener la caccia?*<sup>78</sup> – zagadnęła wdzięcznie.

Ja byłem młody, ale nie lękliwy. Usłyszawszy to, pozbyłem się wątpliwości – stałem przed mistrzynią przewrotności, choć elegancką i silącą się na jakość. Zupełnie była inna od zwykłych dziwek, ulicznic, panienek i ladacznic, które polowały na rogach ulic; z tych, co to je przerażała wychodząca z dziury mysz, ale zachwycała wchodząca w dziurę połowa kompanii arkebuzerów.

– Nie wyszedłem na polowanie, lecz wracam ze służby – odparłem bez ogródek. – I bardziej niż na cokolwiek innego mam ochotę położyć się spać.

Przyjrzała mi się w blasku ołtarzyka, oceniając zwierzynę. Przypuszczam, że mój młody wiek mieszał się w moim wyglądzie z głosem. Niemal mogłem usłyszeć, jak myśli.

– *Españuolo y soldato bisoño* – podsumowała z lekceważeniem. – *Piu fanfarria que argento*<sup>79</sup>.

Tym mnie dotknęła. *Bisoño* było określeniem młodych i biednych żołnierzy hiszpańskich przyjeżdżających do Neapolu, niewinnych jak karaibscy Indianie, niemówiących językiem, potrafiących jedynie wydukać *bisoño* – potrzebuję – to czy tamto. I jeszcze raz powtórzę, że ja byłem bardzo młody. Zatem odrobinę dotknięty, nie otwierając ust, poklepałem się po sakiewce, gdzie skrywały się trzy srebrne karliny, jeden real ósmak i kilka drobnych miedziaków. Zapomniawszy, rzecz jasna, o mądrym przykazaniu mości Francisca de Quevedo: co do dam, to najtańsza.

– *Me piaze il discorso*<sup>80</sup> – powiedziała piratka z wielkim tupetem.

I odrzuciwszy wszelkie protokoły, wzięła mnie pod rękę i lekko pociągnęła. Rękę miała ciepłą, drobną, młodzieńczą. To usunęło w cień wszelkie podejrzenia o to, że oszukuje mnie głosikiem, i rozwiało obawę

przed wplątaniem się w aferę ze skrywającą się za zasłoną starą raszplą robiącą się na dziewczeczkę o dziewictwie za pomocą igły i naparstka naprawionym. Chociaż dalej nie widziałem jej twarzy. Wtedy postanowiłem rozwiać jej złudzenia, mówiąc, że nie mam zamiaru posunąć się tak daleko, jak ona proponowała; byłem jednak odrobinę dwuznaczny, obawiając się – imbecyl – urazić ją gwałtowną odmową. Dlatego, gdy jej powiedziałem, że idę do swojej gospody, ona załamała ręce nad moją *incivilitá*, że nie chcę jej odprowadzić tej odrobiny do domu, znajdującego się nieopodal, na Pizzofalcone, przy pobliskich schodach. Aby uniknąć złych spotkań, dodała, na jakie wystawiona jest samotna kobieta o takiej porze. I aby wzmocnić swoją prośbę, niejako przypadkiem, odsunęła mantylkę z połowy twarzy i pozwoliła mi dojrzeć ładne usta, białą skórę i czarne oko, z tych, co to strzelają i zabijają w okamgnieniu. Zatem nie musiała więcej nalegać i już kroczyliśmy pod rękę, ja oddychając ambrą i słysząc szelest jedwabiu, i myśląc przy każdym kroku, mimo tego, co mi się przytrafiło do tamtego dnia, że tylko odprowadzam kobietę po neapolitańskich ulicach i że z tego nie może dla mnie wyniknąć nic złego. Nawet jałem powątpiewać w swej niewinności, że mam do czynienia z dyplomowaną specjalistką od rozbierania. Może jakaś rozkapryszona dziewczynka, pomyślałem sobie. Zaskakujący nocny cud czy coś w tym guście. Młodzieńcza przygoda i tak dalej. Raczą wyobrazić sobie waszmościowie, do jakiego stopnia byłem żółtodziobem.

– *Veieni quá, galatuomo*<sup>81</sup>.

Zwróciwszy się do mnie na ty, pogładziła mój policzek. Co nie sprawiło mi przykrości, rzecz jasna. Staliśmy już przed jej domem albo przed tym, co za taki brałem; i dziewczę, wydobywszy klucz spod mantyli, otworzyło drzwi. Głowa i zdrowy rozsądek opuściły mnie na chwilę; spostrzegłem jednak plugawość miejsca, co kazało mi mieć się na baczności.

Postanowiłem wtedy się pożegnać, lecz ona ponownie ujęła mnie za rękę. Weszliśmy po schodach prowadzących od Świętej Łucji do pierwszych domów na Pizzofalcone – jeszcze nie wybudowano u góry wielkich koszar, które poznałem kilka lat później – a teraz, po uchyleniu drzwi, weszliśmy do głębokiej i ciemnej sieni, śmierdzącej pleśnią; gdzie, gdy ona po dwakroć klasnęła, nadeszła ze światłem stara i kaprawa służąca, która nas poprowadziła, po licznych schodach w górę, do skąpo umeblowanej izby z matą, dwoma krzesłami, stołem i siennikiem. Miejsce to ostatecznie pozbawiło mnie wszelkich złudzeń, wszak nie miało nic z prywatnego mieszkania i wiele ze straganu jatki, z tych, gdzie to pełno przyszywanych matek, staruch handlujących swymi siostrzenicami i kuzynów wszystkich krwi, w rodzaju:

*I że wdowa cała w czerni  
Wszystkim zrazu tu przysięgnie,  
Że ze strachu przed nieboszczkiem  
W łóżku nigdy sama nie śpi.*

Zatem kiedy dziewczyna zrzuciła mantylę i okazała twarz znośną, lecz z makijażem i starszą, niż wydało mi się w ciemności, i jąła opowiadać mi historię z rodzaju nigdy coś takiego mi się nie przytrafiło, na temat jakiegoś klejnotu, zastawionego przez przyjaciółki, tego kuzyna czy brata tej czy też owej, o pewnej sumie, której w związku z powyższym potrzebowała, aby ocalić honor ich obu, i nie wiem, o jakich jeszcze innych historiach, wszystkich bardzo pospolitych, ja, który nawet jeszcze nie usiadłem i jeszcze trzymałem kapelusz w rękach i rapier u boku, czekałem tylko na to, aż skończy mówić, żeby zostawić jej kilka groszy na stole za stratę czasu i odejść w swoją stronę. Zanim jednak zdołałem wprowadzić myśli w czyn,

drzwi ponownie się otworzyły, i dokładnie tak, jakby chodziło o komedię Quiñonesa de Benavente, do izby wkroczył – i słowo wkroczyć doskonale określa wydarzenie, chwilę i postać – operetkowy stręczyciel.

\* \* \*

– Na Boga, do kurwy nędzy! – złorzeczył sutener.

Był Hiszpanem i ubierał się po żołniersku, bardzo szorstki, choć z żołnierza nie miał ni krztyny, a lutrów czy Turków mógł oglądać jedynie w komediach. Co do reszty, wyglądał jak z książki, buńczuczny i zadziorny jak wszyscy diabli, z lekkim sztucznym zaśpiewem andaluzyjskim, więc zdawał się żywcem przeniesiony z podwórca Naranjos z Sewilli. Obnosił się z nieodzownymi wielkimi wąsami rajfura właściwymi dla swej profesji, chodził rozpalony i stąpał twardo z szeroko rozstawionymi nogami, z jedną pięścią przy boku, a drugą na rękojeści szabli o długości siedmiu piędzi, wymawiał „y” jak „i”, a „i” jak „y” – co było niezaprzeczalną oznaką wielkiej dzielności – był żywym obrazem rajfura, trwoniącego owoce wysiłków swej podopiecznej, szczycącego się tym, że zabił połowę świata, bił po pysku na lewo i prawo i policzkował dziwki w przytomności gachów, siekał sędziów, trzymał język za zębami na torturach, i był do cna dzielnym człowiekiem, którego towarzysze po fachu szanowali, pożyczali mu i stawiali. A trzeba było, na Boga żywego, tylko powiedzieć.

– Niech mnie diabli porwą! – mamrotał wściekle a groźnie, głosem dudniącym w izbie. – Czyż nie mówiłem wam, pani, byście na mój honor nikogo do domu nie sprowadzała?

I tak gach przez dłuższą chwilę lamentował, wygłaszając mowę, jakby stał na ambonie, i zarzekając się, zaciętrzewiony, że przeklęta niech będzie wiadomość i dureń, który ją przyniósł, wszak takich występków nie cierpiał

nawet w Algierze, i uwaga na jego nerwy, bo do diabła, wióry polecą. Bo gdy wpadał w szal i zmuszali go do skalania ramienia, na życie treflowego króla, jedno mu było, czy posiekać ma dwóch, czy dwustu; bo o włos był od tego, żeby cały świat zmusić do kurewstwa jednym *signum crucis*, żeby wreszcie wszystkich nauczyć, że marynarze ze Skały Tarpejskiej i tygrysy z Ocañii, tacy jak on, nie tolerują zuchwałości, i że kiedy ośmieleni jego dobrą wiarą chcieli oszwabić go we Flandrii, popamiętali mnie psubraty, i dostaliby za swoje od Turka, gdyby nie lew z jajami, który pęczkami ich brał i to tak, że chirurg na nic im się zdał. Na Wiekuistego i taką i ową matkę jego, itd.

Podczas gdy ta perła męstwa plotła swoją rolę, ja, po pierwszym zaskoczeniu stałem, tak jak mnie zastał, z kapeluszem w dłoni i żelazem w pochwie, milczałem, roztropny i z plecami przy ścianie, czekając, aż naprawdę weźmiemy się za łby. I w ten sposób zobaczyłem, że grzesznica, grając swoją rolę i przybierając, jakby doskonale znała tekst i muzykę, zmieszana minę, skruszoną i bojaźliwą, załamywała ręce w wielkim smutku i raz za razem rzucała przeprosiny i błagania, podczas gdy jej alfons, nie łagodząc burzy, unosił rękę z biodra, markując policzek, łaskawie darowując jej życie. A wszystko to nie patrząc na mnie.

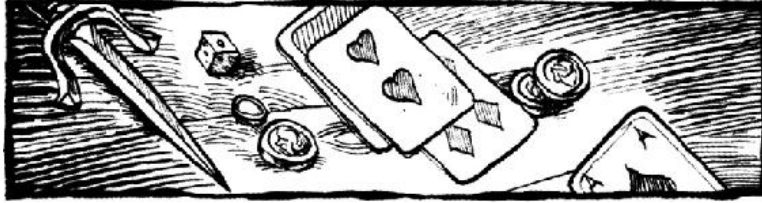
– Zatem – zakończył rajfur, w końcu przechodząc do sprawy – trzeba to będzie jakoś załatwić albo nic ze mnie nie zostanie.

Ja stałem zamyślony, nieruchomy i milczący, przyglądając mu się, i zastanawiałem się, co też by zrobił kapitan Alatriste na moim miejscu i w mojej skórze. I w końcu, kiedy usłyszałem kwestię o załatwieniu i niezostawieniu niczego, odsunąłem się od ściany i dźgnąłem gacha nożem tak szybko, że między sięgnięciem po nóż, wydobyciem go i wbiciem w jego głowę nie zdążył wyjąkać ni słowa. Z reszty sceny niewiele udało mi



się zobaczyć; jedynie kątem oka dostrzegłem, że fanfaron wali się na ziemię z potężną raną koło ucha, a jego dziwka leci mu na pomoc z krzykiem przerażenia, a potem widziałem umykające pod moimi nogami stopnie schodów w domu i na zewnątrz do Świętej Łucji, które pokonywałem susami w ciemności po cztery, ryzykując skręcenie sobie karku, gdy ratowałem biegiem swoje młode lata. Bo, jak mówi – a doskonale to wyraża – stare porzekadło, lepszy skok w bok niż błaganie dobrych ludzi.





## VIII. OBERŻA W CHORRILLO.



Wyczerpnąwszy rękoma, kapitan Alonso de Contreras napił się wody z fontanny. Później, wycierając gęste wąsy rękawem kaftana, spojrzął na Wezuwiusz, którego strużka dymu stapała się z niskimi chmurami w dali nad zatoką. Zadowolony odetchnął świeżym powietrzem, powiewającym nad wielkim nabrzeżem, gdzie jego fregata, przygotowana do wyjścia w morze, stała zacumowana obok dwóch galer papieża i okrągłego francuskiego korabia. Diego Alatryste także się napił u jego boku, a następnie obaj żołnierze ruszyli dalej, spacerując w kierunku imponujących czarnych wież Castilnuovo. Było południe i słońce wraz z bryzą wysuszało pod ich stopami strużki krwi, jeszcze widoczne na kamieniach nabrzeża. Ośmiu mauretańskich korsarzy rozszarpano właśnie tam z samego rana; ledwie zeszedli ze związanymi rękoma z galer, które ich pojmały pięć dni wcześniej w okolicach przylądka Columnas.

– Ciężko mi zostawiać Neapol – powiedział Contreras. – Lampeduza jest zbyt mała, a na Sycylii mam wicekróla na karku... Tutaj znowu czuję się wolny i nawet jeszcze młodszy. Przysięgam na Boga, że to miasto odmładza każdego. Nie wydaje wam się?

– Przypuszczam, że tak. Chociaż czegoś więcej trzeba, żeby odmłodzić nas obu.

– Cha! Cha!... Na pięć ran, czy ile ich tam miał Chrystus, dobrze prawicie. Czas nam ucieka, jakby go gonili... A właśnie, skoro mówimy o gońcach, przychodzę z wartowni Don Francisca, i ktoś powiedział, że jest do was poczta... Ja właśnie dostałem list od Lopego de Vega. Nasz pasierb Lopek przyjeżdża do Neapolu pod koniec lata. Biedny chłopak, prawda?... I biedna Laurita... Ledwie po sześciu miesiącach cieszenia się małżeństwem, przez te gorączki. Jak ten czas leci!... Zdaje się, że jeszcze wczoraj pożegnaliśmy jego wuja, a to rok minął.

Alatriste milczał nieuważnie. Cały czas wpatrywał się w brązowe plamy na ziemi, ciągnące się od nabrzeża aż do narożnika przy Izbie Celnej. Ciała mężczyzn, które zawierały tę krew, zeszyły były na ląd wraz z resztą brańców, w sumie dwudziestu siedmiu korsarzy z Algieru, samych morysków, pojmanych na brygu, który wcześniej trochę szkód poczynił, chodząc wzdłuż wybrzeży Kalabrii i Sycylii; między innymi jeden korab neapolitański, którego załoga, dlatego że nosiła hiszpańską banderę, poszła pod nóż, od właściciela do majtka. Trochę niedawnych wdów i sierot było w cizbie na nabrzeżu, gromadzącej się zwykle, gdy galera wchodziła do portu, i przyglądającej się wyładunkowi jeńców; a furia ludu była taka, że po zasięgnięciu szybkiej rady u biskupa, wicekról zgodził się, by ci, którzy zdecydowali się umrzeć jako chrześcijanie, zostali powieszani w ciągu trzech dni, nie cierpiąc innych krzywd; lecz ci, którzy nie zechcą pogodzić się z prawdziwą religią, zostaną oddani w ręce ludzi, krzykiem ich się domagających, aby na miejscu wymierzyć im sprawiedliwość. Ośmiu Maurów – wszyscy z Hiszpanii, pochodzący z jednej wioski w Aragonii, Villafeliche – odrzuciło ofertę duchownych, czekających na ich wyładowanie, i zachowało wiarę w Mahometa; i neapolitańscy chłopcy,

hultaje z ulic i portu, kijami i kamieniami o nich zadbali. O tej porze, po wyłożeniu ich szczątków przy latarni nabrzeża i na wieży Świętego Wincentego, były one palone ku wielkiej uciechu gawiedzi po drugiej stronie małego mola, na Marineli.

– Szykuje się następna wycieczka na Lewant – Contreras przybrał konfidencjonalny ton. – Wiem, bo poproszono mnie o Gorgosa, pilota, i też od kilku dni przeglądają moją Locję Uniwersalną, gdzie piędź po piędzi, albo prawie, opisano tamte wybrzeża... Zaszczyca mnie to, ale też i rozsierdza. Od czasu, kiedy ksiązę Filiberto poprosił mnie o moje wielkie dzieło, żeby je skopiować, nie zobaczyłem go. A kiedy żądam jego zwrotu, te krwiopijce w czarnych sukienkach, podobne do karaluchów, zbywają mnie... Niech im diabeł odpłaci pięknym za nadobne!

– Pójdą galery czy nawy? – zainteresował się Alatryste.

Contreras porzucił myśli o swojej locji z westchnieniem rezygnacji.

– Galery. Nasze i Religii, jak rozumiem... „Mulata” jest jedną z nich, więc zanosi się na to, że będziecie mieli towarzystwo.

– Długo?

– Całkiem. Mówi się, że miesiąc albo dwa, poza Peloponez. Może aż do wejścia do Konstantynopola... Gdzie, jeśli dobrze pamiętam, waszmość nie potrzebuje pilota.

Alatryste skrzywił się, odpowiadając na szeroki uśmiech towarzysza, podczas gdy zostawiali za sobą szerokie nabrzeże i wchodzili na plac pomiędzy Izbą Celną i imponującą fosą Castilnuovo. Ostatnim razem, kiedy Alatryste znajdował się u wybrzeży Dardaneli, w roku trzynastym, jego galera została pochwycona przez Turków w okolicy przylądka Troja, pełna zabitych i zasypana strzałami aż do rei; a on, ciężko raniony w nogę, został uwolniony z tymi, co przeżyli, niemal na wysokości zamków, kiedy turecki okręt, który ich pojmał, z kolei popadł w niewolę.

– Wie waszmość, kto jeszcze idzie?

Uniósł rękę do runda kapelusza, aby pozdrowić kilku znajomych, trzech arkebuzerów i jednego muszkietera, stojących na warcie przy bramie do zamku. Contreras zrobił to samo.

– Z tego, co mówi Machín de Gorostiola, który mi to opowiedział, przewiduje się nasze trzy galery i dwie Religii. Machín idzie ze swymi Biskajczykami i dlatego o tym wie.

Doszli do placu, gdzie jeszcze jeździły karety w kierunku pałacu i pełne animuszu krzyki ciągle je otaczały, przejeżdżali konni, przechodziły grupy mieszkańców, wracających z palenia Maurów, komentując zdarzenia w wielkim podnieceniu. Z tuzin chłopaków przedefilował przed nimi krokiem wojskowym. Nieśli w górze kij od szczotki, a na nim zalany krwią podarty kaftan korsarza.

– „Mulata” – ciągnął Contreras – zostanie wsparta ludźmi... Zdaje mi się, że zaokrętują Fernanda Labajosa i dwudziestu dobrych arkebuzerów, starych ludzi, wszystkich z waszej chorągwi.

Alatriste skinął głową, zadowolony. Chorąży Labajos, porucznik kompanii kapitana Armenta de Medrano, był twardym i skutecznym weteranem, nawykłym do wojny, z którym miał dobre relacje. Co do kapitana Machina de Gorostiola, dowodził kompanią składającą się wyłącznie z ludzi pochodzących z Biskai – bardzo doświadczonych, bezwzględnych i twardych w walce. Co zapowiadało poważną wyprawę.

– Pasuje mi – powiedział.

– Zabierzecie chłopaka?

– Tak sądzę.

Contreras podkręcał węża w wyraźnym przyływie melancholii.

– Oddałbym wszystko, żeby wam towarzyszyć, bo tęsknię za dobrymi czasami, mój przyjacielu... Janczarzy katolickiego króla, tak nas nazywali

Turcy. Pamiętacie?... Kapelusze po brzegi wypełnione srebrnymi monetami, słynne wyprawy, piękne niewiasty... Przysięgam Bogu, że oddałbym Lampeduzę, swój habit świętego Jana, a nawet komedię, którą mi poświęcił Lope, żeby znowu mieć trzydzieści lat... *Caramba*, cóż za czasy wielkiego Osuny!

Wspomnienie nieszczęsnego księcia sprawiło, że obaj spoważnieli i już nie otworzyli ust, zanim doszli do ulicy Rzeźniczej, naprzeciwko wicekrólewskiego pałacu. Wielkim Osuną był don Pedro Téllez Girón, książę Osuny, którego Alatryste poznał we Flandrii podczas oblężenia Ostendy. Późniejszy wicekról Neapolu, a potem Sycylii, siał postrach na morzach Italii i Lewantu hiszpańskimi galerami za czasów rządów Trzeciego Filipa, zmuszając do szacunku Turków, Berberów i Wenecjan. Popędliwy, nieobliczalny, dziwaczny w życiu prywatnym, ale skuteczny mąż stanu, wojownik szczęśliwy w swoich wyprawach, zawsze żądny chwały i łupów, które zaraz trwonił pełnymi garściami, potrafił otoczyć się najlepszymi żołnierzami i marynarzami, bogacąc wielu na Dworze, w tym samego monarchę; lecz płomienne wznoszenie się jego gwiazdy przysporzyło mu, jak to zwykle, zazdrości, zawiści i nienawiści, które doprowadziły do jego ruiny i więzienia po śmierci króla. Poddany procesowi, który włókł się bez końca, odmawiając obrony, wszak utrzymywał, że za nią wystarczą jego dokonania, wielki książę Osuna zmarł nędznie w więzieniu, chory z przygnębienia i smutku, ku radości i szczęściu wrogów Hiszpanii; w szczególności Turcji, Wenecji, Sabaudii, które trzymał w ryzach, kiedy czarne bandery z jego książęcym herbem zwycięsko powiewały nad Morzem Śródziemnym; a jego ostatnie słowa brzmiały: „Gdybym tak, jak służyłem memu królowi, służył Bogu, dobry byłby ze mnie chrześcijanin”. Jako epitafium, mość Francisco de Quevedo, będący mu bliskim przyjacielem – jego przyjaźń z Diegiem Alatryste

pochodziła z tamtych czasów w Neapolu – i jeden z nielicznych, którzy dochowali mu wierności w nieszczęściu, napisał jedno z najpiękniejszych sonetów, jakie wyszły spod jego pióra, między nimi ten, zaczynający się słowami:

*Źle przyjęła ojczyzna wielkiego Osunę,  
Lecz czyny jego w obronie twardo stały.  
Obie Hiszpanie ino sromotę i śmierć dały  
Temu, który w oków stal zamknął Fortunę.*

...I ten drugi, którego wersy ukazują, lepiej niż kronika historyczna, zapłatę, jakiej małoduszna ojczyzna nikczemnie udzieliła don Pedrowi Girón, jednemu ze swych najlepszych synów:

*Rozwód wziął z morzem i z Wenecją,  
Zrękowiny owe snadź ciężar rozwiązał  
Okrętów trzęsących Cyprzem i Grecją.  
I w procesie wódz tak wielki pola dał!*

– A właśnie – ozwał się nagle Contreras. – Skoro mówimy o młodym towarzyszu waszeci, mam wiadomości.

Alatriste zatrzymał się i z zaskoczeniem spojrzął na towarzysza.

– O Íñigo?

– O nim właśnie. Ale wątpię, aby wam się spodobały.

A powiedziawszy to, Contreras wprowadził Diega Alatriste w sprawę. Przypadki neapolitańskiego życia: pewien jego znajomy, szef łapsów, przesłuchał w związku z jakąś sprawą pewnego urwipołcia, z tych, co to bywają w Chorrillo. I przy pierwszym przykręceniu śruby typek,

nienależący do cierpliwych i mających łatwość wysławiania się, rozpuścił język i jął bez tchu przedstawiać wszystko, co tylko wiedział. Pośród innych drobiazgów, wyżej wymieniony odniósł się do pewnego florenckiego szulera, nawykłego do takich przypadków i większego łotra niż ktokolwiek. Człek ów zwoływał zbirów, żeby pięścią i sztyletem odebrać dług zaciągnięty w grze na placu Olmo przez dwóch młodych żołnierzy, z których jeden mieszka u Any de Osorio w dzielnicy hiszpańskiej.

– Jesteś waszmość pewien, że chodzi o Íñiga?

– Do diaska. Pewien jestem tylko tego, że kiedyś będę musiał zamienić kilka słów sam na sam ze Stworzycielem... Jednakowoż opis i szczegóły gospody pasują jak ulał.

Alatriste przeciągnął dwoma palcami po wąsach, zasepiony. Instynktownie oparł lewą rękę na rękojeści rapiera.

– Chorrillo, mówicie?

– W rzeczy samej. Najwyraźniej Florentczyk odwiedza pocieszycielki w tej dzielnicy.

– A tamten wyśpiewał jego imię?

– Niejaki Colapietra. Na imię ma Giacomo. Oszust i cwaniaczek, tak mówią.

Szli dalej, Alatriste w milczeniu, ze zmarszczonymi brwiami pod rondem kapelusza, rzucającym cień na błękitnozielone i zimne oczy. Po kilku krokach Contreras, przyglądający mu się kątem oka, wybuchnął śmiechem.

– Do kaduka, mój przyjacielu, żal, że rwiemy kotwicę dziś w nocy, gdy tylko powieje bryza... Albo was nie znam, albo Chorrillo stanie się w tych dniach niebywale zajmujące!



\* \* \*

Zajmująca tego wieczora stała się nasza izba w zajeździe, gdy przygotowując się do wyjścia na zabawę przed zmrokiem, zobaczyłem, że wchodzi do niej kapitan Alatryste z bochnem chleba pod pachą i flaszką wina w ręku. Byłem przyzwyczajony do wyczuwania jego nastroju, ale nie myśli; i gdy zobaczyłem, w jaki sposób rzuca kapelusz na łóżko i odpina rapier, zrozumiałem, że coś, i to niedobrego, dręczy mu głowę.

– Wychodzisz? – zagadnął, widząc, że jestem gotów do wyjścia.

Rzeczywiście byłem bardzo elegancko ubrany: koszula żołnierska z walońskim kołnierzem, aksamitna kamizelka i otwarty kaftan z cienkiej tkaniny – kupiony na wyprzedazy ubrań chorążego Muelasa, poległego na Lampeduzie – pludry, pończochy i buty ze srebrnymi sprzączkami. Na kapeluszu po raz pierwszy miałem przypiętą chustkę z zielonego jedwabiu. I odpowiedziałem, że tak; że Jaime Correas czeka na mnie w zajeździe na ulicy Sperancella, choć oszczędziłem mu szczegółów co do reszty marszruty, która obejmowała elegancką szulernię na ulicy Mardones, gdzie rżnie się ostro w karty, i zakończenie nocy nad pieczonym kapłonem, ciastem z wiśniami i odrobiną amorów w domu Portugalki, lokalu leżącym przy fontannie Koronowanej, gdzie jest muzyka i tańczy się kanaryjskiego i pawanę.

– A ta sakiewka? – zapytał, widząc, że ją zawiązuję i wsuwam do kieszeni.

– Pieniądze – odpowiedziałem sucho.

– Wydaje się ich dużo, żeby wychodzić nocą.

– To moja sprawa, ile zabieram.

Popatrzył na mnie zamyślony, podparty pod bok, starając się przetrwać bezczelność. To prawda, że nasze oszczędności topniały. Jego,

umiejscowione w domu złotnika na ulicy świętej Anny, wystarczały na opłacenie wspólnego mieszkania i wspomnienie Maura Gurriato, którego jedynym srebrem były koła w uszach – jeszcze nie dostał pierwszego żołdu, a jako nowy żołnierz miał jedynie prawo do kwatery w koszarach i jedzenia zwykłej żołnierskiej strawy. Co do mojego grosiwa, o które kapitan nigdy nie pytał, broczyło powoli jak krew z rany; do tego stopnia, że jeśli los nie będzie mi przychylny w grze, niebawem będę bardziej suchy niż solony tuńczyk.

– To, że cię zasztyletują w jakiejś bramie, to pewnie też jest twoja sprawa, jak sądzę.

Zatrzymałem się z ręką wyciągniętą, żeby wziąć rapier i sztylet, w pół drogi. Wiele lat byłem u jego boku i znałem ten ton.

– Odnosicie się do możliwości, kapitanie, czy do konkretnego sztyletu?

Nie odpowiedział od razu. Otworzył butelkę, żeby nalać sobie do szklanki trzy palce wina. Wypił odrobinę, popatrzył na wino, uważny na jakość tego, co mu sprzedał oberżysta, wydawał się zadowolony i ponownie upił.

– Człowiek może dać się zabić za wiele rzeczy, i nie ma co się temu sprzeciwiać... Ale że załatwią cię tak nikczemnie i to z powodu długów karcianych, to wstyd.

Mówił spokojnie i w sposób bardzo wyważony, cały czas patrząc na wino w szklance. Chciałem zaprotestować, ale uniósł rękę, przerywając mi zamiar.

– To – zakończył – niegodne prawdziwego mężczyzny i żołnierza.

Skrzywiłem się. Na Biskajczyka możesz silnie naciskać, ale nigdy go nie złamiesz.

– Nie mam długów.

– Nie to mi powiedziano.

– Ten, kto to powiedział – odparłem, nie panując nad sobą – łże, jak łągał Judasz.

– Na czym więc polega problem?

– Nie wiem, o jakim problemie mówicie.

– Wyjaśnij mi, dlaczego chcą cię zabić.

Moje zaskoczenie, które pewnie odmalowało mi się na twarzy, było całkowicie szczere.

– Mnie?... Kto?

– Niejaki Giacomo Colapietra, florencki szuler, przesiadujący w Chorrillo i na placu Olmo... Łazi i zbiera nożowników na ciebie.

Przeszedłem kilka kroków po izbie, zбитy z pantałyku. Nagle poczułem pod ubraniem ogromny gorąc. Nie spodziewałem się tego.

– To nie dług – powiedziałem w końcu. – Do dziś nigdy nie miałem długów.

– No to opowiedz mi.

W kilku słowach opowiedziałem mu, jak Jaime Correas i ja złapaliśmy szulera na gorącym uczynku, kiedy chciał nas oszwabić znaczonymi kartami, i jak wyszliśmy, nie zostawiając mu pieniędzy.

– Nie jestem dzieckiem, kapitanie – zakończyłem.

Zmierzył mnie wzrokiem z góry na dół. Zdaje się, że opowiadanie nie poprawiło jego opinii o tej sprawie. O ile prawdą jest, że często mój dawny pan nie odmawiał, kiedy nalewano mu wino, o tyle bardzo rzadko można było go zobaczyć z talią kart. Pogardzał grającymi na pieniądze, które w jego zawodzie dostawało się za życie albo za odbierające je żelazo.

– Mężczyzną też jeszcze nie jesteś, z tego, co widzę.

To wyprowadziło mnie z równowagi.

– Nie każdy może tak mówić – zareagowałem urażony. – Ani ja na to bym nie pozwolił.

– Ja mogę to powiedzieć.

Patrzył na mnie z takim samym żarem jak ten, co skrzypiał pod naszymi butami we flandryjskie zimy.

– I mnie – dodał po przerwie gęstszej niż ołów – pozwolisz na to.

Nie był to komentarz, tylko rozkaz. Szukając godnej odpowiedzi, która by mnie nie poniżała, spojrzałem na swój rapier i sztylet, jakbym się do nich odwoływał. Prezentowały, jak broń kapitana, znamiona na klingach, gardach i rękojeściach. I choć nie tak wiele jak on, ja także miałem blizny.

– Zabiłem...

Wielu ludzi, chciałem dodać, ale pohamowałem się. Zacząłem to mówić i zaraz zamilkłem ze wstydu. Zabrzmiało to jak knajpiane przechwałki fanfaron.

– A któż nie?

Wykrzywił wąsy w ironicznym grymasie, pogardliwym, który przewrócił mi wątpia.

– Jestem żołnierzem – zaprotestowałem.

– Każdy dezertor podaje się za żołnierza... W szulerniach, tawernach i lupanarach jest ich na kopy.

To oburzyło mnie niemal do łez. Było niesprawiedliwe i okrutne. Człowiek, który to mówił, widział mnie u swego boku przy Bramie Duchów, we młynie Ruijter, w koszarach Terheijden, na pokładzie „Niklaasbergen”, na korsarskich galerach i w dwudziestu innych miejscach.

– Wasza miłość wie, że ja nie z tych – wybąkałem.

Pochylił głowę na jedną stronę i spojrzał w ziemię, jakby był świadomy, że za daleko się zagalopował. Potem gwałtownie pociągnął łyk wina.

– Łatwo popada w błąd, kto nie dopatruje się podobieństwa z innymi – powiedział, ze szklanką przy ustach – ...Jeszcze nie jesteś człowiekiem, którym wydaje ci się, że jesteś, ani takim, którym powinieneś być.

To już całkowicie mnie zaćmiło. Oburzony, odwróciłem się do niego plecami, przypasałem rapier i sztylet, po czym zabrawszy kapelusz, ruszyłem do wyjścia.

– Człowiekiem, którym pragnąłbym, byś był – dodał jeszcze. – Albo którego chciałby twój ojciec.

Zatrzymałem się na progu. Nagle, z jakiegoś dziwnego powodu, poczułem, że jestem ponad nim i ponad wszystkim.

– Mój ojciec... – powtórzyłem. Zaczem wskazałem na butelkę stojącą na stole. – Przynajmniej on odumał mnie dość wcześnie, żebym nigdy nie zobaczył go, jak się awanturuje po pijaku.

Zrobił krok w moją stronę. Tylko jeden. Ze wzrokiem, który zabijał. Wytrzymałem go, stawiając mu czoło, ale zatrzymał się w tym miejscu, patrząc na mnie przeszywającym wzrokiem. Wtedy powoli zamknąłem drzwi za plecami i wyszedłem z zajazdu.

Następnego ranka, kiedy kapitan miał służbę w Castilnuovo, zostawiłem pokój i udałem się z moim kufrem do koszar na Monte Calvario.

*Od mości Francisca de Quevedo Do mości Diega Alatryste y Tenorio  
Chorągiew kapitana pana Armenty de Medrano Poczta wojskowa piechoty w  
Neapolu*

*Ukochany Kapitanie,*

*Oto dalej przebywam na dworze, szanowany przez wielkich i rozpieszczany przez damy, ciesząc się przychylnością wszystkich, których trzeba, choć czas nie mija niepostrzeżenie i z każdym dniem kuśtyki mniej chyże, a i w kroczu niedomaganie. Jedynym moim strapieniem jest mianowanie kardynała Zapaty na inkwizytora generalnego, któremu mój stary wróg, ojciec Pineda, podszeptuje, coby moje dzieła wciągnął na „Indeks ksiąg zakazanych”. Wszelako Bóg zadecyduje.*

*Król ma się znakomicie i podszkala się w ćwiczeniach łowieckich (łowiectwa wszelkiego gatunku), co naturalne w kwiecie jego wieku; a hrabia–diuk rozpływa się w zachwytach przy każdym strzale naszego drugiego Teodozjusza; a zatem wszyscy mają się znakomicie. Jednakowoż słońce wschodzi zarówno dla królów i dla chamów–moja stara ciotka Margarita właśnie przechodzi do lepszego żywota i bardzo byłbym zaskoczony, gdybym w jej ostatniej woli nie został czymś tam zaszczycony. Poza tym nie znajdziesz tu innej nowiny po styczniowym bankructwie niż tej, że kasa skarbu jest oblegana przez tych samych, co zwykle i przez jeszcze paru innych, nie licząc Genuńczyków i tych portugalskich Żydów, których hrabia–diuk taką darzy estymą; bo choć źle jest, kiedy spada na nas Turek, to gorzej jeszcze, kiedy bankier nam się wznosi. Jednak dopóki galeony z Indii przyplływają punktualnie z ładowniami wypełnionym i srebrem i panem złotem, wszystko w Hiszpanii będzie się sprowadzać do chapania tych łupów, upieczcie mi grubych przechrztów, niech najem się ja, a glizdom niech kiszki marsza grają. Jak zwykle.*

*O flamandzkim bagnie nie będę wam tu opowiadać bo w Neapolu, przebywając pośród świadomych tej materii, z pewnością lepsze macie ode mnie informacje. Dość rzec, że tutaj Katalończycy odmawiają królowi subsydiów na wojnę i obwarowują się w swoich prawach i nadaniach; a zaiste nędzną przyszłość wróżą tutaj takiej krnąbrności. Stoimy w obliczu nowej wojny, bo zdaje się nieunikniona wcześniej czy później, z Richelieu, panem Luwru, Francji dobrze przysłużyłyby się owe bunty; wszak wiadomo, że diabeł wsadza ogon tam, gdzie nic nie zdziała rękoma. Co zasię tyczy się waszej żeglugi po winnych falach, za każdym razem, kiedy tutaj ogłasza się jakas wiadomość o tym czy owym, co działy nasze galery, wyobrażam sobie, że waszmość brał udział w owej zabawie, siekąc Turków, i bardzo wielkie znajduję w tym upodobanie. Niech Otomani dostaną cięgi, a waszmość laur i łupy, a ja niech to zobaczę, ucieszę się tym i wypiję za to.*

*Ponieważ odpoczynek i wojenne zajęcie bez ksiąg to sromota, przesyłam wam wraz z tym listem egzemplarz moich „Snów”, aby uprzyjemnić wam odpoczynek po bitwie. Świeża to jeszcze farba, wszak dopiero co przesłał mi ją z Barcelony drukarz Sopera. Dajcie ją do przeczytania naszemu młodemu Patrokłowski, którego zbuduje ta lektura; wszak niczego nie zawiera, według cenzora, brata Tomasa Roki, sprzecznego z wiarą katolicką i z dobrymi obyczajami; czym, jak*

mniemam, szcycicie się równie co i ja. Ufam, że Íñigo u waszego boku zachowuje zdrowie, rozważnie przyjmuje wasze porady i jest utemperowany przez powagę waszego autorytetu. Pozdrówcie go ode mnie i powiedzcie, że sprawy na dworze gnane są pomyślnymi wiatrami i że jeśli nic nam nie stanie na drodze, jego przyjęcie do królewskiej poczty dopełni się, gdy powróci jako dzielny żołnierz. zachęcajcie go, nie zaniedbujcie, do przyozdabiania się nie tylko moimi dziełami, lecz Tacyta, Homera albo Wergilego; choćby przecież paradował w zbroi samego nawet Marsa, w sprawach tego świata pióro znacznie więcej może niżli miecz. I zawsze będę go do tego zachęcał, wszak w sumie łabędzie i kaczkę to nie to samo.

Więcej jeszcze wydarza się spraw, których nie mogę wam opowiadać w liście, ale wszystko się rozwiąże i na dobre nam wyjdzie. Dość powiedzieć, że wypytyuję mnie o moje włoskie doświadczenia z czasów wielkiego i nieodżałowanego Osuny. Niemniej sprawa jest delikatna i wymaga wiele czasu, aby ją opowiedzieć, poza tym ciągle jeszcze dojrzewa. A właśnie, chodzą głosy, że wasz stary i niebezpieczny przyjaciel, którego zostawiliście w rękach sprawiedliwości, nie został stracony w tajemnicy, jak mówiono. Raczej (sprawa to niepewna i niepotwierdzona) wykupił się za cenę pewnych wiadomości istotnych dla racji stanu. Nie jest mi wiadomo, na jakim etapie znajduje się ta sprawa, lecz dobrze wam radzę, od czasu do czasu rzućcie okiem na swój rapier, gdy usłyszycie w pobliżu gwizdanie.

Więcej jeszcze spraw mam wam do opowiedzenia, lecz zaczekam do następnego listu. Ten zakończę pozdrowieniami od Cyganichy, do której tawerny raz na jakiś czas zaglądam, aby uświetnić waszą nieobecność daniami, które ona tak znakomicie przyprawia, oraz dzbanem wina San Martín de Valdeiglesias. Dalej jest powabna, zgrabna i z jeszcze piękniejszym obliczem, i oddana waszmości do cna. Starzy bywalcy także załączają pozdrowienia: nauczyciel Pérez, licencjat Calzas, aptekarz Fadrique i Juan Vicuña, który zresztą został dziadkiem. Zdaje się, że Martín Saldaña w końcu doszedł do siebie po niemal roku spędzonym pomiędzy tą i tamtą dziedziną, z racji łupnia, jakiego mu spuściliście na Rastro; i już przechadza się ze swymi policjantami jak gdyby nigdy nic. Guadalmedinę spotykam w pałacu, lecz zawsze unika rozmów o waszmości. W tych dniach wiele się mówi o jego poselstwie do Anglii albo Francji.

*Uważajcie na siebie, kochany kapitanie. I chrońcie chłopaka, aby mógł się cieszyć długim i szczęśliwym życiem.*

*Szczerze pozdrawia was przyjaciel  
Francisco de Quevedo*

Było popołudnie i Chorrillo zaczynało się ożywiać, jak to zwykle. Diego Alatryste obiegł placyk w kształcie łuku, jednocześnie obserwując ludzi siedzących przed tawernami, osobliwie przy lokalu, który nadał nazwę temu miejscu: słynny zajazd, przywodzący na myśl wiele dawnych wspomnień. Nazwa Chorrillo była zhiszpańszczonego włoskim Cerriglio, bo tak naprawdę nazywał się zajazd znajdujący się opodal Santa María la Nueva, którego dobra sława, co się tyczy wina, jadła i wesołego życia, sięgała poprzedniego wieku. Od legendarnych czasów Pawii<sup>82</sup> i Sacco di Roma, albo niemal, miejsce to było nawiedzane przez żołnierzy i przez ludzi oczekujących na zaciąg, lubo tak twierdzących, a wśród tej czeredy krążyły rozliczne łotry, szelmy i fanfarony zawołane; do tego stopnia, że słowo *chorrillero* albo *churrullero* stało się powszechne w całej Hiszpanii na określenie hiszpańskiego żołnierza albo tego, kto się za niego podaje i więcej uwagi poświęca rzucaniu kośćmi i zwalczaniu bukłaków wina, niż rzucaniu się z rapierem na bisurmana czy zwalczaniu luterskiej zarazy. Ludzie, ogólnie biorąc, od których częstokroć można było usłyszeć i „wielaliśmy bitew razem stoczyli, towarzyszu, i wiele flaszekśmy opróżnili”, i tylko to o flaszkach bliskie było prawdy.

Nie zatrzymując się, Alatryste pozdrowił kilku znajomków. Mimo że aura była przyjemna, miał na sobie pelerynę z ciemnego materiału zarzuconą na kaftan, aby ukryć pistolet zatknięty za pas na plecach. O tej porze i z jego zamiarami trzeba było się porządnie zabezpieczyć, choć pistolet nie był drobiazgiem związanym bezpośrednio z obecnością



wałęsających się tam pyszałków. Zostało jeszcze kilka godzin słońca, panowała ta chwila, w której co wieczór zaczynają się spotykać wszelkiego rodzaju niebieskie ptaki: fanfaroni i dzielni alfonsi, stali bywalcy więzienia Vicaria albo wojskowego aresztu Santiago, zwykle spędzający poranki na stopniach kościoła Santa María la Nueva, przyglądający się kobietom przychodzącym na mszę, a popołudniami i wieczorami chroniący się w świątyniach tawern, gdzie dyskutowali warunki tego czy owego zaciągu; i wydobywając z siebie naczelnego wodza, którego każdy Hiszpan w sobie nosi, dyskutowali strategię i taktykę, oświadczając, w jaki sposób powinno się było zwyciężyć w takiej to a takiej bitwie albo dlaczego w końcu się przegrało tamtą drugą. Niemal wszyscy byli krajanami, których rzemiosło wojenne lub pogoń za pracą zanosło do Neapolu, a wielu z takim skutkiem, że choć u siebie byli szewcami, tutaj obnosili się ze swym herbem; podobnie jak wiele hiszpańskich markietanek, których całe mrowie tu przybyło pod nazwiskiem Mendoza czy Guzmán, i przez które nawet ich włoskie koleżanki żądały, by je tytułować *señora*. Wszystko to powodowało, że *spagnolata* stało się słowem określającym w języku włoskim pompatyczność i fanfaronadę:

*Molto jesteśmy bogaci, Dobra w Kordobie i Sewilli, Moi patres arystokraci, Grandowie wielkiej Kastylii.*

Nie brakowało tu też tubylców, poza Sycylijszymi, Sardyńskimi i ludźmi z innych części Italii; wszyscy oni w sosie kieszonkowców, fałszerzy pieniędzy, szulerów, skrytobójców, dezertersów, stręczycieli i innej hałasty, zbierającej się na dziedzińcu Monipodio wśród złorzeczeń, przekleństw i gwałtu. Zatem nazwę neapolitańskie Chorrillo można było wymieniać jednym tchem, bez obawy umniejszenia swojej reputacji, obok

takich miejsc jak schody Sewilli, Potro z Kordoby, La Sapienza z Rzymu albo Rialto z Wenecji.

Przez tak szacowne miejsce, zostawiwszy zajazd za plecami, ruszył Alatryste zaułkiem zwanym schodami Piazzeta, tak wąskim, że ledwie mogły się tam zmieścić obok siebie dwie osoby niosące przypasane rapiery. Zaduch wina z knajp, które tam miały swoje wejścia, a z których dobiegał gwar rozmów i pijackich śpiewów, mieszał się ze smrodem uryny i odchodów. A gdy znalazł się niemal na samym ich szczycie, omijając to, w co nie powinien wdepnąć, kapitan niechcący zastąpił drogę dwóm schodzącym żołnierzom. Byli ubrani na sposób hiszpański, choć niewystawnie: kapelusze, rapiery, buty.

– Idź pan gdzie indziej przeszkadzać – warknął jeden z nich po kastylijsku i zgryźliwie, robiąc ruch, jakby ruszał przed siebie. Alatryste powoli, niemal w zamyśleniu, przesunął dwa palce po wąsach. Byli to ludzie postawni, bez wątpienia żołnierze. Grubo po trzydziestce. Ten, który się odezwał, był niski i krzepki, z galicyjskim akcentem. Miał drogie rękawice, a ubranie, chociaż skromnie skrojone, zdawało się z dobrego materiału. Drugi był wysoki i smukły, o melancholijnym wyglądzie. Obaj nosili wąsy na dobrze ogolonych twarzach i kapelusze z piórami.

– Uczyniłbym to z przyjemnością – odpowiedział wprost – i do tego w waszym towarzystwie, gdybym nie miał innych zajęć.

Obaj mężczyźni zatrzymali się.

– W naszym towarzystwie?... Po co? – zapytał szorstko ten niższy.

Alatryste wzruszył ramionami, jakby odpowiedź była oczywista. Tak naprawdę, powiedział do siebie, nie mogła być inna. Zawsze ta przekłeta reputacja.

– Żeby przedyskutować kilka szermierczych kwestii... Rozumiecie: balans, proste pchnięcie, młynek, i te sprawy.

– Na Boga – wyszeptał niższy.

Nie powiedział „jakem szlachcic”, co było zwyczajowe u tych, którzy szlachtą nie są. Alatryste spostrzegł, że obaj przyglądają mu się bardzo uważnie, a ich wzrok nie ominął dobrego toledańskiego rapiera, który nosił przy pasie, sztyletu, którego rękojeść wychylała się zza pleców po lewej stronie – lewa ręka ocierała się oń, jakby od niechcienia – ani blizn na jego twarzy. Pistoletu nie mogli zobaczyć, bo zasłaniała go poła peleryny, ale też tam był. Westchnął w myślach. Tego nie przewidział, lecz sprawy mają się tak, jak się mają. Inaczej być nie mogło. Co do pistoletu, miał nadzieję, że nie zostanie zmuszony do jego użycia. Jednak uważając, że lepiej być przezornym niż wyprzedzonym, miał go ze sobą na wszelki wypadek.

– Mój przyjaciel jest w złym humorze – wtrącił się wysoki żołnierz pojednawczo. – Właśnie miał mały kłopot tam na górze.

– Co ja mam, to moja sprawa – rzucił tamten opryskliwie.

– Przykro mi zatem zawiadomić waszmość pana – odparł Alatryste bardzo flegmatycznie – że jeśli nie zmienisz pan swoich manier, będziesz miał jeszcze jeden kłopot.

– Racz waszmość uważać, co mówisz – odpowiedział wyższy – i proszę nie ulegać złemu wrażeniu, jakie sprawia ubranie mojego towarzysza... Zaskoczyłoby waszmości, gdyby się pan dowiedział, jak się nazywa.

Alatryste, który słuchał, nie spuszczał oczu z niższego, wzruszył ramionami.

– Zatem, aby uniknąć nieporozumień, niech się ubiera, jak się nazywa albo nazywa, jak się ubiera.

Tamci spojrzeli po sobie niezdecydowanie, a Alatryste odsunął o kilka cali lewą rękę od rękojeści sztyletu. Ci dwaj, przekonał się, mieli manieri porządnych ludzi. Nie wydawali się nożownikami z ciemnego zaułka albo wbijającymi nóż w plecy. I oczywiście też nie takimi, którzy stoją w kolejce

w dni wypłaty, aby odebrać cztery eskudy w kancelarii arsenału. Pod żołnierskim ubraniem znać było ludzi wytwornych: czystych, poważnych; opłacanych przez jakiegoś arystokratę czy generała, awanturników z dobrej rodziny, którzy przez jakiś czas służyli w wojsku, żeby przydać sobie chwały. Flandria i Italia były ich pełne. Zadał sobie pytanie o to, jakież to konflikt mógł wprowadzić w zły humor niższego i krępego. Może jakaś kobieta. Albo pech w grze. Wszelako powód guzik go obchodził – każdy ma swoje własne zgryzoty.

– Jakkolwiek by było – dodał, oferując honorowe wyjście – mam w tej chwili bardzo pilną sprawę do załatwienia.

Zdawało się, że wyższy odetchnął z ulgą na te słowa.

– My mamy służbę za dwie godziny – zauważył.

Jego akcent też zdradzał pochodzenie z północnych prowincji półwyspu, aliści był bardziej ostry. Może pochodził z Asturii. I ton brzmiał prawdziwie, nie jak czcza wymówka. Godny. Wszystko mogło się zakończyć w tym miejscu, lecz jego przyjaciel nie podzielał tego pojednawczego ducha. Spozierał na kapitana Alatryste z mroczną uporczywością charta, wściekłego po zgubieniu tropu lisa, zatem próbującego szczęścia w walce z wilkiem: – Czasu jest dość.

Alatryste ponownie pogładził sobie wąsy. To nie było licytowanie się przechwałkami. Wplątanie się w bójkę z jednym z tych ludzi albo z oboma mogło spowodować nieprzyjemności. Miałby ochotę zostawić te sprawy tak, jak były, ale nie było to już proste. Komplikowało je poczucie honoru każdego z nich. I on sam zaczynał się irytować zawziętością owego człeka.

– Zatem nie strzępmy sobie języków po próżnicy – zawyrokował.

– Proszę, by waszmość zważył – zwrócił się do niego wyższy, jeszcze powściągliwie – iż nie mogę pozostawić samopas mojego towarzysza.

Musiałby pan także walczyć ze mną... Potem, rzecz jasna. W przypadku, gdy...

– Dość tych słów – przerwał mu ten drugi, stając przeciw kapitanowi. – Dokąd idziemy?... Na Piedegrutę?

Alatriste spojrział na niego uważnie, szacując go. Teraz odczuwał prawdziwą ochotę, aby wbić kilka cali żelaza pomiędzy żebra kozaka. Na rany Chrystusa, szybko by tę sprawę zakończył. A towarzysza wysłał do diabła gratis: dwóch za cenę jednego. W ten sposób przynajmniej mu zapłacił za fatygę.

– Brama Królewska jest bliżej – zaproponował. – I ma ustronną łączkę, wołającą o to, by ktoś tam się położył.

Wyższy westchnął, zrezygnowany.

– Ten pan żołnierz potrzebuje świadka... – powiedział do swego towarzysza. – Żeby nikt nie powiedział, że go razem zamordowaliśmy.

Uśmiech wykrzywił twarz Alatriste. To było rozsądne i przemyślane. Pojedynki były zabronione w Neapolu edyktem królewskim, a kto go pogwałcił, szedł do więzienia albo na szubienicę, jeśli nie miał kogoś, kto by za nim stanął; zawsze jednak trzymanie się zasad uspokajało sumienie, zwłaszcza gdy sprawa była z ludźmi na określonym poziomie. Wszystko sprowadziłoby się do zabicia jednego – niższego, bez wątplenia – i pozostawienia drugiego w stanie umożliwiającym opowiedzenie, że mierzyli się jak równy z równym. Chociaż bez świadków też mógł zabić ich obu, a później udawać, że w życiu ich nie widział.

– Możemy załatwić to po drodze, jeśli jesteście na tyle rycerscy, żeby zaczekać kilka chwil – wskazał na szczyt schodów, skracających trochę w prawo. – Mam tam sprawę do załatwienia.

Obaj zgodzili się, rzuciwszy na siebie wzajemnie okiem z lekkim zmieszaniem. Wtedy, spokojnie odwróciwszy się do nich plecami – życie

nauczyło go, do kogo odwracać się tyłem, a do kogo nie, i wierzył, że w tej sprawie się nie myli – Alatryste pokonał ostatnie stopnie, słuchając odgłosu podążających za nim kroków. Kroków równych; potwierdził zadowolony, że ma do czynienia z porządnymi ludźmi. Po wyjściu za róg przeszedł pod łukiem tak szerokim, jak cała ulica, do miejsca, gdzie otwierały się podwoje tawerny. Sprawdził adres, zanim przekroczył jej próg, i nie przejmując się już swymi zaskoczonymi towarzyszami, uniósł kapelusz i poprawił rapier i biskajski sztylet, żeby móc się nimi posłużyć bez kłopotów. Następnie zapiął bawoli napierśnik, jaki miał pod peleryną, wymacał pistolet i wszedł do lokalu. Była to jedna z okolicznych podłych knajp: dziedziniec z daszkiem, pod którym stały stoły. Gołą ziemię dziobały kury. Klientów było ze dwudziestu i nie patrzyło im dobrze z oczu, z wyglądu sami Włosi. Przy jednym ze stołów grano w karty, jeden człowiek stał i się przyglądał, a równie dobrze mógł bawić się grą, co pomagać w oszustwie.

Alatryste dyskretnie zbliżył się do karczmarza i w pewnej chwili, smarując mu rękę srebrnym karlinem, zapytał o Giacomą Colapietrę. Zaraz potem znalazł się przy stole, gdzie osobnik o szerokich plecach i z gołą głową, w peruce i z podwiązanymi wąsami, pił z dwoma zakapiorami o podłych mordach, z tych co to noszą przy sobie rożen i tarczę i mają kołnierze wystrzępione i nakrochmalone tłuszczem, i bawił się talią kart.

– Czy mógłbym z waszmością pogawędzić na osobności?

Florentczyk, który w tej chwili oddzielał walety od królów, uniósł jedno oko i mrugnął drugim pytająco. A przyjrzawszy się przybyszowi, wąpiąco wykrzywił usta.

– *Noscondo niente a mis amichis*<sup>83</sup> – powiedział, wskazując towarzyszy.

Wyrzucał z siebie słowa okraszone taniego wyziewami wina najpierw ochrzczonego, a później ekskomunikowanego. Kątem oka Alatryste oszacował rzeczonych amichis. Bez żadnych wątpliwości Włosi. *Bravi*<sup>84</sup>,

ale cherlawi. Chociaż dawał im znaki, oczyma i mieli pod ręką krótkie żelaza, nie wydawali się godni uwagi. Jedyne szuler miał inne uzbrojenie – u jego pasa wisiało szydło o długości półtorej piędzi.

– Powiedziano mi, że poszukujecie noży, panie Giacomo.

– *Non bisoño nesuno piu*<sup>85</sup>.

Oblicze kapitana Alatryste wydawało się ostre jak tłuczone szkło.

– Nie wyraziłem się dość jasno. Te noże są przeznaczone dla mojego przyjaciela.

Ów Colapietra przestał przebierać karty i popatrzył na swych pobratymców. Potem dokładniej przyjrzał się kapitanowi. Pod usztywnionymi wąsami pojawił się lekki uśmiezek.

– Powiedziano mi – ciągnął Alatryste, nie zmieniając wyrazu twarzy – że macie coś za złe pewnemu młodemu Hiszpanowi, którego bardzo cenię.

Usłyszawszy to, Colapietra wybuchnął śmiechem z pogardą.

– *Cazzo*<sup>86</sup> – powiedział.

Później podstępnie i groźnie zrobił ruch, żeby wstać jednocześnie ze swymi towarzyszami; ale ruch był minimalny. Wystarczyło jednak czasu, aby Alatryste wyrwał pistolet zza pasa.

– Siadać, wszyscy trzej – powiedział spokojnie i powoli, widząc, że rozumieją jego ideę. – Albo wypalę w wasze takie i owakie matki... *Capiczi?*

Wokół i za jego plecami zaległa cisza, lecz Alatryste nie spuszczał wzroku z trzech gagatków, którzy zrobili się biali jak kościelne świece.

– Ręce na stole i z dala od rapierów.

Nie patrząc za siebie, żeby nie okazać niepewności, przełożył pistolet do lewej ręki, a prawą wsparł na rękojeści rapiera, na wypadek, gdyby musiał go wydobyć, aby utorować sobie drogę do drzwi. Przekalkulował to przy wejściu, w tym też ucieczkę w dół zaułka. Na wypadek gdyby sprawy źle

się potoczyły, trzeba mu było tylko dotrzeć do placu Chorrillo, gdzie nie zabraknie pomocników. Mógł, rzecz jasna, przyjść w towarzystwie: Coponsa, Maura Gurriato – który z największą ochotą spełniłby tego rodzaju usługę – czy któregokolwiek z przyjaciół, bo chętnie pomogliby w takiej potrzebie. Jednak efekt dramatyczny nie byłby taki sam. Na tym polegała cała sprawa.

– Teraz posłuchaj, palancie.

I przysuwając lufę pistoletu blisko do siennej twarzy szulera – któremu talia wypadła z rąk na podłogę – Alatryste przysunął też wąsy i stał tak przez dłuższą chwilę, nie unosząc głosu i odpowiednimi jednoznacznymi słowami, dokładnie wyjaśniając, co też zrobi z Colapietrą, jego flakami, wyrażając swój niepocholebny stosunek do jego rodzicielki, zwłaszcza jeśli któryś z jego przyjaciół będzie niepokojony. Nawet jakieś potknięcie na ulicy, jakiś przypadkowy upadek, wystarczy, aby przyszedł porachować się z Florentczykiem jako odpowiedzialnym za to wydarzenie; nawet za rozwolnienie albo gorączkę wystawi mu rachunek. A on, który nie patrząc za siebie, żeby nie okazać niepewności, przełożył pistolet do lewej ręki... oczywiście nazywa się Diego Alatryste i mieszka w zajeździe Any de Osorio, nie musi wynajmować nikogo, żeby w jego imieniu pchnąć kogo nożem. Między innymi dlatego, że do tych spraw zwykle to jego wynajmują. Ale czy ty capichi?





Nie patrząc za siebie, żeby nie okazać niepewności, przełożył pistolet do lewej ręki...

– Dlatego jak dojdzie co do czego, spotkasz mnie tu albo w jakimś ciemnym zaułku, gdzie wypruję ci flaki od góry do dołu... Czy mnie zrozumiałeś?

Ten drugi szybko skinął głową z nietęgą miną. Przy takiej twarzy niepotrzebny sztylet przy pasie podkreślał żalosność sytuacji. Jasne i zimne

oczy Alatristergo, zaledwie o kilka cali od jego oczu, zdawały się pozbawiać go animuszu. Peruka też odrobinę mu się przekrzywiła i można było wyczuć w powietrzu jego strach: wilgotny i cierpki. Kapitan opanował pokusę podręczenia go jeszcze trochę lufą pistoletu. Nigdy nie wiadomo, co może pchnąć człowieka do skoku.

– Czy wszystko jasne?

Colapietra ponownie beznamiętnie skinął głową. Odchylając się nieco, kapitan kątem oka popatrzył na towarzyszy Florentczyka: siedzieli przerażeni jak posągi, trzymali ręce na stole z anielską niewinnością, i można by przysiąc, że poza okradaniem własnych matek, zabijaniem ojców i prostytuowaniem sióstr, nie zrobili nic złego w swych grzesznych żywotach. Później, nie opuszczając pistoletu ani nie odsuwając ręki od rękojeści rapiera, w ciszy, gdzie można było usłyszeć przelatującą muchę i dziobanie kur, Alatrister odszedł od stołu i ruszył w stronę drzwi, nie do końca odwracając się plecami, uważny na resztę gości, nieruchomych i milczących. Na progu natknął się na obu Hiszpanów, którzy przyszli tu za nim i byli świadkami całego zajścia. Zaskoczyło go, że ich tam zobaczył. Skupiony na swoich zadaniach, zapomniał o nich.

– Wracajmy do naszych spraw – powiedział, obojętny na ich zdumione miny.

Wszyscy trzej wyszli na schody zaułka, nie mówiąc więcej ani słowa, podczas gdy Alatrister zwalniał kurek pistoletu i wsadzał go za pas pod peleryną. Następnie splunął na ziemię pomiędzy swoje buty, wyraźnie poirytowany i niebezpieczny. Zimna wściekłość, która wzmagająca się od chwili spotkania z jego towarzyszami, spotęgowana napięciem w tawernie, potrzebowała wyładowania złych humorów, i to szybko. Świerzbili go palce z gorącego pragnienia chwycenia za rapier, kiedy dotykał jego rękojeści. Chryste, w dupę mać, powiedział do siebie, zastanawiając się nad

przyszłymi pchnięciami. W sumie, może nie trzeba będzie docierać do placu Królewskiego, żeby wziąć się do roboty i załatwić sprawę na miejscu. Przy pierwszym niepewnym geście albo słowie, zdecydował, wyciągnie sztylet – miejsce było zbyt wąskie na toledańskie tańce z rapierem – zaszlachtuje ich na miejscu jak wieprze, choćby miał za to odpowiedzieć przed sądem albo przed samym wicekrólem.

– Do diabła – powiedział wyższy.

Patrzył na Diega Alatryste, jakby go ujrzął po raz pierwszy. I jego towarzysz podobnie. Już nie marszczył brwi i dla odmiany okazywał namysł i źle skrywaną ciekawość.

– Ciągłe chcesz postawić na swoim? – zapytał towarzysza.

Nie odpowiadając, niższy nie spuszczał z oczu kapitana Alatryste, który wytrzymał jego spojrzenie, robiąc niecierpliwy ruch, zachęcający ich do udania się na miejsce rozwiązania sporu. Jednak ten drugi nie poruszył się. Zamiast tego, po chwili ściągnął rękawicę z prawej ręki i podał ją, nagą i szczerą.

– Niech mnie wysmarują łojem jak Murzyna – powiedział – jeśli będę się bił z takim człowiekiem.





## IX. JANCZARZY KATOLICKIEGO KRÓLA



urek wywiesił banderę pokojową i poddał się bez walki. Był to czarny karamuzal o długim kadłubie i wysokiej rufie: statek handlowy o trzech masztach, któremu manewr naszych pięciu galer, odcinający mu w porę drogę na morze i do lądu, nie pozwolił na skorzystanie z szybkości swoich żagli. Była to nasza trzecia zdobycz, odkąd zaczęliśmy się w kanale pomiędzy wyspami Tinos i Mykonos, bardzo uczęszczanym przejściu do Konstantynopola, na Chios i do Izmiru. I ledwie dobiliśmy do niego i przerzuciliśmy na jego pokład część wojska, zobaczyliśmy, że to dobry interes. Załoga grecko-turecka wiozła oliwę i wino z Krety, mydło, kairski kordyban i inne cenne rzeczy, i jako pasażerów kilku Żydów z Salonik w szafranowych turbanikach, dobrze zaopatrzonych w bite srebro. Tego dnia mniej używaliśmy rapierów niż pazurów, wszak w ciągu pół godziny dokładnie splądrowaliśmy wszystko, co nam w nie wpadło; a nawet jeden żołnierz z innej galery, rzuciwszy się albo wpadłszy do wody, żeby nie odarli go zaprowadzający porządek oficerowie, utopił się, nie wypuściwszy z rąk swej zdobyczy. Karamuzal należał do Turków, zatem jako godną zdobycz odesłaliśmy go na Malte z grecką załogą i kilkoma naszymi żołnierzami i przykuliśmy do wiosł, rozrzucając ich po wszystkich pięciu galerach, dwóch renegatów –

zanim przekażemy ich inkwizycji – ośmiu Turków, trzech Albańczyków oraz pięciu Żydów; z których jeden, nie mając konstytucji właściwej do wiosł, zmarł po dwóch dniach, z choroby albo widząc, że został niewolnikiem i nie mogąc znieść takiej nędzy. Pozostałych później wykupili po tysiąc cekinów mnisi z Patmos; aby ich potem uwolnić, jak to mieli we zwyczaju, pobierając od nich odsetki. Wszak mnisi tamtejsi mówili po grecku, a wysysali pieniądze po genueńsku.

Obaj renegaci przypadli „Mulacie”. Jeden był Hiszpanem z Ciudad Real i aby polepszyć swoją sytuację, zdradził nam coś interesującego, o czym później opowiem waszmościom. Powiem wprzód, że nasza kampania była udana. Znowu na pokładzie, z włosami posklejanymi smołą, skórą pokrytą saletrą i ubraniami ubrudzonymi dziegciem. Trzy neapolitańskie galery – „Mulata”, „Caridad Negra” i „La Virgen del Rosario” – pozostawiły za sobą wejście do Capri, świeżo oskrobane i dobrze zaopatrzone w zapasy i żołnierzy na dwumiesięczną wyprawę po morzu Egejskim i wybrzeżu Anatolii, gdzie to na wyspach żyją Grecy ujarzmieni przez Turków; i po spotkaniu się w kanale św. Jana z galerami z Malty zwanymi „Cruz de Rodas” i „San Juan Bautista”, ruszyliśmy konwojem do Korfu. Tam, uzupełniwszy świeże mięso i wodę, ruszyliśmy wzdłuż wybrzeża Morei przez Kefalinę i Zakintos, należące do Wenecjan, a potem okrążyliśmy wyspę Sapienza i załadowaliśmy wodę na młynach Corón – biła do nas z miasta turecka artyleria, ale nie dosięgła nas – zrobiliśmy zwrot na wschód, w kierunku przylądka Świętego Anioła, gdzie wypłynęliśmy na czyste, lazurowe fale zatoki i zielone a krystaliczne wody na brzegach archipelagu. W końcu naszym udziałem stało się to, co wygłaszał Vélez de Guevara w swoim *Zdumieniu Turcji*: Lewantu morze przeorałem, Wszędy Turka butnego na szlakach wypatrywałem, Co przeciw Hiszpanii się waży, Snadź karę za zuchwałość poniesie bisurman wraży.

W tej podróży szczególnie się wzruszyłem, gdy żeglowaliśmy przy zatoce Lepanto, gdzie zgodnie ze zwyczajem panującym na naszych galerach, ludzie nasi stanęli na burcie od strony lądu i zmówili modlitwę pamięci za tych wielu Hiszpanów, którzy tam polegli, walcząc jak dzikie bestie, kiedy flota Ligi pobiła Turków w bitwie roku Pańskiego tysiąc pięćset siedemdziesiątego pierwszego. W tych samych okolicach, z innych przyczyn, wzruszyłem się, gdy przechodziliśmy mimo wysp Sapienza i miasta Modona, do Turka należącej; wszak czytałem o niej w opowiadaniu Niewolnika, znajdującym się w pierwszej części *Don Kichota*, kiedy jeszcze nie wiedziałem, że pewnego dnia będę przepływał mimo jako żołnierz, tak jak sam Cervantes, po tych ziemiach i morzach, gdzie on bił się w czasach swojej młodości, mając niewiele więcej lat niż ja w owym czasie; aż znalazł się pod Lepanto na pokładzie galery „Marquesa”, w „najznamienitszej potrzebie, jaką widziały wieki przeszły, obecny, i jakiej pewnie w przyszłych nikt nie obaczy”.

Miałem jednak opowiedzieć waszmościom, co wyznał nam hiszpański renegat pochwycony na karamuzalu; wiadomość, której konsekwencje, choć tego jeszcze wtedy nie mogliśmy wiedzieć, w sposób dramatyczny wpłynęły na naszą przyszłość i kosztowały życie wielu dzielnych ludzi. Chodzi o to, że aby ulżyć sobie w czarnej przyszłości, która czekała go ze strony inkwizycji, i poprawić swoją sytuację wioślarza – przykuto go do najgorszego miejsca, na skraju ławki przy przejściu – renegat poprosił o rozmowę z kapitanem Urdemaląsem, aby mu w tajemnicy opowiedzieć coś bardzo ważnego.

Zaprowadzony przed jego oblicze, odmalował mu swoje życie w zwyczajowych w takich przypadkach smalonych dubach, wszelako zwrócił uwagę na coś, co nasz kapitan uznał za prawdopodobne: wielki turecki korab szykował się, aby ruszyć z Rodos do Konstantynopola, wioząc na

pokładzie bogaty ładunek i ważne osoby, spośród których znajdowała się kobieta będąca, tego renegat nie był pewien, krewną albo żoną Wielkiego Turka, albo wysyłano ją, bo taką miała zostać. I jak się wkrótce dowiedzieliśmy – na galerze nie sposób dochować żadnej tajemnicy – ten z Ciudad Real poradził kapitanowi Urdemalasowi, że jeśli chce powziąć szersze wieści, niech przycisnie właściciela karamuzalu, który był drugim renegatem, posadzonym na tej samej ławce: marsylczyk, który obrzezawszy się, zmienił swe chrześcijańskie imię na Ali Masilia, i z którym najwyraźniej Hiszpan miał jakieś porachunki, teraz tak ochoczo wyrównywane.

Sprawa tureckiego korabia była poważna, zatem owego Masilię wzięto na tortury. Początkowo wydawał się dość oporny i twierdził, że nic nie wie i że nie zmusi go do puszczenia pary z gęby żaden chrześcijanin ani żadna jego taka i owaka matka; ale przy pierwszym przyduszeniu jego oczu, które zaaplikował mu sędzia galery, grożąc mu ich wydłubaniem, okazał się tak rozmowny i gotowy do współpracy, że kapitan Urdemalas, obawiając się, by jego słowa nie zostały usłyszane przez wszystkich, zabrał go na dół, zamknął się z nim w magazynie sucharów, skąd wyszedł po chwili, gładząc się po brodzie i z uśmiechem od ucha do ucha. Tego popołudnia, korzystając z tego, że morze było bezwietrzne i jak oliwa, stanęliśmy w dryfie o pół mili na północ od Mykonos, spuszczone szalupy i odbyła się narada oficerów pod tentą „Caridad Negra”, która była okrętem flagowym, wszak na pokładzie znajdował się don Agustín Pimentel, synowiec–wnuk starego hrabiego Benavente, któremu wicekról Neapolu i mistrz maltański powierzyli ekspedycję. Ponadto towarzyszyli mu kapitan galery – który także dowodził zaokrętowaną na niej piechotą – Machín de Gorostiola, kapelan brat Francisco Nistala i starszy pilot Gorgos z Raguzy, który pływał z kapitanem Alonsem de Contreras i wiele wiedział o tych wodach. Z

innych okrętów przyszli: nasz kapitan Urdemalas i z „Virgen de Rosario” sympatyczny i wygadany Walencjanin, zwany Alfonso Cervera. Z okrętów maltańskich przyszli właściwi oficerowie: z najważniejszego z nich, „Cruz de Rodas”, przybył Majorkińczyk czyli brat Fulco Muntaner, a z „San Juan Bautista” brat o imieniu Vivan Brodemont, narodowości francuskiej. A kiedy się skończyło spotkanie, zanim jeszcze wrócili szalupami na swe okręty, już krążyła po naszej małej eskadrze wieść radosna, że istotnie bogaty korab idzie z Rodos do Konstantynopola i że znajdujemy się na dobrej pozycji, żeby go przeświecić, zanim wciśnie się pomiędzy Dardanele. To sprawiło, że zawyliśmy z radości i trzeba było widzieć, jak żołnierze i marynarze pozdrawiali się wzajemnie, z galery na galerę, życząc sobie szczęścia. Zatem tego samego popołudnia przed modlitwą rozkazano wydać wioślarzom wino z beczki, solony ser sycylijski i po kilka uncji słoniny, a następnie, przy akompaniamencie strzelania z biczów od dziobu do rufy, wszystkie pięć galer ruszyło w nadchodzącą od wschodu noc, rwąc wiosła, a galernicy, nadwerężając sobie plecy. Niczym stado wilków węszących ofiarę.

\* \* \*

Poranek zastał mnie tam, gdzie zwykle, na ławce po prawej burcie, w pobliżu rufy, patrzącego, jak światło osadza się na horyzoncie, i obserwującego pilota, wykonującego swój pierwszy poranny obrządek; przecież, jak już powiedziałem, pociągało mnie oglądanie, jak błogosławi różę, gdy rozpoznaje ten czy ów przyładek, jeśli żeglowaliśmy w pobliżu brzegu; albo na pełnym morzu wybiera gwiazdę, określa północ, ustawia astrolabium na południe i sprawia, że słońce przechodzi przez muszkę, aby określić jego położenie. Było bardzo wcześnie i galernicy jeszcze spali na



swoich ławkach i pomiędzy nimi, bo teraz szliśmy na żaglach przy akompaniamencie słabego skrzypienia płótna i takielunku, popychani dość mocnym wiatrem greckim, który – jako że galera mogła łąpać go aż do pięciu rumbów, wiódł nas naszym kursem przechylonych na prawą burtę. Spali także niemal wszyscy żołnierze i marynarze, a majtkowie na wachcie w swych bocianich gniazdach przepatrywali horyzont w poszukiwaniu żagli lub lądu, skupiając się na miejscu, w którym wychodziło słońce, wszak mogło ono swym blaskiem ukryć groźną wraźą obecność. Ja, jeszcze z derką na ramionach – spałem zawinięty w nią, w kupie ze wszystkimi, a gdybym zostawił ją na ziemi, poszłaby sobie o własnych siłach, tyle było na niej wszy i pluskiew – opierałem się na mokrej od rosy burcie, patrząc na różowe i pomarańczowe barwy ozdabiające jutrzenkę, i zadawałem sobie pytanie, czy tego dnia także sprawdzi się porzekadło, które między wieloma innymi poznałem na morzu: rumieniec nocą, słońce z rana, a gdy z rana, wieczorem woda.

Rzuciłem okiem na burtę galery. Kapitan Alatryste już się obudził i z daleka widziałem, jak strzepuje koc i składa go, zanim wychylił się za burtę i wiadrem uwiązanym na linie wciągnął wodę morską i przemył sobie twarz – na galerze słodka woda była cennym dobrem – następnie dokładnie wytarł się płótnem, żeby sól nie została na skórze. Później, wsparty na poręczy, wyciągnął z kieszeni kawałek suchara, umoczył go w kilku kroplach wina z bukłaka, którym dzielili się na pół z Sebastianem Coponsem – nigdy nie wypijali od razu swego przydziału, lecz zachowywali połowę i wydzielali sobie po trochu – i jął go gryźć, wpatrując się w morze. Po jakimś czasie, kiedy Copons, śpiący u jego boku, poruszył się i uniósł głowę, kapitan odłamał połowę suchara i podał mu go. Aragończyk przeżuwał w milczeniu, w jednej ręce trzymając suchara, a drugą wydlubując sobie śpiochy z oczu, a mój dawny pan rzucił okiem

dokoła. Gdy spostrzegł, że jestem w pobliżu rufy i mu się przyglądam, odwróciłem wzrok.

Niewiele rozmawialiśmy od Neapolu. Ból naszej niedawnej rozmowy jeszcze mi doskwierał i podczas naszych ostatnich dni na łądzie ledwie kiedy się widywaliśmy, wszak ja mieszkałem w koszarach Monte Calvario wraz z Maurem Gurriato i starałem się nie jadać i nie pić w zajazdach i winiarniach, do których uczęszczał kapitan. Posłużyło mi to ze swej strony do zacieśnienia znajomości z najemnym Maurem, który – teraz już nie jako ochotnik, lecz z żołdem wysokości czterech eskudów miesięcznie – dalej był na pokładzie „Mulaty”, gdzie obaj dzieliliśmy się jedzeniem; i gdzie już mieliśmy okazję wspólnie walczyć, choć przez krótki czas, podczas zdobywania jednego z okrętów: sambequina należącego do Albańczyków i Turków, który wypatryliśmy, mijając od wschodniej strony wyspę Milo; a ponieważ stał w kanale Argentera i obawialiśmy się mielizn, dokonaliśmy abordażu szalupami. Słaby był to łup, wszak statek wiozł tylko niewyprawiane skóry, i wróciliśmy z niego z dwunastoma ludźmi do wiosł, ze swej strony nie ponosząc żadnych strat. Przy tej okazji, świadom, że kapitan Alatryste patrzy z daleka, skoczyłem na sambequina jako jeden z pierwszych, a zaraz za mną Maur Gurriato, i postarałem się wyróżnić w oczach innych; tak więc to ja przeciąłem szoty zdobywanego statku, żeby nikt ich nie mógł złapać, a następnie, docierając do właściciela, pośród załogi szermującej dzidami i handżarami – choć bez wielkiej śmiałości, wszak upadli na duchu, gdy zobaczyli, że przystępujemy do abordażu – tak go pchnąłem w pierś, że niemal wyzionął ducha w chwili, gdy miał poprosić o litość, albo tak mi się wydawało. Powróciłem zatem na galerę, ciesząc się dobrą sławą pośród moich towarzyszy, dumniejszy niż paw i spoglądając kątem oka na kapitana Alatryste.

– Uważam, że powinniście z nim porozmawiać – powiedział Maur Gurriato. Obudził się i stał u mego boku ze zmierzwioną brodą, ze skórą lśniąca tłuszczem od snu i wilgoci poranka.

– Po co?... Żeby go przeprosić?

– Nie – przeciągnął się, ziewając. – Mówię tylko, żeby porozmawiać.

Zaśmiałem się złośliwie.

– Jeśli ma mi coś do powiedzenia, niech do mnie przyjdzie i mi to powie.

Maur Gurriato dokładnie przeglądał palce u nóg.

– Jest od ciebie starszy i więcej wie. Dlatego potrzebujesz go: wie rzeczy, których ani ty, ani ja nie wiemy... *Uaaah*. Przysięgam, że tak.

Wybuchnąłem głośnym śmiechem. Puszczając się jak kogut o piątej rano.

– Jesteś w błędzie, Maurze. Nic już nie jest jak kiedyś.

– Kiedyś?... Jak było kiedyś?

– Kiedyś patrzyłem na niego jak na Boga.

Przyglądał mi się z niezwykłą dociekliwością. Jedną z jego wyjątkowych cech była ta, że z niepohamowaną ciekawością wpatrywał się nawet w rzeczy o najnikczemniejszym wyglądzie. Wszystko zdawało się go interesować: od budowy ziarnka prochu do złożonych sprężyn ludzkiego serca. Pytał, przyjmował odpowiedź, a następnie wyrażał opinię, jeśli sytuacja była stosowna, z całą powagą, daleki od rezerwy czy uprzedzeń, nie pozując na mędrca, cwaniaka czy bohatera. Obojętny wobec rozsądku, głupoty albo ignorancji innych ludzi, Maur posiadał nieskończoną cierpliwość człowieka gotowego uczyć się wszystkiego i od wszystkich. Życie przejawia się w każdej rzeczy i w każdym słowie, usłyszałem od niego przy jakiejś okazji; a człowiek roztropny powinien starać się odczytać i wysłuchać ich w ciszy. Dziwna to konkluzja albo filozofia u kogoś takiego jak on, który nie potrafił czytać ani pisać, mimo że znał język kastylijski,

turczyński i narzecze Maurów, oprócz śródziemnomorskiej lingua franca, a któremu wystarczyło kilka tygodni w Neapolu, żeby dość dobrze zacząć posługiwać się językiem włoskim.

– A teraz nie jest już podobny do Boga?

Ciągle przyglądał mi się z wielką uwagą. Zrobiłem niejasny gest, odwrócony do morza. Pierwsze promienie słońca oświetlały nam twarze.

– Widzę w nim rzeczy, których wcześniej nie widziałem, już nie znajduję innych.

Pokręcił głową niemal z żalem. Spokojny i fatalista jak zwykle, krążył pomiędzy kapitanem Alatryste i mną, i tylko on nas ze sobą łączył na pokładzie poza potrzebami służby; wszak Copons, w swej surowej aragońskiej szorstkości, pozbawiony był wrażliwości pozwalającej na poprawienie aury: jego prymitywne próby koncyliacji rozбивały się o zawziętość mojej młodości. Maur Gurriato jednakże był tak samo słabo wykształcony jak Copons, ale bardziej przenikliwy. Oceniał mnie i zachowywał cierpliwość; dlatego dyskretnie trzymał się pomiędzy nami oboma, jakby utrzymywanie tego kontaktu było formą spłacenia kapitanowi, wszak nie mnie, dziwnego długu, w który wierzyła skomplikowana głowa Maura – i wierzyła jeszcze przez resztę życia, aż do Nördlingen – że zaciągnął go u człowieka, poznanego podczas kawalkady w Uad Berruch.

– Ktoś taki jak on zasługuje na szacunek – zauważył, jakby podsumowując długie wewnętrzne rozmyślenia.

– Ja też zasługuję, do diabła.

– *Elkhadar* – wzruszał ramionami fatalistycznie. – Powodzenia. Czas to pokaże.

Uderzyłem pięścią w deski.

– Nie urodziłem się wczoraj, Maurze... Jestem mężczyzną i szlachcicem, tak jak on.

Przesunął rękę po łysej czaszce, którą golił sobie codziennie przy użyciu brzytwy i wody morskiej.

– Szlachcic, naturalnie – wymamrotał.

Uśmiechał się. Jego ciemne i dobrotliwe oczy, niemal kobiece, lśniły niczym srebrne koła w jego uszach.

– Bóg oślepią – dodał – tych, których chce zgubić.

– Do diabła z Bogiem i całą resztą.

– Czasem dajemy diabłu to, co już ma.

A powiedziawszy to, wstał, wziął garść starych postrzępionych lin i poszedł do wychodka, tuż przy ostrodze, zamiast załatwić potrzebę tak jak inni, kucając pomiędzy ławkami na burtach. Gdyż kolejną cechą Maura Gurriata okazało się to, że był wstydlivy jak wszyscy diabli.

\* \* \*

– Może będziemy mieli szczęście – powiedział kapitan Urdemalas. – Z tego, co mówią, przed trzema dniami korab jeszcze był na Rodos.

Diego Alatryste umoczył wąsy w winie, które kapitan „Mulaty” kazał wydać na rufie pod toldą w czerwone i białe pasy, a teraz połataną i spłowiałą od słońca. Wino było dobre: biała malvasia podobna do San Martín de Valdeiglesias; a znając przysłowiowe skąpstwo Urdemalasa, który z większym bólem wypuszczał z rąk jednego marawedi niż papież swój papieski pierścień, zwiastowało to interesujące wydarzenia. Pomiędzy łykiem i łykiem Alatryste ukradkiem obserwował pozostałych. Oprócz pilota, którym był Grek zwany Braco, i bosmana galery zawezwano chorążego Labajosa i trzech kaprali wojska dowodzących

osiemdziesięcioma siedmioma ludźmi piechoty znajdującymi się na pokładzie: sierżanta Zgorzałego, kaprala Conesa i samego Alatryste. Obecny był też mistrz artylerii, zastępujący rannego na Lampeduzie: Niemiec, który klął po hiszpańsku i pił po baskijski, ale robił sztychy, młynki, cięcia i pchnięcia z biegłością kucharza pośród garnków.

– Najwyraźniej chodzi o wielki statek. Mahona z tych bez wiosł, z ożaglowaniem rejowym. I kilka dział... Eskortuje ją jednomasztowa galera obsadzona janczarami.

– Trudna sprawa – odezwał się bosman, usłyszawszy słowo janczarzy.

Kapitan Urdemalas popatrzył na niego spode łba. Był w złym humorze, bo od tygodnia cierpiał na ból zębów rozsadzający mu głowę, a nie miał odwagi oddać się w ręce pokładowego cyrulika ani żadnego innego.

– Trudniejsze już mieliśmy – warknął.

Choraży Labajos, który już wypił swoje wino, wycierał wąsy wierzchem dłoni. Był młody i pochodził z Malagi, chudy i ogorzały, biegły w swojej robocie.

– Należy się spodziewać zażartej obrony. Jeśli stracą swoją podopieczną, położą głowy.

Sierżant Zgorzały wybuchnął śmiechem.

– Naprawdę to żona Wielkiego Turka?... Myślałem, że nie pozwalają im wychodzić z seraju.

– To faworyta baszy Cypru – wyjaśnił Urdemalas. – Za miesiąc kończy się tam jego służba i wysyła ją przodem z częścią swych pieniędzy, służbą, niewolnikami i ubraniami.

Zgorzały uczynił gest, jakby chciał zaklaskać z wielkiej radości. Był wysoki i chudy, a naprawdę nazywał się Sandino. Imię Zgorzały dostał po tym, jak w zażartym nocnym ataku na wyspę Longo – złupienie miasta, podpalenie żydowskiego getta i pojmanie niemal dwustu niewolników –

petarda spaliła mu twarz, kiedy próbował wyważyć wrota zamku. Mimo swego złego wyglądu, a może w jego wyniku, zawsze żartował. Był też trochę krótkowidzem, choć publicznie nigdy nie używał szkieł. Kiedyż to widziano Marsa w okularach? – mawiał, zaśmiewając się na wpół pyszałkowato.

– Porządny łup, jak pragnę zdrowia.

– Jeśli położymy na nim rękę, to tak – zgodził się Urdemalas. – Wystarczyłoby za całą wyprawę.

– Gdzie są teraz? – zapytał chorąży Labajos.

– Musieli zatrzymać się na jakiś czas na Rodos i już płyną dalej albo niedługo wyruszą.

– Jaki jest plan?

Kapitan galery dał znak Braco, pilotowi, który rozwinął mapę morską na deskach służących za stół, aby wykreślić trasę. Została wyrysowana odręcznie, bardzo dokładnie, a pokazywała wyspy Egejskie, Anatolię i wybrzeża Europy. U góry dochodziła aż do kanału Konstantynopola, a na dole aż do Krety. Urdemalas przesunął palcem z dołu do góry po wschodniej stronie mapy.

– Don Agustín Pimentel chce ich złapać, zanim przepłyną przez kanał Chios, żeby nie robić kłopotów żyjącym tam chrześcijanom... Według wielkiego pilota Gorgosa, najlepsze miejsce jest pomiędzy Nicalią i Samos. W drodze na północ z Rodos to nieuniknione przejście albo niemal nieuniknione.

– To niebezpieczne wody – zauważył Braco. – Są mielizny i podwodne skały.

– Tak. Ale wielki pilot doskonale je zna. I mówi, że naturalne jest, o ile na mahonie są doświadczeni żeglarze, znający mielizny, że popłyną

zwyczajowym kursem pomiędzy łańcuchem wysp i stałym lądem: lepiej osłoniętym przed wiatrami i bezpieczniejszym.

– To logiczne – zgodził się Braco.

Diego Alatryste i kapral Conesa, który pochodził z Murcji i był niski i gruby, przyglądali się mapie z wielkim zainteresowaniem. Takie dokumenty zwykle nie znajdowały się w ich zasięgu; a będąc podwładnymi, wiedzieli jak bardzo niezwykajna jest ich obecność na naradzie. Jednak Alatryste był starym lisem i wiedział, co w trawie piszczy. Rozmawiano o wielkim łupie i lepiej było, aby wszyscy o tym wiedzieli. W ten sposób dowódcy zyskiwali pewność, że poprzez kaprali żołnierze dowiedzą się wszystkiego jak należy i to pomoże w zwycięstwie. Dotarcie na czas i zdobycie mahony wymagało wysiłku wszystkich ludzi. Żołnierze i marynarze świadomi stawki byli bardziej posłuszni od niedoinformowanych i niezadowolonych.

– Nie wiem, czy dotrzemy na czas – zauważył chorąży Labajos.

Pokazywał swój pusty kubek, w nadziei, że Urdemalas przywoła pazia, aby podał więcej wina; ale właściciel „Mulaty” udał, że niczego nie widzi.

– Wiatr meltemi jest dla nas korzystny – powiedział – i ponadto mamy wiosła. Turecki korab jest ciężki, idzie na żaglach, pod wiatr, a galera może jedynie wziąć go na hol przy dobrym wietrze... Poza tym, dziś po południu pogoda ochładza się, chociaż my idziemy z wiatrem. Główny pilot sądzi, że możemy ich złapać w okolicy Patmos, albo wyspy Pieców. A pozostali piloci i kapitanowie zgadzają się... Prawda, Braco?

Greki skinął głową, zwijając mapę. Zgorzały chciał wiedzieć, co o tej sprawie sądzą ludzie z Malty i kapitan Urdemalas odpowiedział mu: – Tym skurwysynom jest wszystko jedno czy to jedna mahona i jedna galera, czy pięćdziesiąt, z żoną baszy Cypru czy z samym Sulejmanem... Im wszystko pachnie łupem i ślina im cieknie po kłach. Im więcej Turków, więcej zysku.

– Jacy to dowódcy? – zagadnął sierżant Zgorzały.



– O Francuzie nic mi nie wiadomo. Ma na pokładzie kawalerów z nowicjatu i żołnierzy ze swej nacji, a także Włochów, Hiszpanów i kilku Niemców. Ludzi dzielnych, jak to zwykle. Ale tego z „Cruz de Rodas” znam.

– Brat Fulco Muntaner – podpowiedział bosman.

– Ten, który był w Címbalo i Saragossie?

– On ci.

Niektórzy z obecnych zmarszczyli brwi, a inni skinęli głowami. Nawet sam Alatryste miał, od Alonsa de Contreras, wiadomości o tym hiszpańskim rycerzu świętego Jana. W Címbalo, po stracie trzech galer maltańskich w sztormie, Muntaner okopał się z rozbitkami na jakiejś wyspie i bronił się jak tygrys przed Maurami z Bizerty, którzy kupą lądowali, aby ich pojmać. W zasadzie nic w tym zaskakującego; wszak nawet najbardziej zaduwały rycerz Religii nie mógł oczekiwać łaski od wyznawców Mahometa. Między innymi z tegoż to powodu, kiedy w bitwie pod Lepanto zdobyto okręt flagowy Malty po abordażu przeprowadzonym przez chmarę tureckich galer, znaleziono na niej tylko trzech żywych rycerzy, rannych i otoczonych trzystu wrażymi trupami. O mały włos zostałyby to powtórzone w roku dwudziestym piątym tego wieku przy sycylijskiej Saragossie, kiedy rzeczony Muntaner, już sześćdziesięcioletni, był jednym z osiemnastu ocalałych na maltańskim okręcie flagowym po krwawej bitwie, którą cztery galery Religii stoczyły z sześcioma galerami berberyjskimi. Rycerze Zakonu, znienawidzeni i budzący przerażenie pośród wrażych hufców, byli nieugiętymi i zawołanymi korsarzami, a brat Fulco Muntaner znajdował się pośród najbardziej zażartych. Od chwili, kiedy pięć galer zebrało się w kanale świętego Jana, Alatryste często miał okazję go widzieć na rufie „Cruz de Rodas”, jego okrętu flagowego, łysego i z długą, siwą brodą,

twarzą zniekształconą od blizn po nożu, przemawiającego do ludzi gromkim głosem w swym języku z Majorki.

\* \* \*

Poranne porzekadło sprawdziło się: po południu była woda; a w nocy szkwały wiatru meltemi i więcej jeszcze wody, z morzem wzburzonym, które mimo latarni zapalonych na rufach sprawiło, że poszczególne galery traciły siebie z pola widzenia. Pozwoliło to szybko przebyć te czterdzieści mil, które dzieliły nas od wyspy Nicalia, choć wiatr bardzo nas zmalretował i marynarze spędzili noc, uważnie obserwując żagle, wraz ze wszystkimi pozostałymi, w tym galernikami, skulonymi na pokładzie, skostniałymi z zimna i opatulającymi się jak to tylko możliwe przed bryzgami morza. W ten sposób dalej szliśmy z wiatrem sirocco i następny poranek, który był spokojny przy stopniowym oddalaniu się resztek deszczu ponad wysokimi i skalistymi szczytami wyspy, oświetlił nas naprzeciw Punta del Papa, gdzie dotarły już dwa okręty z naszego konwoju, i przed południem dołączyły pozostałe dwa okręty bez żadnych nowych wiadomości. Nicalia, nazywana przez niektórych Nikarią – wyspa, przy której Ikar wpadł do morza – jest surowa i po jej skałach schodzi do morza wiele strumieni, choć nie ma żadnego portu; lecz skoro pogoda znowu była przyjemna, a morze spokojne, mogliśmy przybić do brzegu i do woli napęlić beczki, baryłki i antałki. Bo ciągle potrzeba wiele wody przy tylu ludziach zaokrętowanych na galerach.

Sądziliśmy, że z powodu północnych wiatrów, przeciwnych cypryjskiej mahonie, jest ona jeszcze w drodze z Rodos; aby się o tym przekonać, don Agustín Pimentel zdecydował, że cztery galery będą strzegły kanału pomiędzy Nicalią i Samos, a jedna uda się na południe, aby zasięgnąć

języka; wszak jeden hiszpański okręt mniejszą będzie na siebie zwracać uwagę niż pięć galer razem, jak pięć drapieżnych ptaków, czyhających na ofiarę. Poza tym Grecy zamieszkujący te wyspy nie wydawali się lepsi od Otomanów; wszak nie posiadając szkół, byli najbardziej barbarzyńskim ludem świata, poddani mahometańskiemu okrucieństwu i zdolnym sprzedać nas Turkom, aby się im przypodobać. Dokonać odkrycia przypadło „Mulacie”, zatem ruszyliśmy zaraz tej samej nocy gnani lewantyńskim wiatrem i pod koniec nocnej wachty weszliśmy do głębokiego i chronionego portu w Patmos, najlepszego z trzech czy czterech portów, jakie posiada wyspa, u stóp umocnionego klasztoru chrześcijańskich mnichów, który z góry panuje nad okolicą. Spędziliśmy tam poranek, nie otrzymawszy pozwolenia zejścia na ląd, z wyłączeniem kapitana Urdemalasa i pilota Braco, którzy oprócz tego, że zasięgnęli języka, negocjowali wykupienie Żydów siedzących przy wiosłach – to był pretekst usprawiedliwiający postój – choć zgodzili się uwolnić ich później, wyładowując na Nicalii, pod nie wiem jakim pretekstem. Zatem chwilowo musiałem zapomnieć o deptaniu legendarnej ziemi, gdzie wygnany przez cesarza Domicjana święty Jan Ewangelista podyktował swemu uczniowi Prokorosowi słynną Apokalipsę, ostatnią z ksiąg Nowego Testamentu. A skoro już mowa jest o książkach, pamiętam, że kapitan Alatriste spędził ten dzień, siedząc na ławce i czytając książkę *Sny*, przysłaną mu do Neapolu przez mość Francisca de Quevedo; którą zwykle nosił w kieszeni, gdyż niewielkich rozmiarów była. I tego samego dnia, korzystając z sytuacji, że zostawił ją na plecaku, aby pójść coś zrobić na dziobie, chwyciłem książkę, aby rzucić na nią okiem, i znalazłem zaznaczoną stronę, gdzie mogłem przeczytać: Zeszły Prawda i Sprawiedliwość na ziemię. Pierwsza nie znalazła schronienia, bo była naga, druga – bo była zbyt surowych obyczajów. Długo się tak błąkały, aż Prawda z musu doszła do

porozumienia z jednym niemową. Sprawiedliwość, wciąż bezdomna, wędrowała po ziemi, prosząc wszystkich o gościnę, ale widząc, że na nią nie zważają i że nadużywają jej imienia, by hołdować tyranii, postanowiła wrócić do nieba...<sup>87</sup>

Skoro już mówimy o Patmos, to część tego dnia my, marynarze i żołnierze, przeznaczaliśmy na wypoczynek, odwszawienie siebie wzajemnie, jedzenie gotowanej cieciorzki ze sztokfiszem – był przecież piątek – a galernicy polenty, pod brezentową tentą, osłaniającą wiosłarzy; gdyż słońce prażyło okrutnie, a było tak ostre, że roztopiało smołę na wantach. Powrócili po południu, nasz kapitan i pilot z rozjaśnionymi obliczami – oni porządnie się najedli z mnichami, nawet popili wina z miodem i kwiatami pomarańczy, oby Bóg sprawił, żeby im stanęło w żołądku – gdyż nie było informacji, aby turecka mahona już przepłynęła mimo. Mówiono, że została zoczona w konwoju z ochraniającą ją galerą, jak okrążała od wschodu wyspę Longo, bardzo żmudnie halsując pod wiatr, wszak był to okręt wielki i ciężki. Tak więc szybciej niż wymaga tego opowiadanie zwinęliśmy tentę, wyrwaliśmy kotwicę i na wiosłach ruszyliśmy na spotkanie pozostałym galerom.

\* \* \*

Przez dwa dni i dwie noce, ze zgaszonymi latarniami i czujni, gryźliśmy paznokcie aż do krwi. Morze było ołowiane i nieruchome, bez wiatru, który przypędziłby mahonę albo innego bisurmańskiego psubrata. W końcu południowo-wschodni wiatr leweche zruszył powierzchnię morza i przygnał nam odrobinę nadziei, wszak wraz z nim przyszedł rozkaz zakończenia popasu i przygotowania się do bitwy. Wszystkie pięć galer

zostało rozstawionych w sposób niebywale przebiegły, tak daleko jedna od drugiej, że niemal siebie wzajemnie nie widzieliśmy, pokrywając ponad dwadzieścia mil, z odpowiednimi znakami na wypadek, gdybyśmy ujrzeli ofiarę. Za plecami mieliśmy Wyspę Pieców, na której południową górę, skąd widać było morze na wiele mil dokoła, wysłaliśmy czterech ludzi z materiałem umożliwiającym rozpalenie ognia, kiedy pojawi się żagiel – wyspa ta zresztą ma długą tradycję korsarską, wszak jej nazwa pochodzi od czasów, kiedy Turek Cigala kazał piec tam suchary dla swoich galer. Ponadto na południu ustawiliśmy jeszcze, obsadzony naszymi ludźmi, grecki kaik, który zajęliśmy, aby użyć go w charakterze okrętu zwiadowczego, nie wzbudzając podejrzeń, że wilk już zakradł się do stada. Wszelako najciekawsze z zasadzki było to, że aby jak najbardziej zbliżyć się do wroga, zanim zacznie się bitwa, i zapobiec użyciu artylerii z daleka przez korab, zmieniliśmy swój wygląd, aby być podobni do tureckich galer, skracając grotmaszt, nadając rei cięższy i solidniejszy wygląd i zmieniając kształt bocianiego gniazda. Przecież takie działania wskazał już sam Miguel de Cervantes, który o korsarstwie i galerach coś tam wiedział: Na wojnie wszelakie są próby, Pełne oszustw i podstępów roboty.

*Tutaj rozbrzmiewają grzmoty,  
Ówdzie zasię biją pioruny.*

Dopełniono tego tureckimi flagami i proporcami, w które byliśmy wyposażeni – jak tamci mieli zawsze nasze – na takie okazje, i otomańskimi ubraniami, aby pokazywać się w najbardziej widocznych punktach okrętów. Działania owe były typowe dla niebezpiecznej gry, prowadzonej przez wszystkie narody na tych starożytnych brzegach, na tym teatrze olbrzymich szachów i korsarskiej fortuny. Wszak kiedy mierzy do

ciebie osiem lub dziesięć dział, zyskanie na czasie nie jest w rzeczy samej bagatelką; a bardziej jeszcze, gdy celują do ciebie z daleka i można tylko ostro wiosłować, zacisnąć zęby i żywym dotrzeć do abordażu, aby odpłacić się walką bark w bark. Bo gdyby Wielka Armada w kanale La Manche stoczyła otwartą bitwę piechoty, jak pod Lepanto, jak równy z równym, inne byłyby nasze wspomnienia o tej angielskiej wyprawie.

A sprawy tak się miały, że z nieopisaną radością każdy, komu tak padło, chwycił za turczyńskie szaty. Mnie udało się wywinąć, dzięki Bogu; lecz inni – jednym z nich był Maur Gurriato, wszak skazywał go na to jego wygląd – musieli przywdziać szarawary, długie kubraki albo suknie, które Turcy zowią dolmanami, wszystko bardzo porządnie podszyte, jak to zwykle, i birety, chusty i turbany; przy których wszyscy ludzie wyglądali jak tęczą błękitu, bieli i kolorów, i trzeba tylko było odmawiać modlitwy o określonych godzinach, żebyśmy – wszyscy ogorzali od słońca – wyglądali jak prawdziwi Turcy. Nawet jeden kpił sobie z ubrań, klęcząc i wielce bezwstydnie wydzierając się wniebogłoso do Allacha; jednakowoż skoro wielu mahometańskich galerników zaczęło krzyczeć na swych ławkach, kapitan świętokradztwem, kapitan Urdemalas skarcił nikczemnika bardzo surowo, grożąc mu przejściem po pokładzie pod różgami, jeśli będzie podburzał galerników. Bo jedną rzeczą jest – powiedział – mieć tych ludzi przy wiosłach, a drugą bez potrzeby ich wkurwiać.

\* \* \*

– Do wiosła, dziatki moje!... Przyciśnijcie, żeby nam nie uciekli!

Kiedy kapitan Urdemalas nazywał galerników swego okrętu dziatkami, oznaczało to, że niejeden zostawi skórę na wiosła, smagany biczem. I tak też było. Pracując w diabelskim rytmie nadawanym gwizdkiem bosmana,

smaganiem pejczem na ich nagich grzbietach i brzękiem łańcuchów, galernicy wstawali i opadali na ławki raz za razem z dyszeniem, jakby zaraz mieli wypluć wątpia, podczas gdy bosman i jego pomocnik grzmocili ich kijem.

– Już mamy tych psubratów!... Przysięgam Bogu! Ciągnijcie ostro, bo już ich mamy!

Cienki i długi kadłub „Mulaty” zdawał się lecieć nad pomarszczonym morzem. Byliśmy na południe od wyspy Samos, której nagie i kamieniste wybrzeże zostawało w tyle za nami po lewej burcie. Był jasny i błękitny poranek, zakłócony jedynie smugą tumanu stałego lądu, który niechybnie znajdował się po wschodniej stronie. Wszystkie pięć galer gnało na zwierzynę z rozwiniętymi żaglami i co sił w wiosłach, dwie wysunięte naprzód blisko Samos, a dwie pozostałe za naszą rufą, tworząc linię stopniowo zacieśniającą się, kiedy zbliżaliśmy się do tureckiej galery i korabia, które rozpaczliwie starały się umknąć przez cieśninę pomiędzy wyspą i stałym lądem albo osiąść na jakiejś plaży, żeby się chronić. Ten jednak dzień należał do nas i nawet największe żółtodzioby na pokładzie zdawały sobie sprawę z sytuacji. Mistral nie wiał dość silnie, aby turecki korab, ciężki i mułowaty, płynął z konieczną szybkością, a eskortująca go galera mogła tylko iść u jego boku; podczas gdy nasze galery rozłożone na przestrzeni niemal mili, a i tak jeszcze daleko jedna od drugiej, w oczach zyskiwały odległość. Jęliśmy się do nich przybliżyć, kiedy niemal w jednej chwili, kaik i smuga dymu z Wyspy Pieców powiadomiły nas o wraźych żaglach. Turczyńskie szaty i wygląd okrętów początkowo zmyliły trochę świeżo przybyłych – później dowiedzieliśmy się, że wzięli nas za galery z Mityleny wysłane do ich eskorty – bo utrzymali kurs, niczego nie podejrzewając. Jednak nasz sposób wiosłowania oraz manewr pozwalający na złapanie wiatru w żagle dał im szansę ucieczki; w związku z tym Turcy

skierowali dziób na grecki wiatr w poszukiwaniu kanału albo stałego lądu, z korabiem po zawietrznej galery, snadź ta między nich a nas wpłynęła, aby ucieczkę im osłonić. Wszelako sprawa już była zakończona: maltański okręt flagowy dotarł do brzegu przy wybrzeżu Samos i wcześniej by dotarł do kanału, „Caridad Negra” swą ostrogą mierzyła w turecką galereę, a „Mulata” z „Virgen de Rosario” i „San Juan Bautista” trochę oddalonymi po naszej prawej, płynęła prosto na mahonę; która była wielka i o bardzo wysokiej rufie jak u galeonu, z trzema masztami – fokmaszt i grotmaszt z rejami i bezanmaszt z ożaglowaniem łaćńskim – a nasze pojawienie się sprawiło, że postawili wszystkie żagle.

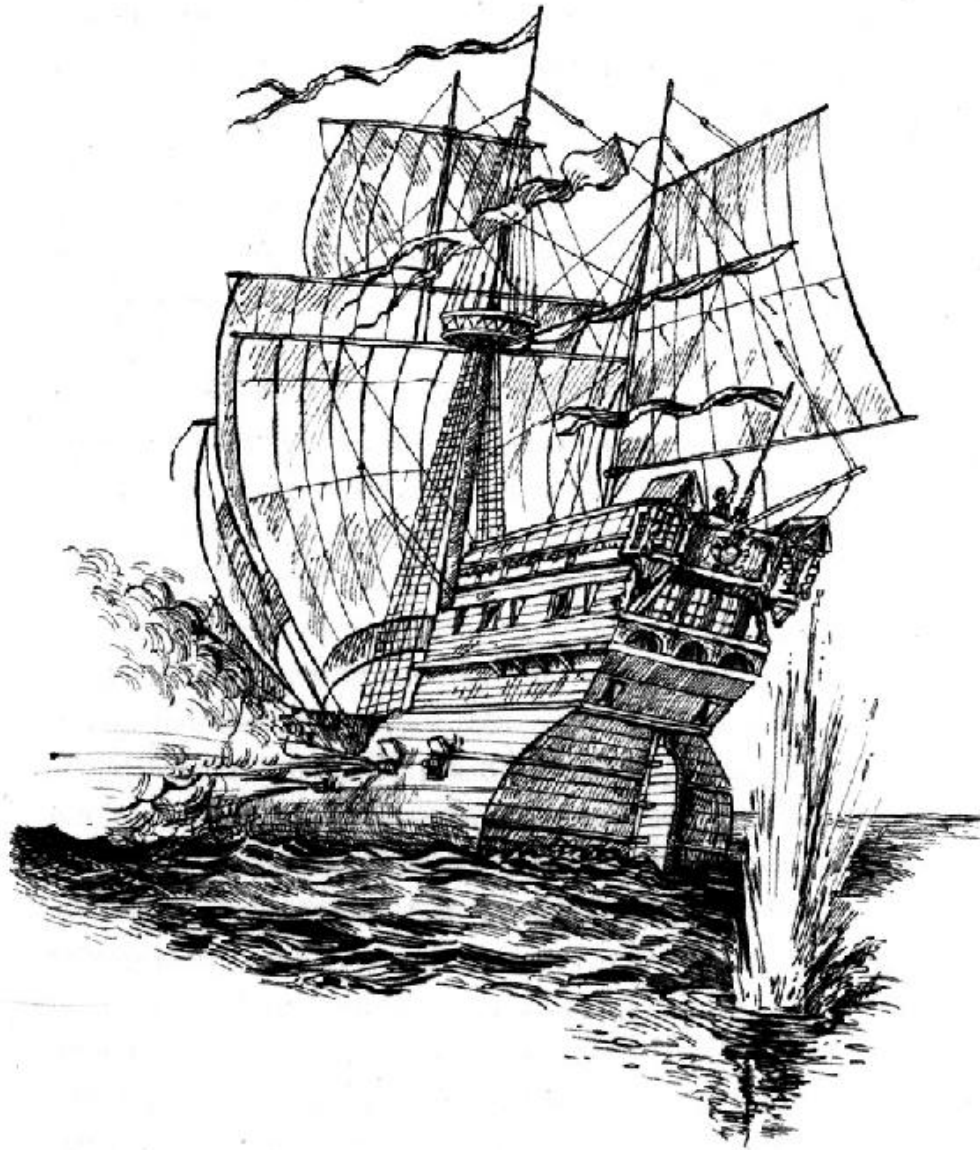
– Uzbroić się i na stanowiska! – wrzasnął chorąży Labajos –  
...Wchodzimy na niego!

Na rufie wybito rozkaz na tarabanie i róg wezwał wszystkich do ataku. Przejścia wrzały ludźmi gotowymi do walki. Szef artylerii i jego pomocnicy gotowali działa na pokładzie i proce ustawione na burtach. My, pozostali, już wyrzuciliśmy tarcze, maty, koce i plecaki, mające nas chronić przed tureckimi strzałami, i teraz ruszyliśmy w porządku do kufrów i koszy, które właśnie otworzono, aby wydać ciężką broń. Od dziobu po rufę do zgrzytu wiosłał galerników, zlanych potem i z wytrzeszczonymi oczyma, dołączył szcęk żelaza, którym żołnierze z galery i marynarze przeznaczeni do obrony i abordażu ekwipowali się do walki wręcz: napierśniki, hełmy, tarcze, rapiery, arkebuzy, muszkiety, dzidy i krótkie piki z końcówką drzewca natartą łojem, żeby wróg go nie pochwycił. Dymiły lonty broni wokół nadgarstków strzelców i artyleryjskie lonty w miskach z piaskiem. Łódź i szalupa zostały spuszczone na wodę, wleczone za rufą; kucharz wygasił pod kotłem i zdusił wszelki ogień na pokładzie, a paziowie i majtkowie polewali pokład morską wodą, aby ani bosa stopy, ani łapcie z ostnicy nie ślizgały się na deskach. A na rufie, pod tentą razem z pilotem i



sternikiem, każdy rozkaz krzykiem kapitana Urdemalasa: wiosłujcie, dziatki, wiosłujcie, dwa rumby na lewą, do kaduka, teraz trochę na prawą, wiosłujcie, cholernicy, wiosłujcie, poluzuj trochę tego szota, wybierz tamten fał, wiosłujcie, bo te psy już są nasze, wiosłujcie albo was obedrę ze skóry, łotry, na rany Chrystusa i na hostię, którą widziałem w górze – Luter by więcej nie powiedział, wszak nikt nie bluźni tak bardzo jak Hiszpan w sztormie albo bitwie – sprawiał, że zyskiwaliśmy kolejną piędź przewagi nad wrogiem. I w ten sposób nadchodziła nasza kolej.

Walka na korabiu była twarda. Pierwsi na niego uderzyliśmy, w chwili, kiedy „Caridad Negra”, trochę bliżej wyspy niż my, wbijała się ostrogą w turecką galerę, i z daleka docierała do nas palba i okrzyki Machina de Gorostiola i jego Biskajczyków rzucających się do abordażu. Tymczasem wszystkie oczy na „Mulacie” wbite były w czarne strzelnice, otwarte w burcie mahony: miała po sześć dział z każdej strony, a widząc, że nasze wejście na nią jest nieuniknione, zrobiła zwrot o trzy rumby w lewo i gruchnęła w nas salwą, która choć oddana ukosem, zabrała nam reję fokmasztu wraz z czterema marynarzami, spuszczałymi ją w tej samej chwili, i zaprawdę ich flaki nieprzystojnie zwisały z want. Następna salwa taka jak owa uczyniłaby nam wiela zniszczenia, wszak galery słabe mają ożebrowanie.



...miała po sześć dział z każdej strony, a widząc, że nasze wejście na nią jest nieuniknione, zrobiła zwrot o trzy rumby w lewo i gruchnęła w nas salwą.

Jednakże kapitan Urdemalas, mający doświadczone oko, ledwie ujrzał manewr, przewidział go, i ponieważ sternik wahał się, odsunął go na bok – gotów był przeszyć go rapierem, wszak obnażony tkwił w jego ręku – i sam skrzył ster na burtę, ruszając na rufę mahony; która, jak już mówiłem, była wysoka jak u galeonu albo karaki, lecz korzystne było to, że nie miała ona dział, zaczem pozwalała na podejście bez wielkiego ryzyka. Kolejna salwa,

z drugiej burty, poszła na „Virgen de Rosario”, co wydało nam się raczej lepsze niż gorsze; wszak takie rzeczy powinny rozdzielać się na wszystkich, a Jezus Chrystus powiedział: bądźcie braćmi, ale nigdy nic nie mówił o kuzynach.

– Gotować się do abordażu! – zawył chorąży Labajos.

Znajdowaliśmy się niemal o strzał z arkebuza; i jeśli wioślarze dobrze będą wykonywać swoje zadanie, bisurmany nie będą mieli czasu na ponowne załadowanie dział. Zawiesiłem sobie na plecach małą tarczę i ze stalowym napierśnikiem, hełmem na głowie i rapierem w pochwie stanąłem przy grupie żołnierzy i marynarzy, gotujących haki do abordażu na końcu lin z węzłami. Na dziobie ściągnięto żagiel z roztrzaskanej rei, a na grotmaszcie był on zrefowany i opuszczony do połowy masztu. Strzelnice roily się od ludzi najeżonych żelazem. Druga wielka grupa, zebrana wokół pogruchotanego fokmasztu i pośrodku pokładu, czekała, aż wypali nasza artyleria dziobowa, żeby zająć ostrogę. Pomiędzy nimi udało mi się dostrzec kapitana Alatryste rozdmuchującego lont arkebuza i Sebastiana Coponsa zawiązującego sobie na głowie swą zwyczajową aragońską chustę. Ja też solidnie zacisnąłem swoją, a na nią założyłem hełm, który bardzo ciążył i niemiłosiernie parzył; jednak skoro abordaż odbywał się z dołu do góry, roztropnie było włożyć hełm, aby ustrzec się przed nadlatującymi bocianami. Sprawy miały się tak, że już przed samą mahoną mój dawny przyjaciel zoczył mnie pomiędzy ludźmi, jak i ja jego; i zanim odwrócił wzrok, zobaczyłem, że dawał głową znak stojącemu obok mnie Maurowi Gurriato, a ten mu się odkłonił. Guzik jesteście obaj mi potrzebni, szepnąłem do siebie. Lecz nie powiedziałem więcej, bo w tej samej chwili wystrzelono z dział na dziobie kulami z drutami i ogniwami łańcucha, żeby pozrywać wanty i pozbawić przeciwnika żagli, gruchnęły proce, arkebuzy i muszkiety, pokład galery zasnuł się dymem, a pośród tego dymu jęły

spadać tureckie strzały i ołowiane kule oraz kamienie, które z trzaskiem wbijały się w deski albo w ciało. Nie pozostało nic innego, jak zacisnąć zęby i poczekać, co też uczyniłem skulony i oddając się niepokojom, że trochę z tego spadającego na nas z góry gradu będzie przeznaczone mnie. Wtedy galera uderzyła w coś twardego, co wstrząsnęło nami z trzaskiem, galernicy rzucili wiosła, z krzykiem starając się ukryć pośród ławek, a spojrzawszy w górę, pośród dymu ujrzałem ponad naszymi głowami ogromną rufę korabia, który zdał mi się wielki niby zamek.

– Święty Jakubie!... Naprzód!... Naprzód!... Święty Jakubie, Hiszpania!

Ludzie wrzeszczeli jak opętani, tłocząc się na dziobie. Bo nikt oprócz galerników nie był tu pod przymusem; i wszyscy bez względu na swój stan wiedzieli, że mamy przed sobą łupy z tych, co to mogą wzbogacić wszystkich. W końcu rzucono kotwice, reja grotmasztu także wsparła się o wraźą burtę, aby można było przeleźć po niej, przybliżyła się odrobinę galera naszą prawą burtą, i przeskoczyli wszyscy, wspinając się po odbijaczach mahony jak po prostych drabinach, i ja także skoczyłem, i to jako jeden z pierwszych; przecież Lope Balboa, żołnierz Pana Naszego Króla Jegomości, z wielkim honorem poległy we Flandrii, nie powstydziliby się tego dnia swojego syna, widząc, jak wspinam się w górę niebywale wysokiej tureckiej mahony z chłopcą zręcznością swoich siedemnastu lat, aż do tego miejsca, gdzie nie masz innego przyjaciela niż szpic własnego rapiera, i gdzie życie i śmierć zależą od przypadku, Boga albo diabła.

\* \* \*

Bitwa była zacięta, jak mówię, i trwała ponad pół godziny. Na pokładzie było jakichś pięćdziesięciu janczarów, którzy bronili się bardzo godnie, jak to mają we zwyczaju, i ubili naszych niemało, niemal wszyscy skupieni w

walce na dziobie; wszak było to wojsko z urodzenia chrześcijańskie, przejęte w ich dzieciństwie w charakterze haraczu i następnie wychowane w islamie i ślepej wierności Wielkiemu Turkowi, mające za punkt honoru nie poddać się nigdy, dopóki nie posieczą go na kawałki, a wierność i zaciekłość u nich jest absolutnie niebywała. Trzeba ich było kilka razy potraktować arkebuzami z bardzo bliska – zrobiono to z radością, wszak oni zrobili nam to samo z burt, strzelnic i drabinek, kiedy wspinaliśmy się w górę – a następnie natrzeć na nich twardo z tarczą i rapierem, żeby zadać im bobu i odebrać grotmaszt, o który walczyli niczym wściekłe psy. Ja stawałem krzepko, nie dając się ponieść bitewnemu ferworowi, zasłaniając się tarczą i kłując rapierem na wprost, dokładnie się wszystkiemu przyglądając, tak jak nauczył mnie kapitan, robiąc krok do przodu, kiedy wiedziałem, że mogę go zrobić, i nigdy nie ustępując pola, nawet wtedy, gdy salwa rzuciła mi na szyję mózg kaprała Conesa. Miałem obok siebie Maura Gurriato, siekącego niczym kosą, a i reszta towarzyszy nie pozostawała w tyle. I w ten sposób, krok za krokiem, sztych za sztychem, zaczęliśmy przyciskać janczarów, spychając ich do fokmasztu i na sam dziób – *Sentabajo, cane!*, wołaliśmy w *lingua franca*, żeby się poddali – gdzie rzucili się na nich z rapierami ludzie z „Virgen del Rosario” i „San Juan Bautista”, wdzierający się od tej strony: Hiszpanie wzywający świętego Jakuba, a ci z Malty świętego Jana, jak to mieli we zwyczaju. Gdy zebraliśmy się wszyscy z trzech galer, sprawa zdawała się przesądzona. Ostatni janczarzy, niemal wszyscy ranieni i wyczerpani, krzyczący do nas cudowności takie jak *guidi imansiz*, co w turczyńskim narzeczu oznacza niewierni rogacze, albo *bir mum* – synowie wielkiej kurwy nad kurwami – zmienili retorykę na *efendi* i *sagdic*, co oznacza panowie i władcy, i prosili, byśmy im darowali życie *Alá'iche*: na miłość boską. I kiedy w końcu rzucili

broń, znakomita część naszego wojska już przeszukiwała każdy zakątek mahony i przerzucała tobołki łupów na pokłady naszych okrętów.

Na Boga, udany to był dzień. Przez chwilę było przyzwolenie na grabież, żeby podzielić łupy, i skorzystaliśmy z niego lepiej niż kiedykolwiek, wszak mahona miała ponad siedemset ton ładowności i przewoziła wszelkiego rodzaju towary, korzenie, jedwabie, adamaszek, bele drogocennych tkanin, dywany tureckie i perskie, wiele cennych kamieni, pereł, przedmiotów srebrnych i pięćdziesiąt tysięcy cekinów w złocie, ponadto wiele beczek araku, będącego tureckim napitkiem, którym wszyscy nasi ludzie szybko sobie powinszowali. Ja sam, bardziej roześmiany niż Demokryt, dobrze się obłowilem, nie czekając na ogólny podział, a przysięgam na mą głowę, że zasłużyłem sobie jak mało kto, bo należałem do tych, którzy sporo krwi napsuli Turkom, i byłem pierwszym, który wbił sztylet w grotmaszt, bo to przydawało honoru i dawało większy udział w łupach. Dość powiedzieć, że z siedemnastu Hiszpanów poległych przy zdobywaniu mahony niemal połowa padła u mego boku, że mój hełm i napierśnik pognieciono, i że trzeba było oblać mnie wiadrem wody, aby zmyć krew, szczęśliwie nie moją. Później dowiedziałem się, że gdy kapitan Alariste zapytał Maura Gurriato, jak szły sprawy po mojej stronie – on i Copons walczyli na rufie, najpierw strzelając z arkebuzów, a potem bijąc się na topory i rapiery, rozbijając wrota i pawęże, za którymi zabarykadowali się tureccy oficerowie, jako i kilku janczarów – ten streścił sprawę bardzo wdzięcznie, mówiąc, że kosztowałoby go wiele wysiłku utrzymanie mnie przy życiu, gdybym ja nie zabił wszystkich, którzy chcieli mu w tym przeszkodzić.

\* \* \*

Co do zabijania, nie oszczędzali się też ci z „Caridad Negra” i „Cruz de Rodas”. Gdy przystąpił, najpierw jeden, a potem drugi statek do abordażu tureckiej galery, bitwa była prosta i bezlitosna, atoli zdarzyło się, że gdy „Caridad Negra” wbiła swoją ostrogę we wrażą burtę, zrywając im całe poszycie z tej strony, zabito sierżanta Zugastieta, jowialnego Baska, doskonałego mąciwodę, a jeszcze lepszego pijaka, bardzo cenionego przez wojsko na pokładzie tej galery, które, jak już wcześniej powiedziałem, całe pochodziło z jednej okolicy. A ponieważ Baskowie – jak to mówi taki jeden z Guipuzcoy – czasem mogą skąpić racji, ale zawsze szczerze otwierają sakiewkę i chwytają za rapier, co do jednego skoczyli na turecką galere, wrzeszcząc *Koartelik ez!*, a także *Akatu gustiak!* I tego rodzaju rzeczy, co w naszym języku oznacza, że nie ma litości nawet dla kota dowódcy. Zatem zapłacił gardłem nawet najpodlejszy z majtków, bez baczenia na to, czy się poddawał, czy nie. Jedynymi żywymi na pokładzie zostali niepolegli w bitwie galernicy, z których uwolniono dziewięćdziesięciu sześciu chrześcijan, połowa z nich to Hiszpanie, z radością, którą można sobie wyobrazić. Pośród nich znalazł się jeden z Trujillo, będący w niewoli od dwudziestu dwóch lat, od pojmania w roku piątym tego wieku, kiedy zdobyto Mahometę, i cudownie udało mu się zachować życie, choć tak wiele czasu spędził przy wiosle. Trzeba było widzieć, jak szłochał ten nieszczęśnik, wszystkich obejmując.

Z naszej strony, na mahonie uwolniliśmy piętnastu młodych niewolników, zamkniętych w ładowni: dziewięciu mężczyzn i sześć kobiet, jeszcze panienek, najstarsze z nich miało piętnaście albo szesnaście lat. Wszyscy oni byli dobrze zbudowani, chrześcijanie pojmani przez korsarzy na wybrzeżach hiszpańskich i italskich i przeznaczeni na sprzedaż w Konstantynopolu, z przyszłością, jaką można sobie wyobrazić, skoro naród tam rozwiązyły na oba sposoby. Jednak największą zdobyczą była faworyta

baszy Cypru, która okazała się rosyjską renegatką o jakichś trzydziestu latach i błękitnych oczach, wysoka i obfita we wszystko, piękniejszej nigdy nie widziałem; przy drzwiach jej kajuty, gdzie została umieszczona wraz z kapelanem Nistalem i eskortą czterech ludzi przez Agustina Pimentela, pod karą śmierci za jej obrazę, staliśmy w kolejce, żeby ją podziwiać, wszak była ubrana w bogate szaty, towarzyszyły jej dwie chorwackie niewolnice o przyjemnych obliczach, i było niespotykane, że kobieta tego rodzaju znalazła się pośród tak grubiańskich ludzi, zanim jeszcze wyschła krew porozlewana wszędzie dookoła. Nawet nie tknęliśmy łupów należących do tej kobiety, bo w dwa dni potem została wysłana do Neapolu na korabiu wraz z uwolnionymi niewolnikami i „Virgen de Rosario” w charakterze eskorty – galera turecka, rozpruta przy abordażu, w końcu poszła na dno – i tam została wykupiona za trzysta tysięcy cekinów, z których nie zobaczyliśmy nawet blasku, choć dzięki naszym wysiłkom i niebezpieczeństwom zdobyliśmy ją ostrzami naszych rapierów.

Później dowiedzieliśmy się, że basza, gdy go poinformowano o zdobyczy, dostał ataku szału i poprzysiągł zemstę. Za wszystko to zapłacił nasz biedny pilot Braco półtora roku później, kiedy pochwycony na pokładzie okrętu na ławicy Limo, został rozpoznany jako jeden z będących przy zdobywaniu cypryjskiej mahony. Turcy żywcem darli z niego pasy, szanując swój czas, a potem nadziali jego skórę słomą i powiesili na bocianim gnieździe jednej z galer, i wozili tak od wyspy do wyspy.

Takie jest Śródziemnomorze, na którego ciasnych wybrzeżach wszyscy się znają i mają ze sobą rachunki do wyrównania, i takie są zmienne koleje losu korsarza i wojny: gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą. Sprawy miały się tak, że tamtego dnia, w pobliżu Wyspy Pieców, porąbanych zostało stu pięćdziesięciu Turków, jeden w tę czy we w tę, bez różnicy, wrzuconych do morza; liczba ta obejmuje także ich rannych, którzy utopili się co do



jednego. Potem nadzorcy na galerach przykuli do wiosł pół setki tych, którzy zachowali zdrowie, mimo protestu Basków z „Caridad Negra”, chcących pomścić druha i poderżnąć także i tych; a po jakimś czasie tak byli podburzeni, że nawet swojego dowódcy nie słuchali i mość Agustín Pimentel musiał pozwolić uciąć uszy i nosy wszystkim renegatom, którzy znaleźli się pośród pojmanych Turków, a było ich pięciu czy sześciu. Co do osobistego łupu, okazał się dobry, jak już mówiłem; i kiedy przyszedł rozkaz przerwania grabienia statku, miałem kieszenie pełne złotych bransoletek, pięć dobrych sznurów pereł i garść cekinów tureckich, weneckich i węgierskich. Nie opiszę, z jaką radością się na nie rzucaliśmy: trzeba było widzieć tych poważnych mężczyzn, brodatych żołnierzy, przyodzianych w skórę i żelazo, cieszących się jak dzieci z pełnych mieszkań; wszak dla tego właśnie zostawialiśmy my, Hiszpanie, nasze bezpieczne ziemie, dom i rodzinę, gotowi cierpieć nieszczęścia i niedole, niebezpieczeństwa, niepogody, furię morza i wojenne zniszczenia. Wszak, jak słusznie napisał jeszcze w poprzednim wieku Bartolomé de Torres Naharro:

*My wojacy nie kwitniemy, chyba że w wojennej pracy.  
Słusznie jej wypatrujemy, jako lata biedacy.*

Lepiej martwi lub bogaci, taka była idea – skorośmy szlachta – niż biedni i żałośni, zginający karki przed biskupem albo kolejnym markizem. Idea to broniona przez dzieło i dzieła samego żołnierskiego weterana Cervantesa ustami don Kichota, który przedkładał honor szpady nad sławę pióra. Bo o ile dobra jest bieda, gdyż bronił jej Chrystus, jak uważam, niech cieszą się nią ci, którzy ją sławią. Patrząc krzywym okiem na to, że żołnierz obłowi się złotem, które opłaca swoją krwią, czy to w Tenochtitlan czy to

pod nosem Wielkiego Turka, jak to robiliśmy my, może tylko człek nieznający ciężkiej żołnierskiej niedoli i niewidzący z jakim cierpieniem zdobywa on w bitwach swoje łupy, wystawiając się na kule, okaleczenie ciała, połykając żelazo i ogień z żądzы zdobywania reputacji, wiktu albo obu tych rzeczy na raz, co na jedno wychodzi:

*Nie masz tu w łożu umierania, w krochmalach i o mleku, bulionów ni syropów łykania.*

*Tu ginie się od siekania bebeczów I od kul, od piersi rozrywania.*

Dlatego człek sarkający na łup albo zapłatę żołnierzowi zapomina, że nagroda i sława pchają ludzkie sprawy i że w ich poszukiwaniu żeglują marynarze, oracze orzą, mnisi modlą się i żołnierze walczą. Lecz sława, choć zdobywa się ją w niebezpieczeństwach i okupuje ranami, nigdy nie trwa długo, o ile nie przychodzi z nagrodą, która ją podtrzymuje; wszak piękne kształty bohatera pokrytego ranami na polu bitwy stają się potem żalną ruiną, gdy wszyscy z przerażeniem odwrócą od niego wzrok, widząc jego kalectwo, kiedy żebrze pod drzwiami kościoła. Ponadto w dawaniu nagród Hiszpania zawsze była zapominalska. Jeśli chcesz jeść, mawiają człekowi tutaj, natrzyj na ten zamek. Jeśli chcesz zapłaty, zdobądź tę galerę. I niech Bóg ma cię w opiece i wspomaga. Później z bezpiecznego miejsca przyglądają się, jak walczysz, oklaskują twoje czyny, wszak oklaski nic nie kosztują, i śpieszą się czerpać z tego korzyści – łup ten zowią bardziej wyszukanyimi słowami niż my – spowici miłymi kolorami sztandaru podartego kulami, które poraniły ci ciało. Zaiste w naszej nieszczęsnej ojczyźnie niewielu generałów i jeszcze mniej królów było takich jak generał Mariusz<sup>88</sup>, który podziękował za pomoc barbarzyńskim najemnikom w wojnie galijskiej, czyniąc ich obywatelami Rzymu wbrew

lokalnemu prawu. A strofowany za to, odparł: „Przy zgiełku wojny nie słyszę wołania praw”. Żeby nie mówić już o samym Chrystusie, który wysławił, a przede wszystkim nakarmił, swych dwunastu żołnierzy.





## X. WROTA ESCANDERLU.



owiedziałem w poprzednim rozdziale, że gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą, i to bardzo słuszne stwierdzenie. Równie słuszne jest też to, co mówił Maur Gurriato, mianowicie, że Bóg oślepia tych, których chce zgubić. I że zanim wejdzie się do wioski, trzeba odwiedzić jej szubienicę, dodam ze swej strony. Gdyż w pięć dni po zdobyciu wielkiej mahony wpadliśmy w pułapkę. Choć może lepiej będzie powiedzieć, że sami w tę pułapkę się wepchnęliśmy, nazbyt mocno nadwerężając swoje szczęście. Chodzi o to, że podbechtany dobrą zdobyczą, zdecydował mość Agustín Pimentel pójść dalej na północ, przeczesując stały ląd, aby złupić Foyavequia, niewielkie otomańskie miasteczko w Anatolii, w zatoce zwanej Escanderlu. Zatem, zrzucając na oczy siedem stóp tureckiej ziemi każdemu z naszych poległych na Wyspie Pieców – ostali tam sierżant Zugastieta, kapral Conesa i inni dobrzy towarzysze – popłynęliśmy przeciw tramontanie, aż minęliśmy kanał i stocznię Chios, a stamtąd, na wschód od Czarnego Przylądka i podejścia do Izmiru, weszliśmy do rzeczonyj zatoki, gdzie trzymaliśmy się w dryfie z daleka od brzegu, w oczekiwaniu na zapadnięcie zmroku. Czyniliśmy to z pewnością siebie, mimo niepomyślnych znaków, które napępniały nas obawami; a konkretnie tego, że po wysłaniu przodem na rozpoznanie i

pochwycenie języka „San Juana Bautiste” z Malty, nigdy nie dowiedzieliśmy się, co się z nim stało; i do dnia dzisiejszego nikt go więcej nie zobaczył ani niczego się o nim nie dowiedział, czy to poszedł na dno, czy został pojmany, czy ktoś przeżył, czy nie, wszak nawet Turcy nigdy niczego nie powiedzieli. Jak tyle tajemnic śpiących na dnie morza, ze swymi trzystu czterdziestoma ludźmi na pokładzie, żołnierzami, marynarzami i wioślarzami, ową galerę pochłonęło morze i historia.

Dobra jest jednak strata, gdy zdarza się bez kompanii. Mimo że „San Juan Bautista” nie przyłączył się do nas, jak to było przewidziane, Agustín Pimentel stwierdził, że na pewno się spóźni i że trzy galery to wystarczająca siła na tę wycieczkę, wszak Foyavequia była niewielką twierdzą i już wcześniej została złupiona przez ludzi z Malty w roku szesnastym. W końcu zapadł zmierzch bez żadnych nowości, napełniliśmy żołądki zimnym namoczonym bobem – nie mogliśmy rozpalić ognia – garścią oliwek i jedną cebulą na czterech, i gdy zapadał zmrok, ponieważ morze było spokojne, niebo zasnute i absolutna flauta, jęliśmy wiosłować, zbliżając się do lądu ze zgaszonymi latarniami. Noc była ciemna i znajdowaliśmy się o milę od miasta, wszystkie trzy galery bardzo blisko siebie, kiedy jednemu z majtków na bocianim gnieździe wydało się, że coś dostrzegł za naszymi plecami, od strony otwartego morza: cienie korabiów i żagli, powiedział, choć nie był pewien, wszak żadne światło ich nie zdradzało. Przerwaliśmy wiosłowanie, galery zbliżyły się do siebie i odbyła się narada na głos wokół okrętu flagowego. Ustalono, że cienie były niskimi chmurami oświetlonymi zachodzącym słońcem albo jakimś korabiem idącym daleko na pełnym morzu; mogło też jednak chodzić o jeden lub kilka wraźych okrętów; w tym przypadku zamykanie nam przez nie drogi na otwarte morze było niezwykle ważne, nie mówiąc już o możliwości, że nasze galery mogły zostać zaatakowane na kotwicach przed

plażą i z ludźmi przy robocie na lądzie. Dlatego nasz generał, bardzo wzburzony, przeznaczył swoją łódź na rozpoznanie tego, podczas gdy my czekaliśmy z oczywistym niepokojem. Zwiad powrócił około początku wieczornej wachty, wskazując, że było pięć albo więcej cieniów, najwyraźniej galer, i że nie odważyli się bardziej podpłynąć, aby ich nie odkryto i nie pojmano. Po takiej wiadomości, która spadła na nas niczym grom z jasnego nieba, mość Agustín Pimentel postanowił nie ruszać dalej. Mogli to być Turcy z Chios albo Mityleny, kupcy żeglujący konwojem albo może korsarska flotylla, zdążająca na zachód. Obszernie przedyskutowano każdą możliwość, nawet tę wymknienia się w ciemności; lecz mało prawdopodobne było dokonanie tego po kryjomu, i niebezpieczne, skoro nie wiedzieliśmy, z kim mamy do czynienia. Zatem, dochowując zakazu nierozpalania ognia na pokładzie, podwoiwszy strażę, aby zapobiec nocnemu atakowi, odpoczywaliśmy na zmianę, czujni przed bojem. I w ten sposób czekaliśmy z bronią, z jednym otwartym okiem i niepokojem w sercach, aż światło dnia rozjaśni nasze przeznaczenie.

\* \* \*

– Warzą nam polewkę, panowie – podsumował kapitan Urdemalas.

Właśnie wszedł z szalupy na galerę po drabince z prawej strony rufy, po naradzie pod toldą na „Caridad Negra”. Wszystkie trzy galery stały blisko siebie, dziobami ku otwartemu morzu, z nieruchomymi wiosłami w wodzie o ołowianej barwie. Niebo było zasnucone i w dalszym ciągu nie wiała nawet najbliższa bryza.

– Nie wywiniemy się; tej nocy zjemy kolację z Chrystusem albo w Konstantynopolu.



Wszystkie trzy galery stały blisko siebie, dziobami ku otwartemu morzu, z nieruchomymi wiosłami w wodzie o ołowianej barwie.

Diego Alatryste zwrócił się w kierunku tureckich galer, studiując je po raz któryś od chwili, kiedy brzask zaczął rysować ich kształty na ciemnym horyzoncie, który z daleka groził sztormem. Było siedem zwykłych, jednomasztowych, i jedna wielka, trzymasztowa, chyba flagowa. Na

pokładzie pewnie mieli ponad tysiąc żołnierzy, nie licząc galerników. Dwadzieścia cztery działa na ośmiu dziobach, nie licząc falkonetów i mniejszych dział na burtach. Nie można było stwierdzić, czy znaleźli nas, bo nas szukali, czy też traf chciał, że przechodzili po tych wodach w odpowiedniej chwili. Pewne jest, że znajdowali się o mniej niż milę, ustawieni w szyku bitewnym, bardzo sprytnie blokując drogę ucieczki na otwarte morze trzem chrześcijańskim galerom, odczekawszy całą noc, pewni, że zwierzyna jest uwięziona w worku zatoki. Ktokolwiek był tam dowódcą, znał się na rzeczy.

– Maltańczycy pójdą pierwsi – powiadomił Urdemalas. – Żąda tego Muntaner, bo mówi, że według ślubów Religii są do tego zobowiązani.

– Lepiej oni niż my – powiedział bosman z ulgą.

– To bez różnicy. Każdy dostanie swoją porcję zabawy.

Oficerowie i kaprale z „Mulaty” popatrzyli po sobie. Nikt nie miał potrzeby wypowiedzania swoich myśli, wszak można je było odczytać z ich twarzy. Kapitan na morzu i lądzie potwierdzał tylko to, co Diego Alatryste i pozostali wiedzieli aż nadto dobrze: co najmniej po dwie wraże galery na każdą chrześcijańską, bez możliwości przybicia do brzegu i uratowania się tam, bo ziemia należała do Turków. Nie zostawało nic innego, jak rzucić na szalę życie i wolność: martwi albo niewolnicy, z braku cudu. A chciano wymusić ten ostatni.

– Trzeba będzie wiosłować przez cały czas – mówił dalej Urdemalas – chyba że te czarne chmury na zachodzie przyniosą nam wiatr, wtedy nasze szanse wzrosną... Ale na to nie ma co liczyć.

– Jaki jest plan? – chciał wiedzieć porucznik Labajos.

– Nazbyt prosty, ale innego nie ma: pierwsza pójdzie galera Religii, „Caridad Negra” za nią, a my w ogonie.

– Niedobrze jest iść na końcu – zauważył Labajos.



– Na jedno wychodzi. Nie sędzę, żeby komukolwiek udało się przejść, bo gdy tylko zobaczą, że się ruszamy, te psy zamkną nam drogę. Jakkolwiek by było, Muntaner postara się utworzyć wyłom, zostawiając przejście, żebyśmy spróbowali szczęścia... Zrobimy zwód, idąc na środek wroga, a później spróbujemy zrobić zwrot i wyjść po ich lewej flance, słabszej, bo tam zostawili więcej miejsca i wydają się mniej pewni.

– Wzajemna pomoc? – chciał wiedzieć sierżant Zgorzały.

Kapitan „Mulaty” pokręcił głową, a zrobiwszy to, uniósł rękę do twarzy, przeklinając w żywe kamienie, bo zęby dalej go dręczyły, a bardziej jeszcze po wielu nieprzespanych godzinach. Diego Alatryste rozumiał jego stan ducha. Dla Urdemalasa, jak i dla wszystkich pozostałych, ta noc była zbyt długa, ale dobra w porównaniu z tą, jaka mogła być nadchodząca: na dnie morza albo bijąc wiosłami sardynki po grzbietach na tureckim korabiu. Niebawem zęby kapitana staną się najmniejszym zmartwieniem.

– Żadnej pomocy nikomu – powiedział. – Każdy odpowiada za siebie, i chuj z ostatnim.

– My jesteśmy ostatni – zauważył przytomnie sierżant Zgorzały.

Urdemalas spiorunował go wzrokiem.

– To tylko takie porzekadło, do czorta. Jak nie będziemy sobie wzajemnie pomagać i przyciśniemy wiosła, istnieje możliwość, że któryś z nas ucieknie.

– To skazuje galerę Religii – zauważył chłodno chorąży Labajos. – Jeśli nawiążą walkę jako pierwsi, Turcy się na nich rzucą.

Urdemalas skrzywił się z niesmakiem. Między bywałymi wojakami, mówił grymas, to nie jest jego sprawa.

– Po to mówią, że są rycerzami i składają swoje śluby, a kiedy umierają, idą do nieba... My, dla których nie jest to takie oczywiste, powinniśmy trochę bardziej uważać.

– To Ewangelia, mości kapitanie – zgodził się Zgorzały. – Kiedyś zobaczyłem na flamandzkim płótnie dobrze wymalowane piekło i przysięgam na Boga, że nieśpieszno mi podnieść kotwicę.

To zwyczajowy ton, zauważył Alatryste, jakiego od nich oczekiwano. Wszystko toczyło się w zgodzie z rozkazami, nawet ten spokojny, lekki wygląd, pod samym nosem diabła. Obawy chowano w sobie, każdy dla siebie. Osiem wieków wojen z Maurami i sto pięćdziesiąt lat trzęsienia całym światem oczyściło język i maniery: hiszpański żołnierz, choćby nie wiem jak źle mu się wiodło, nie pozwalał się zabijać byle jak, lecz w porządku, którego wymagali od niego przyjaciele i wrogowie. Mężczyźni zebrani pod toldą „Mulaty” wiedzieli o tym, a także pozostali. Było to wliczone w żołd, choćby się go nie pobierało. Z takimi myślami Alatryste rzucił okiem na wojsko. Każdy z nich wolałby znaleźć się z gorączką w łożu niż zdrowy w tym miejscu: zebrani na ławkach, na burtach i na pokładzie, żołnierze i marynarze, spoglądali na swych dowódców ze śmiertelną powagą, świadomi, że rapiery i waleczność rozwiążą tę partię. Jednakże pomiędzy galernikami pospołu dał się wyczuć niepokój tchórzów i radość tych, którzy już widzieli swoją wolność; wszak dla przykutego do wioseł niewolnika wrogiej religii, każdy zoczony na horyzoncie żagiel zawsze wzbudzał nadzieję.

– Jak rozstawimy ludzi? – zagadnął Labajos.

Kapitan galery uczynił gest piłowania dłoni krawędzią drugiej.

– Dla przecięcia linii i odparcia możliwego abordażu... A jeśli przejdziemy, chcę oba falkonety na rufie. Pościg może być długi.

– Wydamy żywność, na wszelki wypadek?

– Tak, ale bez rozpalania ognia. Surowy czosnek i wino, które są zarem dla żołądka.

– Galernicy potrzebują odświeżenia – zasugerował bosman.

Urdemalas oparł się o reling pod latarnią. Miał podbite oczy, wyglądał na zmęczonego, był brudny i skórę miał przetłuszczoną. Ból zębów i niepewność zmieniały mu ogorzałą twarz. Alatryste nie zadał sobie pytania, czy wygląda tak samo. Nawet nie mając chorych zębów, doskonale wiedział, że tak.

– Sprawdźcie okowy wszystkich galerników, z kajdankami dla Turków i Maurów. Później dajcie im trochę araku, który zdobyliśmy na mahonie: miarę na ławkę. To dzisiaj będzie najlepszy bicz. Ale bez łagodności. Przy najmniejszym przejawie lenistwa ściąć głowę, nawet jeśli to ja będę musiał zapłacić królowi... Czy wyraziłem się jasno, mości bosmanie?

– Bardzo jasno. Powiem to sędziemu.

– Jeśli galernikowi daje się pić – zauważył sierżant Zgorzały – to dlatego że ma przejebane albo będzie miał przejebane.

Wbrew zwyczajowi nikt nie przyłączył się do żartu. Urdemalas spojrzął na sierżanta wzrokiem człowieka, który nie ma ochoty na zabawę.

– Dla marynarzy i żołnierzy – powiedział oschle – oprócz czosnku i wina jeszcze jeden łyk araku. Później niech mają pod ręką zwykłe wino, bardzo rozwodnione – w tej chwili zwrócił się do niemieckiego artylerzysty. – Co się tyczy waszmości, panie bombardierze, będziecie strzelać kartaczami, z bliska i na mój rozkaz... Co do reszty, mość porucznik Labajos będzie na dziobie, mość sierżant Zgorzały na prawej burcie, a mość Alatryste na lewej.

– Trzeba będzie jak najbardziej chronić galerników – powiedział Alatryste.

Urdemalas popatrzył na niego przeciągle, posepnie, dłużej niż to było konieczne.

– Macie słuszność – powiedział w końcu. – Powieście na burtach wszystko, co jest na pokładzie, w tym żagle. Jeśli zabiją nam wielu

wioślarzy, będziemy zgubieni... Pilocie, dobrze ukryjcie w ładowni igłę i wszystkie instrumenty... Chcę mieć przy sobie dwóch najlepszych sterników, pilota i ośmiu dobrych strzelców z muszkietami... Jakieś pytanie?

– Żadnego – podsumował Labajos po chwili milczenia.

– Oczywiście, niech nikomu nawet do głowy nie przyjdzie przeprowadzać jakikolwiek abordaż: tylko kartacze, proce, palby. Naprzód i w imię Boże. Jeśli się zatrzymamy, to koniec. A jeśli przejdziemy, wiosłować jak szaleni.

Pojawiło się kilka nerwowych uśmiechów.

– Oby Bóg tak chciał – wymamrotał ktoś.

Kapitan galery wzruszył ramionami: – Jeśli nie będzie chciał, niech przynajmniej wie, gdzie nas znaleźć w dzień Sądu.

– I niech się nie pomyli, łącząc kawałki – dorzucił sierżant Zgorzały.

– Amen – wyszeptał bosman, żegnając się.

I, spojrzawszy na siebie wzajemnie kątem oka, wszyscy na niego popatrzyli. Nawet Alatryste.

\* \* \*

Łże jak pies niewierny ten, kto twierdzi, że nigdy nie zaznał strachu, wszak każda rzecz ma swój dzień. I tamtego poranka, naprzeciw ośmiu tureckich galer, zamykających nam wyjście na pełne morze, w chwilach poprzedzających starcie, o którym dzisiaj czytamy w relacjach i annałach jako o bitwie morskiej w zatoce Escanderlu albo u Czarnego Przylądka, mogłem rozpoznać uczucie, znajome z przeszłości, ściskające mi żołądek do granic mdłości i powodujące mrowienie w pachwinach. Ja od pierwszych swoich przygód wyrosłem u boku kapitana Alatryste, i dwa lata,

jakie upłynęły od młyna Ruijter, okopów Bredy i koszar Terheijden, mimo niemałej buty i zadufania bezczelnej młodości, wbijały mi do głowy rozumu i pewności zagrożenia. To, co miało się właśnie wydarzyć, nie było przygodą, której stawiałem czoło z lekkością gołowąsa, lecz zdarzeniem poważnym, o niepewnym wyniku, mogącym doprowadzić do spotkania z Kostuchą – nie najgorszy to finał, w gruncie rzeczy – lecz także niewolę albo okaleczenie. Dojrzałem już wystarczająco, żeby zrozumieć, że za kilka godzin mogę siedzieć przykuty na całe życie do wiosła tureckiej galery – biednego żołnierzyka z Oñate nikt nie wykupiłby z Konstantynopola – albo ścisnąć zębami kawał skóry, gdy będą mi amputować rękę lub nogę. To strach przed okaleczeniem najbardziej zadręczał mi myśli, wszak nie ma nic gorszego, jak ujrzeć siebie pokiereszowanego, bez jednego oka albo z drewnianą nogą, zniekształconego i połamanego, skazanego na cudzą łaskę, na jałmużnę i nędzę; a szczególnie gdy człek jest w pełni sił i wigoru młodości. Między wieloma innymi rzeczami, nie taki był obraz, który Angelica de Alquézar chciała znaleźć, jeśli byśmy jeszcze mieli się zobaczyć. I przyznaję, że ta ostatnia okoliczność sprawiała, że drżały mi kolana.

Takie w sumie były moje niezbyt powabne myśli, kiedy wraz z towarzyszami kończyłem osłaniać burty i dziób „Mulaty” zwiniętymi żaglami, siennikami, opończami, plecakami, linami i wszystkimi innymi przeszkodami, jakie można było przeciwstawić tureckim kulom i strzałom, które miały na nas spaść jak grad. Każdy miał w sobie swoją procesję myśli, tak jak ja; ale pewne jest, że ze wszystkich sił każdy starał się trzymać fason. Co najwyżej komuś drżały ręce, wymknęło się jakieś niekontrolowane słowo, mętne spojrzenie, szeptane modlitwy, makabryczne żarty albo nerwowy śmiech, w zależności od charakteru każdego człowieka – jak to zwykle. Wszystkie trzy galery stały niemal wiosło w wiosło,

kierując ostrogi w stronę Turków, których widać było o strzał z działa, choć nikt nie strzelał, aby to ocenić, wszak zarówno oni, jak i my wiedzieliśmy, że okazji będzie aż nadto na użycie prochu z lepszym skutkiem ze znacznie bliższej odległości – kiedy nadejdzie odpowiednia chwila, wszyscy będą chcieli wystrzelić jako pierwsi, ale najbliżej wroga, jak to będzie możliwe – podobnie do gry w oko. Cisza na wrażych galerach, tak jak na naszych, panowała absolutna. Morze dalej było spokojne jak ołowiana płyta, odbijało chmury, podczas gdy czarne smugi burzy defilowały na południe ponad wybrzeżem Anatolii, rysującym się za naszymi plecami i po obu burtach. Byliśmy już uzbrojeni i gotowi, dymiły się lonty strzelców i brakowało tylko rozkazu, by chwycić za wiosła i ruszyć na spotkanie naszego przeznaczenia. Ja zostałem przydzielony do oddziału, który wyposażony w krótkie piki i bosaki, miał odeprzeć z lewej burty wszelkie próby tureckiego abordażu, kiedy będziemy przepływać przez wraże linie. Maur Gurriato stał u mego boku – przypuszczam, że działając wedle wskazań kapitana Alatryste – tak spokojny, że zdawał się daleki od wszystkiego. Chociaż przygotowywał się do walki i śmierci tak jak wszyscy, zdawał się tam znajdować przypadkiem, świadek obojętny na swój własny los; a to wszystko mimo faktu, że skoro był Maurem, jego położenie w przypadku wpadnięcia do niewoli nie byłoby do pozazdroszczenia, bo zaraz wydałby go ktoś z galerników, a nawet sami jego towarzysze. Bo podnieta potęgująca wysiłek w walce czasem popycha do niczemności, jeśli przeżyje się klęskę; a szczególnie w niewoli, gdzie tyle twardych charakterów miękło, uciekało w odszczepieństwo albo poddawało się w zamian za wolność, życie lub nędzny kawałek chleba. Ostatecznie jesteśmy ludźmi i nie wszyscy stawiają czoło nieszczęściom z podobnym duchem.

– Razem będziemy walczyć – powiedział do mnie Maur Gurriato. – Przez cały czas.

To odrobinę mnie pocieszyło, choć aż nadto dobrze wiedziałem, że kiedy staje się u progu wiecznego życia, każdy jest sam, a nie ma większej samotności niż ta. Jednak Almogataz wypowiedział te słowa w odpowiedniej chwili i byłem mu wdzięczny za towarzyszący im przyjazny wzrok.

– Z dała od waszego kraju – zauważyłem.

Uśmiechnął się, wzruszając ramionami. Miał na sobie pludry i espadryle, na sposób hiszpański, nagi tors, nóż za pasem, tasak o trzech piędziach długości i topór do abordażu w ręku. Nigdy wcześniej nie wydał mi się tak spokojny i straszny.

– Moim krajem jesteście kapitan i wy – powiedział.

To mnie wzruszyło, ale ukryłem to, na ile mogłem, mówiąc pierwszą rzecz, która przysłała mi do głowy: – Mimo to są lepsze miejsca na śmierć.

Almogataz skłonił głowę, jakby się zastanawiał.

– Tyle jest śmierci, ilu ludzi – odparł. – Tak naprawdę nikt nie czeka na swoją, choćby w to wierzył. Tylko jej towarzyszy i przygotowuje ją.

Zamilkł na chwilę, wpatrując się w nasmołowane deski pokładu pomiędzy nogami, po czym znowu na mnie spojrzął: – Twoja śmierć podróżuje z tobą od zawsze, moja ze mną... Każdy taszczy swoją na karku.

Oczywiście odszukałem kapitana Alatryste. W końcu wypatrzyłem go w najdalej na dziób wysuniętej części pokładu, rozstawiającego arkebuzerów. Wyznaczywszy dowódcę z lewej burty, jako kaprala wskazał Sebastiana Coponsa. Wydawał mi się spokojny, chłodny jak to zwykle, miał kapelusz nasunięty na czoło i orli profil, kciuki zatknięte za pas, z którego zwisały rapier i sztylet, na górze bawoli napierśnik znaczone śladami dawnych pchnięć i cięć. Gotowy ponownie stawić czoło wszystkiemu, co los przyniesie, bez mrugnięcia okiem, fanfaronady czy niepotrzebnych gestów. Ze spokojem godnym tego, kim był albo kim starał się być. Tyle jest

śmierci, ilu ludzi, powiedział Maur Gurriato. Pozazdrościłem kapitanowi jego śmierci, kiedy przyjdzie.

Głos Almogataza ponownie słabo rozbrzmiał w moich uszach: – Może któregoś dnia pożałujesz, że się z nim nie pożegnałeś.

Odwróciłem się, stając przeciw jego intensywnemu i czarnemu spojrzeniu pomiędzy tymi długimi rzęsami, niemal kobiecymi.

– Bóg daje nam – dodał – krótkie światło pomiędzy nocami.

Przyjrzałem mu się przez chwilę; jego ogolona czaszka, srebrne koła w uszach, szpiczasta broda, krzyż wytatuowany na jednym z policzków. Patrzyłem na niego tak długo, jak długo trwał jego uśmiech. Później, ustępując przed odzewem, który jego słowa wzbudziły w moim sercu, poszedłem po pokładzie, omijając towarzyszy, którzy się na nim tłoczyli, zbliżając się do mojego dawnego pana. Podszedłem do niego i nie wyrzekłem ani słowa, bo też nie wiedziałem, co powiedzieć. Ograniczyłem się do wspierania o burzę, patrząc na tureckie galery. Myślałem o Angelice de Alquézar, o mojej matce i siostrzyczkach szyjących przy kominku we dworze. Myślałem też o sobie, świeżo przybyłym do Madrytu, siedzącym przy drzwiach tawerny Caridad Cyganichy pewnego słonecznego zimowego poranka. Myślałem o tych wielu mężczyznach, którymi kiedyś mogłem się stać, a którzy być może zostaną tu na zawsze, usieчени w tym miejscu, jako karma dla ryb, a ja nie stanę się żadnym z nich.

Wtedy poczułem rękę kapitana Alatryste, spoczywającą mi na ramieniu.

– Mój synu, nie pozwól, żeby wzięli cię żywcem.

– Przynuram – odparłem.

Miałem ochotę się rozplakać, ale nie z żalu ani strachu. Była to dziwna i spokojna melancholia. W oddali, w absolutnej ciszy morza, rozbłysła błyskawica, tak odległa, że jej grzmot do nas nie dotarł. Wtedy, jakby ten połamany zygzak był znakiem, zabrzmiał warkot tarabanu. Wspiąwszy się



na szczyt rufy „Caridad Negra”, tuż przy latarni i z krucyfiksem nad głową, brat Francisco Nistal wznosił rękę i pobłogosławił nas wszystkich; a my, ujrawszy to, padliśmy na kolana i modliliśmy się, podczas gdy docierały do nas słowa kapelana: *In nomine... et filii... Amen*. Jeszcze klęczeliśmy, kiedy wciągając na rufie okrętu flagowego królewski proporzec, na maltańskiej ośmiokątny srebrny krzyż, a na naszej białe płótno ze starym krzyżem świętego Andrzeja, każda galera wzmocniła swoją banderę proporcem.

– Do wiosła! – rozkazał bosman.

Potem, w przejmującej ciszy, zajęliśmy nasze stanowiska i jęliśmy wiosłować w stronę Turków.

\* \* \*

W oddali trwała bezgłośna burza. Blaski błyskawic łamały szary horyzont, z rozbłyskami w spokojnej ołowianej wodzie. Wiosłowanie także odbywało się w ciszy, choć spokojnej, jedynie z westchnieniami galerników i rytmicznym dzwonieniem łańcuchów o pokład. Wiosłowano powoli, oszczędzając siły na ostatni odcinek, i nawet bosman nie używał gwizdka. Szliśmy w milczeniu, z oczyma utkwionymi w tureckie galery, okryci żelazem i gotowi do walki. I w połowie odległości, kiedy zbaczaliśmy odrobinę na lewo, maltańska galera jęła wyprzedzać nas po prawej burcie. Z bardzo bliskiej odległości widzieliśmy, jak przesuwają się na czoło, muszkiety, arkebuzy i piki wychylały się zza pawęży, wiosła zanurzały się i wynurzały z wody w równym rytmie, żagle zwinięte na niskich rejach; a na rufie, gdzie zwinięto tolde, brat Fulco Muntaner, kapitan, wyprostowany i dobrze widoczny, biały napierśnik i peleryna z czerwonej tafty i krzyż, odkryta głowa, długa biała broda i rapier w garści, otoczony swymi

zaufanymi ludźmi: bratem Juanem de Mañas mówiącym w języku Aragonii i synem hrabiów Bolea, bratem Lucianem Canforą mówiącym po italsku, i kawalerem Ghislainem Barrois, mówiącym po prowansalsku. Gdy przechodzili obok nas, niemal ocierając się o nasze wiosła, kapitan Urdemalas oddał im honory, ściągając kapelusz. „Powodzenia”, zawołał. Na co stary korsarz Religii, spokojnie, jakby zdążył do portu i wskazując od niechcenia osiem tureckich galer, wzruszył ramionami, odpowiadając ze swym silnym akcentem z Majorki: „Mało wiosła”.

Kiedy „Cruz de Rodas” całkowicie nas wyprzedziła, zajmując czoło linii, za nią „Caridad Negra” w tym samym rytmie wiosła, ze sztandarem z królewskim herbem łopoczącym na rufie, jedynym wiatrem był ten wzbudzany przez popychane wiosłami galery. Tak samo zobaczyliśmy Biskajczyków wysuwających się przed nas w ataku, pozdrowiliśmy ich machaniem, wzniesionymi w górę kapeluszami i hełmami. Szli kapitan Machín de Gorostiola i jego ludzie posepni i milczący, dymiący muszkietami i arkebuzami od dziobu do rufy, a mość Agustín de Pimentel bardzo spięty i wytworny pod toldą, przyodziany w bardzo cenną mediolańską zbroję, z ręką na gałce rapiera i morionem w rękach pazia, z postawą odpowiadającą jego randze, narodowi i królowi, i Bogu, w imię którego miano nas tu posiekać na kawałki.

– Oby Najświętsza Panienska ich wspomogła – wyszeptał ktoś w pobliżu.

– Oby wspomogła nas wszystkich – powiedział inny.

Trzy galery wiosłowały już w linii, bardzo blisko siebie, ostroga jednej przy latarni drugiej, podczas gdy dalej rozpalały się bezgłośnie błyskawice nad nieruchomym i ołowianym morzem. Ja stałem na swoim stanowisku, pomiędzy Maurem Gurriato i człowiekiem odpowiedzialnym za dział, który w jednej ręce trzymał dymiący lont, a w drugiej przesuwiał paciorki różańca, jednocześnie poruszając ustami. Chciałem przełknąć ślinę, ale nie

miałem jej. Łyk araku i rozwodnione wino już jakiś czas temu wysuszyły mi gardło.

– Przyśpieszyć wiosła! – rozkazał kapitan Urdemalas.

Wypowiedzenie tego, rozbrzmienie bosmańskiego gwizdka i uderzeń pejcza na plecach odbyło się niemal w jednej chwili. Starając się ukryć napięcie moich palców, obwiązałem chustkę wokół głowy i włożyłem stalowy hełm, zapinając go pod brodą. Sprawdziłem, że z łatwością mogę zwolnić rzemienie napierśnika, w razie gdybym wpadł do morza. Espadryle z podeszwą z ostnicy były dobrze zawiązane na kostkach, miałem w rękach drzewce piki zaostzonej jak brzytwa, z górną częścią natartą łożem, a za pasem rapier i biskajski sztylet. Głęboko odetchnąłem po kilkakroć. Nie można było chcieć więcej, poza tym, że w brzuchu czułem szeroką na piędź dziurę. Rozpiąwszy pludry, choć bez wielkiej ochoty, oddałem mocz za burtę, nie bacząc na nikogo, pomiędzy rytmicznie poruszające się wiosła, i niemal wszyscy stojący obok mnie zrobili to samo w jednej chwili.

– Wszyscy do wiosła!... Teraz! Cała naprzód!

Wystrzeliło działo na dziobie i wszyscy stanęliśmy na czubkach palców, żeby lepiej widzieć. Tureckie galery, coraz bliższe i aż do tej pory nieruchome, zaczęły się przemieszczać, mrowiąc się turbanami, czerwonymi beretami, wysokimi czapkami janczarów, szarawarami, burnusami i kolorowymi dżelabami. Chmurka białego dymu wzniosła się z dziobu najbliższej. Po wybuchu ich cisza niespodzianie pękła piszczałkami i szałamajami, i z otomańskich okrętów wzniosły się trzy wielkie krzyki albo wrzaski, którymi ci ludzie zwykli zagrzewać się do rzezi. Jako odpowiedź z „Cruz de Rodas” dotarły trzy suche dźwięki kornetu, po których nastąpił warkot tarabanów i krzyki: „Święty Jan! Święty Jan!” i „Pamiętajcie o Świętym Elmie!”

– Religia atakuje – powiedział jakiś stary żołnierz.

Różaniec palb i strzał z tureckich galer: bombardy i dziobowe moyany jęły razić Maltańczyków luźnymi kulami, które dolatywały aż do nas i przelatywały nad naszymi głowami.

Wzdłuż pokładu bosman, zastępca bosmana i nadzorca biegali od dziobu do rufy, pejczami obdzierając galerników ze skóry.

– Do wiosła! – wył kapitan Urdemalas. – Wiosłować do śmierci, dzieci!

Chwilami dym wzmagął się, gdy nachodziły na siebie palby, a tureckie strzały przecinały niebo, furkocząc na wszystkie strony. Wraże korabie gnały ku czołu naszej eskadry, gdyż dowódcy ich pewni byli naszych zamiarów. Zobaczyliśmy zatem, jak „Cruz de Rodas” nieustraszenie wbija się w dym, nacierając pomiędzy dwiema najbliższymi galerami z takim zacięciem, że słychać było skrzypienie poszycia i trzaskanie wiosła. Za nim zdążał nasz okręt flagowy, odbijając nieco na lewą burzę – słyszeliśmy przed sobą, jak Machín de Gorostiola i jego Biskajczycy wzywają krzykiem „Święty Jakub! *Ekin! Ekin!* Hiszpania i Święty Jakub!” – a „Mulata” szła z tyłu, pomiędzy zgiełkiem bitewnym i wrzawą ludzi walczących o życie.

\* \* \*

Gwizdek bosmana dręczył nam uszy, w miarę jak pejczce zdzierały skórę z pleców wiosłarzy i galera frunęła ponad wodą; owóz ten przerywany szybki, gwizd, odmierzał dystans dzielący nas od śmierci lub niewoli. Jeszcze nie wierząc w nasze raptowne szczęście, spoglądaliśmy na goniące nas galery – przekroczyliśmy turecką linię, choć odległość pomiędzy nami i naszymi prześladowcami była nieznaczna. Ołowiane morze dalej było nieruchome jak tafla oliwy, a bezgłośnie błyskawice pozostawały na zachodzie – nie miał powiać żaden zbawienny wiatr. „Caridad Negra”, która przeszła przed nami, także desperacko wiosłowała przed dziobem i po

prawej burcie „Mulaty”, chcąc oddalić się od siedzących nam na ogonie pięciu tureckich galer. W tyle, jeszcze na odległość strzału z działa, nieruchomy i unieruchomiony trzema galerami, które na siebie ściągnął, maltański okręt flagowy dziko walczył, spowity dymem i płomieniami, a do nas docierały dalekie krzyki: „Święty Jan, Święty Jan!” pośród zgiełku beznadziejnej bitwy.

To był cud, choć o nieznaczącym wymiarze. Po tym, jak „Cruz de Rodas” natarła na turecką linię i w jednej chwili w niej utknęła, „Caridad Negra” wykorzystała przestrzeń pozostawioną przez manewr, aby minąć turecki szyk, nie unikając wszelako kilku salw artyleryjskich, które strzaskały jej grotmaszt i zerwały część poszycia, gdy przechodziła mimo flagowego okrętu Maltańczyków i najbliższego wrażego okrętu. To miało dla nas, przylegających do jej rufy, taką korzystną okoliczność, że kiedy przysła kolej na wystrzelenie salwy w naszym kierunku, bisurmany właśnie ładowali świeżo wystrzelone działa, zatem minęliśmy ich dręczeni jedynie strzałami i palbą z broni ręcznej. Zrobiliśmy to wiosłami prawej burty, dotykając wiosła „Cruz de Rodas”, która utknąwszy na dobre w zwarciu z tureckimi galerami, odpierała trzy abordaże jednocześnie: dwa z jednej burty i jeden od dziobu. Zbyt byliśmy zajęci, aby podziwiać ich poświęcenie – na rufie zalanej Turkami widzieliśmy, jak bark w bark walczy kapitan Muntaner i jego rycerze, drogo sprzedający swoją skórę – wszak musieliśmy całą uwagę skupić na wymknięciu się tureckiej galerze, zmierzającej ku nam z lewej. Dookoła było pandemonium wystrzałów, strzał, przelatujących i wbijających się w pawężę, maszty albo ciała, głosów i przekleństw; a kiedy nasz sternik, z kapitanem Urdemalaszem wrzeszczącym do niego rozkazy na samo ucho – wydawał się diabłem z auto w Boże Ciało – dał ster prawo na burt, żeby nie zderzyć się z „Caridad Negra”, zbaczającą z kursu, wlokącą za sobą reję swego zgruchotanego

masztu, wraza galera dosięgła nas ostrogą niemal aż do ławek na rufie. Roztrzaskane zostały trzy czy cztery wiosła pośród wrzawy tureckiej, lamentów galerników i okrzyków bojowych tych z nas, którzy gnali odeprzeć abordaż. Kontakt trwał tylko chwilę, ale wystarczył, aby grupa złorzeczących nam janczarów natarła z wielką odwagą i zuchwałością. Nasze krótkie piki, arkebuzy, muszkiety i proce zajęły się nimi, z bocianich gniazd majtkowie ciskali w nich ogniste kule i flaszki smoły, a grad kamieni zasypał ich pokład, zmuszając do ustąpienia, a my dalej pędziliśmy w swoją stronę bez większych szkód.

– Naprzód, dzieci! – wył kapitan Urdemalas. – Prawie nam się udało! Naprzód!

Nasz kapitan na lądzie i morzu grzeszył optymizmem; ale wzięwszy pod uwagę okoliczności, taki miał obowiązek z racji stanowiska: zachęcić galerników, którzy chłostani do żywego mięsa, wyrzucali z siebie ostatnie tchnienie na wiosła.

– Nadzorca!... Jeszcze jeden łyk araku dla wszystkich!... Wiosłujcie! Wiosłujcie! Wiosłujcie, do kaduka!

Nawet mocna turecka wódka nie mogła działać cudów. Galernicy, oszalali z wysiłku, torturowani smagnięciami pejcza, zostawiającymi na ich plecach krwisty pot, siniaki i juchę, byli na krawędzi wytrzymałości. Galera leciała w powietrzu, jak już mówiłem, ale to samo czyniło pięć galer tureckich, siedzących nam na ogonie, których działa od czasu do czasu wysyłały kulę, uderzającą w nas z trzaskiem rozrywanych desek i krzyków bólu albo przechodzącą mimo, rozdzierającą powietrze jakoby płótno, aby spaść w morze, wzbijając w górę kolumny piany przed naszym dziobem.

– „Caridad” zostaje w tyle!

Stłoczyliśmy się na prawej burcie, żeby zobaczyć, co się dzieje, i smutny lament przebiegł przez okręt. Sponiewierany przejściem przez turecką linię,

z wieloma połamanymi wiosłami i zbyt wieloma martwymi wioślarzami, ranionymi albo wyczerpanymi, okręt flagowy tracił rytm wiosła, podczas gdy my stopniowo go wyprzedzaliśmy. W krótkim czasie zamiast znajdować się o strzał pistoletu przed nami, znalazł się niemal na naszym trawersie. Widzieliśmy na rufie don Augustina Pimentela, Machina de Gorostiola i pozostałych oficerów, patrzących z rozpaczą do tyłu, na tureckie galery, zbliżające się za każdym pociągnięciem wiosła. Wiosła „Caridad Negra” nierówno wchodziły i wychodziły z wody, czasem zahaczając o siebie wzajemnie, a wiele z nich było nieruchomych, wleczonych po powierzchni wody. Zobaczyliśmy też, że kilka trupów galerników, po rozkuciu, zostało wyrzuconych za burtę.

- Ci już są załatwieni – zauważył jakiś żołnierz.
- Lepiej oni niż my – odezwał się inny.
- Dla wszystkich wystarczy.

Nasz konwój został na trawersie, a potem za rufą. Niektórzy z nas krzyczeli słowa wsparcia, ale były bezużyteczne. Stłoczeni na burcie, przy pawężach, widzieliśmy okręt osamotniony, bez szansy na ratunek, ze zdziesiątkowanymi wioślarzami, z Turkami niemal na karku i ludźmi, którzy nic nie mogli zrobić, patrzyli, jak się oddalamy. Z pokładu krzyczeli do nas słowa, których już nie mogliśmy usłyszeć, niektórzy Biskajczycy unosili ręce, aby pożegnać się z nami, zanim ruszyli na rufę z dymiącymi arkebuzami i muszkietami. Przynajmniej przy Machinie de Gorostiola i jego ludziach Turcy drogo zapłacą za swój łup.

- Dowódcy na rufę! – zagrzmiały głosy, powtarzając rozkaz.

Na galerze zaległa śmiertelna cisza. Zebranie pasterzy, mówi stare porzekadło, zdechła owca. Zobaczyliśmy sierżanta Zgorzałego, bosmana i chorążego Labajosa, kierujących się ponuro na rufę galery, a ludzie przed nimi się rozstępowali. Także kapitan Alatryste pojawił się w przejściu.

Przechodząc mimo, nie zauważył mnie albo tak mi się wydało. Miał oczy lodowate i bez wyrazu, nieobecne, jakby patrzył na coś poza morzem i wszystkim. Ja znałem to spojrzenie. Wtedy zrozumiałem, że Biskajczycy z tamtej galery tylko wyprzedzali nas w tej katastrofie.

– Wioślarze już ustają – powiedział kapitan Urdemalas.

Diego Alatryste rzucił okiem w kierunku przedziału galerników. Wyczerpani, obojętni już na chłostanie zastępcy bosmana i nadzorcy, galernicy nie byli w stanie utrzymać koniecznego rytmu. Tak jak „Caridad Negra”, „Mulata” także zwalniała, podczas gdy Turcy coraz bardziej się zbliżali.

– Za pół szklanki będziemy mieli ich na karku.

– Żołnierze mogliby wiosłować – zaproponował bosman. – Albo przynajmniej niektórzy.

Bardzo zirytowany chorąży Labajos odpowiedział, że nawet za ciężkie pieniądze się nie zhańbią: Już wcześniej dyskurs miał z niektórymi ludźmi, powiedział, i żaden nie miał zamiaru siadać przy wiosle, nawet w takiej sytuacji jak ta. Niech Bóg zdecyduje, mówili. Gotowi na śmierć w tym miejscu, jak się zdawało, nikt nie miał ochoty odchodzić z piętnem galernika.

– Ponadto, przy tych pięciu galerach siedzących im na ogonie oznaczałoby to daremny wysiłek... Moi ludzie to żołnierze i nie szcędzą sił w swoim fachu. Którym jest walka, a nie wiosłowanie.

– No to powiosłujemy w kajdanach, jeśli nas dopadną – powiedział wściekle bosman.

– Niech wiosłuje ten, kto ma chęć, każdy niech sam zdecyduje.

Diego Alatryste obserwował ludzi zebranych na pokładzie i przy burtach. Labajos słusznie prawił. Nawet przy takim przygnębieniu, oczekując wykonania wyroku bez apelacji, ludzie mieli swój dziki wygląd, groźny i



niesamowity. To była najlepsza piechota na świecie, a Alatryste doskonale wiedział dlaczego. Takimi żołnierzami – panami żołnierzami, jak kazali sobie nazywać – byli od niemal półtora wieku, i mieli nimi być, dopóki słowo reputacja nie zniknie z ich ograniczonego żołnierskiego słownictwa. Mogli cierpieć nędzę, wystawiać się na ogień i żelazo, zostać okaleczeni albo martwi, nieopłaceni i bez chwały; ale nigdy nie przestaną walczyć, dopóki będzie choć jeden towarzysz w zasięgu wzroku, przed którym będą musieli zachować twarz i maniery. Oczywiście, że nie mieli zamiaru wiosłować, aby ocalić życie. Każdy z osobna, tak, rzecz jasna. Za swoje życie i wolność, jeśli nikt się nigdy o tym nie dowie. Sam Alatryste był skłonny, gdyby tak się zdarzyło, zająć ławkę i chwycić za drewno, pierwszy ze wszystkich. Lecz ani on, ani największy na pokładzie nie zrobiłby czegoś takiego, gdyby przez to – taka była jego nacja, w sumie – stracił w oczach innych to, czego nawet królowie ani faworyci, ani mnisi, ani wrogowie, ani nawet choroba czy śmierć nigdy nie mogli mu odebrać: wyryty obraz samego siebie, chimery kogoś, kto podawał się za szlachcica raczej niż przyznawał się, że jest czyimś sługą. Dla hiszpańskiego żołnierza jego zajęcie było jego honorem. Wszystko wręcz przeciwne zmysłowi praktycznemu, jak dobrze mówiło przemówienie berberyjskiego korsarza, które Diego Alatryste pamiętał z dziedzińców komediowych, i które w tej samej chwili miał ochotę wypowiedzieć:

*Honor dla chrześcijanina, nie dziwota,  
To sprawa święta i tak podniosła,  
Że w wirze bitwy chwycić za wiosła  
Rzecz haniebna a niebywała sromota.*

*I gdy tak oni, rycerze prześwietni,*

*Przy swoim honorze twardo obstają,  
My, ostatnie poty z siebie wylewając,  
Zhańbieni dotarliśmy tu, gdzie jesteśmy.*

Jednakże zamilczał i nic nie powiedział. Nie była to chwila odpowiednia na wiersze, a także tego rodzaju przemowy nie leżały w jego naturze. Bez wątpienia, dokończył w duchu, to przypieczętowało los „Mulaty”, jak również, wraz z upływem czasu, przyniesie zgubę Hiszpanii i wszystkim; chociaż wtedy to już nie będzie jego sprawa. Przynajmniej, u mężczyzn takich jak on, tak szalona buta dawała swego rodzaju pocieszenie. Nie było innej reguły, której mogliby się ucześcić, kiedy sprawy zaszły już tak daleko.

– Cholerny honor – podsumował sierżant Zgorzały.

Wszyscy popatrzeni po sobie, poważni, uroczyści, jakby po wypowiedzeniu tych słów nie było o czym mówić. Oddaliby wszystko za kilka innych słów, ale ich nie było. Byli to zawodowi żołnierze, szorstcy ludzie walki, i retoryka nie była ich silną stroną. Nie było miejsca na wiele luksusów, oprócz wyboru miejsca i sposobu skończenia z życiem. I tym się właśnie zajmowali.

– Trzeba zrobić zwrot i walczyć – zaproponował chorąży Labajos. – Lepiej to, niż czmychać jak zaszczute szaraki.

– Już wcześniej powiedziano – zauważył sierżant Zgorzały. – Albo zjemy kolację z Chrystusem, albo w Konstantynopolu.

– A więc z Chrystusem – podsumował Labajos, marszcząc brwi.

Wszyscy zwrócili się w stronę kapitana Urdemalasa, który obmacywał bolący ząb przez brodę. Ten wzruszył ramionami, jakby to im pozostawiał decyzję. Następnie spojrział ponad burtą. W dali, już daleko w tyle i jeszcze szczepiony z trzema tureckimi galerami, maltański okręt flagowy walczył

spowity dymami i odgłosami palb. Pomędzy nimi i „Mulatą”, „Caridad Negra”, niemal doganiana przez pościg – wraże pokłady roiły się od ludzi gotujących się do abordażu – robiła zwrot, aby stawić im czoło, poddając się nieuniknionemu.

– To pięć galer – zauważył pilot Braco, posepnie. – I te, które przyjdą, jak się załatwią z galerą Religii.

Labajos ściągnął kapelusz z głowy i rzucił go na ziemię.

– Nawet jeśli ich było pięćdziesiąt, na rany Chrystusa!

Kapitan Urdemalas przyglądał się Diegowi Alatriście. Najwyraźniej oczekiwał jego opinii, wszak jako jedyny nie otworzył ust. Alatriście skinął głową, wstrzemięźliwie i nie ruszając ustami, oszczędzając słowa. Od niego nie oczekiwano słów.

– Zatem – podsumował Urdemalas – pomożemy Biskajczykom... Będą wdzięczni, widząc, że nie umierają samotnie.





## XI. OSTATNIA GALERA.



ie wiem, jakie było Lepanto, ale nigdy nie zapomnę wrót Escanderlu: poruszające się deski pokładu, przyczajone morze poniżej, gotowe połknąć cię, gdy w nie wpadniesz, krzyki mężczyzn zabijających i umierających, krew brocząca po burtach galer, gęsty dym i ogień. Woda dalej była nieruchoma i szara jak tafla cyny, bez bryzy, i dziwna milcząca burza dalej biła piorunami w oddali, słabe naśladowanie tego, co my, ludzie, potrafiliśmy zrobić zwykłą naszą wolą.

Kiedy w końcu oficerowie podjęli decyzję, kładąc ster na burtę, z wielkim wysiłkiem zrobiliśmy zwrot, aby udać się na pomoc „Caridad Negra”, która już szepiła się z pierwszymi tureckimi galerami, walcząc na całym pokładzie z wielką wrzawą i wśród huku wystrzałów. Jako że lepiej było bić się razem niż w pojedynkę, kapitan Urdemalas, przy pomocy skutecznych wioślarzy, pobudzonych batem bosmana i jego pomocników, wykonał zręczny manewr, który postawił. nasz dziób przy rufie okrętu flagowego, tak że oba okręty niemal się ze sobą połączyły, i w razie potrzeby można było przejść z jednego na drugi. Nie muszę wspominać, z jaką ulgą i z jakimi okrzykami Biskajczycy kapitana Machina de Gorostiola – „*Ekin!* Naprzód! *Ekin!*”, wołali z otuchą – przywitani nasze przybycie,

wszak kiedy oparliśmy się ostrogą i dziobem o ich rufę, walczyli już bez nadziei, twardo i z zaciśniętymi zębami, powstrzymując abordaż z wrażliwych galer. Następne dwie rzuciły się na nas, podczas gdy piąta szukała naszych pleców, aby wypalić w nas z dział, zanim przystąpią do ataku od tej strony. Tworzyliśmy w sumie, jedna i druga hiszpańska galera – przerzuciliśmy cumy i obwiązaliśmy je wokół masztów, aby utrzymać okręty razem – fort otoczony ze wszech stron, tyle że znajdowaliśmy się na pełnym morzu i zamiast murów, przed wrażliwymi strzałami i atakami broniły nas tylko pawęże zawieszane na burtach, coraz bardziej porozbijane gradem kul i strzał, oraz własny nasz ogień, piki i rapiery.

– *Bir mum kafir!... Baxá kes!... Alautalah!*

Janczarzy byli niebywale odważni. Rzucali się do abordażu falami, zagrzewając się w imię Boga i Wielkiego Turka do ścinania głów niewiernych psów. A przychodzili z taką pogardą wobec śmierci, jakby hurysy z rajy Mahometa stały za naszymi plecami. Rzucali się na nas przez swoje ostrogi, a nawet przebiegając po rejach i wiosłach swoich galer, wspierając się na naszych burtach. Robiły wrażenie ich wojenne wrzaski i głosy z gardłowym akcentem. Nie mniejszy efekt robiły ich kolorowe burnusy, ogolone czaszki, wielkie wąsy i szamszyry, którymi posługiwali się ze śmiertelną precyzją, chcąc złamać nasz opór. Jednak Bogu i królowi inaczej niż oni służyliśmy, wszak w obliczu zuchwałości i pogardy wobec śmierci dawna dyscyplina hiszpańskiej piechoty dalej rozdawała karty przy stole. Każda turecka fala rozbijała się o mur naszej palby: arkebuzy i muszkiety strzelały raz za razem, i trzeba było widzieć jak, pośród tego całego szaleństwa, nasi starzy żołnierze zachowywali spokój, jak to mieli we zwyczaju, porządnie wypełniając swe zadanie strzelania, przeładowywania i ponownego strzelania, prosząc o proch i kule paziów i majtków, nie tracąc rezonu, kiedy pilnie ich potrzebowali. I pomiędzy

jednym i drugim zatrudnieniem my, ludzie zuchwali i zręczni, młodzi piechociarze i marynarze, ruszaliśmy w porządku, najpierw z pikami i włóczyniami, a potem, już z bliska, z rapierami, sztyletami i toporami; a ta kombinacja ołowiu, stali i siły utrzymywała wroga w należyтым szacunku, kłując go bardziej niż pchły psa. I po dłuższej bezlitosnej bitwie krucha reduta „Caridad Negra” i „Mulaty”, połączonych razem i plujących ogniem przeciw pięciu tureckim galerom wokół, jednych zbliżających się, a innych utrzymujących dystans, aby dać wytchnienie swoim ludziom, strzelać z artylerii i ponownie przystępować do abordażu, przekonała wroga, że zwycięstwo będzie musiał okupić potokami krwi swojej i naszej.

– Święty Jakubie!... Święty Jakubie!... Naprzód, Hiszpania, naprzód!

Potrzeba dopiero się rozpoczęła, jak to się mówi, a już byliśmy zachrypnięci, dręczeni dymem i krwią. Inni byli mniej tradycyjni i złorzeczyli Turkom, jak oni nam, wszystkim, co w języku kastylijskim, biskajskim, greckim, tureckim albo *lingua franca* przychodziło do ust, wyzywając ich od psów i skurwysynów tak, że bardziej nie można było, i od *bardahe*s, co oznacza sodomitę w ich narzeczu, nie zapominając o świni, która zapłodniła tę czy ową mauretańską matkę i podobne cudowności na temat zepsutej sekty Mahometa; na co Otomanie odpowiadali w swoim języku pełnymi wyobraźni wariantami – Śródziemnomorze zawsze wiele z siebie dawało – na temat wątpliwego dziewictwa Najświętszej Panienki albo wątpliwej męskości Chrystusa, dołączając okrutne uwagi na temat dobrego prowadzenia się matek, które nas powiły. W sumie wszystko typowe, jak to w podobnych sytuacjach zwykło się odbywać.

Jakkolwiek by było, bez popadania w fanfaronadę jedni i drudzy wiedzieli, że dla Turków jest to tylko kwestia cierpliwości i przegrupowani. Było ich co najmniej trzykrotnie więcej i mogli uzupełniać straty i odpłynąć, aby odpocząć, zmieniając się, aby nie dać nam wytchnienia, a my

tymczasem nie mieliśmy ani chwili odpoczynku. Poza tym za każdym razem, kiedy udało nam się odeprzeć atak z jakiejś galery, ta wykorzystywała odległość, aby posłać nam salwę z pięćdziesięciofuntowej armaty i dział pomocniczych, czyniąc ostrą jatkę; do zmiatającego nas żelaza dochodziły drzazgi i kawałki drewna latające na wszystkie strony i gruchoczące pawęże, a jedyną naszą ochroną było pochylanie się, kiedy rozbrzmiewał wystrzał. Wszędzie dookoła były porozrywane na kawałki ciała, flaki, krew i ruiny, a w wodzie pomiędzy okrętami unosiły się na wodzie tuziny trupów poległych podczas abordażu albo wrzuconych, żeby nie przeszkadzały na pokładzie. I niemało zabitych i ranionych można było naliczyć pomiędzy naszymi i ich galernikami, którzy trzymani zakrwawionymi łańcuchami, nie mogąc znaleźć schronienia, rzucali się na ziemię pomiędzy ławkami pod strzaskanymi wiosłami, wrzeszcząc, pobudzeni furią jednych i drugich, błagając o litość.

\* \* \*

– *Alautalah!... Alautalah!*

Już pewnie ze dwie długie godziny walczyliśmy, kiedy jedna z tureckich galer, po zręcznym manewrze swego kapitana, zdołała wbić nam swoją ostrogę niemal do fokmasztu „Mulatory”, i tamtędy znowu na nas wpadła zgraja janczarów i tureckiego wojska, gotowa odebrać nam dziób. Nasi bronili się wilczymi kłami, walcząc o każdą deskę pokładu ze zdumiewającą odwagą; wszelako uderzenie było mocne i wiele nas kosztowały straty ławek na burtach. Wiedziałem, że kapitan Alatryste i Sebastián Copons byli po tamtej stronie, chociaż poprzez dym, wystrzały z muszkietów i gąszcz ludzi nie mogłem ich dostrzec. Wezwano wtedy krzykiem do zatkania wyłomu i ruszyliśmy tam wszyscy, którzy mogli,

cisnąć się na pokładzie i wzdłuż burt, a ja byłem jednym z pierwszych, wszak za nic w świecie nie dopuściłbym do tego, żeby zostać w tyle, kiedy siekano kapitana. Starliśmy się z Turkami trochę poza grotmasztem, którego reja leżała zwalona na pokładzie. Przeskoczyłem przez nią jak się dało, depcząc nieszczęsnych galerników, leżących pomiędzy ławkami i pogruchotanym drewnem, a nawet jednego, który w konwulsjach chwycił mnie za nogę, a z wyglądu wydał mi się Turkiem, ciąłem rapierem, niemal pozbawiając go ręki wraz z kajdanami; bo w wielkim niebezpieczeństwie odrzuca się wszelkie myślenie.

– Hiszpania! Święty Jakubie!... naprzód!

Uderzyliśmy w końcu na wrogów, a ja byłem jednym z pierwszych, wiele o siebie nie dbając; wszak bitewna furia doprowadzała mnie do szaleństwa. Rzucił się na mnie Turczyn czarny i nastroszony niczym dzik, zaopatrzonego w skórzaną tarczę i rapier, zwałem się z nim tarcza w tarczę, odrzuciłem precz rapier i chwyciłem go za gardło, choć palce ślizgały mi się, tak bardzo był zlany potem, udało mi się go podciąć i przewrócić, zaczem obaj gruchnęliśmy o ławki wioślarzy. Starłem się wyrwać rapier z jego ręki, lecz bezskutecznie, gdyż był przywiązany, a on złapał rękoma krawędź mojego hełmu i ciągnął do tyłu, niechybnie mając zamiar odsłonić mi szyję i ją poderżnąć, a przy tym wszystkim wrzeszczał w sposób straszliwy. Ja, nie otwierając ust ani ociupinę, zwarty z nim, jak tylko mogłem, obmacywałem sobie plecy i w końcu wydobyłem biskajski sztylet, po czym zdołałem pchnąć go dwa czy trzy razy i zadać kilka pomniejszych ran, co zdało się zrobić na nim wrażenie, bo już wrzeszczał w inny sposób. Wszelako przestał to robić, gdy tylko czyjaś dłoń odciągnęła mu głowę do tyłu i jakieś ostrze otworzyło mu głęboką ranę w gardle. Uniosłem się obolały, ocierając krew, która zbryzgała mi oczy; lecz zanim zdołałem w



jakikolwiek sposób podziękować komukolwiek, Maur Gurriato już potykał się na sztylety z następnym Turkiem.



Rzucił się na mnie Turczyn czarny i nastroszony niczym dzik...

Zatem włożyłem sztylet do pochwy, odszukałem rapier, chwyciłem tarczę i wróciłem do walki.

– *Sentabajo, cane!* – wrzeszczeli Turcy, nacierając. – *Alautalah! Alautalah!*

To w tamtej chwili zobaczyłem śmierć sierżanta Zgorzałego. Zmienne losy bitwy przywiodły mnie w jego pobliże, kiedy zbierał grupę ludzi, żeby zaatakować janczarów z rufy. Przeskakując przez ławki – na których niemal nie było już żywych galerników – i po prawej burcie, weszliśmy bardzo łatwo, stopniowo odzyskując to, co nam odebrali, aż zaczęliśmy walczyć przy naszym fokmaszcie i samej ostrodze ich galery. To wtedy sierżant Zgorzały, bardzo nas zagrzewający i popychający tych słabnących w swoim impecie, został raniony strzałą, która przeszła mu na skroś oba policzki; i kiedy chciał ją sobie wyciągnąć, dosięgła go w pierś kula z arkebuza i powaliła trupem w ten samej chwili. Po tym nieszczęściu kilku naszych pierzchło, i zrazu jęliśmy tracić to co, z takim poświęceniem zdobyliśmy; jednakże wznieśliśmy oblicza ku niebu – niekoniecznie po to, by się oddać modlitwie – i natarliśmy jak dzikie bestie, żądni pomszczenia Zgorzałego lub położenia głowy na tureckiej ostrodze. Tego, co się potem wydarzyło, niesposób opisać, i nie ja będę opowiadał, co uczyniłem; Bóg i ja to wiemy. Dość rzec, że ponownie odzyskaliśmy dziób „Mulaty” i że kiedy turecka galera, bardzo pokiereszowana, zrobiła zwrot w miejscu i wykonała odwrót, usuwając ostrogę z naszej burty, żaden z Turków, biorących udział w abordażu, nie mógł wrócić na pokład.

W ten sposób spędziliśmy resztę dnia, uparci jak Aragończycy, wytrzymując artyleryjskie salwy i odpierając kolejne próby abordażu z galer, których nie było już pięć, lecz siedem, gdyż trzymasztowy turecki okręt flagowy i drugi turecki korab po południu przyłączyły się do bitwy, niosąc na swych rejach powieszzone głowy brata Fulco Muntanera i jego rycerzy. Jako trofeum, bo łupów niewiele mogli zdobyć, Turcy przywieźli też na holu „Cruz de Rodas” w drzazgach, zlaną krwią i gołą jak tratwa. Nie mieli łatwego orzecha do zgryzienia przy jej zdobywaniu, wszak Religia stawiała opór z takim zacięciem, jak się tego potem dowiedzieliśmy, że ani

jednego nie wzięto żywcem. Na nasze szczęście i z powodu strat poniesionych w bitwie ani turecki okręt flagowy, ani idąca z nim w konwoju galera tego dnia nie były skłonne rzucić się do walki i ograniczyły się do okazjonalnego podchodzenia do nas i rażenia nas artylerią z daleka. Co do trzeciej tureckiej galery, poważnie uszkodzona w walce z Maltańczykami, nieuchronnie poszła na dno.

\* \* \*

Na chwilę przed zmrokiem byliśmy wyczerpani zarówno Otomanie, jak i Hiszpanie: my radośni, że tak długo udało nam się stawić opór tak licznemu wrogowi, a oni złorzeczący temu, że nie są w stanie strzaskać nam kręgosłupa. Niebo dalej było matowe, a morze ołowiane, co potęgowało złowieszczy charakter całej sceny. Gdy światło dnia jęło gasnąć, pojawiła się lekka bryza z zachodu, której nie sposób było wykorzystać, wszak wiała w stronę lądu. Jakkolwiek by było, nawet korzystny wiatr niczego by nie odmienił, wszak stan naszych okrętów był godny pożałowania: od tyłu strzałów mieliśmy pozrywany takielunek, reje zostały zwalone, a żagle były w strzępach, ponadto „Caridad Negra” straciła grotmaszt, który unosił się obok nas na powierzchni wody wraz z trupami, linami, deskami, przyodziewkiem i połamanymi wiosłami. Lamenty ranionych i rżenie konających wznosiły się niczym monotony chór nad galerami, które cały czas były ze sobą połączone i razem dryfowały po morzu. Turcy oddalili się odrobinę w kierunku lądu, zostając o strzał z działa, i tam wyrzucali swoich zmarłych za burtę, naprawiali takielunek, poprawiali zniszczenia i odbywali narady dowódców, podczas gdy Hiszpanom nie zostawało nic innego, jak lizać własne rany i czekać. Przedstawialiśmy żaloszny obraz, rozciągnięci i przemieszani z galernikami na pogruchotanych ławkach albo na pokładzie,

wyczerpani, pokiereszowani, połamani jedni i poranieni drudzy, osmaleni dymem prochu i ze skrzepłą krwią, swoją i cudzą, we włosach, na ubraniach i broni. Aby dodać nam otuchy, kapitan Urdemalas nakazał rozdać to, co pozostało z araku, czego znowu nie było tak wiele, i kazał wydać nam prowiant – kuchnia była w drzazgach, a kucharz poległ – kawałek suszonego rekina, rozwodnione wino, trochę oliwy i suchary. To samo uczyniono na sąsiedniej galerze Biskajczyków i przechodziliśmy z pokładu na pokład, rozmawiając o zdarzeniach dnia albo o czynach tego czy owego towarzysza, żałując poległych i ciesząc się obecnością żywych. To dodało odrobinę otuchy ludziom, niektórzy nawet jęli myśleć, że Turcy w końcu odpłyną albo że jesteśmy w stanie wytrzymać ataki, które według innych Turcy będą na nas przeprowadzać następnego dnia, jeśli nie będą próbowali szczęścia nocą. Widzieliśmy atoli, jak i oni byli pokiereszowani, i to dawało nadzieję; bo w takich zgryzotach straceniec chwyta się każdej ułudy. Pewne jest, że nasza mężna obrona rozzuchwalała najbardziej śmiałych, a byli nawet tacy, którzy obmyślili przezabawną facecję, którą zrobili Turkom; a chodziło o to, że wykorzystując wiejącą od czasu do czasu lekką bryzę, wzięli dwie żywe kury z klatek kuchennych, których mięsa i jajek – choć na pokładzie nie najlepiej się niosły – używano do rosółów dla chorych; i związawszy je bardzo sprytnie na tratwie z desek i niewielką świeczką nad nimi, puszczono je na wodę w kierunku wraźych galer pośród śmiechów i wyzywających okrzyków; bardzo wszystkim naszym ludziom się to podobało, a bardziej jeszcze, kiedy Turcy, choć dotknięci do żywego szyderstwem, podjęli je z wody i wciągnęli na okręt. Podniosło nas to na duchu, a bardzo nam tego było trzeba, do tego stopnia, że niektórzy jęli śpiewać, aby usłyszał ich wróg, ten psalm, który zwykle ludzie przy fałach intonują, wciągając reję, a który w końcu liczny chór

głosów, przygaszonych, ale niepokonanych, odśpiewał, stojąc na burcie, zwrócony w stronę Turków:

*Poganin  
Eskofondi,  
I Saraceni,  
Turcy i Mauri,  
Morze szczyń,  
Ojcem im  
Dziad Ihrahim.*

Dzięki czemu niebawem wszyscy stłoczyliśmy się na burtach, wykrzykując w stronę tych psów, wydzierając się na całe gardło i pośród wielkiej wrzawy, żeby trochę do nas podpłynęli, bo jeszcze mamy ochotę nieco się zabawić kilkoma ich abordażami, zanim udamy się na spoczynek; a jeśli nie jest ich dość, żeby się odważyć, niech pójda do Konstantynopola po braci i ojców, jeśli ich znają, i wrócą wraz z dziwkami, swoimi matkami i siostrami; wobec których mieliśmy, a jakże, specjalne zamiary. I trzeba było widzieć, jak nawet nasi ranni podpierali się na łokciach i wyli, poowijani w zakrwawione bandaże, wyrzucając tymi krzykami całą wściekłość i żal, duszone w sobie, dodając sobie ducha tą fanfaronadą do tego stopnia, że nawet mość Augustín Pimentel ani kapitanowie nie chcieli przeszkadzać nam w naszych krzykach. Przeciwnie, zachęcali nas i uczestniczyli w nich, świadomi tego, że dla nas, skazanych na śmierć, wszystko jest dobre, aby podnieść cenę, za którą oddamy nasze głowy. Wszak jeśli Turcy także i je chcą powiesić na swoich rejach, najpierw muszą po nie przyjść i uciąć je nam.

Tej nocy było jeszcze jedno wyzwanie, gdy nasi dowódcy nakazali zapalić latarnie rufowe, żeby Turcy wiedzieli, gdzie nas znaleźć. Wzmocniliśmy cumy, łączące obie galery, rzucono kotwice – byliśmy na płytkiej wodzie – aby zapobiec temu, by jakiś niespodziewany wiatr i prąd nie poniosły nas tam, gdzie nie chcieliśmy się znaleźć, i pozwolono ludziom udać się na spoczynek, choć z bronią i trzymając wachtę, na wypadek, gdyby wrogowi przyszło do głowy natrzeć na nas pod osłoną nocy. Jednak noc minęła spokojnie, bezwietrznie, i niebo odsłoniło się nieco, pokazując gwiazdy. Zbudzono mnie na wachtę z głębokiego snu, a idąc po omacku pośród mężczyzn porozkładanych na pokładzie – chór jęków i szlochu ranionych unosił się nad obiema galerami, zupełnie jak zabojadzkich żebraków – dotarłem po ciemku do ławki, gdzie w swego rodzaju bastionie z podartych mat, resztek takielunku i żagli rozłożyli się biwakiem kapitan Alatryste, Maur Gurriato i Sebastián Copons, który chrapał, jakby oddawał ducha przy każdym oddechu. Wszyscy mieli szczęście wyjść, tak jak ja, bez szwanku z okrutnej jatki tamtego dnia, jeśli pominiemy niewielką ranę nożem pod żebrem Maura Gurriato, którą mój dawny pan, po przemyciu jej winem, zszył – nawyki dawnego żołnierza, – szewską igłą i szpagatem, zostawiając niezaszyty kawałek, aby przezeń wypływały złe humory.

Przyszedłem do nich, jak mówiłem, i ułożywszy się bez słowa – byłem zbyt zmęczony, nawet żeby otworzyć usta – zostałem tam, nie mogąc zasnąć, tak byłem obolały, gdyż starcie z Turkiem od tarczy i z tymi, którzy nastąpili po nim, wyczerpało mnie. Myślałem, przypuszczam, że jak wszyscy, co też przyniesie nam wschód słońca. Nie mogłem wyobrazić sobie siebie u wiosł tureckiej galery albo w jakiejś wieży nad Morzem Czarnym; zatem moja przyszłość – biorąc pod uwagę, że nasze zwycięstwo było raczej nieprawdopodobne – nie przedstawiała się kolorowo.

Zastanowiłem się, jak będzie wyglądać moja głowa zawieszona u rei i co pomyślałaby Angelica de Alquézar, gdyby dzięki jakimś zaskakującym zdolnościom jasnowidzenia mogła ją obejrzeć. Powiedzą waszmościowie, że były to myśli pogrążające mnie w najgłębszej desperacji i coś w tym pewnie było, jednak inaczej myśli koń, aniżeli ten, kto go dosiada. Sprawy inaczej wyglądają, gdy oglądać je przy ciepłym kominku i przy suto zastawionym stole albo z perspektywy wygodnego wełnianego materaca niż z błota okopu albo spoza kruchej osłony galery, gdzie rzucanie na szalę życia i wolności jest chlebem powszednim. Byliśmy zrozpaczeni, to prawda. Lecz byliśmy przyczajonymi szarakami, i ten brak nadziei okazywał się naturalny dla naszego życia. Jako Hiszpanie, byliśmy ze śmiercią za pan brat, co pozwalało nam czekać na nią z godnością i obowiązywało nas do tego; wszak w odróżnieniu od tych nacji, my ocenialiśmy siebie wzajemnie wedle zachowania wobec niebezpieczeństwa. Oto powód, dla którego bezwzględność, honor i reputacja tak bardzo się przemieszały w naszym charakterze. Bo, jak zauważył Jorge Manrique, wieki walki z Islamem uczyniły nas ludźmi wolnymi, dumnymi i pewnymi swoich praw i przywilejów:

*Wszak dobrzy i oddani mnisi*

*Zyskują to gorliwymi modlitwami I szlochami.*

*Rycerze zaś w świecie słynni*

*Znojem, trudami i potyczkami Z Maurami.*

Wyjaśnia to, dlaczego rzuceni na niełaskawy szczęścia los, zawsze z Chrystusem na ustach i duszą na ostrzu żelaza, tego dnia pogodziliśmy się z naszym losem, jeśli miał się dopełnić następnego dnia, jak to już robiliśmy tak wiele razy w podobnych sytuacjach, przygotowaniach na nieuniknioną:

z rezygnacją chłopą wobec gradu rujnującego jego zbiory, rybaka w obliczu pustych sieci lub matki pewnej, że jej dziecko umrze podczas porodu albo zostanie zwyciężone przez gorączkę i nigdy nie wyjdzie z kołyski. Wszak tylko ludzie rozpieszczeni, wygodni, tchórzliwi, żyjący odwróceniami plecami do rzeczywistości, burzą się wobec surowej ceny, którą wcześniej czy później każdy będzie musiał zapłacić.

Zabrzmiał wystrzał z arkebuzów i ocknęliśmy się zaniepokojeni. Nawet ranni przestali jęczeć. Ale potem nastąpiła tylko cisza i znowu się rozluźniliśmy.

– Fałszywy alarm – wymamrotał Copons.

– Na szczęście – stoicko dodał Maur Gurriato.

Ponownie padłem obok kapitana, osłonięty tylko stalowym napierśnikiem i podartym kaftanem. Nocna rosa osiadała już na deskach pokładu i ławkach i moczyła nas wszystkich. Poczulem chłód i przysunąłem się do kapitana w poszukiwaniu ciepła, pachniał jak zawsze skórą, metalem i zeschniętym potem z ciężkiego dnia; wiedziałem, że nie weźmie mojego drżenia za strach. Poczulem, że nie śpi, choć nie poruszał się przez dłuższą chwilę. Po jakimś czasie, bardzo ostrożnie, zsunął z siebie kawałek podartego żagla, którym się przykrył, i położył go na mnie. Nie byłem już dzieckiem takim jak we Flandrii, a ten uczynek rozgrzał mi mniej ciało – w sumie żagiel niewiele przykrywał – niż serce.

\* \* \*

O świcie wydano jeszcze trochę wina i sucharów; i kiedy zajmowaliśmy się skąpym śniadaniem, nadszedł rozkaz rozkucia galerników, którzy chętni byli do walki. Sprawilo to, że spojrzeliśmy po sobie z minami świadczącymi o tym, że wiemy, w jakich jesteśmy tarapatach: bardzo źle z



nami było, skoro musieliśmy posunąć się do takiej ostateczności. Sprawa nie dotyczyła galerników tureckich, Maurów i wrogów naszej nacji, takich jak Anglicy czy Holendrzy; lecz wszystkim innym dawała okazję, że jeśli będą dobrze walczyć i wyjdą żywi z tej kabały, zostaną im odpuszczone winy lub też ich część z rekomendacji naszego generała. Nie był to zły przypadek dla hiszpańskich galerników i dla innych katolickich nacji: ich los, gdyby zostali przy wiosłach, mógł ich pociągnąć na dno, gdyby galera zatonała, wszak niewielu myślało o ich rozkuwaniu w zamieszaniu morskiej katastrofy, albo mogli dalej być niewolnikami, tym razem tureckimi, czego mogli uniknąć tylko wtedy, gdyby wyrzekli się swojej wiary – w Hiszpanii jednakowoż ochrzczony niewolnik pozostawał niewolnikiem – ostateczność to, do której część brańców, szczególnie młodych, się posuwała z powodów łatwych do zrozumienia; było to jednak rzadsze niż się sądzi, wszak nawet pośród galerników religia była sprawą zakorzenioną i poważną, i większa część Hiszpanów pojmanyh przez Berberów i Turków zachowywała prawdziwą wiarę, mimo niewoli i nędzy, aby nie przypisano im tego, co Miguel de Cervantes, pojmany żołnierz, który nigdy nie wyrzekł się swojej wiary, mówił o nich:

*Może wam nie popłaca  
Życie żołnierza i tułacza;  
A ponieważ błądzić chcecie,  
Szukacie w Mahomecie życia,  
Gdzie bogactwo i praca.*

Sprawa, jak mówiłem, była taka, że ściągnięto kajdany wszystkim galernikom hiszpańskim, włoskim i portugalskim, którzy sobie tego zażyczyli, i dano im dzidy i krótkie piki; dzięki czemu galery, które straciły

już jedną trzecią żołnierzy i marynarzy, zostały zasilone przez sześćdziesięciu czy siedemdziesięciu ludzi, gotowych raczej umrzeć w walce, niż niefortunnie utopić się albo zostać poćwiartowanymi przez furję jednych i drugich. Pośród nich, i to jeden z pierwszych, który zapragnął uwolnić się z kajdan i chwycić za broń, był pewien rzezimieszek z „Mulaty” zwany Juan Ronquillo, Cygan, klejnot dzielnicy Perchel z Malagi, znajomy kapitana Alatryste i mój, bardzo niebezpieczny i siejący postrach na pokładzie; do tego stopnia, że nawet przez jakiś czas przechowywał nasze oszczędności pod swoją ławką, bardziej tam bezpieczne niż w genueńskim banku. Przyszedł ów Ronquillo – ale ogolony, w czarnym kaftanie obszytym czerwienią, ze spojrzeniem zawadiackim – przyłączyć się do naszej grupy z bandą trzech czy czterech kompanów o wyglądzie tak szacownym, jak jego, dokładnie w chwili, kiedy chorąży Labajos kazał nam, z moim dawnym panem jako zastępcą – on i Labajos byli jedynymi podoficerami, którzy zostali na placu boju na „Mulacie” – sformować oddział odwodu, ruszający wszędzie tam, gdzie przycisną Turcy, uważając na bastion szalupy i na zejściówki po każdej stronie rufy, któredy wróg mógł chcieć wdrzeć się na nasz pokład. Każdy przygotował się do obrony deska po desce swojej galery, z pokładu „Caridad Negra” znowu pobłogosławił nas ojciec Nistał, życzyliśmy sobie szczęścia z Biskajczykami Machina de Gorostiola, z którymi dalej byliśmy związani na dobre i na złe, i zajęliśmy nasze miejsca, kiedy zaraz po wzejściu słońca, przynoszącego dzień z taką samą dobrą pogodą jak dzień wcześniej, siedem tureckich galer, z wielką wrzawą i rykiem cymbałów, trąbek i piszczałek, jęło wiosłować ku nam.

\* \* \*

Chorąży Labajos poległ w środku walki, otoczony Turkami, odpierając któryś tam abordaż na rufę „Mulaty”, gdzie raniono także kapitana Urdemalasa. Wsparty o maszt tenty, obolały na całym ciele, zmywając morską wodą krew płynącą mu po twarzy i rękach – spływała z zadrapań i niewielkich ran – Diego Alatryste przyglądał się, jak ludzie wyrzucają przez burtę poległych, zawadzających na pogruchotanym pokładzie, w gąszczu połamanych desek, porwanego takielunku, krwi i wyczerpanych ludzi. Walka trwała cztery godziny i kiedy Turcy odstąpili, aby się przegrupować i naprawić wiosła swoich galer, uwięzionych i połamanych podczas abordażu, oba maszty „Mulaty” były zwalone, z rejami i porwanymi żaglami w wodzie albo leżącymi na „Caridad Negra”, także pozbawionej fokmasztu, a jej grotmaszt był strzaskany na pół. Obie galery dalej trzymały się razem i unosiły się na wodzie, choć straty na jednej i drugiej były okrutne. Na „Mulacie” zginął bosman i jego zastępca, a niemieckiego bombardiera roztrzaskało działo dziobowe, więc poległ wraz ze swymi zastępcami. Co do kapitana Urdemalasa, Alatryste właśnie zostawił go w kajucie na rufie albo w tym, co z niej pozostało, twarzą do ziemi na podłodze, podczas gdy cyrulik i pilot wyciągali palcami zakrzepłą krew z rany, którą turecki handzar otworzył mu od nerki do nerki.

– Przejmujesz... waszmość... dowodzenie – wymamrotał Urdemalasa pośród jęków bólu, przeklinając w żywe kamienie tego, kto mu to zrobił.

Przejmujesz dowodzenie. Te słowa były nieludzką ironią, powiedział do siebie Alatryste, patrząc na stos zakrwawionych drzazg, w które przemieniła się „Mulata”. Wszystkie magazyny, w tym magazyn prochu, pełne były rannych, leżących jedni na drugich, proszących o łaskę podania łyku wody albo czegoś na opatrzenie ran. Jednak nie było ani jednego, ani drugiego. U góry, w miejscu, które wcześniej było działem galerników, a teraz stało się płataniną krwi i zwałów śmieci, żywi i martwi galernicy jęczeli zakuci w

kajdany pomiędzy resztkami ławek i pośród szczątków omasztowania, takielunku i wiosł. A w przejściach i na rufie galery, pod palącym słońcem, które rozpalało stal napierśników i broni, żywi jeszcze żołnierze, marynarze i uwolnieni galernicy opatrywali swoje rany albo rany towarzyszy, przesuwali osetki po stępionych ostrzach broni, i zbierali ostatni proch i kule do tych niewielu muszkietów i arkebuzów, które jeszcze strzelały.

Aby oddalić to wszystko choć na chwilę od swojej głowy, Alatryste upadł na pokład, usiadł wsparty o deski, z rozpiętym napierśnikiem, i mechanicznym gestem wydobyl z kieszeni kaftana książkę *Snów* mości Francisca de Quevedo. Zwykł ją przeglądać w chwilach spokoju; lecz teraz, choć przymuszał się do tego, nie potrafił przeczytać ani linijki, bo wszystkie zdawały się tańczyć przed jego oczyma, podczas gdy bębenki w uszach drżały mu jeszcze dźwiękami niedawnej bitwy.

– Wzywają na naradę na okręcie flagowym, panie dowódco.

Alatryste spojrział na pazia, który przyniósł mu rozkaz, początkowo nie rozumiejąc go. Potem z wielką niechęcią wsunął książkę do kieszeni, odsunął plecy od masztu tenty, wstał, przeszedł po prawej burcie pośród leżących tam ludzi i przełożywszy najpierw jedną nogę, a potem drugą, przytrzymał się liny, aby przejść na pokład „Caridad Negra”. Robiąc to, skierował spojrzenie na otomańskie galery: znowu się oddaliły na odległość armatniego strzału i gotowały się do następnego ataku. Jedna z nich, pokieroszowana w ostatnim natarciu, była mocno przechylona na jedną burłę, a na jej pokładzie panował wielki ruch; trzymasztowy okręt flagowy stracił fokmaszt. Także i Turcy zapłacili tego dnia wysoką cenę.

Przekonał się, że na pokładzie „Caridad Negra” sytuacja nie była lepsza niż na „Mulacie”. Skuci łańcuchami galernicy przeżyli straszliwą jatkę, a Biskajczycy kapitana Machina de Gorostiola, osmaleni prochem i ze

spojrzeniami utkwionymi w pustkę, wykorzystywali przerwę w walce na odpoczynek i dojście do siebie, na ile to było możliwe. Żaden nie przerwał posepnej ciszy ani nie uniósł wzroku, kiedy Alatryste pośród nich przechodził w kierunku rufy. Tam zszedł do salonu rady. Podłoga była zasypana podeptanymi papierami i brudnymi ubraniami, a wokół stołu stali, z dzbanem wina, przechodzącym od jednego do drugiego, mość Augustín Pimentel, zraniony w głowę i z wiszącą na temblaku ręką, Machín de Gorostiola, bosman „Caridad Negra”, i kapral zwany Zenarruzabeitia. Pilot Gorgos i brat Francisco Nistal położyli głowy w ostatnim ataku: Gorgos rozplątany na pół, a braciszek od strzału z muszkietu, kiedy z krucyfiksem w jednym ręku i z rapierem w drugim, nie bacząc na nic, przebiegał pokład w imię Chrystusa, wieszcząc wszystkim wieczną chwałę, którą w tej chwili on sam już osobiście się cieszy.

– Jak się ma kapitan Urdemalas? – zagadnął Pimentel.

Alatryste wzruszył ramionami. Nie był chirurgiem. A skoro znalazł się tam sam, to w jasny sposób oznaczało, że na pokładzie „Mulaty” nie ma nikogo wyższego rangą, kto byłby w stanie utrzymać się na nogach, w tym kapitana.

– Pan generał że poddać się winniśmy, uważa, czy jakoś tak – zauważył Machín de Gorostiola znienacka, przerywając naradę, jak to Biskajczycy mają we zwyczaju. Wielu podejrzewało, że zrobił to celowo, aby okazać, że niczym nie różni się od swoich ludzi, którzy go uwielbiali.

Alatryste popatrzył mu w oczy. Nie mości Augustinowi Pimentel, lecz Biskajczykowi. Miał połączone brwi, był niski, z czarną brodą i jasną cerą, z wielkim nosem i szerokimi dłońmi żołnierza. Prawdziwy Biskajczyk, swój chłop, o niewielkim wykształceniu, ale o wielkim męstwie. Odwrotność wysublimowanego oblicza generała, który mimo bladości wynikającej z utraty krwi jeszcze bardziej zbladł, gdy usłyszał owe słowa.

– Sprawa nie jest taka prosta – zaprotestował Pimentel.

Teraz Alatryste odwrócił się, aby spojrzeć na arystokratę. Nagle poczuł się zmęczony. Bardzo.

– Sprawa prosta jest, do wszystkich diabłów – ciągnął Gorostiola neutralnym tonem. – Pan generał uważa, że z odwagą biliśmy się wielką i bandera na honorze nie ucierpiała.

– Na honorze – powtórzył Alatryste.

– Czy jakoś tak.

– Z Turkami.

– Z Turkami, no przecież.

Alatryste ponownie wzruszył ramionami. Ustalanie poziomu honoru przy poddaniu się po takim wysiłku nie należało do jego obowiązków. Gorostiola spoglądał na niego z wielkim zaciekawieniem. Nigdy nie byli przyjaciółmi, lecz znali się i szanowali, każdy w swoim kręgu. Potem Alatryste spojrział na bosmana i kaprała. Ich miny były zacięte; nawet niepewne.

– Ludzi z „Mulaty” tak poddasz? – zapytał Gorostiola, podając mu dzban z winem.

Alatryste pociągnął łyk, bo pić mu się chciało jak sto diabłów, i otarł ręką wąsy.

– Przypuszczam, że zgodziliby się na wszystko. Poddać się albo walczyć... Już nie są w stanie myśleć.

– Zrobili więcej, niż byli w stanie – zauważył Pimentel.

Alatryste odstawił dzban na stół i przeciągle przyjrzał się generałowi, przecież nigdy nie widział go z tak bliska. Przypominał mu trochę hrabiego de Guadalmedina: te same rysy, piękna sylwetka pod bogatym mediolańskim napierśnikiem, wąsiki i hiszpańska bródka, wypiełgnowane dłonie, złoty łańcuch na szyi, rapier z rubinem na gałce. Ta sama elegancka

rasa hiszpańskiego arystokraty, choć niezbyt miła sytuacja trochę przytępiła jego butę – zawsze trzeba by pertraktować z arystokratami, kiedy ktoś im uprzednio rozbije pysk, pomyślał sobie. Mimo wszystko, generał prezentował się jak galant, nawet przy bladej twarzy z powodu ran, bandaży i krwi plamiącej jego ubranie. Przypominał Guadalmedinę, rzeczywiście; chociaż Alvaro de la Marca nigdy nie pomyślałby o tym, żeby poddać się Turkom. Mimo że Pimentel całkiem niezłe się spisał. Lepiej niż inny z jego klasy i o jego charakterze. Jednak odwaga także tępieje, Alatryste wiedział o tym z doświadczenia; bardziej jeszcze u człowieka rannego i obciążonego taką odpowiedzialnością. On nie będzie, zdecydował, oceniać człowieka, który od dwóch dni walczy z rapierem w garści, tak jak wszyscy. Każdy ma swoją wytrzymałość.

– Masz waszmość przy sobie jakąś książkę?

Alatryste spojrział na książkę wystającą mu z kieszeni, dotknął jej roztargniony. Następnie wyciągnął ją i podał generałowi. Ten przerzucił kilka stron z ciekawością.

– Quevedo?... – zagadnął po chwili, oddając ją. – Czemu służy taka książka na galerze?

– Żeby znieść dni takie jak ten.

Ponownie schował książkę. Gorostiola i pozostali patrzyli na niego zmieszani. Dla nich książeczka do nabożeństwa miałaby jakiś sens, ale ta? Rzecz jasna, żaden z nich nigdy nic nie słyszał o Quevedo ani o żadnej rzeczy, która jego jest.

– Jestem pewien – powiedział generał, biorąc dzban – że uda mi się uzyskać korzystne warunki.

Dwa ostatnie słowa sprowokowały ponownie znaczące spojrzenie pomiędzy Alatryste i Machinem de Gorostiola. Nie było zaskoczenia ani pogardy dla stwierdzenia Pimentela; to było porozumiewawcze spojrzenie

weteranów. Wszyscy wiedzieli, do jakich warunków odnosi się generał: rozsądny okup dla niego, który będzie dobrze traktowany w Konstantynopolu, dopóki nie przybędą pieniądze z Hiszpanii. I może też zostanie wykupiony jakiś oficer. Pozostali: żołnierze, marynarze, zostaną przy wiosłach i pozbawieni wolności na całe życie, podczas gdy Pimentel powróci do Neapolu albo na Dwór, podziwiany przez damy i pozdrawiany przez kawalerów, opowiadając szczegóły swej homeryckiej batalii. Więcej sensu, zauważył Alatryste, miało poddanie się wczoraj, zanim zaczęła się walka. Nie byłoby poległych, a ranni i okaleczeni nie leżeliby porąbani na galerach, wyjąc z bólu.

Machín de Gorostiola przerwał jego refleksje: – Waszmość, panie Alatryste, jaka jest wasza opinia, chcemy wiedzieć. Jedyne go oficera na „Mulacie”, czy jakoś tak.

– Nie jestem oficerem.

– No niech będzie, że niby jesteście. Bez pierdolenia.

Alatryste spojrział na papiery i ubrania pod swoimi podartymi espadrylami, poplamionymi zaschniętą krwią. Jedną rzeczą jest jego opinia, a drugą, że chcą jej wysłuchać. I wypowiedzieć ją.

– Uważam... – wyszeptał.

Tak naprawdę, pomyślał, cały czas ją znali, odkąd wszedł do salonu i zobaczył te twarze. Wszyscy ją znali, oprócz generała.

– Nie – odpowiedział.

– Przepraszam? – zagadnął Pimentel.

Alatryste nie patrzył na niego, lecz na Machina de Gorostiola. To nie była sprawa Pimentela, tylko żołnierzy.

– Mówię, że ludzie z „Mulaty” nie zgodzą się poddać.

Zaległa długa cisza. Słysząc było tylko rżenie rannych za ścianą, zebranych we wnętrzu galery.



– Trzeba by ich o to zapytać – powiedział w końcu Pimentel.

Alatriste chłodno pokręcił głową. Jego jeszcze zimniejsze jasne oczy wbijały się w oczy generała.

– Wasza ekscelencja właśnie to zrobił.

Skrywany uśmiech pojawił się na brodatej twarzy Machina de Gorostiola, podczas gdy generał krzywił się z niesmakiem.

– Co to znaczy? – zapytał cierpko.

Alatriste dalej patrzył na niego beznamietnym wzrokiem.

– Były już dni zabijania... Może dzisiaj trzeba będzie umrzeć.

Kątem oka zobaczył, że bosman i kapral kiwają głowami na znak zgody. Machín de Gorostiola odwrócił się w stronę don Augustina de Pimentel. Biskajczyk wydawał się zadowolony; jakby zdjęto z jego ramion krępujący ciężar.

– Wasza miłość wszystkich zobaczyć może, się zgadzamy. Biskajczyk na ziemi, szlachcic na morzu, szlachcic do diabła<sup>89</sup>.

Pimentel zdrową ręką unosił do ust dzban wina, który przy ustach trochę mu zadrżał. W końcu, ni to wściekły, ni to zrezygnowany, odstawił dzban na stół z miną, jakby napił się octu. Żaden generał, choćby nie wiem jak dobrze na niego patrzono na Dworze, nie mógł się poddać bez zgody swoich oficerów. To kosztowało reputację. I czasem głowę.

– Poległa ponad połowa ludzi – powiedział.

– Zatem – odparł Alatriste – pomścimy ich drugą połową.

\* \* \*

Atak, który przeprowadzili na nas po południu, był szczytem. Jedna z tureckich galer całkiem zatonała, ale nadeszło sześć pozostałych razem, wiosłując przeciw zachodniej bryzie, ich okręt flagowy na czele, i starały

się przeprowadzić abordaż wszystkie na raz; co oznaczało wciśnięcie nam do środka w jednej chwili sześciuset albo siedmiuset ludzi – ponad jedna trzecia z nich to janczarzy – przeciw niewiele ponad setce Hiszpanów, którzy jeszcze mogli dotrzymać pola. I w ten sposób, po drodze wypaliwszy do nas z dział, weszli w nas do głębi, uderzeniem rozbijając nam pogruchotane poszycie, ostrogami starając się nam przedziurawić burty, aby nas zatopić. Kilka galer zdołaliśmy odeprzeć pikami i muszkietami, ale inne rzuciły na nas kotwice i przyłgnęły do nas. A ich uderzenie było takie, że podczas gdy na „Caridad Negra” Biskajczycy walczyli tak zmieszani z Turkami, że nie sposób było strzelić z muszkietu, mając pewność, że się trafi tego, a nie innego, u nas zdobyli rufę z lewej burty, fokmaszt i dotarli do stóp grotmasztu i do bastionu szalupy, biorąc w posiadanie połowę okrętu. Jednak nie wiem jak zdołaliśmy się utrzymać, a później ich przycisnąć, gdyż mieliśmy szczęście, że dowodził tureckim atakiem pewien janczar wielki jak Filistyn, który dziko wrzeszczał i siekł dokoła – później dowiedzieliśmy się, że to był słynny dowódca tego wojska, wielce szanowany przez Wielkiego. Turka, o imieniu Ulucz Cimarra – i zdarzyło się, że kiedy ten pies nad psami dotarł do bastionu szalupy, gdzie nasi ludzie jęli odstępować, grupa rozkutych galerników, składająca się z Cygana Ronquillo i jego bandy, uzbrojonych w dzidy, krótkie piki, handzary i rapiery, które przejęli od padających wokół, rzuciła się na niego z takim zacięciem, że przy pierwszym uderzeniu ów Ronquillo dziabnął ogromnego janczara włócznią w oko; a ten, wydawszy z siebie potężny ryk, złapał się rękoma za twarz i upadł na deski, gdzie towarzysze galernika, bardzo szybko i wydobywając nie wiem skąd rzeźnicze noże o żółtych rękojeściach, posiekali go na plasterki w jednej chwili, sycąc się nim niczym sfora psów dzikiem. To pohamowało Turków, bardzo zadziwionych, że ich rycerz w taki oto padł sposób. I ciągle jeszcze się

wahali, z handżarami w górze, kiedy kapitan Alatryste postanowił wykorzystać sytuację, potężnym krzykiem i popychaniem zebrał resztę z nas, która tam jeszcze była, i rzuciliśmy się na bastion szalupy gdzieś we dwudziestu, pewnych tego, że albo ich posieczemy, albo z nami skończą. A ponieważ jednak miła nam była śmierć nasza czy ich, czy zwalenie wieży w Valladolid, ramię w ramię ruszyliśmy: kapitan Alatryste, Sebastián Copons, Maur Gurriato i ja, galernicy Ronquilla i inni, którzy widząc nas razem, dołączyli do równego szyku. A wszak nie ma niczego, co lepiej pocieszy w katastrofie, niż sforna gromada, nierozpraszaająca się i nacierająca, zobaczywszy nas więc takimi wszyscy, którzy kręcili się w rozproszeniu albo walczyli samopas, przyłączyli się do nas, jak się przyłącza do ostatniego oddziału piechoty. W ten sposób, w miarę postępowania po galerze było nas coraz więcej, a Turcy jęli unikać rozlewu krwi, aż w końcu pokazali nam plecy, depcząc galerników, którzy pomiędzy pogruchotanymi ławkami leżeli niemal wszyscy martwi albo połamani i poranieni, cierpiąc, a my dotarliśmy do samej ostrogi turczyńskiej galery, rapierami nękając wroga. A ponieważ wielu rzucało się w morze, kilku z nas pognało przez ostrogę i burty aż na samą galerę, na którą wpadliśmy pełni zuchwałości, łatwej do wyobrażenia, wszak na okrzyk „Święty Jakub! Abordaż, abordaż!” – ja krzychałem „Angelica, Angelica!” – tych czterech nieszczęśników, którymi byliśmy, zdobyło turecki pokład, jak się wpada po zebrane winogrona w czas winobrania; a kiedy zobaczyli nas czarnych od prochu i czerwonych od krwi, tak rozszalałych i dzikich jak sam Szatan, więcej Turków rzuciło się do wody i dalej biec na rufę, żeby się tam ukryć. Dzięki czemu bez wysiłku zdobyliśmy ich grotmaszt, a nawet zdobylibyśmy fokmaszt, gdybyśmy się odważyli.

Kapitan Alatryste został na burcie naszego okrętu, zachęcając ludzi do ataku na inne galery, które na nas się zasadzały, ale ja z całym sercem

oddawałem się abordażowi wraz z najbardziej śmiałymi z naszych; i kiedy stałem się ze zgrają Turków, pech chciał, że jeden okrutnie silnym ciosem złamał mi rapier. Pozostałym kawałkiem dosięgłem najbliższego i zrobiłem mu okropną ranę w szyi. Inny ciął mnie szamszyrem – szczęśliwie odwróciło mu się ostrze i uderzył mnie płazem – ale drugiego ciosu już mi nie mógł wymierzyć, bo Maur Gurriato jednym ciosem topora otworzył mu głowę na pół, od turbanu do samego gardła. Chciał mnie pochwycić za nogi inny, leżący na ziemi, upadłem na niego, pchnął mnie sztyletem i zabiłby mnie, gdyby stało mu sił; przecież trzy razy unosił rękę i trzy razy poniósł fiasko. Zatem kiedy jąłem go dźgać złamanym rapierem w twarz, w końcu ustąpił, i przeskoczywszy przez burzę, rzucił się w morze.

Wielki to był łup, cała galera dla nas; a mniej zabijają przeciwności niż zbytnia zuchwałość. Zatem chwyciliśmy za ubrania dwóch naszych rannych i wlokąc ich, wycofaliśmy się ostrożnie, podczas gdy z rufy razili nas strzałami i salwami muszkietów. Zdarzyło się wtedy, że korzystając z bliskości ognia, prochu i zapalonych lontów znajdujących się na pokładzie tureckiej galery, któryś z nas miał pomysł, żeby podpalić ją – co było lekkomyślnością, wszak była złączona z naszą i mogło to uczynić wszystkim wiele nieszczęścia. W tej chwili o wielki żal przyprawiały krzyki chrześcijańskich galerników przykutych do ławek, wielu z nich Hiszpanów, którzy wraz z naszym wtargnięciem na pokład już zaczęli wierzyć w swoją niechybną wolność; teraz, widząc, jak podpalamy okręt, krzykiem rozpaczliwie zaklinali nas, żebyśmy ich tam nie zostawiali, żebyśmy ich rozkuli i nie palili okrętu, bo spłoną wraz z nim. Nie mogliśmy jednak tracić czasu ani zrobić nic dla tych nieszczęśników, i z ciężkim sercem puszczaliśmy ich błagania mimo uszu. Zatem kiedy płomienie jeły rosnać, wróciliśmy na „Mulatę”, rapierami i toporami odcięliśmy liny abordażu, łączące nas z turecką galera, i odsunęliśmy ją, jak się dało, korzystając

ze sprzyjającej bryzy, odpychając ją włóczyniami i kawałkami wiosel; dzięki czemu stopniowo coraz bardziej się oddalała, buchając czarnym dymem i coraz wyższymi płomieniami, pochłaniającymi grotmaszt, podczas gdy dobiegały do nas, ściskając nas za gardło, krzyki galerników, którzy tam się żywcem smażyli.

Po południu „Caridad Negra”, z rozprutym jednym bokiem i powoli nabierająca wody, przyjęła tak okrutny atak turecki, że ci, którzy przetrwali, po stracie dziobu i niemal całego działu galerników, musieli obwarować się na rufie, choć my wspomagaliśmy ich przez burzę, którą przylegaliśmy do nich. Generała Pimentela raniono jeszcze raz strzałami i przyniesiono nam go na „Mulatę” jak świętego Sebastiana, aby lepiej go chronić. Następnie kapitan Machín de Gorostiola padł raniony kulą muszkietu, która zabrała mu jedną rękę, miast niej zwisały mu nędzne resztki; i chociaż chciał je sobie oderwać, aby dalej walczyć, zabrakło mu sił i ugięły się pod nim kolana, zatem Turcy dopadli go na ziemi, zanim swoi zdołali go ocalić. To, co innym odebrałoby ducha, w przypadku Biskajczyków zadziałało odwrotnie, wszak wszystkich ogarnął szal i wrzeszczeli strasznie, żądając zemsty, jak to mają we zwyczaju: „*Mendekua! Naprzód! Hiszpania! Ekin! Ekin!*”, podburzając się wzajemnie w języku baskijskim i złorzecząc w pięknym języku hiszpańskim, nawet ostatni z tych, którzy jeszcze mogli utrzymać się na nogach, ruszył z niemożliwą do opisania furią. I w ten sposób nie tylko wymietli Turków ze swego pokładu, ale nawet przeszli na wraży pokład; czy to z powodu zniszczeń, czy dlatego, że ucierpiała od salw armatnich na otwartym morzu, turecka galera jęła przechylać się na burzę, przywiązana do „Caridad Negra”, która dalej nabierała wody. Zatem Biskajczycy wrócili na swój okręt, a widząc, że też w końcu nieuchronnie pójdzie na dno, jęli przechodzić na nasz, przeskakując przez burzę, przenosząc wszystkich rannych, których dało się przenieść, i nie zapomnieli

o banderze. Niebawem musieliśmy przeciąć cumy i liny i pozwoliliśmy, żeby okręt zatonął; co też w końcu nastąpiło wraz z tureckim, który na koniec jeszcze odwrócił się stępką do góry, zanim pogrążył się w falach. I przez dłuższy czas widać było morze pełne szczątków i Turków walczących ze sobą, ryczących galerników, tonących, kiedy bezskutecznie usiłowali zerwać kajdany. Przerwaliśmy bitwę przy tak żalnym widoku, wszak Turcy ruszyli swoim na pomoc. Gdy skończyli, pozostałych pięć tureckich galer odpłynęło na odległość strzału z działa, jak to miały we zwyczaju, wszystkie pokiereszowane i z krwią ściekającą im po watergangach i wiosłach, z których wiele było połamanych albo nie poruszały się, bo galernicy zostali zabici.

Tego dnia nie było więcej ataków. Po zachodzie słońca, nieruchoma i samotna pośrodku morza, otoczona wrażymi galerami i trupami unoszącymi się na spokojnej wodzie, ze stu trzydziestoma rannymi stłoczonymi pod pokładem i sześćdziesięcioma dwoma ludźmi zdrowymi, wpatrującymi się w ciemność, „Mulata” znowu zapaliła swą wyzywającą latarnię.

Jednakże tej nocy nie było śpiewów.





## EPILOG.



astępnego poranka, kiedy Bóg zbudził dzień, – Turków tam nie było. Strażnicy obudzili nas o brzasku, wskazując puste morze wokół, gdzie na wodzie unosiły się tylko szczątki po bitwie. Tureckie galery odpłynęły pod osłoną nocy, stwierdziwszy, że zdobycie nędznej i zrujnowanej galery kosztem życia wielu ludzi, czego należało się spodziewać, absolutnie się nie opłacało. I jeszcze nie mogąc uwierzyć, rozglądając się na wszystkie strony i nie widząc śladu Otomanów, wpadliśmy sobie w objęcia, płacząc ze szczęścia i dziękując niebu za taką łaskę; którą obwołalibyśmy cudem, gdybyśmy nie wiedzieli, ile cierpienia i krwi kosztowało zachowanie naszego życia i wolności.

Ponad dwustu pięćdziesięciu towarzyszy, wliczając ludzi z Malty, położyło głowy w bitwie; a z czterystu galerników wszystkich narodów i Religii znajdujących się na pokładach „Caridad Negra” i „Mulata”, pozostało niespełna pół setki. Z dowódców i oficerów jedynie mość Agustín Pimentel i kapitan Urdemalas potrafili przezwyciężyć swe ciężkie rany i przeżyli. Spośród kaprali na lądzie i morzu przeżył kapitan Alatraste, pilot Braco i kapral Zenarruzabeitia, który z generałem Pimentelem i jakąś dwudziestką Biskajczyków zdołał schronić się na naszej galerze. Przeżył też galernik Joaquin Ronquillo, któremu z rekomendacji naszego generała,

powiadomionego o wydarzeniach z janczarem, obniżono do roku pozostałą karę sześciu lat wiosłowania. A co do mnie, wyszedłem ze wszystkiego w miarę zdrowy, jeśli pominiemy trafienie tureckiej strzały, która podczas ostatniej bitwy przeszła mi z niewielką szkodą na wylot przez prawe udo, sprawiając, że kulałem przez dwa miesiące.

„Mulata”, jak powiedziałem, utrzymywała się na wodzie, choć musieliśmy naprawić nieskończoną liczbę uszkodzeń: zostaliśmy tak огоłoceni, że do napraw musieliśmy nawet użyć lin z sieci. Z ludźmi pracującymi przy pompach wodnych udało nam się pozatykać dziury w poszyciu; i po skleceniu zaimprovizowanego masztu i pozbieraniu ocalałych wiosł łącząc kawałki płótna, zrobiliśmy żagiel, który przy niewielkiej pomocy wiosł pozwolił nam dotrzeć do stałego lądu. Tam, wystawiając warty, aby ustrzec się ataków mieszkańców wybrzeża, które szczęśliwie okazało się skaliste i niezamieszkałe, w dwa dni przygotowaliśmy galerę do podróży. W tym czasie zmarło wielu z naszych rannych, więc dołączyliśmy ich do tych, którzy wcześniej wyzionęli ducha na pokładzie, i do tych, których morze wyrzuciło na brzeg; i zanim podnieśliśmy kotwicę, z wielkim smutkiem pochowaliśmy wszystkich na Czarnym Przylądku. Kiedy sypnęliśmy im piasek na oczy, ponieważ nie było kapelana ani nikogo, kto odprawiłby mszę za zmarłych, a zarówno nasz generał Pimentel, jak i kapitan Urdemalas leżeli złożeni niemocą na galerze, mojemu dawnemu panu przypadło wygłosić mowę nad grobami. Dlatego zebrani dokoła, z odkrytymi i pochylonymi głowami, zmówiliśmy *Ojczy nasz*, zaczem kapitan Alatryste, z braku czegoś lepszego, po przełknięciu śliny, odchrząknięciu i podrapaniu się po głowie, wyrecytował kilka krótkich wierszy, które choć pochodzą z żołnierskiej komedii czy czegoś podobnego, wszystkim wydały się bardzo na miejscu i uznali, że świetnie pasują:



*I wyzbyci wszelkiej winy ku wiecznej ulatują chwale, większą ciesząc się nagrodą, niż te, co tu były ich udziałem.*

Wszystko to wydarzyło się w miesiącu wrześniu roku Pańskiego tysiąc sześćset dwudziestego siódmego, na Czarnym Przylądku, jak mówiłem, znajdującym się na wybrzeżu Anatolii, naprzeciw podejścia do Escanderlu. I podczas gdy kapitan Alatryste wypowiadał tak znamienitą mowę, zachodzące słońce oświetlało nasze nieruchome sylwetki, zgromadzone wokół grobów tak wielu dobrych towarzyszy; każdy oznaczony był krzyżem – ostatnia chwackość na ich cześć – zrobionym z tureckiego drewna. W ten sposób pozostali oni wszyscy w towarzystwie szumu morza i skrzeczenia morskiego ptactwa, w oczekiwaniu na zmartwychwstanie ciała; kiedy być może przyjdzie im powstać z ziemi przyozdobionym swoją bronią, z dumą ludzi, którzy wiernymi żołnierzami byli. A do tego odległego dnia pozostaną tam nieruchomo w obliczu morza, na którym za tak wielką cenę sprzedali swoje życie, bijąc się z chciwości i dla łupów, ale też za swoją Ojczyznę, swego, Boga i swojego króla, bo wszystko to jest ważne. Śnią długi, zasłużony sen, którym mogą się cieszyć dzielni ludzie.



WYJĄTKI Z KWIATÓW POEZJI PRZEZ DWORSKIE  
ZNAKOMITOŚCI UŁOŻONYCH

Druk z wieku XVII bez daty, zachowany w dziale „Hrabiowie Guadalmedina”

Archiwum i Biblioteki Diuków del Nuevo Extremo (Sewilla)



RZEZ MOŚĆ

MIGUELA DE CERVANTES SAAVEDRA PAMIĘCI  
HISZPAŃSKICH ŻOŁNIERZY  
POLEGŁYCH PRZY STRACIE GOLETY

Z jałowej, zrytej pociskami niwy, Z twierdzy zmienionej w gruz, z zburzonej wieży Dusze tych kilku tysięcy żołnierzy Odeszły dzisiaj w kraj bardziej szczęśliwy.

Gdy już Połańców hufiec napastliwy Wdarł się na szańce, kędy mord się szerzy, Każdy z tych kilku tysięcy żołnierzy Pod ostrze miecza dał głowę, szczęśliwy.

Smutne wspomnienia i żal lamentliwy, Co w dawnych wiekach sprawiały tu strażę, I dziś wartują nad tą krwawą glebą.

Albowiem nigdy z łona ziemskiej niwy Dusze tak czyste nie wzleciały w niebo Ni takie męstwo nie szło na cmentarze!<sup>90</sup>



ICENCJATA MOŚĆ

MIGUELA SERRANO

Z SANTA FÉ DE BOGOTÁ

DO MŁODEGO ŻOLNIERZA ÍÑIGA BALBOI

Syn rodzony Flandrii z przypadku fatalnego, Młody stał się cieniem  
nieodłącznym kapitana, Żądny wiedzy, w księgach zwykł mieć kompana,  
Życie poznał i uczył się od Kichota i Lopego.

Wierny, oddany, naznaczony przeznaczeniem, Z miłości okrutnej katusze  
cierpi srodze Do piękności wrażej, wykwitłej mu na drodze –  
Mścić się za miłość i Alquézar ma nadzieję.

W porę sztylet, w porę męstwo, W porę kompania w noc ciemną, Bez  
fałszywej, próznej chwalby.

Zatem słusznie brać prawila: Choć młokos i miłość go poraniła, Ni on, ni  
Alatriste nie był pokonany.



EGOŻ

KAPITANOWI ALATRISTE Y TENORIO, WETERANOWI Z  
FLANDRII,  
ITALII, BERBERII I LEWANTU

Od Atochy do Arcabuz cień zwykł krążyć, Kapitanem odważnym był w swojej dobie.

Kto go wzywa, do świętości chce się zbliżyć.

Kto go zranił, prędko znajdzie się w grobie.

Wierny swego króla wasal, rapiera ostrzem Królom i faworytom życie daruje i mienie, Jego ślady wszędy wokół przed rozstajem, Gdzie król porzucił go samego na zatracenie.

Nie ma spokoju ani też go nie znajduje; Honoru nie dzierżawi, rapier wynajmuje, Bo gdy braknie honoru, nie warto żyć.

I w chwałę wraca, kto z niej wyłonił się cieniem, Twarzą w twarz się zmierzyć z przeznaczeniem, Czasem zdrzży mu serce, rapier nic a nic.



MOŚCI FRANCISCA DE QUEVEDO  
PAMIĘCI KSIĘCIA OSUNY, WICEKRÓLA NEAPOLU, ZMARŁEGO  
W TWIERDZY

Źle przyjęła ojczyzna wielkiego Osunę, Lecz czyny jego w obronie twardo stały.

Obie Hiszpanie ino sromotę i śmierć dały Temu, który w okowy stali zakuł Fortunę.

Jeden za drugim każdy naród zawistny Ze swych wątpi zazdrości nam mospanie, A jego grobem flandryjskie kampanie, A epitafium mu na niebie

księżyc krwisty.

Na jego egzekwiach zapłonął Wezuwiusz, Partenope i Tinacria al  
Mongibelo; Żal żołnierzy pokrył wszech łez zalewem.

Mars najlepsze dał mu miejsce w raj, Moza, Ren, Tag i fale Dunaju,  
Szepcząc, bolesnym są mu pocieszeniem.



RZEZ SIOSTRĘ  
AMAYĘ ELEZCANO,  
PRZEŁOŻONĄ KLASZTORU  
BŁOGOSŁAWIONYCH ADORATOREK, NA POMNIK KAPITANA  
DIEGA ALATRISTE

Sława laur żnie twego żelaza ostrzem, jakeś szlachcicem i wojem,  
awanturniku kapitanie.

I żal takiego mnie, co bieży temu zaprzeczyć i prawi, że inaksze żyć  
łacniej, że snadniejsze insze robienie; bo komu lube milczenie, ten pyszniej  
potrafi bić.



## Przygody kapitana Alatryste

„Przygody kapitana Alatryste” to opowieść o Hiszpanii pierwszej połowy XVII wieku. Na tronie zasiada młody, niemający na nic wpływu, Filip IV, wnuk potężnego Filipa II. Dwór habsburski powoli staje się labiryntem intryg, podchodów, wzajemnych świństw. Z jednej strony sprawujący rządy kanclerz, z drugiej sekretarz królewski, uprawiający własną podstępna politykę ramię w ramię ze złowieszczym inkwizytorem. Na skrzyżowaniu tych dwóch ośrodków władzy znajduje się Diego Alatryste y Tenorio, czterdziestoparoletni szermierz, wytrawny żołnierz. W czasie gdy nie jest na wojnie, dorabia, pojedynkując się w cudzych sprawach. Małomówny, raczej sceptyk, zna życie od najgorszej strony i może dlatego zachowuje wciąż elementarne zasady moralne.

Akcja szóstego tomu przygód kapitana Alatryste rozgrywa się w Hiszpanii, w latach dwudziestych XVII wieku.

„Dowiecie się o potyczkach i korsarzach, o szczęsnych dniach młodości, o abordażach, zabójstwach i rozbojach. I dowiecie się również, jak w tamtych dniach – jakże odległych dziś, gdy pozostały mi raptem zadawnione blizny i siwy włos – imię mej ojczyzny budziło na morzach Lewantu respekt, bojaźń i nienawiść. Dowiecie się, że lucyfer nie ma koloru, nacji ni chorągwi. Dowiecie się na koniec, że w owych czasach dla uczczenia piekła na morzu i na ziemi wystarczył jeno Hiszpan i ostrze rapiera”.

Każda powieść z tej serii stanowi odrębną przygodę, choć nie zmieniają się główni bohaterowie, także źli, i najczęściej poczynania tych ostatnich są osnową fabuły.

Dotychczas w serii ukazały się:



ISBN 978-83-7495-680-2



9 788374 956802

Cena 29,90 zł

[www.muza.com.pl](http://www.muza.com.pl)

# Notatki

[ ← 1 ]

Cristóbal de Virués, *El Monserrate segundo* (Historia Monserrat, część druga). (Wszystkie przypisy oraz, jeśli nie podano inaczej, przekłady cytowanych utworów literackich pochodzą od tłumaczy).

[ ← 2 ]

Cristóbal de Virués (1550–1614) – żołnierz, poeta i dramaturg, uczestnik bitwy pod Lepanto, przyjaciel Cervantesa.



[ ← 3 ]

Partenope – nazwa pierwszej kolonii greckiej w miejscu dzisiejszego Neapolu.

[ ← 4 ]

Dzień św. Demetriusza – 26 października.

[ ← 5 ]

Morea – dzisiejszy Peloponez.

[ ← 6 ]

Sala (Salā) – miasto w Maroku nad Atlantykiem, naprzeciwko Rabatu. W przeszłości wielki port korsarski.

[ ← 7 ]

Kwinta królewska – podatek, ustanowiony w 1504, wynoszący 20 procent zdobytych w amerykańskich koloniach szlachetnych metali. Potocznie mówiło się tak i na inne należności, jakie z morza wpływały do królewskiego skarbcza.

[ ← 8 ]

Hornachero – plemię morysków, wygnane z rejonu miasta Hornachero w Andaluzji i osiadłe w marokańskim Rabacie w początkach XVII w. Moryskowie Hornachero znani byli ze szczególnej zawziętości i okrucieństwa.

[ ← 9 ]

Félix Lope de Vega Carpio, *La buena guarda* (Dobra straž).

[ ← 10]

Miguel de Cervantes Saavedra, *Los tratos de Argel* (Awantura algierska).



[ ← 11 ]

W 1609 roku w prowincji Walencja wojsko królewskie dokonało rzezi morysków, zakończonej ich wygnaniem z granic państwa.

[ ← 12 ]

Gaspar de Aguilar (1561–1623) –poeta i dramaturg, członek akademii poetyckiej  
Nocturnos z Walencji.

[ ← 13 ]

Gaspar de Aguilar, *Expulsión de los moros de España* (Wygnanie Maurów z Hiszpanii).

[ ← 14 ]

Słowo „Lewant”, czyli Wschód, może w niniejszej książce oznaczać równie dobrze Lewant geograficzny, a więc ziemie położone na wschodzie Morza Śródziemnego, jak i wschodnie brzegi Hiszpanii (Murcję, Walencję, Katalonię), jak w tym przypadku.

[ ← 15]

Mudecharowie – muzułmanie żyjący w izolowanych skupiskach pod panowaniem chrześcijańskim.

[ ← 16]

Tagarinowie – muzułmanie na ziemiach chrześcijańskich, władający biegle hiszpańskim i arabskim.

[ ← 17 ]

Pedro Álvarez de Toledo y Leiva, pierwszy markiz de Mancera (1585–1654) – magnat i żołnierz, w latach 1639–1648 wicekról Peru.

[ ← 18 ]

Denia – miasto w hiszpańskiej prowincji Alicante.



[ ← 19 ]

Miguel de Cervantes Saavedra, dz. cyt.

[ ← 20 ]

Dz. cyt.

[ ← 21 ]

Filaret – na dawnych galerach sieć, w którą upychano szmaty i zwieszano po bokach dla osłony przed pociskami.

[ ← 22 ]

Jerónimo de Pasamonte (1553–1604) – żołnierz i pamiętnikarz, w niewoli mauretańskiej w latach 1574–1592.

[ ← 23 ]

Luis de Góngora y Argote, *Oda a la toma de Larache* (Oda na zdobycie Larache).

[ ← 24 ]

Larache (al-'Araish) – miasto w północnym Maroku, zdobyte przez Hiszpanów w 1610 roku, utracone w 1689, ponownie okupowane w latach 1911–1956.

[ ← 25 ]

Mamora – region geograficzny w północno–zachodnim Maroku, między Cieśniną Gibraltarską a Rabatem. Pod panowaniem hiszpańskim w latach 1610–1619 (od 1614 w całości).

[ ← 26 ]

Maina – obecnie nazywa się Mani.



[ ← 27 ]

Monarchowie Katoliccy – miano przysługujące małżeństwu Izabeli Kastylijskiej i Ferdynanda Aragońskiego, władców, którzy ostatecznie zjednoczyli ziemie hiszpańskie w 1492 roku.

[ ← 28 ]

Postacie związane z inwazją arabską na wizygocką Hiszpanię. Musa (Abu Abd ar-Rahman Musa ibn Nusair ibn Abd ar-Rahman Zaid al-Ladżmi, 640–716) – wicekról ziem obecnego Maroka, fundator floty, która podbiła Baleary. Witiza (ok. 687–710) – przedostatni król Wizygotów na Półwyspie Iberyjskim. Roderic (?–711) – ostatni władca chrześcijański, pokonany przez Maurów. Hrabia Julian (przełom VII/VIII w.) – gubernator Ceuty, wg legendy jego zdrada ułatwiła najazd Maurów.

[ ← 29 ]

Terral – wiatr od lądu.

[ ← 30 ]

Rosalcázar – dziś znane jako Château Neuf.

[ ← 31 ]

Antonio Sancho Dávila de Toledo y Colonna, Marda y San Román, markiz de Velada (1590–1666) – wojskowy, pełnił różne funkcje w Afryce, Flandrii, Włoszech i zakonie Calatrava. Oranem zarządzał w latach 1625–1628.

[ ← 32 ]

Francisco de Córdoba y Velasco, hr. de Alcaudete (XVI/XVII w.) – dowódca wywodzący się ze znanego andaluzyjskiego rodu, gubernator Oranu w latach 1596–1604.

[ ← 33 ]

Miguel de Cervantes Saavedra, *El gallardo español* (Dzielny Hiszpan).

[ ← 34 ]

Yakupoglu Hizir, zwany Barbaros Hayreddin Pala (1478–1546) – turecki korsarz i admirał. Razem z dwoma braćmi i podległym im wojskiem przepędził w 1516 Hiszpanów najpierw z Algieru, a następnie z garnizonu na wysepce Peñón u wybrzeży dzisiejszego Maroka.



[ ← 35 ]

Prudencio de Sandoval, *Historia de la vida y hechos del emperador Carlos V* (Dzieje żywota i czynów cesarza Karola V).

[ ← 36 ]

Prudencio de Sandoval (1553–1620) – biskup i historyk.

[ ← 37 ]

Miguel de Cervantes Saavedra, *Przemysłny szlachcic don Kichote z Manczy*, t. 1, przeł.  
Anna Ludwika Czerny i Zygmunt Czerny.

[ ← 38 ]

Gonzalo (Francisco) Jiménez de Cisneros (1436–1517) – wybitny kardynał, arcybiskup Toledo, polityk i spowiednik Izabeli Kastylijskiej. Inicjator podboju północnej Afryki przez Hiszpanię.

[ ← 39 ]

Najprawdopodobniej chodzi o jednego z dwóch diuków. Enrique Pérez de Guzmán, VII pan de Sanlúcar, IV hrabia de Niebla, II diuk de Medina Sidonia (?–1492) – wódz zasłużony w walkach z Maurami na Półwyspie Iberyjskim. Alonso Pérez de Guzmán y Zúñiga zwany Dobrym, VII diuk de Medina Sidonia (1550–1615) – magnat, Admirał Oceanów i głównodowodzący Niezwyciężonej Armady, kompletny nieudacznik. Na jego usprawiedliwienie trzeba dodać, że zaszczytów admirałskich się nie domagał, będąc świadom swej niekompetencji.

[ ← 40 ]

Kasba – warownia w miastach arabskich.

[ ← 41 ]

Mercedarianie (Zakon Najświętszej Marii Panny Miłosierdzia dla Odkupienia Niewolników) – założony w Barcelonie w 1218 r. zakon, którego głównym zadaniem było niesienie pomocy duchowej i zbrojnej chrześcijanom wziętym w jasyr. Należał do niego m. in. Gabriel Téllez, czyli Tirso de Molina, autor sztuki o don Juanie *Zwodziciel z Sewilli i kamienny gość*.

[ ← 42 ]

Medyna – najstarsza część miasta w świecie arabskim, najczęściej z meczetami i sukkiem (targowiskiem).



[ ← 43 ]

Fanega – miara objętości, równa z grubsza 55 litrom.

[ ← 44 ]

Stany Generalne (*Staten-Generaal van de Nederlanden*) – parlament Zjednoczonych Prowincji niderlandzkich, toczących w latach 1568–1648 wojnę osiemdziesięcioletnią przeciwko Koronie hiszpańskiej.

[ ← 45 ]

Operacja ta miała miejsce w 1596 r.

[ ← 46 ]

Credo... (łac.) – Wierzę w jednego Boga, Ojca wszechmogącego, stwórcy nieba i ziemi...

[ ← 47 ]

Deum... (łac.) – Bóg z Boga, światłość ze światłości, Bóg prawdziwy z Boga prawdziwego...

[ ← 48 ]

Et exspecto... (łac.) – I oczekuję wskrzeszenia umarłych i życia wiecznego w przyszłym świecie, amen.

[ ← 49 ]

Ma (st. arab.) – woda.

[ ← 50]

Barra (arab.) – na zewnątrz, [także:] precz.



[ ← 51 ]

Uah (st. arab.) – tak.

[ ← 52 ]

Constanza Osorio y Manrique (XVII w.) – żona Antonia Sancha Dávila y Toledo, markiza de Velada. Istotnie znana z pobożności.

[ ← 53 ]

Zahara de los Atunes – miejscowość na atlantyckim wybrzeżu Hiszpanii, między Kadyksem a Cieśniną Gibraltarską, słynna w Złotym Wieku jako jaskinia łotrostwa (zaświadcza o tym Cervantes w *Nowelach przykładowych*).

[ ← 54 ]

S + *clavo* (hiszp. gwóźdź) = *esclavo* (hiszp. niewolnik).

[ ← 55 ]

Z wioski Alzate w Nawarze pochodził Jaun de Alzate, postać z dramatu napisanego w 1922 przez Pío Baroję. Jaun de Alzate jest w jakimś sensie jednym z wzorców bohaterów Péreza–Reverte – patriota, ale nie nacjonalista, szlachetny, żyjący z dala od Boga.

[ ← 56 ]

Twierdzę Bommel we Flandrii (między Antwerpią a Brugią) Hiszpanie zdobyli w 1599 r.

[ ← 57 ]

Wioski Oldensel i Linghen padły w sierpniu 1605, oblegane przez Hiszpanów pod wodzą Ambrogia Spinoli.

[ ← 58 ]

*As-zuav* (ar.) – członek jednego z klanów kabylskich; spośród nich rekrutowały się oddziały późniejszej francuskiej piechoty (zuawów).



[ ← 59 ]

*Isbah* (ar.) – światło, łaska.

[ ← 60 ]

Podczas bitwy pod Nördlingen (w Bawarii) 6 września 1634 wojska habsburskie rozgromiły siły protestanckie, wypierając Szwedów z południowych Niemiec.

[ ← 61 ]

Buona voglia (wł.) – dobra wola.

[ ← 62 ]

Szakał po turecku brzmi çakał, być może chodzi raczej o burłaków (to słowo pochodzenia tatarskiego).

[ ← 63 ]

*Bahari* (ar.) – arabski marynarz, człowiek morza.

[ ← 64 ]

Francisco de Quevedo y Villegas, *Carta de Escarraman a la Méndez, jácara IV Respuesta de Lampuga a la Perala* (List Escarramana do niejkiej Méndez, romanca IV: Lampuga odpowiada Perali).

[ ← 65 ]

Juan Bautista de Vivar (XVI/XVII w.) – poeta, autor romanc i poematów, z kręgu towarzyskiego Lopego de Vega.

[ ← 66 ]

*Viaje del Parnaso* – poemat Cervantesa z 1614 r., w którym autor przeprowadza szeroką krytykę poezji hiszpańskiej swego okresu.



[ ← 67 ]

*Retrato de la lozana andaluza* – powieść dialogowa, wydana w Wenecji w 1528 r., autorstwa prawdopodobnie hiszpańskiego duchownego i wydawcy Franciska Delicado, nawiązująca formą i treścią do słynnej *Celestyny* Fernanda de Rojas.

[ ← 68 ]

La Mamora – obecnie Mehdiya, miasto u ujścia rzeki Sebu, siedziba piratów, zdobyte przez Luisa Fajardo Fernandez de Córdoba w imieniu króla Filipa III, przy użyciu 20 galer, 50 innych jednostek i 9500 ludzi.

[ ← 69 ]

Oruç (1473–1518), znany jako Baba Aruch albo z włoska Barbarossa, był tureckim korsarzem. Zdobył Algier i został jego sułtanem, aby następnie przyjąć zwierzchnictwo tureckie, za co został mianowany gubernatorem.

[ ← 70 ]

Przepraszam, proszę pana, nie chodziło o pana.

[ ← 71 ]

Hiszpański oszuście, zaraz ci dołożę.

[ ← 72 ]

Co on mówi?

[ ← 73 ]

To nieprawda.

[ ← 74 ]

Gonzalo Fernández de Córdoba y Aguilar (1453–1515) – żołnierz na służbie u Królów Katolickich, książę Santangelo i Terranova. Z racji swych licznych zwycięstw zwany Wielkim Kapitanem. Po wojnie, w której przegnał Francuzów z Italii, został wicekrólem Neapolu.



[ ← 75 ]

Skrewił pan. Przegrał.

[ ← 76 ]

Miles gloriosus (łac.) – żołnierz samochwał.

[ ← 77 ]

Bezwstydny z pana piękny galant.

[ ← 78 ]

Tak pewien jest pan łupu?

[ ← 79 ]

Hiszpan i żołnierz potrzebują. Więcej przechwałek niż pieniędzy.

[ ← 80 ]

Podoba mi się rozmowa.

[ ← 81 ]

Podejdz tu, dzentelmenie.

[ ← 82 ]

Bitwa po Pawię w 1525 r., w której wojska Karola V pokonały wojska francuskie pod wodzą Franciszka I i wzięły króla Francji do niewoli.



[ ← 83 ]

Nie mam tajemnic przed kolegami.

[ ← 84 ]

Dzielni.

[ ← 85 ]

Już nie potrzebuję.

[ ← 86 ]

Cholera.

[ ←87]

Francisco de Quevedo, *Sny. Godzina dla każdego, czyli Fortuna mózgiem obdarzona*, przełożyła Kalina Wojciechowska.

[ ← 88 ]

Gajusz Mariusz (157 p.n.e. – 86 p.n.e.) – wódz rzymski, wieloletni konsul.

[ ← 89 ]

Machín de Gorostiola powtarza kwestię Biskajczyka z końca VIII rozdziału I części Don Kichota. I podobnie jak tamten Biskajczyk mówi łamaną hiszpańszczyzną.

[ ← 90 ]

Z Don Kichota w przekładzie Edwarda Boye, rozdział XL.